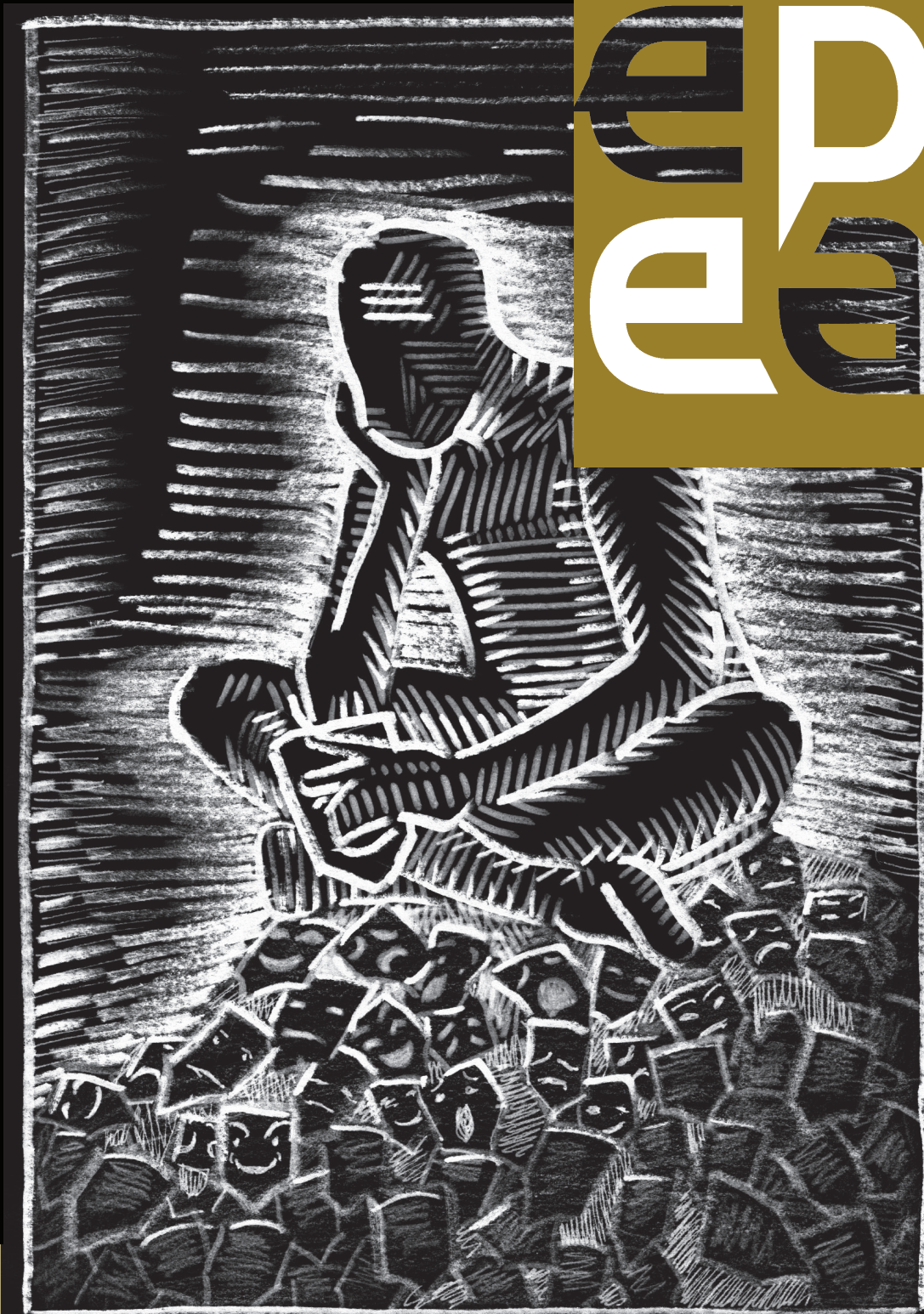


pismo literackie

ed es



pismo literackie



Epea. Pismo literackie

Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku
ul. Marii Curie-Skłodowskiej 14A, 15-097 Białystok
e-mail: epea@ksiaznicapodlaska.pl



Nieregularnik, nakład 300 egz.

ISSN: 1733-8352

Redaktor naczelny: Piotr Janicki

Redakcja: Tomasz Filipowicz, Daniel Znamierowski, Artur Jan Szczęsny, Bogumiła Maleszewska-Oksztol,
Mona Al-Kaber, Paulina Maria Reszotko, Ewelina Biernas

Projekt graficzny: Małgorzata Masłowiecka

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.

Wstęp

Po pierwsze będziemy dziękować Justynie Sawczuk, dotychczasowej redaktor naczelnej „Epei”. Justyna nie znika nikomu z radarów, znaleźć ją można w mediach społecznościowych. Justyna postawiła pismo, wykuwając je od samych nóg. Ciuchy po „Epei Almanachu” (2002-2015), jeszcze nieznoszone, nie speszyły Justyny w 2018 roku i nie obraca w niwecz jej wielkiej pracy fakt, że „Epea. Pismo literackie” – bez Justyny umie się ukazać. Jest zgoła inaczej: niniejszy numer swój kształt zawdzięcza również Justynie. Justyno, dziękujemy za wszystko. Sięgnij po nas w przyszłości.

Tymczasem witamy w redakcji Paulinę Marię Reszotko. Podobnie jak nie przepadła nam Justyna (przeczytajcie jej teksty o *Błękitnym zamku* L.M. Montgomery i o *Wojnie z pięknem. Reportażu o oszpecaniu Szwecji* Fredrika Kullberga), tak morze nie wyrzuciło nagle pod drzwi redakcji Pauliny. Paulina niedługo po ukończeniu studiów polonistycznych zaczęła pracę w Książnicy, a od wiosny nas zasila.

Po trzecie historia dziesiątego numeru naszego pisma bierze swój początek w słowie „humor”, czyli u podnóża góry zrobionej ze wszystkich przeszłych i przyszłych ludzi. Wokół nie było już kwiatów piwonii. W dziewiątym numerze (2/2022) błędnie podaliśmy, iż autorką grafiki na s. 47 jest Nina Roskowińska, a nie – jak jest w rzeczywistości – Gabriela Łapińska. Obie Artystki oraz Czytelników przepraszamy za pomyłkę. W każdej sekundzie stwarzał się nowy wszechświat i daty naszych urodzin nie tylko oddalały się od nas, ale też pojawiały się wciąż nowe i nowe, lecz słowo „humor” dalej z nami było. Humor, czyli nie rzecz obserwowalna, o pewnych cechach, a obserwator o pewnych cechach, które zasady naszego kosmosu czynią nieuniwersalnymi, a piasek, osiemnastowieczne statki i natura mają humory, odczuwając.

Witajcie.



DZIAŁ FILOLOGICZNY

- 4 | Krzysztof Puławski, *Angielscy Starsi Panowie*

KOMIKS

- 12 | Kamil Wrzeszcz, Ewelina Kędzia, *Życie*

PROZA

- 17 | Jakub Poświętny, *Pies*
 21 | Mateusz Górniak, *Chata, taka z drewna* [fragment]
 23 | Joanna Ewa Goc, *Cudowne dziecko*
 26 | Aleksandra Igras, *Włosy koloru zmierzchu*
 29 | Adam Kolasa, *Fale*

ROZMOWA

- 32 | *Poetyckie debiuty według Podlasia – z Katarzyną Mierzyńską-Sawicką i Dawidem Bujną rozmawiamy*

POEZJA

- 37 | Julian Rośniński, *za tych co nie mogą*
 38 | Jakub Sęczyk, *4 wiersze*
 40 | Paweł Stasiewicz, *6 wierszy*

PROZA

- 42 | Łukasz Kosik, *Rok jakiegoś końca*
 47 | Mira Łuksza, *Filip w fasoli*
 49 | Jarosław Rogowski, *Chanajki*
 53 | Radosław Wandzel, *Fanaberia*
 55 | Konrad Wojewódzki, *Zniknięcie Arlekina*

ROZMOWA

- 58 | *Wracz – z Anną Wanik rozmawiamy*

POEZJA

- 62 | Paweł Hohmann, *3 wiersze*
 65 | Victor Ficnerski, *4 wiersze*
 66 | Karolina Widera, *2 wiersze*
 68 | Paweł Kondratowicz, *Uchybienie*

KULTURA

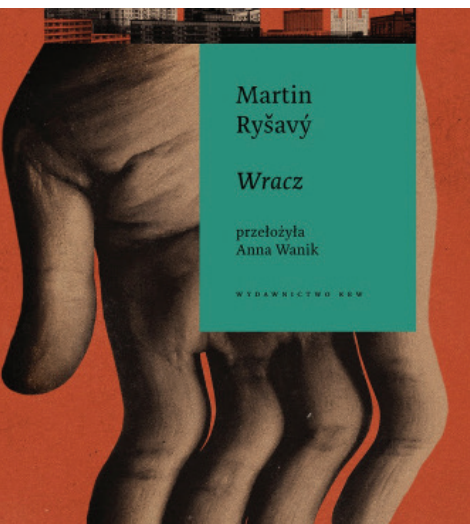
- 73 | Katarzyna Droga, *Kobiety komedii*

ROZMOWA

- 76 | *„Ten lot ćmy wokół światła” – rozmowa Kamila K. Pilichiewicza w Wojciechem Kassem*

POEZJA

- 80 | Kamil Figas, *3 wiersze*
 81 | Marcin Kończal, *3 wiersze*
 82 | Łukasz Kamiński, *3 wiersze*



Martin
Ryšavý

Wracz

przełożyła
Anna Wanik

WYDAWNICTWO K&W

58 |
Wracz

– rozmowa z Anną Wanik



- 84 | **Mateusz Melanowski**, *3 wiersze*
86 | **Marcin Wróblewski**, *5 wierszy*

REPORTAŻ

- 88 | **Łukasz Śmigiel**, *List w butelce*

EXLIBRISY

- 91 | **Juliusz Batura**

PROZA

- 98 | **Jean Anglemont**, *LE SABBAT DES CHIMISTES*
105 | **Marcin Hanuszkiewicz**, *Mucha*
106 | **Aleksandra Krysińska**, *Zaćmienie*
109 | **Marcin Stachelski**, *Zryw*

ROZMOWA

- 113 | *Urwany jak hejnał mariacki* – rozmowa Eligiusza Buczyńskiego z **Michałem Cirukiem**

DLA DZIECI

- 116 | **Maria Kaszkiel**, *Pory roku. Dwie i pół*
120 | **Celina Zubrycka**, *Waldek i biedronki* [fragment]
124 | **Jeremi Siudyła**, *Złodziej olimpijskich krów*
126 | **Małgorzata Masłowiecka**, *Detektyw Szukajło i zaginiona foka*

RECENZJE

- 130 | **Izolda Hukałowicz**, *Trzy historie*
133 | **Tomasz Filipowicz**, *Śmiechy-chichy z małej biblioteczki*
137 | **Piotr Janicki**, *W drogę stop*
139 | **Ewa Szarkowska**, *Czeski splin*
142 | **Kamil K. Pilichiewicz**, *„Tak zaczyna się wiersz”. Koncert przeciwieństw*
143 | **Paulina Reszotko**, *Bieda z nędzą, humor i żaloba*
145 | **Justyna Sawczuk**, *L.M. Montgomery, Błękitny zamek, Świat Książki, Warszawa 2022*
146 | **Justyna Sawczuk**, *Cena nowoczesności*
149 | **Tomasz poleca**

RECENZJE REDAKCJI

- 154 | *Francuski Górniak*
155 | *Zbójnicki nizinny*
156 | *O zwierzętach*
157 | *Powracający*
158 | *Słownik wojny*

RECENZJA ODZYSKANA

- 159 | **Piotr Janicki**, *Specyficzny rodzaj podróży z wykorzystaniem dławicy*

91 |
Exlibrisy
– Juliusz Batura



113 |
Urwany jak hejnał mariacki
– rozmowa z Michałem Cirukiem

Krzysztof Puławski

Angielscy Starsi Panowie

Trudno o bardziej rozpoznawalną prezentację w języku polskim niż te dwie krótkie frazy:

- To mój przyjaciel.
- A to mój przyjaciel.

Odbywała się ona trochę wbrew temu, co mamy zapisane w nutach, ponieważ Panem A był kompozytor, Jerzy Wasowski, a Panem B – autor słów, Jeremi Przybora. Można ją było usłyszeć w różnych sytuacjach w „Kabarecie Starszych Panów” i chyba rzadko poza nim.

Jednak z tej ironiczno-ezoterycznej prezentacji mogliby też skorzystać dwaj inni twórcy, którzy pisali i komponowali mniej więcej w tych samych latach co Przybora i Wasowski, a mianowicie Michael Flanders i Donald Swann. A to dlatego, że ich twórczość tak bardzo przypominała to, co robili Starsi Panowie.

Flanders i Swann nie od razu byli jednak starszymi panami...

Trudne życiorysy

Michael Flanders urodził się w Londynie pierwszego marca 1922 roku w rodzinie z artystycznymi tradycjami. W latach 1936–1940 uczęszczał do Westminster School, gdzie w tym samym czasie uczyli się między innymi Peter Ustinov, Peter Brook i Donald Swann, z którym Flanders na koniec nauki napisał sztukę muzyczną *Go To It*. Po szkole średniej wybrał się do Oksfordu, gdzie studiował historię i jednocześnie brał udział w przedstawieniach koła dramatycznego, a w 1940 roku zadebiutował w Oxford Playhouse jako profesjonalny aktor.

Flanders wydawał się idealny do ról silnych, młodych mężczyzn: miał prawie metr dziewięćdziesiąt i, chociaż szczupły, był jednak mocno zbudowany. Być może między innymi z tego powodu zgłosił się ochotniczo do marynarki wojennej. W 1942 roku udało mu się przetrwać atak torpedowy na HMS *Marne*, na którym służył, ale w następnym zaraził się polio i kolejne trzy lata spędził w szpitalu, w którym walczył o życie i zdrowie. Wyszedł z niego, a raczej wyjechał na wózku inwalidzkim, na którym miał pozostać do końca życia. Jego sytuację pogorszyło jeszcze

to, że władze Uniwersytetu Oksfordzkiego nie pozwoliły mu na kontynuowanie studiów z powodu jego niepełnosprawności.

Michael Flanders wrócił więc do domu i zaczął organizować muzyczno-teatralne spotkania, w których brał udział doskonały tubista i humorysta, przybyły przed wojną do Anglii w kindertransporcie z nazistowskich Niemiec, Gerard Hoffnung. Jednocześnie, nie mogąc się spełniać aktorsko, zaczął pracę jako spiker, a także zajmował się pisanie tekstów estradowych.

W 1948 roku napisał piosenkę, do której muzykę skomponował jego dawny przyjaciel ze szkoły średniej...

Donald Swann urodził się w roku 1923 w miejscowości Llanelli w Walii, w rodzinie rosyjskich, porewolucyjnych imigrantów, ale warto wspomnieć, że jego pradziadek, Alexander Trout Swann, przyjechał do Rosji z Anglii. Rodzina wkrótce przeprowadziła się do Londynu i Donald podjął naukę w Westminster School, gdzie oczywiście poznał Michaela Flandersa. Po szkole ich drogi się rozszły, chociaż nie do końca, ponieważ Swann dostał się na stypendium do Oksfordu, gdzie studiował na wydziale neofilologii. W 1942 roku odmówił walki z powodów ideologicznych i trafił do służby medycznej, najpierw w Egipcie i Palestynie, a następnie w Grecji. Po wojnie wrócił do Oksfordu, gdzie uczył rosyjskiego i nowogreckiego.

Kiedy w 1948 roku spotkał przypadkiem Michaela Flandersa, napisali swoją pierwszą wspólną piosenkę.

Początkowo Flanders i Swann pisali piosenki dla innych wykonawców, na przykład Iana Wallace’a czy Joyce Grenfell. Przede wszystkim jednak nawiązali współpracę z teatrem rewiowym D’Oyly Carte Company, który zaczął zamawiać u nich kolejne piosenki. Szło im tak dobrze, że niemal wypełniali już swoimi utworami kolejne programy teatru i stali się rozpoznawalni jako autorzy piosenek, ale jednocześnie zajmowali się wieloma innymi rzeczami.

W końcu w 1956 roku zaproszono ich jako wykładowców do Dartington International Summer School, gdzie mieli wspólnie zaprezentować swoje piosenki. Poszło im tak dobrze,

a reakcja publiczności była tak żywiołowa, że to, co miało być rodzajem muzycznego warsztatu, stało się pełnowymiarowym programem, zatytułowanym „At The Drop of a Hat”. Jego premiera odbyła się 31 grudnia 1956 roku w niewielkim New Lindsey Theatre w Londynie. Dobre recenzje i przychyłność publiczności sprawiły, że zaproponowano im przeniesienie spektaklu do większego Fortune Theatre.

Flanders i Swann byli pełni obaw, ale po paru nieprzespanych nocach zdecydowali się przyjąć tę propozycję. Sukces był oszałamiający. Najpierw w Anglii, a następnie w Szkocji na „Edinburgh Festival”, w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i Szwajcarii. Potrzeba odświeżenia repertuaru pojawiła się dopiero na początku lat sześćdziesiątych, ale spektakl „At The Drop of Another Hat” przypominał ten pierwszy nie tylko tytułem. Składał się on z podobnych w tonie piosenek i monologów. Od razu też zyskał uznanie publiczności, która szczególnie zapępiała dziewięćset miejsc Theatre Royal Haymarket, a następnie – kiedy twórcy wrócili z kolejnego międzynarodowego tournée – jeszcze większego Globe Theatre. Przedstawienia trwały aż do kwietnia 1967 roku, kiedy to Donald Swann stwierdził, że występy ograniczają jego twórczość kompozytorską.

Po rozstaniu pisali jeszcze razem piosenki, wydali też w 1967 roku płytę z piosenkami o zwierzętach, zatytułowaną „The Bestiary of Flanders and Swann”. Michael Flanders zmarł nagle w 1975 roku, a Donald Swann po chorobie w 1994. Ich piosenki są nie tylko popularne na całym świecie, ale ich tytuły albo cytaty z nich weszły też do języka i pojawiają się w najrozmaitszych kontekstach, tak jak nasze: „Przypadek? Nie sądzę” (Boy-Żeleński), „prysły zmysły” (Przybora) czy „Co się polepszy, to się popieprzy” (Osiecka). Zastanówmy się więc, co w nich takiego jest, że do tej pory pozostają żywe.

Twórcy równolegli

To nie życiorysy sprawiają, że Flanders i Swann tak bardzo przypominają Przyborę i Wasowskiego, chociaż można by się i tutaj dopatrzeć pewnych analogii. Warto jednak przede wszystkim skierować uwagę na twórczość obu duetów i na specyficzny humor, który łączył zamorskich kolegów.

W przypadku obu duetów przedmiotem żartów było codzienne życie i to, co się z nim wiązało, a zatem samo mieszkanie („Designed For Living” i „Jak dobrze mieć

własne mieszkanko”), problemy z fachowcami („The Gas-Man Cometh” i „Ostatni zdun”), moda, którą jedni i drudzy traktowali z przymrużeniem oka, i oczywiście miłość. Ba, Starsi Panowie napisali piosenkę zatytułowaną „Mambo Spinoza”, w której promowali znajomość filozofii, a Flanders i Swann aż dwie piosenki, w których tłumaczyli pierwszą i drugą zasadę termodynamiki...

Jednak nie tylko przedmiot tych żartów był tu ważny. I nawet nie elegancja, z jaką cała czwórka potrafiła żartować, chociaż była ona nie mniej istotna. Najbardziej zdumiewała inwencja językowa obu autorów tekstów. Cała anarchia i dynamit tego, co prezentowali, mieściły się właśnie w ich nieprawdopodobnych aliteracjach, zabawach ze słowami i zwrotami, a w przypadku Michaela Flandersa – również z idiomami i czasownikami frazowymi (*phrasal verbs*), które zyskują inne od podstawowego znaczenie po dodaniu do nich różnych przyimków.

Przyjrzyjmy się niektórym zabawom językowym Przybory:

- *taka pustka, taka pustka, po kapustce taka pustka;*
- *rzuć chuć, rzuć chuć i miast żyć chucią, ku uczuciom ty się zwróć;*
- *tatka tka, matka tka, a praczka czka i czkając tka;*
- *jej matka była aktorką wędrowniej trupy, a ojciec trupem wędrownego aktora;*
- *do ciebie szłem* (zabawa niepoprawną formą, wynikającą z minorowego nastroju wykonawcy – K.P.).

Zdarzało się też, że przedmiot żartów stawał się nieporównanie zabawniejszy z powodu wyszukanego, skomplikowanego języka, którego użył autor. Tak działo się choćby w „Bizuterii” czy też „Portugalczyku Osculatim”.

Podobnie pisał Michael Flanders, może nawet chwilami bardziej interesująco, ponieważ do zupełnie oczywistych w poezji angielskiej zabaw aliteracyjnych dorzucał na przykład takie fragmenty:

*And he said as he hastened to put out the cat,
The wine, his cigar, and the lamps.*

*She lowered her standards by raising her glass,
Her courage, her eyes, and his hopes.*

W pierwszym fragmencie jeden czasownik *put* obsługuje trzy różne znaczenia: wystawić, wyjąć i zgasić,

a w drugim słowo *lower* jest zestawione ze swoim antonimem *raise*, który jednocześnie znaczy w różnych zestawieniach „unieść kieliszek”, „zebrać się na odwagę” i „robić komuś nadzieję”. Dostyc to skomplikowane jak na cztery krótkie wersy. A do tego dochodzą jeszcze zabawy z wymową, jak w piosenkach „A Gnu Song”, „Paris” i „Misalliance”. Poza tym Michael Flanders zastanawiał się, „czym różni się prawdziwy hit od po prostu dobrej piosenki”, i zapewniał publiczność, że piosenki o leniwcu słucha się zdecydowanie lepiej, stojąc na głowie...

Trzeba też jednak zwrócić uwagę na różnice. I to nie tylko te dotyczące tekstów, ale też samej formy ich prezentacji. Mimo że w zasadzie interakcje między prowadzącymi Anglikami i Polakami niewiele się różniły: interlokutorzy byli raczej statyczni, ich dowcip miał charakter językowy, to jednak musimy pamiętać, że Flanders i Swann sami prezentowali cały program i występowali w teatrze. Obaj też cały czas siedzieli – jeden na wózku, drugi przy fortepianie. Rzeczą niezwykłą było tutaj to, że Michael Flanders wyraźnie dominował nad Donaldem Swannem, co zapewne, zwłaszcza w tamtym czasie, stanowiło ważne przesłanie dla wszystkich niepełnosprawnych.

Pojawiały się też różnice związane z tematyką piosenek. To prawda, że wiele tematów było wspólnych, ale na przykład Starsi Panowie nigdy nie zajmowali się polityką i – z wyjątkiem jednej piosenki – patriotyzmem oraz ojczyzną. W jednym z wywiadów Przybora wspominał, że na samym początku twórczości już czysty żart, nieskierowany w kulałów czy zachodnią zgniliznę, stanowił sprzeniewierzenie się stalinowskiemu nakazom i był wyrazem buntu, ale chyba też nie miał on temperamentu politycznego, którym w Polsce wykazywali się inni twórcy kabaretowi. Z Anglii i polityki angielskiej kpił za to Michael Flanders w takich piosenkach jak „The Song of Patriotic Prejudice” czy „The Commonwealth Song”.

Flanders poświęcił też cały cykl piosenek zwierzętom, obdarzając je oczywiście ludzkimi cechami¹. Większość była rzeczywista, ale gdzieś z kart Lewisa Carrolla spłynął do niej wymyślony „wompom”.

Z drugiej strony twórczość Przybory miała zdecydowanie bardziej zmysłowy i erotyczny charakter, ocierający

się momentami o perwersję, jak choćby we wspomnianej „Bizuterii” oraz piosence „Jeżeli kochać”. Pojawiały się w niej też wątki homoseksualne – przypomnijmy tu „Kapturka 62” oraz piosenkę „I jak tu żyć samotnie?” – których w ogóle nie ma w twórczości Flandersa².

Mimo wszystko wydaje mi się, że podobieństw jest znacznie więcej niż różnic. I że jest jeszcze coś, co łączy Przybora i Flandersa, a mianowicie to, że o ile wiem, ich twórczość praktycznie nie była tłumaczona na inne języki. Jakiś czas temu poruszyła mnie wieść, że Przybora tłumaczyła Natalia Gorbaniewska, okazało się jednak, że chodzi o mało znany wiersz poety, zatytułowany „Śmierć ptaka”³. Sam również nie zdecydowałbym się na tłumaczenie piosenek Starszych Panów, gdyż chyba przerastałoby to moje możliwości... Mogę jednak spróbować zaprezentować po polsku kilka piosenek Flandersa i Swanna, a także wyjaśnić pokrótce, na czym polega tłumaczenie piosenek.

Piosenki w tłumaczeniu

Przekłady piosenek są najbardziej zbliżone do tłumaczenia poezji, w której znaczenia ukrywają się nie tylko w definicjach słów, ale też w ich dwuznacznościach, brzmieniach, w składni poszczególnych fraz czy choćby interpunkcji albo też jej braku. To wszystko dodatkowo ogranicza nam melodia, do której tekst musi się dostosować, aby piosenkę można było zaśpiewać.

Czy zawsze jednak tak się dzieje?

Istnieją też czysto informacyjne przekłady piosenek, w których zależy nam na oddaniu treści danego utworu. Następnie możemy się zdecydować na przekład bardziej artystyczny, w którym zachowamy na przykład układ rymów albo spróbujemy oddać aliteracyjny charakter utworu. Jest to spore ułatwienie w przypadku piosenek pisanych po angielsku, ponieważ w tym języku mamy dużo krótkich rymowanych słów, które po polsku można oddać tylko za pomocą rymów męskich.

Zwykle jednak chcemy, żeby piosenka pozostała piosenką, którą można zaśpiewać do oryginalnej melodii, i decydujemy się na tłumaczenie meliczne. Warto przy tym zauważyć, że o ile nawet w przypadku tłumaczenia prozy

¹ W Polsce kilka takich piosenek napisała na początku swojej kariery Agnieszka Osiecka.

² Pamiętajmy, że homoseksualizm zdepenalizowano w Anglii dopiero w 1967 roku, a w Polsce nastąpiło to (choć niecałkowicie) w roku 1932.

³ Patrz: K. Ignatowicz, *Natalia Gorbaniewska jako tłumaczka poezji polskiej*, s. 113, niepublikowana praca doktorska.

trudno mówić o dokładnym przeniesieniu informacji z oryginału do przekładu, to w przypadku poezji w ogóle, a w szczególności piosenek, jest to bardzo trudne. Dlatego zwykle staramy się przekazać jak najwięcej informacji z oryginału albo też to, co w nim najważniejsze... Ale znaczy to tyle, że zazwyczaj trudno mówić o jednym najlepszym tłumaczeniu wiersza i piosenki!

Tłumaczenie poetyckie jest zatem zaproszeniem do dialogu. Natychmiast po swoim powstaniu skłania innych twórców, żeby spróbowali przetłumaczyć dany utwór na nowo – lepiej, ciekawiej, inaczej... Jednocześnie daje nam pewien wgląd w oryginał, ale musimy pamiętać, że nie jest on tak duży jak w przypadku prozy.

Przyjrzyjmy się zatem tłumaczeniu piosenek Flandersa i Swanna. W ich przypadku dodatkowym utrudnieniem jest humor tych utworów, który wymaga wspomagających strategii i technik tłumaczeniowych. Dlatego, jak mi się zdaje, najłatwiej można przełożyć ich liryczne utwory, na przykład piosenkę „Youth of the Heart”⁴, która ma stosunkowo proste przesłanie: *carpe diem*, tyle że zaprezentowane w miłosnym kontekście:

*Młodość jest w sercu
Gdy byłem młody, nie miałem ni grosza
I „Kiedy nasz ślub?” – Molly pytała mnie,
Lecz cóż, byłem mądry i tak jej mówiłem:
„Prawdziwa miłość nie zginie, o nie”.*

*Bo młodość jest w sercu,
A rosa na trawie,
Gdy budzisz się, patrzysz
Już nie ma jej prawie*

Trudność, mimo wszystko niemała, polega tu głównie na przeniesieniu jak najwięcej informacji z oryginału do języka polskiego i zrymowaniu ich tak, by można je było zaśpiewać. Zatem i po polsku, i po angielsku towarzyszymy młodemu człowiekowi, który pracuje w USA, żeby się dorościć i kupić ukochanej wymarzoną ślubną suknię, aż w końcu wraca do Irlandii:

Wróciłem do domu z portfelem wypchanym,

*W kościele dzwon dzwonił, od morza wiatr wiał.
„Ach, gdzie jest ma Molly, dla której mam suknię?”
– Spytałem sąsiada, co w bramie gdzieś stał.*

*„Twą miłą znużyły samotność, brak wiary,
Że kiedyś zaśpiewa miłosny swój hymn,
Spotkała biedaka, co młodość ma w sercu
I właśnie dziś rano pobrała się z nim”.*

I na koniec mamy przesłanie:

*Więc ty, który kochasz, i nie wiesz, co dalej
Pamiętaj opowieść, przekonać się daj,
Cóż, byłem rozsądny, a teraz żaluję,
Bo co mądre w zimie, szaleństwem zwie maj.*

Poprzeczka wędruje nieco wyżej, kiedy w grę zaczyna wchodzić humor, ale bardzo często zdarza się, że można utwór w dużej części przenieść do języka polskiego, nie zmieniając zbyt wiele po drodze. Tak stało się w przypadku piosenek takich jak „A Song of the Weather”⁵ i najbardziej znanego utworu duetu „The Hippopotamus”⁶. Zacznijmy od tej pierwszej:

"Pogodna piosenka"

*Styczeń śniegiem sypie w krąg,
Że nie czujesz nóg i rąk.
W lutym mocniej szczypie mróz,
Aż się w lód zamienia mózg.
Marzec wiatrem wita nas,
Oстрым, zimnym, prosto w twarz.
Kwiecień-plecień plecie nam
Deszcz z ulewą – ja go znam.
A majowi rolnik rad
– W nocy mróz, a we dnie grad.
Czerwiec deszcze zsyła i
Już jest powódź, to-nie-my.
Lipiec słońce śliczne ma,
Tylko je zasłania mgła.
Sierpień jest ładniejszy, bo
Jest w nim tylko deszczów sto.*

⁴ Patrz: „The Youth of the Heart”, <https://www.youtube.com/watch?v=zKSmOMN-bss>.

⁵ Patrz: Flanders and Swann – „The Song of the Weather”, https://www.youtube.com/watch?v=_eT40eV7OiI.

⁶ Patrz: Flanders and Swann – „The Hippopotamus Song” (live), https://www.youtube.com/watch?v=AjnOj9O16_I.



Klaudia Bondar / PLSP w Supraślu

*A we wrześnieu błocka w bród
– Moknie ciało, grzęźnie but.
Październik zalety ma
– Wiatr ci głowę u-ry-wa.
W listopadzie znowu chłód,
Na kałużach pierwszy lód.
Potem grudzień, szkoda słów,
I cholerny styczeń znów!
(Styczeń śniegiem sypie w krąg,
Że nie czujesz nóg i rąk).*

Jeśli porównamy ten przekład z tekstem angielskim, okaże się, że pozostało w nim wiele z oryginalnych informacji, chociaż są też zmiany: raz zamiast rąk i nóg, zamarza mózg, to znowu po polsku we frazie „A majowi rolnik rad / – W nocy mróz, a we dnie grad” pojawia się ironia. Mamy tu też nieco inny sposób wymowy i akcentowania słowa „urywa”, żeby można je było odpowiednio zaśpiewać.

Nieco więcej przekształceń pojawia się w „Hipopotamie”, choćby dlatego, że jest to bardziej skomplikowana piosenka. Podstawowy problem jednak to znalezienie krótkiego polskiego słowa na angielskie *mud*, które pojawia się w refrenie, śpiewanym również po rosyjsku przez Swanna:

*Szlam, szlam, cudowny szlam
– Ochłoda, uroda dla córek i mam,
Więc chodź moja złota,
Pójdziemy do błota
I niechaj otuli nas cudowny szlam.*

Później tłumaczenie daje możliwość różnego rodzaju przeróbek, tak jak choćby w poniższym fragmencie, gdzie mamy zmianę nazwy rzeki na jednosylabowy Nil, a także hipopotamę, która zyskuje słowiański rys dzięki „włosom jak len”:

*Raz siedł hipopotam ścieżynką przez piach,
A przed nim rozlewał się Nil,
Zatrzymał się, spojrzal na widok jak w snach
I cieszył się z miłych tych chwil,
Daleko na wzgórzu dziewczątka-pięć ton
Czesalo swe włosy jak len
I hipopotama wiedziała już sama,*

Że on, właśnie on śpiewa jej:

Jednak największa zmiana dotyczy ostatniej zwrotki, gdzie w oryginale z błotnistej wody wylaniają się inne hipopotamy, które śpiewają zakochanym miłosny refren. U mnie natomiast jest zupełnie inaczej:

*Gdy miał ją u boku, to rękę jej dał
I powiódł tanecznie nad Nil,
Sam nie wiem, jak długo nad brzegiem z nią stał,
Bo nikt im nie liczył tych chwil,
Skoczyli szczęśliwi, huknęło i cóż,
Nurt rzeki dyskretnie ich skrył,
A potem już dzieci miewali co rusz
I wszystkie śpiewały, co sił:*

*Szlam, szlam, cudowny szlam
– Ochłoda, uroda dla córek i mam,
Więc chodź moja złota,
Pójdziemy do błota
I niechaj otuli nas cudowny szlam.*

Czy tak można? Zdarza się, że często zmiany są znacznie głębsze i wynikają z tego, że w oryginale autor zaczyna się bawić językiem w sposób już zupełnie niekonwencjonalny. Wspominałem już o utworze „Madeira M’Dear”⁷, gdzie starałem się jakoś oddać piętrowe zastosowanie angielskich *phrasal verbs*:

*Była młoda i czysta, tak niewinna jak pąk,
Siedemnaście liczyła już lat,
A on stary, zepsuty, wszystko chciał brać do rąk,
No po prostu utracjusz i dziad.
Sprytnie zwabił kruszyne, bo pokazać jej chciał
W swym mieszkaniu motyle lub ćmy
I powiedział, gasząc światła i uśmiech jej tym:
Zamknij miła swe usta i drzwi.*

I dalej:

*I upadła zupełnie, wznosząc kielich i nos,
Budząc kota i nadzieję w nim.*

⁷ Patrz: *Flanders and Swann*, https://www.youtube.com/watch?v=OW_zi8n4HDQ.

Nieco inaczej wygląda to w przypadku zabaw wymową i dźwiękami, tak jak w piosence „Misalliance”⁸, która opowiada o miłości kapryfolium, które wije się w prawo, i powoju, który skręca w lewo. Oczywiście taki związek z góry skazany jest na niepowodzenie:

*A pszczoła, co przy nich zniżyła swój lot.
Mówiła: „Dość mamy z naturą już psot,
Więc jeśli potomstwo mieć chcecie, to cóżż,
Nie pobłogozzławię go nigdy, i jużż!
Biedactwo maleńkie, jak wiedzieć ma, jak,
Czy skręcać ma owak, czy skręcać ma tak?
W prawo czy w lewo? W przód? Może w tył?
Czy piąć się prościutko i paść twarzą w pył?”*

Na marginesie warto zaznaczyć, że ta, wydawać by się mogło, miłosna piosenka ma nieoczekiwany, polityczny finał:

*Wyrwali korzenie i wyschli na wiór,
Ich miłość do dzisiaj wspominam jak wzór
Tej walki o wolność, o wolność i prawo,
By móc skręcić w lewo, lub skręcić na prawo.*

Największe wyzwanie w tej kategorii stanowiła jednak „The Gnu Song”⁹. Wspomniałem już, że chodzi tu o głoski „g” i „k”, które w niektórych słowach w języku angielskim (*know, gnash*) są nieme, ale antylopa gnu z piosenki najpierw je wymawia, a potem zaczyna dodawać nawet tam, gdzie ich nie ma. Tworzy to niezwykle efekt humorystyczny, który starałem się oddać poprzez przeróżne łamańce językowe (i nie tylko). Tu jednak ewidentnie otwiera się pole do dialogu i kolejnych, może ciekawszych tłumaczeń:

*Rok temu, w zeszły czwartek,
Wybrałem się do zoo,
Gdzie spotkałem znawcę różnych zwierz,
On tłumaczył właśnie, czemu słonie ciągle fruwać chcą
I jak często musi myć się jeź.
Więc spytałem:
Co tam stoi?
Odpowiedział: To jest żubh.*

*Pewnie myślałbym tak jeszcze dhu,
Ale zwierzę się zjeżyło
I spojrzawszy nań niemiło, rzekło mu:
Ja jestem gnu!*

*Ja jestem gnu,
Po proszku gnu,
A jak mówią na mnie żuber, to nie lu.
Żwyczajne gnu,
Genialne gnu,
Sztrasznie szprytne
I wykwiłtne jestem gnu.
Ja jestem gnu,
Genialne gnu,
Więc już nie mów, że okapi albo wó,
O, już nie mylaj sze,
Bo okapi jest pasze
I tylko gnu, gnu, gnu, i tylko gnu.*

Na koniec warto wspomnieć, że ważnym narzędziem tłumacza, który zмага się z tego rodzaju przekładami, jest tak zwane udomowienie. Pojawiało się ono chociażby w tłumaczeniach „Latającego Cyrku Monty Pythona” Tomasza Beksińskiego, a jego prawdziwym mistrzem jest obecnie Bartosz Wierzbęta, który potrafi wprowadzić swojskie wątki nawet tam, gdzie nie ma ich w oryginale.

Osobiście pozwoliłem sobie przenieść akcję piosenki „Armadillo”¹⁰ z równiny Salisbury pod Kielce, a przy okazji wykorzystałem też dwuznaczność polskiego słowa „pancernik”:

Pancernik pod Kielcami

*Zakończyłem właśnie służbę, pakowałem plecak już
I pozbywszy się codziennych zwykłych trosk,
Chciałem wracać do rodziny, kiedy słyszę obok tuż
Czyjś niezwykle smutny, przejmujący głos:*

*O mój drogi pancerniku,
Tak cię kocham, że aż strach,
Pancerniku zwróć uwagę na mnie zwróć,
Bądź opoką i podporą*

⁸ Patrzą: *Misalliance*, <https://www.youtube.com/watch?v=AYr0eNtpDHs>.

⁹ Patrzą: *Flanders and Swann – „The Gnu Song”*, <https://www.youtube.com/watch?v=OPgo6s1lBbw>.

¹⁰ Patrzą: *Armadillo*, <https://www.youtube.com/watch?v=o5IUkIu1Zx4>.

*Czy to będzie mróz czy gorąc,
O mój drogi pancerniku mękę skróć.*

*Jednak trochę mnie zdziwiło to spotkanie właśnie tam,
Pod Kielcami pancerników raczej brak,
No, że jeden się zaplątał, ale żeby zaraz dwa?
I w dodatku drugi zakochany tak...
Odłożyłem więc pod brzozę ciężki plecak oraz broń
I powoli tak podszedłem cicho doń.*

Dodatkowo wprowadziłem tu pewien element erotyczny, którego brak w oryginale:

*No a potem zobaczyłem pancernika, który stał
Przy pancernym wozie, który sporą lufę miał.
Czy powiedzieć: Twój kochany i największe z wszystkich*

*bóstw,
To po prostu zwykły stary, dawno zapomniany wóz?
Jak najszybciej odjechałem, a wiódł mnie czołgowy trakt,
Nigdy nie mów zakochanej prawdy, kiedy kocha tak!*

Tak mniej więcej przedstawiają się możliwości tłumaczenia tych piosenek. Jak widać, wymaga to sporo inwencji, ale też daje dużo satysfakcji. Tłumaczyłem je z prawdziwą przyjemnością, myśląc o piosenkach z Kabaretu Starszych Panów. I trochę marząc o tym, że ktoś może kiedyś zainteresuje się przekładem piosenek Przybory.

KRZYSZTOF PUŁAWSKI

– urodzony w 1964 roku anglista, tłumacz, asystent na Uniwersytecie w Białymstoku. Zajmuje się szeroko rozumianymi problemami przekładowymi, z uwzględnieniem poezji oraz niestandardowych odmian języka angielskiego, głównie Hiberno-English.

Przetłumaczył ponad sto książek prozatorskich z języka angielskiego, w tym takich autorów jak David Lodge, Tracy Chevalier, Raymond Carver, Flann O'Brien, Michael Ondaatje, Bruce Chatwin, E.L. Doctorow czy Joe Biden oraz wiersze Williama Blake'a i Williama Butlera Yeatsa, a także kilkadziesiąt dramatów, w tym Andrew Bovella, Jordana Tannahilla, Maxa Posnera i Jeza Butterwortha, oraz piosenki, między innymi Michaela Flandersa i Toma Lehrera.

Tłumacz, jak również autor dramatów, z których trzy ukazały się w „Dialogu” (4/2005, 4/2008, 7–8/2016), z redakcją którego stale współpracuje, a także tomiku poezji *Martwiątka* (Białostocka Kolekcja Filologiczna, 2017) i dwóch tomów prozatorskich: *Mikołajek w szkole Dobrej Zmiany (dla dorosłych)* i *Pan Walczyk w mieście B* (oba: Pewne Wydawnictwo, Kielce, 2019, 2021). Zbiór wierszy *Martwiątka* uzyskał w 2018 roku nominację do literackiej nagrody Wiesława Kazaneckiego.

Mieszka w Supraślu.

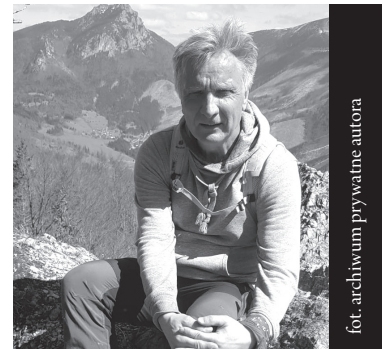
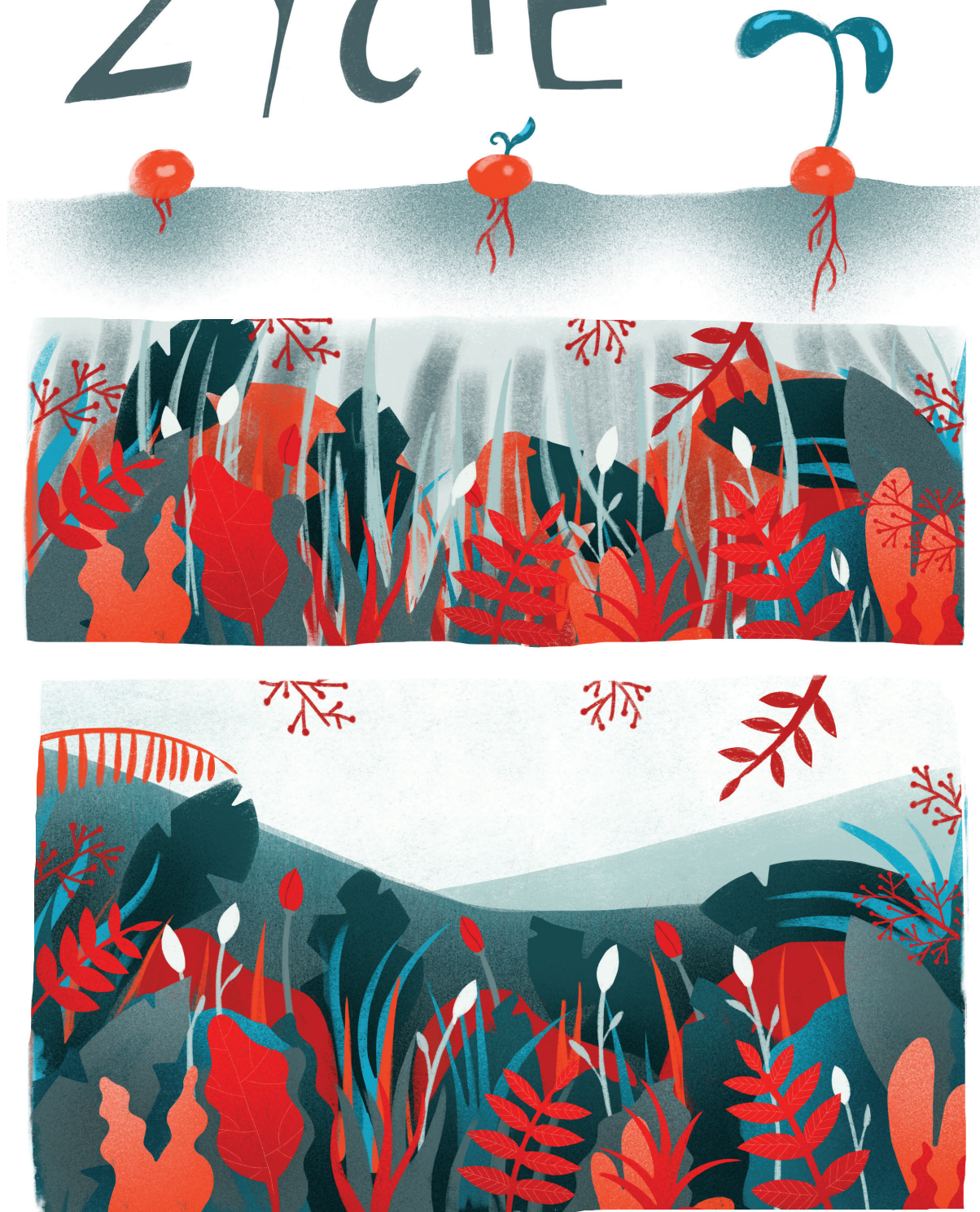


foto. archiwum prywatne autora

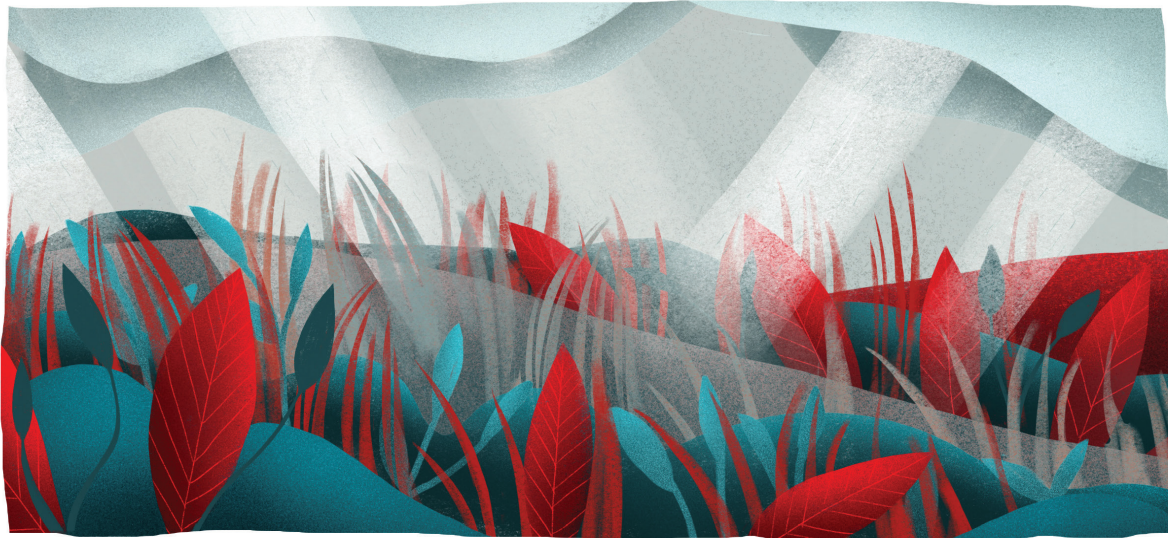
ŻYCIE

Scenariusz: Kamil Wrzeszcz
Ilustracje: Ewelina Kępcia









KAMIL WRZESZCZ

– student Szkoły Doktorskiej w Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Zajmuje się badaniem komiksów, powieści graficznych oraz liberaturą, czyli literaturą totalną, której założeniem jest to, by tekst i kształt książki stanowiły integralną całość. Szczególnie interesują go zagadnienia dotyczące formy i architek(s)tura – umiejscowienie tekstu na stronie, kolory i faktury dzieła. Jest teoretykiem komiksu oraz praktykiem. Opowiadania graficzne, do których stworzył scenariusze, można przeczytać m.in. w magazynach: „Małe Charaktery”, „Fabularie. Kultura Stan Najnowszy” czy „Zeszyty Komiksowe” oraz chorwackich: „KOMIKAZE” i „Strip revija”.

EWELINA KĘDZIA

– absolwentka Wydziału Sztuki Uniwersytetu Opolskiego. Radość tworzenia odnalazła w ilustracji. Denerwuje ją zamykanie kobiecości w wyidealizowanych wizerunkach, dlatego wysoko ceni wizualny żart, ironię i często mruga okiem do odbiorcy. Wielbicielka sztuki plakatu i zwolenniczka skrótowości i syntezy. Autorka angażuje się w projekty prowadzone na terenie miasta Opola, dzięki czemu w 2018 roku można było zobaczyć zaprojektowaną przez nią pocztówkę reklamującą miasto, czy też plakat promujący sztukę „Książę i prawda” Opolskiego Teatru Lalki i Aktora. W 2018 roku również jej prace można było zobaczyć na ulicach miasta, ponieważ stworzyła identyfikację Dni Opola 2018. Projekt ilustracji na wygaszacz ekranu w 2019 roku przyniósł jej zwycięstwo w międzynarodowym konkursie firmy Benq. W tym samym roku również brała udział w 16. Międzynarodowym Biennale Plakatu Teatralnego. W 2020 zilustrowała książeczkę dla dzieci *ŁysOlka i Długowłosey* autorstwa Magdaleny Schatt, tworząc bajkowy świat opowiadający o chorobie, jaką jest alopecia. W 2022 roku nawiązała współpracę z Teatrem Polskim w Bydgoszczy, tworząc kolorowanki do spektaklu „Czerwony Kapturek”. Następnie, współdziałając z Teatrem Zagłębia w Sosnowcu, stworzyła plakat promujący spektakl „Baśnie Andersena”. Kiedy musi zrobić głęboki wdech, by świeżym okiem zerknąć na swoje projekty, idzie na rower, gotuje wegetariański obiad albo bierze na spacer kochaną suczkę Chalkę.

Jakub Poświętny

Pies

Znów go zobaczył.

Mężczyzna siedział na stopniu betonowych schodów prowadzących do małej, drewnianej chatki. Mieszkał w niej od czterdziestu lat.

Pies go nie zauważył. Instynkt kazał mu jednak skradnąć się najciszej jak potrafił. Mewa spała w budzie. Była już stara i przygłucha, więc nie była przydatna, ale co miał z nią zrobić?

Obcy pies podszedł do jej miski i, podnosząc co chwilę głowę, wyjadał jedzenie. Wylizal wszystko do cna i, porzucając wszelkie pozory, pobiegł w stronę ulicy.

Mężczyzna nie wiedział, co o tym myśleć. Kochał wszystkie psy. Nawet te, które atakowały go w dzieciństwie. Zawsze wierzył, że agresja u psa to wyłącznie wina jego właściciela. Jego psy nigdy nie zrobiły nikomu krzywdy.

Pieniądzy po spłaceniu rat ledwo wystarczało na podstawowe rzeczy, a Mewa dostawała marne resztki. Nie mógł przygarnąć kolejnego psa. Przez kilka dni odganiał intruza i czekał, aż suka skończy jeść, ale ona nigdy nie dojadła do końca, więc i tak później stał w oknie i widział, jak czarny kundel wbiega na podwórko i scenariusz się powtarza. Wieczorem Mewa wychodziła z budy i bez skutku szukała jedzenia. Mężczyzna dzielił się z nią swoją kolacją, ale później nie mógł zasnąć, bo burczało mu w brzuchu. Latem poszedłby do ogródka i zjadł marchewkę albo chociaż listki szczawiu. Ale była zima i w ogródku została tylko pietruszka.

Był początek grudnia i mógł zrobić już tylko jedno zakupy – na świąteczny obiad dla córki i jej męża. Mieli w końcu przyjechać i pokazać zdjęcia, jak się urządzili w mieście. Zapraszali do siebie, ale nie robili tego zbyt przekonująco, więc wyczuł, że z jakiegoś powodu nie chcą go tam.

Bolało.

Zjadł śniadanie i miał zamiar wynieść jedzenie dla Mewy, ale pomyślał, że wpuści ją do domu i poczeka, aż zje. Gdy zaczęła z ociąganiem, usłyszał skrobanie. Wyjrzał przez okno w kuchni, które wychodziło na schody wejściowe, i zobaczył, że Intruz drapie w drzwi i zdiera farbę, której i tak nie było już dużo. Mężczyzna stukał w szybę i krzyczał na niego, ale nic to nie dało. Pobiegł do drzwi

i gdy je otworzył, zamachnął się nogą, żeby w nagłym szale kopnąć, ale pies już czmychnął.

Później dręczyły go wyrzuty sumienia, że był gotów kopnąć zwierzę. Chciał to jakoś naprawić i następnego dnia odpuszcił sobie obiad.

Dziwne, że zostało w nim to uczucie. Krępował się, gdy robił coś odbiegającego od normy i rutyny. Zostało mu to po wiecznych uwagach ojca, który na każdy jego ruch reagował wtrąceniem: „Gdzie to niesiesz? Co robisz? Gdzie idziesz? Po co ci to?”...

Gdy niósł teraz ten garnek z jedzeniem dla psa, starał się to zrobić jak najszybciej, żeby nie usłyszeć żadnego komentarza. Ale mógłby usłyszeć go tylko w swojej głowie, bo przecież ojca już od dawna nie było. Postawił garnek blisko podwórkowej bramy. Pies na pewno od razu go zauważył.

Mężczyzna siedział w oknie i czekał. Nie minęło dużo czasu, a Intruz pojawił się i początkowo zdziwiony, ale po chwili już pewny, że to nie może być podstęp, pożarł wszystko i wylizal garnek. Poczul się pewniej i usiadł niedaleko schodów do domu.

Do garnka wlał wodę i wysypał trochę soli. Gdy się zagołowała, wrzucił dwie łyżki smalcu i mieszał, aż tłuszcz się rozpuścił. Przełał zawartość garnka do miski i dodał pokruszony czerstwy chleb. Obiad. To samo dał psom, bo od kilku dni karmił oba. Nie najadł się – brzuch nadal wydawał żalose dzwięki. Na razie musiało jednak wystarczyć.

Wyszedł na podwórko i zabrał się do wyrzucania obornika z chlewów. Miał dwie krowy, które stały w oddzielnych pomieszczeniach. Co dwa dni wrzucał im słomę, żeby miały suche posłanie. Słoma pęczniała od moczu zwierząt i mieszała się z odchodami. Tworzyła się z tego zbita i ciężka masa, którą z trudem wrywał widłami i wyrzucał na gołą ziemię. Wokół stert gnoju robiło się błoto i niełatwo wysychało nawet podczas suszy.

Jeśli się zastanowić, to życie na wsi najlepiej opisują słowa: błoto i gówno. Nigdy ich tutaj nie zabraknie.

Brodził w tym błocie dzień po dniu, nosząc zwierzętom paszę i wodę. Wracal zmęczony i głodny, a na schodach przypominał sobie, że czeka go kolejny marny posiłek.



Klaudia Bonćdar / PLSP w Supraśl

W ostatnią niedzielę przed świętami udał się do kościoła. Nałożył najlepsze ubranie i wyczyścił buty. Prezentował się nie najgorzej, ale na miejscu jak zwykle poczuł się obco. Nie wiedział, po co właściwie tam chodził, i robił to coraz rzadziej.

Ksiądz znów mówił tak, że mężczyzna nic nie zrozumiał, ale od jakiegoś czasu wiedział, że to nie jego wina, bo to z kapłanem musiało być coś nie tak.

Sąsiad mówił, że od jakiegoś czasu ksiądz zamyka się na plebanii i nikogo nie wpuszcza. Podczas mszy gada dużo o pieniądzach i każe je wpłacać na parafialne konto, ale gdy ktoś po mszy chce go o coś zapytać, to macha ręką i odchodzi.

Mężczyzna pomyślał, że niedługo wywiozą duchownego z wioski na taczkach, bo mało kto wytrzymuje lekceważenie.

Kilka dni przed świętami skończyły się pieniądze.

Udał się jednak do sklepu z tymi odłożonymi na uroczysty obiad. Nie umiał gotować, ale kilka tygodni wcześniej zobaczył na drzwiach sklepu ogłoszenie, w którym wyczytał, że może zamówić gotowe potrawy.

Wykosztował się, ale było warto: smażony ryż, ziemniaki, dwa rodzaje ryby, sałatka i dziwne, małe kotlety z wieprzowiny. Miało być dla trzech osób, ale wydawało mu się, że i z dziesięć by się najadło. Musiał to tylko podgrzać.

Idąc z ciężkimi reklamówkami, uświadomił sobie, że od tygodnia nie jadł nic porządnego. Jego posiłki ograniczały się ostatnio do ciepłej słonej wody i suchego chleba. Wypijał też pół kubka mleka, a resztę oddawał psom. Do jego nosa dochodził zapach potraw. Brzuch znów wydawał żalosalne dźwięki i mężczyzna poczuł mdłości. Z trudem doniósł zakupy do domu. Z takim samym trudem zajmował się w ostatnich dniach zwierzętami. Po przebudzeniu długo leżał w łóżku i nie mógł znaleźć w sobie siły, żeby wstać, ale wiedział, że jego krowy są od niego zależne, i w końcu chwiejnym krokiem szedł je nakarmić i wydoić.

Nie miał lodówki, ale jeden pokój w jego domu był nieogrzewany i trzymał w nim żywność, która mogłaby się popsuć.

Zaniósł tam reklamówki, ale brzuch znów się odezwał. Mężczyzna pomyślał: „Może spróbuję tych ziemniaków.

I tak jest ich sporo, więc kilka mogę zjeść”. Przyniósł z kuchni talerz i widelec. Nałożył ziemniaków i po chwili wahania dołożył jeszcze kawałek ryby.

Zaczął jeść i nie mógł uwierzyć, że jedzenie może być tak dobre. Przeżuwał powoli i delektował się chrupiącą skórką ryby i pachnącymi przyprawami, w których obtoczono ziemniaki.

Czuł się coraz lepiej. Miał wrażenie, że wracają mu siły. Przelykał jeden z ostatnich kawałków i nagle zdało mu się, że światło przed oczami gaśnie. Głowa bezwładnie zaczęła lecieć w bok i osunął się na podłogę. Zemdlął.

W całkowitym roztargnieniu, wchodząc do domu, nie domknął drzwi. Zostawił też otwarte te do spiżarki.

Mewa przyzwyczała się do spania w domu i tego dnia również leżała przy piecu, ale obudziła się na hałas, którego narobił spadający na podłogę pan. Zaczęła skomleć i lizać go po twarzy.

Intruz był wtedy na podwórku, wbiegł po schodach i lekkim pchnięciem otworzył drzwi. Popatrzył na Mewę i podszedł do leżącego człowieka. Szturchnął go pyskiem i liznął po twarzy.

Poczuł jednak zapach jedzenia i zaczął węszyć.

Wszedł do spiżarki. Reklamówki leżały na niskim stole. Ściągnął tę z rybą i rozdarł folię.

Mężczyzna ocknął się i nie rozumiał, dlaczego leży na podłodze. Kręciło mu się w głowie i dłuższą chwilę próbował sobie przypomnieć, co się stało. Rozejrzał się po kuchni i zobaczył skrawki reklamówek i to, co zostało z jedzenia.

Wstał i dostrzegł otwarte drzwi. Gdy już zrozumiał, poczuł coś. Nie wiedział, czy jest to do końca złość, bo sporo w tym było rozczarowania i rezygnacji.

Ocecił straty. Ziemniaki i ryż były praktycznie nieruszone, ale z mięsa nic nie zostało.

Wychodząc na podwórko, chwycił toporek, którym kiedyś rąbał świńskie tusze.

Wiedział, że to nie Mewa, ale i tak przechodząc obok jej budy, poczuł, że mógłby. Mógłby zamachnąć się i nawet bez wielkiego wysiłku zadać... Ale nie.

Intruz siedział przy bramie. Ze sporej odległości było widać, że się przejadł. Brzuch wyglądał, jakby spuchł. Pies nawet nie miał zamiaru uciekać.

Mężczyzna podszedł do niego, chwycił za sierść i pociągnął w stronę domu. Pies zaczął protestować, ale nie dał rady się uwolnić. Próbował gryźć i głośno skomlał.

Mężczyzna zamachnął się, a promienie słońca odbiły się w ostrzu toporka.

I znów zgasło światło.

Ale tym razem nie ocknął się tam, gdzie upadł. Właściwie to nie miał pewności, czy upadł, ale wiedział, że leży w swoim łóżku, bo zanim otworzył oczy, poczuł chłodny dotyk kołdry. Nie spał dobrze. Dręczyło go, że córka z mężem przyjedzie i nie będzie obiadu. Może coś przewiozą, ale to przecież taki wstyd... Teraz już na pewno go nie zaproszą, ale oby pokazali te zdjęcia.

Poczuł dziwny zapach. Odruchowo odgarnął kołdrę i zobaczył, że jego ręce są brudne. Obie dłonie pokrywała zaschnięta krew. Poczuł wstręt. Pobiegł do kuchni i odkręcił kran. Długo mył ręce, ale wciąż były zaczerwienione.

Przez jego głowę przebiegały różne myśli. Nie miał pewności co do kolejności wydarzeń. Pamiętał toporek i zamach, ale nie wiedział, co było dalej.

Zabił?

Nagle usłyszał donośny głos.

– Dooobry!

Wyjrzał przez okno i zobaczył listonosza. Wytarł ręce i gdy wyszedł na zewnątrz, starał się je trzymać w kieszeniach.

– O panie, a co tutaj się stało? – Przybysz patrzył na niewielkie plamy krwi.

Spanikował. Bał się, że nie wydusi z siebie słowa. Nie chciał, żeby się rozniosło, że gania psy z toporkiem.

Starał się zabrzmieć jak najnaturalniej.

– Psy się gryzły. W ostatniej chwili rozgoniłem.

Listonosz nadal patrzył i kręcił głową.

– A to ci dopiero... ale ja tu z listem do pana. – Podał mężczyźnie małą, białą kopertę. Postać chwilę i wydawało się, że chce coś jeszcze powiedzieć, ale w końcu pożegnał się i poszedł.

Mężczyzna wrócił do domu, nie odrywając wzroku od koperty. Widniało na niej imię jego córki, ale nazwisko miała już po mężu.

Nie był na ślubie. Córka kiedyś w złości powiedziała, że wszyscy znajomi i rodzina męża myślą, że jej ojciec nie żyje.

W kopercie znalazł krótki list. Córka informowała, że nie przyjadą, bo nie chcą robić mu kłopotu. Dziękowała za pożyczkę i chciała powiadomić, że już uzbierali na spłatę i pieniądze czekają na niego w banku. Nie myślał o tym jak o pożyczce. Zadłużył się, dał córce pieniądze i jakoś musiał sobie radzić, ale ona najwyraźniej inaczej na to patrzyła.

List był suchy. Żadnych życzeń świątecznych ani niczego w tym rodzaju.

Znów wyszedł na zewnątrz. Chciał zebrać myśli. Nagle zobaczył, że przy stodole coś leży. Serce zabiło mu szybciej i pobiegł w tamtą stronę.

Intruz.

Myślał, że patrzy na zwłoki psa, ale zauważył, że oddycha. Pochylił się nad nim i zobaczył ranę. Znów poczuł wstręt, ale tym razem do siebie samego. Brzydził się sobą.

Pies podniósł łeb i zmęczonym wzrokiem popatrzył na człowieka. Zaczął lizać ranę.

JAKUB POŚWIĄTNY

– urodzony pod koniec 1996 r. w Bielsku Podlaskim. Z zamiłowania muzyk i czytelnik. Z wykształcenia kucharz.

W swoich próbach literackich, za pomocą zagubionych i skrzywdzonych bohaterów, ukazuje różnorodności w życiu wiejskim i ujawnia jego aspekty, które zwykle pozostają niewidoczne dla społeczeństwa. Podlaska wieś nie jest tym, czym się wydaje.



foto. Zuzanna Święcka

Mateusz Górniak

Chata, taka z drewna [fragm.]

Skończył gimnazjum z mocnym poczuciem, że może wszystko.

Czasy drugiej terapeutki nastaly, kiedy Bohater miał już siedemnaście lat i wpadł na pomysł, żeby symulować depresję i całymi dniami oglądać włoskie horrory, prawdziwą jatkę, święte porno, filmy samurajskie i powykęcane zombie westerny. Taka była jego odpowiedź na obezwładniające przeczucie tarapatów. Bo czuł, że się zbliżają. Śniły mu się jakieś ostatnie pojebaństwa i raczej wolał w ogóle się nie kłaść. Zombiakował tu i ówdzie, a atmosfera stawała się coraz gęstsza. Trzeba więc było zrobić jakiś myk, posunięcie.

Przestał jeść i nie wychodził z łóżka, zaczął też w nocy udawać dramatyczny szloch, który aż serce rozrywał jego biednym rodzicom.

Po dwóch tygodniach miał już półroczne zwolnienie ze szkoły i swoją drugą terapeutkę, której elegancko wyłożył wszystkie encyklopedyczne objawy depresji, a ona zareagowała pełną wyrozumiałości miną i całym arsenałem psychologicznych trików.

Była kolejną anonimową kobietą z reklamy Vision Express. Kimś, kto miał swoje życie i regularną wypłatę, porządnie skleconą moralność i kredyt na samochód. Bohatera strasznie to bawiło. Ciągłe mało co jadł i płakał po nocach, pił dużo wody i pobierał torrenty.

Przez jakiś czas zastanawiał się, czy terapeutka go przejrzała. Nie, nie ma chuja, nie mogła. Dlaczego? Ponieważ symulowanie błyskawicznie się urealniło i na Bohatera spadła depra jak się patrzy. Zrozumiał to, kiedy pewnego poranka naciągał koldrę na głowę, żeby schronić się przed rzeczywistością.

Kilka dni później zrobił siku do łóżka. Tarapaty.

Chodził do gabinetu dwa razy w tygodniu, robił drobne postępy, a potem wracał do domu, gdzie wszyscy dawali mu wreszcie święty spokój i trzymali mordy na kłódki.

To był czas xanaxu i seansów. Po drugiej wizycie u nowej terapeutki mama pozwoliła mu palić papierosy w pokoju. Miał więc wszystko, czego potrzebuje siedemnastolatek, który pragnie tylko spokoju, dobrego kina i trochę egzaltowanego klimaciku.

Zaciąganie żaluzji po powrocie do domu. Popielniczka w pościeli. Udawało mu się osiągnąć całkowitą ciemność albo kojącą czerwień poprzez naciągnięcie koszulki na nocną lampkę. Pielęgnował apatię, trenował się w bezruchu i milczeniu. Wiedział, że nie wróci już do szkoły, do normalnego życia.

[...]

„Pojedynek na szosie”: jak samemu stać się potworem, który cię ściga? Ha, ha, ha – powiedział sobie Bohater i poczuł, że coś kliknęło.

Coś się stało, jebnęło. Obok Bohatera pojawił się Potwór i maszyna ruszyła.

Bohater miał wtedy płodne dni dochodzenia do wniosków. Czym prędzej sklecił więc niniejszą autoinstrukcję, dla siebie i Potwora, bo skoro Potwór się wysświetlił i wprowadził, to jest nieodzowny:

1. Zdrowszy sen. 2. Skierowanie myśli ku ciału.
3. Skierowanie myśli ku wodzie. 4. Skierowanie myśli ku ziemi. 5. Skierowanie myśli ku materii jako takiej.
6. Hodowanie nowych instynktów. 7. Modlenie się do Matki Przenajdziwniejszej. 8. Wstępowanie w ekran. 9. Wstępowanie w obraz. 10. Skierowanie wzroku ku słońcu.
11. Brutalna tresura oczu. 12. Dociskanie symbolicznego gazu do symbolicznej dechy. 13. Skierowanie myśli ku instynktownie wykluwającemu się przeznaczeniu. 14. Skierowanie się ku spacerom. 15. Ponowne skierowanie myśli ku ciału. 16. I ku wodzie. 17. I ziemi, śmierci, śmierci.
18. Regulacja percepcji.

Bohater pod wpływem „Pojedyнку na szosie” oraz powyższych rozważań odciął się od wszystkich, zabe-tonował na kwadracie i pozostał sam na sam z Potworem.

Ich mieszkanie było ciasne, ale oswojone. Łasili się do ścian jak natrętne kocięta i mieli wysoki sufit. Spali w zaspermionym śpiworze. Półki na książki nie mieli, więc ją narysowali na ścianie obok chmurzastego, radosnego grzyba. Skoro grzyb i chmurki, to musieli dorysować słońce, ich własne słońeczko pierdolone. Założyli wtedy ciemne okulary i tak im zostało. Znaleźli gdzieś dywan, w dywanie znaleźli przyjaciół. Wylegiwali się, oślizgła paczka, coś wspaniałego.

Bohater oczywiście wciąż uważał, że jest w tarapatach. Kiedy w porze ich wspólnych popołudniowych drzemek nie mógł zasnąć, myślał sobie czasem, że zaraz przylecą drony i ich rozpierdolą. A potem winił się za te wizje, gapił przez okno, tulił Potworka.

I wiedział też, gdzieś tam w głębi, że da sobie radę, że podola, skoro ma Potwora już bliźiutko, obok siebie, w ogniu wspólnych pragnień.

Pewnego dnia dostał pełną wymówek wiadomość od pewnej osoby, która już wcześniej miała obrzydliwą śmiałość komentować jego egzystencjalne trakty z moralną wyższością. Odpisał jej czym prędzej:

*Droga Pani,
niech mnie Pani dobrze zrozumie – dla mnie nie ma powrotu na łono normalności.*

Jestem Człowiekiem Tarapatów.

Bardzo się cieszę z Pani wiadomości, ponieważ zadała Pani pytania, na które sam z chęcią sobie odpowiem, i niech mi Pani wybaczy, że traktuję naszą korespondencję jako własny front myślowy, ale inaczej musiałbym się jakoś odnosić do Pani osoby, która, niestety, wydaje mi się najzwyczajniej w świecie obrzydliwa. Proszę mnie dobrze zrozumieć, chodzi o pewne delikatne sprawy najwyższej rangi, które, mam nadzieję, wynikną z mojego tutaj wywodu, z mojej obecności na piśmie wobec Pani traktatu moralnego, że pozwolę sobie tak nazwać Pani wiadomość.

Jeśli Pani pozwoli, przejdę teraz do rzeczy.

Zarzuca mi Pani przede wszystkim, że nie mam kontaktu z rzeczywistością. Śmiesz mi to. Mam Panią tutaj edukować, że tego typu zarzut wynika z innego stosunku do rzeczywistości? Mam Panią od debilek zaślepionych wyzwać, że relację z rzeczywistością mierzy Pani miarami jakiejś wydumanej użyteczności albo obecności? Jestem dokładnie w tym miejscu, w którym chcę być – pośrodku niełatwej drogi. Niech mnie Pani zrozumie, ja wstaję rano i rzeczywistość się do mnie łąsi. Codziennie widzę przeróżne rzeczy, a ostatnio to i nawet dużo filmów.

MATEUSZ GÓRNIAK

– pisarz i dramaturg, redaktor „Stonera Polskiego”. Autor *Trash Story* (Ha!art, 2022) i *Dwóch powieści ruchu* (Filtry, 2023). Publikował m.in w „Nowym Napisie”, „Iglicy”, „Kinie”, „Małym Formacie”, „Kontencie” i „Dwutygodniku”. Kibic Arsenalu (od dziecka (małego)).

Zakochałem się i czasem mówimy sobie, że wszystko jest wszystkim, bo wszystko nam się zgadza i zazębia. Mamy timing, błysk i aurę. Chodzę na spacerzy i myślę o śmierci. A Pani ma czelność robić mi wyrzuty.

Traktuje też Pani moje tarapaty jako coś nie na miejscu. Niech mi Pani pozwoli sobie powtórzyć – jestem Człowiekiem Tarapatów i podążam drogą usłaną tarapatami. Pani myśli, że dobrze mieć duży dom za dużym płotem. A ja myślę, że dobrze mieć głowę wystawioną za szybę zapierdalającego auta. Tylko wtedy się czuje, że się jest, i tylko wtedy ma się kontakt z rzeczywistością. Na drodze, w tarapatach – cokolwiek to w danym momencie znaczy. Pośród trzasków, świateł, wybuchów i horyzontów. Moje tarapaty są piękne. Ja i moje tarapaty to święta spółka. Moje tarapaty to moje światło. Podobno zacząłem ich szukać zaraz po urodzeniu. Są ze mną od zawsze i teraz, kiedy tak doskonale to rozumiem, zamierzam się z nimi wziąć i zespolić.

Cała ta moja gadka do Pani jest kulą w płot, my się nigdy nie rozumiemy nawet w połowie. I niech Pani wie, że mnie w życiu tego typu bezcelowości po prostu wzruszają. Jam z Don Kichotów.

Niech mnie Pani też dobrze zrozumie. Ja, w odróżnieniu od Pani, nie mam ochoty pić z nikim żadnej kawusi. W ogóle mi się to nie uśmiecha. Uważam też, że my, to znaczy ja i Pani, to powinniśmy ograniczyć jakiegokolwiek wspólne interakcje. Powinniśmy gardzić sobą nawzajem w milczeniu.

A jeśli Panią naprawdę to tak ciekawi, to powiem tylko, że mieszkamy sobie słodko na poddaszu z moim Potworem i myślimy o przygarnięciu papugi.

Nie obchodzi nas, co u Pani, niech się Pani pierdoli.

(Fragment książki *Dwie powieści ruchu*)



foto: prywatne archiwum autora

Joanna Ewa Goc

Cudowne dziecko

Doktor habilitowany Waldemar Górecki dotarł do swojego pokoju na końcu korytarza z niezamierzonym opóźnieniem. Czwartkowe dyżury dla studentów zaczynał o jedenastej, tymczasem dochodziło południe. W stolówce na dole spotkał profesora ze swojej katedry, który ochoczo skorzystał z okazji, aby wymienić kilka uwag na temat ostatniej konferencji, i zasiedział się z nim przy kawie. W tym czasie w korytarzu zebrała się grupka oczekujących, jak to zwykle bywa w trakcie sesji.

Na widok Góreckiego dało się zauważyć nerwowe zamieszanie i drobne przepychanki.

– Czy pan profesor Górecki? – Głos należał niewątpliwie do dojrzałej pani, a nie studentki. – Możemy wejść?

Korpulentna kobieta, około pięćdziesięcioletnia, ciągnęła za rękaw wychudzonego ponad miarę towarzysza niskiego wzrostu.

– Byliśmy tu pierwsi! – rzuciła tonem nieznośnym sprzeciwu w kierunku pomrukującego złowrogo tłumu studentów. – Czekamy od samego rana!

Gdy tylko Górecki otworzył drzwi, kobieta wepchnęła się przed nim, ciągnąc za sobą mężczyznę o minie nieszczęśnika.

– Jesteśmy! – oświadczyła. – Bardzo tu ładnie u pana profesora! Ile książek! Czy wszystkie sam pan napisał? – Bez pytania o zgodę usadowiła się przy stoliku. Ponieważ było tam tylko jedno miejsce siedzące, bo wszystkie pozostałe fotele, sporą część podłogi i sam stolik zajmowały najróżniejszego typu i rozmiaru książki, skoroszyty i stopy papierzyk, jej towarzysz zastygł obok w półukłonie.

– Słucham państwa! – Górecki rozsiadł się przy swoim biurku pod oknem, co pozwoliło mu obserwować przybyłych z pewnego dystansu, a jednocześnie włączyć komputer i przeglądać zaległe maile. Z trudem powstrzymał ziewnięcie.

– Drogi panie profesorze, bo my przyjechaliśmy w sprawie naszego synka, Macieja. Macieja Kowalczyka. Studenta pana profesora. Niech pan profesor sprawdzi sobie w komputerach. – Chrząknęła, poprawiła swoje obfite ciało na rozhuśtanym fotelu, który wydał z siebie nieśmiały jęk, i mówiła dalej: – To jest złoty chłopak. Pracowity. Zdolny.

A jaki obowiązkowy! W szkole nauczyciele nie mogli się go nachwalić.

Tu spojrzała przeciągle na Góreckiego, jakby chciała sprawdzić, czy słucha uważnie.

– Zawsze miał same piątki. Zawsze! Wszystkie konkursy wygrywał. Na skrzypcach grał w szkole podstawowej. Do szkoły muzycznej chodził. A jak mi pomagał! Wszystko sam koło siebie robił. Nawet zmywał naczynia po sobie. – Znowu przerwała na chwilę, aby wziąć oddech, i przeniosła wzrok na swojego towarzysza, zapewne męża. – No powiedz coś, Filipie, proszę cię, co tak stoisz jak słup!

– To dobry chłopak, proszę pana. Nasz syn. – Mężczyzna aż zaczerwienił się z przejęcia. – Nasz syn! – powtórzył i zamilkł.

– Ech, ty nawet nic powiedzieć nie umiesz! – Kobieta wyduła pogardliwie wargi i wróciła do monologu, który najwyraźniej był dobrze jej znaną formą wypowiedzi.

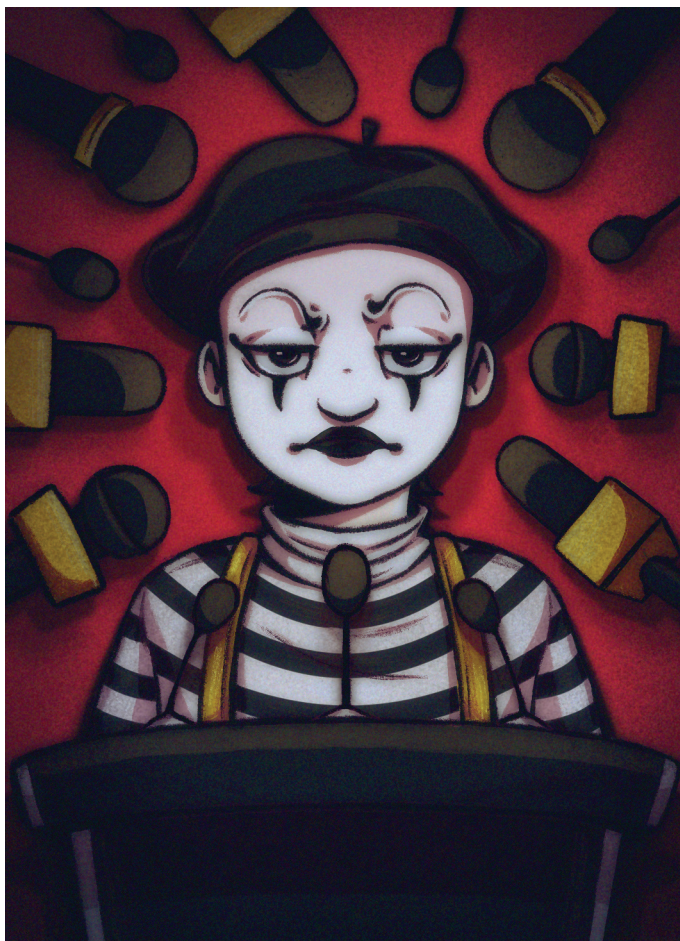
– Maciuś już od małego był taki. W przedszkolu sam się nauczył czytać i pisać. Sam! Wierszyki recytował z pamięci, takie długie, na każdej akademii. Zawsze chętnie występował. I niczego się nie wstydził. Po prostu cudowne dziecko! – Przewróciła oczami, sapnęła i mówiła dalej: – W szkole ze wszystkich przedmiotów miał piątki. Ze wszystkich. Tylko z matematyki może trochę gorzej, ale poza tym to same piątki. Ileż on się uczył! Nawet czasem już sama mówiłam: „Idź, Maciusiu, gdzieś z kolegami, na podwórko, w piłkę pograj, odpocznij od tej nauki!”. A on i tak jeszcze w te książki patrzył. Zamykał się w pokoju i tylko się uczył.

– I maturę zdał! Jedyny w rodzinie! – udało się wtrącić mężowi, ale zaraz napotkał on karcący wzrok swojej małżonki i już stał cicho i spokojnie.

– No więc Maciuś jest najzdolniejszy. Ze wszystkich. I najpracowitszy. Lubi się uczyć. Nic innego nie robi, tylko w tych książkach. A ma tych książek już ze dwie półki. Albo więcej. Już mu się na tych półkach nie mieszczą. . . A jeszcze kilka ze sobą wziął do Warszawy. My tu mu pokoik wynajęliśmy przy takiej spokojnej starszej pani, żeby mógł się uczyć, ile potrzebuje. I tu też ma książki. Ze cztery czy nawet pięć. W kółko je czyta i czyta.

Kobieta najwyraźniej się szykowała do opisywania pokoju syna, zatem Górecki postanowił przyspieszyć bieg opowieści.

– Rozumiem szanowną panią. Gratuluję takiego zdolnego syna. W czym jest zatem problem? I co państwa do mnie sprowadza?



Gabriela Mioduszewska / PLSP w Supraślu

Kobieta westchnęła, spojrzała na męża, westchnęła jeszcze raz i nieco cichszym głosem zaczęła:

– Otóż Maciuś jakimś nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności nie zaliczył tego przedmiotu u pana profesora. Nie wiadomo, jak to się stało. Uczyl się bardzo pilnie. Bardzo. Nie przyjeżdżał do nas do domu rodzinnego od trzech tygodni, bo sesja. Nawet telefonów nie odbierał, żeby się nie rozpraszać. Tak się uczyl. W dzień i w nocy. Te książki w kółko czytał. I on umie to wszystko najlepiej ze wszystkich. Najlepiej. Tylko tego akurat dnia, gdy był ten

egzamin, to jakoś nie miał szczęścia. Opowiadał, że go głowa bolała. Pewnie od tej nauki.

Pociągnęła nosem, jakby miała się rozplakać. Otworzyła nieco staromodną torebkę ze złotymi klamrami, która cały czas spoczywała jej na kolanach, i po dłuższych poszukiwaniach wyciągnęła z niej bawełnianą chustkę, zmiętą i pożółkłą. Wylała sobie nos i kąciaki oczu, ale delikatnie, aby nie rozmazać makijażu, i dodała:

– Pewnie za dużo tej nauki po prostu. On tak się przejmuje. To taki wrażliwy chłopak.

– I zdolny! – wtrącił mąż, prostując się na moment. Skarcony wzrokiem kobiety zaraz zastygł na powrót w przygarbionej pozie.

– Panie profesorze, to musi być pomyłka. Po prostu pomyłka jakaś. Niemożliwe, żeby on nie zdał. Niech pan sprawdzi, z łaski swojej, w tych swoich skoroszytach i w komputerach. Panie profesorze kochany! – Przeszła w ton niemal płacziwy, a jednocześnie nieruchomo utkwiała wzrok w Góreckim niby modliszka.

Górecki przybrał poważny wyraz twarzy, zaczerpnął powietrza i przemówił:

– Szanowna pani. Szanowni państwo – poprawił się zaraz, przypomniawszy sobie szkolenie z zasad równości płci na uniwersytecie. – Otóż państwa syn jest osobą dorosłą. Samodzielną. Odpowiedzialną za siebie. Nie mogę w tej sprawie z państwem rozmawiać. To jest tylko jego sprawa.

– Ale jak to: nie może pan profesor? Z nami nie może pan rozmawiać? Jesteśmy przecież rodzicami! – Kobieta z niedowierzaniem kręciła głowę.

– Nie mogę. Rozmawiam tylko ze studentami.

– Ale to syn nasz. Jedynek!

– Szanowna pani. Szanowni państwo. To jest człowiek dorosły. Jeśli ma sprawę, to niech on do mnie przyjdzie.

Zapadła cisza. Kobieta zamarła z półotwartymi ustami. Spoglądała to na męża, to na Góreckiego.

– To nasz syn przecież... – wyszeptala w końcu.

– Nie mogę. Bóg mi świadkiem, nie mogę. Takie są przepisy.

Na dźwięk słowa „przepisy” kobieta poprawiła się na krześle.

– Ale co tam przepisy. Przepisy można przecież czasem trochę obejść. Przepisy mają być dla ludzi, a nie odwrotnie, prawda? – Lekko się uśmiechnęła. – Przecież to dla dobra naszego synka, Maciusia. Nam tylko chodzi o to, żeby pan profesor nie stawał tej dwóci. To taki dobry chłopak jest. – To powiedziawszy, pogrzebała raz jeszcze w torebce

i wyciągnęła białą kopertę. Obracała przez chwilę w palcach i w końcu wepchnęła do ręki mężowi, a ten nachylił się i położył na biurku.

– Ależ co też państwo robią! – Górecki skoczył jak oparzony. – To próba przekupstwa. Nie mogę. No nie mogę po prostu. – Podszedł do drzwi i przekręcił klucz w zamku. – Jeszcze kto wejdzie i zobaczy.

– Panie profesorze kochany. My zawsze o swojego synka dbaliśmy. W szkole z każdego przedmiotu miał same piątki. Tylko z matematyki trójkę, bo nauczyciel jakiś niezyciowy był, uczciwy. – Wydęła wargi z nieskrywaną pogardą. – Panie profesorze, zawsze można sprawę załatwić. Dogadać się. No przecież wy tu w stolicy też potrzebujecie coś jeść. To tylko taki prezent. Niech się pan profesor nie kryguje. Nic wielkiego.

Gdy po dłuższej perswazji Górecki zajrzał do koperty i w końcu zgodził się przepytac studenta, kobieta sapnęła z zadowoleniem:

– Ufff! Maciuś tam siedzi w korytarzu i się denerwuje. On wszystko umie, najlepiej. Cały czas się uczył. No idź, Filipie, proszę cię, po naszego synka. Co tak stoisz jak ten słup! – fuknęła na męża.

Ten posłusznie ruszył do drzwi, ale były zamknięte. Górecki usłużnie podbiegł z kluczem i sam rzucił w przestrzeń korytarza:

– Pan Maciej Kowalczyk! Proszę do mnie.

Odpowiedziała mu cisza, a potem niewyraźne chichoty i śmiechy.

– Kowalczyk! Maciej! Na egzamin! – zawołał raz jeszcze Górecki.

– Panie psorze. Nie ma go. Maciek uciekł. Jak tylko się rodziców pozbył, poszedł na piwo. Nieprędko wróci.

Warszawa, 19 lipca 2022 r.

JOANNA EWA GOC

– wykładowczyni akademicka, laureatka Warszawskiej Nagrody Edukacji Kulturalnej. W 2020 roku nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego ukazał się jej debiutancki tomik poezji / prozy poetyckiej *Portrety z Krakowskiego, nie wszystkie prawdziwe*. Uwielbia wędrówki po zatłoczonym Sao Paulo i po kolumbijskich lasach deszczowych.



fot. archiwum prywatne autorki

Aleksandra Igras

Włosy koloru zmierzchu

Lata przeszły nie wiadomo kiedy. Wiktor Zygarlicki przeżył je na rzeczach bizarnych, takich jak nigdy nieskończone studia korespondencyjne w Zimbabwie, onlajnowe zloty „ufoków” czekających na ekstraterrestrialne świetniejsze cywilizacje i na długoletniej walce z New World Order – głównie przed ekranem maca, po północy, w kadzidlach THC i przy kuflu Złatego Bażanta.

To tamta doba zmieniła wszystko. Te z pozoru nieznaczające przemijające sekundy, które przybliżyły szereg czterech zer zwiastujących kolejną kartkę w kalendarzu. Tym razem tę, która rozpoczęła u Wiktora czterdziestą pierwszą wiosnę. On zupełnie nieświadom – z beztruską osoby życiowo poniekąd spełnionej, lecz umiarkowanie zatroskanej o losy rasy ludzkiej – o północy ślinił pasek kleju na bibulce dżointa zawierającego odkrywczą mieszankę kannabinoidów. To właśnie wtedy Wiktor Zygarlicki został odcięty od rodzinnego funduszu. Przekonał się o tym następnego dnia, kiedy próbował zapłacić w księgarni internetowej za dość różnorodną kolekcję książek na temat mindfulness, wege diety i wewnętrznego dziecka.

– Nie ma. Koniec z tym, kochaneczku – obwieścił stryj Leopold, główny dysponent owego funduszu. Stryj siedział w kraciastym fotelu i elegancko pykał fajkę.

– Stryjaszku, cóż zatem robić? Etat odpada. Stryjaszek wie lub przynajmniej zechce sobie wyobrazić jakie to nikczemne zajęcie. Odrażające wprost! No mi nie przystoi. – Wiktor z początku spuścił z zakłopotaniem głowę, by podnieść ją z cieniem wyniosłej dumy na bezkrwistym popielatym policzku.

– Wiktorze, owszem, dość paskudne, ale znośne. No weźmy na ten przykład kuzyna Bogusia. Pracuje na pół etatu w wydawnictwie czy tam w bibliotece i dzięki temu dostęp, wprawdzie ograniczony, do funduszu ma!

– Stryjaszek raczy żartować. Te wszystkie literatury piękne zmierzły mi okropnie, tym bardziej w obliczu klęsk wszechświatowych, których badaniami zajmowałem się przez ostatnią dekadę. Moje wnikliwe obserwacje, zapiski kiedyś zostaną odkryte, uwolnione, słowem: do rewolucji ogólnoludzkiej się przyczynią.

– Otóż to, otóż to – przyznał stryj dla niepoznaki, po czym jasno postawił sprawę. – Dość już tego pierdolenia, Wiktorze: albo etat, albo żeniaczka. Na wschodnich rubieżach ostała się jeszcze zacna familia z jedną lub dwiema pannami na wydaniu. Jedź, zakręć się, wżeń, na rzecz krwi naszej i na rzecz swojego nicnierobienia. Jak się uda, będziesz zarządzać... – I tu stryj, zwizualizowawszy sobie Wiktora na małżeńskiej otomanie, odpalającego blant za blantem, zgął w powietrzu po dwa palce u każdej z dłoni jednocześnie. – ...ten tego, zarządzać będziesz jakimś uroczym latyfundium. Ponoć i warzelnię piwa jeszcze mają wyborną i kilkanaście świetnie funkcjonujących kolcentrów w Białymstoku i w Lublinie. A dziewczoje na pewno usychają z tęsknoty za kawalerem z wielkopolskiego kręgu. Jakim ty jesteś!

– Pewnież mocno nieurodziwe i dlatego! – zachnął się Wiktor i wybiegł z gabinetu. Tydzień później siedział już jednak w pierwszej klasie Intercity do Białegostoku i z twarzą ukrytą w dłoniach lkał przez całą drogę.

Obszerne domostwo dalekiego kuzynostwa pysniło się na piaszczystym pagórku. W prostokacie korynckich kolumn zamykało się obszerne wejście główne. Okoliczne burzany tryskały zielenią, a słońce pomалу zachodziło. I w tym anturazu ujrzał ją po raz pierwszy. Stała pośrodku przepastnego trawnika z twarzą zatopioną w jasnofioletowych stożkach krzaku bzu. Jej poskręcane, długie, nieujarzmione włosy koloru starego złota spajały się z pasmem zmierzchu, pięknie odznaczonym na nieboskłonie. Prawa dłoń zaciskała się na nóżce kryształowego kielicha, prawy mały palec arystokratycznie odginał się do tyłu, a jej nagie plecy, pochylone w łuku, doskonale prezentowały wszystkie kręgi – jakby od szyi do pupy rozpostarty był sznur drogocennych nieregularnych kamieni. Lewa dłoń opuszczona wzdłuż ciała dzierżyła grubą szyjkę butelki jakiegoś pokaznego trunku. Złotowłosa zwróciła się ku niemu nagle, krocząc odważnie, ale chwiejnie – raz że trunek uderzył jej już do głowy, a dwa że obuła się w klapka na cieniutkiej szpilce i w trampka jednocześnie. Miała na sobie piękną długą burkundową suknię.

– Kuzinus poznanensis, siemanderos muchachos! – ryknęła na powitanie. Ten jej jazgot uwiązał w jego skroni, wywołał popłoch, chęć ucieczki. Na szczęście Złotowłosa w odpowiedniej chwili przełamała jego strach:

– Kieliszczyk moecika? – zagaiła, odsłoniwszy butelkową etykietę. Wiktor z przyjemnością przyznał, że co jak co, ale jak kuzynostwo popija w tygodniu moeta, a nie plebejskie prosecco, to może da radę jakoś tu wytrzymać.

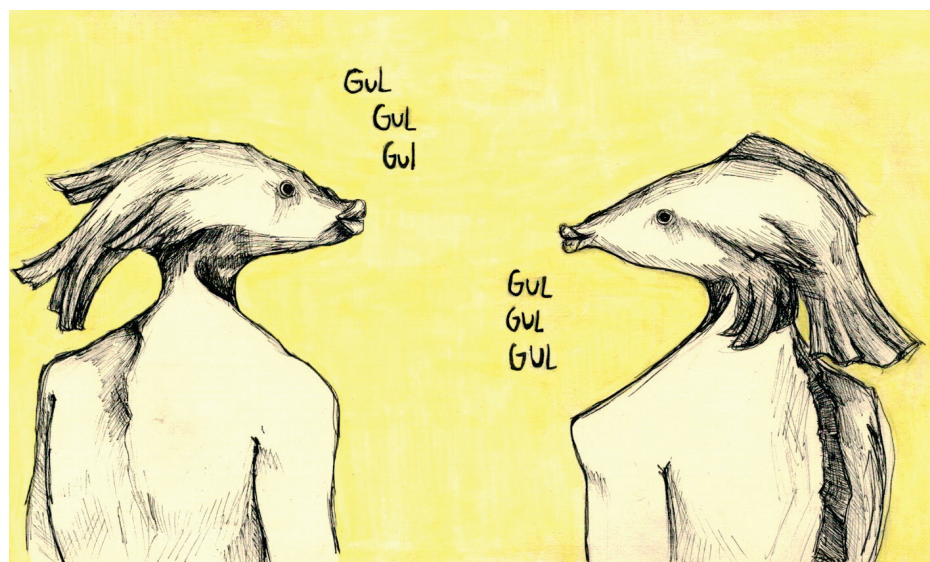
Trzy godziny później, w dziwnym pijacko-narkotykowym zwidzie uprawiali miłość francuską. Wiktor sam nie wiedział, jak do tego doszło. W ostatnich latach ta sfera jego życia, tak jak w zasadzie wszystkie pozostałe, została przeniesiona do bezpiecznej, znanej i higienicznej przestrzeni siedemnastocalowego ekranu. Jego jaźń w ogóle nie była zainteresowana kontaktem fizycznym, ale jak na złość tamtej nocy ciało ogłosiło niepodległość. Wili się oboje niestrudzenie, do utraty tchu. Złotowłosa przyjmowała demoniczne pozy i z wprawą wytrawnego kata pastwiła się nad Wiktorem i jego bezbronną chucią.

Odjechał stamtąd po tygodniu. Już w drodze powrotnej bił się z myślami, czy kiedykolwiek tam się jeszcze pojawi. Plotka o jego rzekomym narzeczeństwie dotarła do poznańskiej rodziny, zanim jeszcze zdążył zakupić zapas środków nasennych w przydworcowej aptece. Kiedy następnego dnia stryj Leopold zadzwonił do niego, Wiktor na końcu języka miał gotową formułkę o przyjęciu się na sprzedawcę do sklepu z asortymentem CBD. Jednak stryj uprzedził go, powiadomiwszy Wiktora o uruchomieniu dla niego specjalnego funduszu reprezentacyjno-narzeczeńskiego. W ten oto sposób postanowienie Wiktora o podjęciu pracy bądź próby samobójczej ulotniło się jak te noworoczne u większości ludzi.

Udawało mu się wszystkim przez parę miesięcy zbywać. Wiktor z wrodzoną pieczołowitością na nowo

odbudowywał wirtualny byt. Niestety, w końcu o ponowną wizytę zaczęła się dopominać rodzina narzeczonej, a stryj stał się coraz bardziej niecierpliwy. Wiktor z powrotem zaczął układać sobie w głowie karierę sprzedawcy, ale akurat tego dnia natknął się w przestrzeni internetu na dość podstępne BDSM porno, gdzie główna „artystka” była ludzako podobna do Złotowłosej. Coś w nim drgnęło. Z przerażeniem, ale i pewną satysfakcją odkrył, że jakaś jego część zatęskniła za tamtymi doznaniem. I tak oto ponownie zawitał na Podlasiu.

Nie poznał jej. Dopiero po dziesięciu minutach burzę złotych loków połączył z rysami twarzy. Twarzy, która tkwiła w jakiejś większej, pełniejszej przestrzeni. Jego koścista, demoniczna kochanka była teraz łagodnicą dziewczyną o przepastnych, rubensowskich kształtach. Imię, nazwisko, adres, włosy, oczy, usta – te się zgadzały, reszta już nie. Jej osobowość również była przeciwieństwem tamtej Złotowłosej. Nie było już imprez, moeta, kokainowych strużyn i wielogodzinnych orgietek. Chodzili za to na długie, dżdżyste spacerunki po okolicy zatopionej w późnojesiennym krajobrazie. Wiktor po raz pierwszy odkrył radość spędzania czasu z żywą osobą, szczególnie, że ta nowa Złotowłosa pozwoliła mu perorować do woli na temat teorii spiskowych, pozaziemskich cywilizacji i nowych, bardzo wydajnych metod uprawy konopi indyjskiej. I najważniejsze – w ogóle nie była zainteresowana bliskością fizyczną. Nic a nic. Taką ją pokochał.



Amelia Kulikowska / PLSP w Supraślu

Pech chciał, że znowu musieli się rozłączyć. Złotowłosa zobowiązała się ukończyć ostatni semestr studiów w Nowym Orleanie, by do ślubu z Wiktorem pójść już jako pani magister. Dyplom przywiozła w czerwcu, a wraz z nim starą wersję siebie – demoniczną i obmierzłą. Tym razem przypominała lalkę Barbie w wersji voodoo.

Z początku myślał, że to na chwilę, że to tylko ciało, powłoka, którą da się z niej zedrzeć, zamienić, zapomnieć. Ale za każdym razem kiedy wyciągał ją na przechadzkę, by wskrzesić wspomnienie tamtych późnojesiennych rozmów, tamtego rosnącego w nich żaru uczucia – ona rozumiała to zupełnie na opak i bezwstydnie ciągnęła go w krzaki, zarośla, by dostać to „na czym jej jedynie zależało.

Wiktor na nowo rozważał samobójstwo. Ustalił nawet datę na Noc Świętojańską. Postanowił, że odurzy się grzybową psylocybiną i powiesi na gałęzi topoli malowniczo rosnącej nad rzeką. Zafunduje sobie śmierć – z racji swojej

krwi – na jakąś chwilę, ale miał nadzieję, że na tyle długą, aby dostęp do funduszu przyznano mu na wieki wieków. I gdy już mocował sznur na wybranym, solidnym konarze – zza pnia wyłoniła się ona: bezwstydną, naga, z ironią wypisaną na twarzy, z plugawym uśmiechem. Wiktor nie zwlekał ani chwili. Doskoczył do niej i wbił kły w jej szyję.

I wypełniło się to, co od wieków się wypełniało. Inicjacja dla Wiktora była skokiem w nieznaną, ekscytującą, pozaludzkie – była więcej niż spełnieniem najśmielszych marzeń, najintensywniejszych doznań. Gdy nad brzegiem rzeki Złotowłosa leżała już zupełnie bez sił, Wiktor zyskał trochę czasu na kolejny etap unicestwienia. Z wielką radością skonstatował, że topola, mająca być współtowarzyszką jego czasowej śmierci, jest gatunku osika. Szybkim, sprawnym ruchem oderwał jedną z gałęzi i - z impetem, napierając całym ciężarem swego ciała – wbił ją w serce półkrwi Złotowłosej. Byli w końcu kuzynostwem.

ALEKSANDRA IGRAS

– ur. w 1981 r. w Lublinie. Absolwentka dziennikarstwa na Uniwersytecie Jagiellońskim. Niegdyś pracowała jako copywriter. Od wielu lat przedsiębiorczyni. Jako aktorka amatorka uczestniczyła w kilkuletnim projekcie teatralnym DDK Węglin – „Matka Polka Teatralna. Konkurs”. Do chwili obecnej autorka trzech opowiadań. Debiutanckie *Od niechcenia* opublikowała na łamach portalu „wydawnictwo j”. Kolejne – *Pokrzywy* – zostało wyróżnione w ogólnopolskim konkursie im. Eugeniusza Paukszty (2021).



foto: prywatne archiwum autorki

Adam Kolasa

Fale

Żwir strzelał spod rowerowej opony. Były wakacje, upał jak na plakatach z biur podróży, tyle że od nas do morza było daleko i zamiast na przyjemną bryzę mogliśmy liczyć co najwyżej na cień starego dębu.

Długo w tym skwarze nie dało się wysiedzieć, a co dopiero jechać na rowerze. Na szczęście działka Karola była niedaleko. Mogliśmy wytrzymać te parę kilometrów biegnących przez pola i wiejskie drogi.

Kiedy sięgałem po nagrzaną od słońca bidon, usłyszałem, jak Karol krzyczy.

– Prawie jesteśmy! Widzę dach, który żeśmy łatali zeszłego lata. – Wskazał ręką w dół żwirowej drogi, prowadzącej do zadrzewionego terenu nad stawem, gdzie dziadek Karola dzierżawił kawałek ziemi. Razem z jego ojcem postawili tam małą chatę z desek i starych blach, żeby latem chłodzić się nad wodą. Ściągnąłem lyk ciepłej wody z bidonu, nacisnąłem mocniej na pedały i zjechałem w dół drogi.

Jak na robotę dorywczą z resztek, które zostały w ich gospodarstwie, chata wyglądała solidnie. Trochę jak barak starego inżyniera ze świata postapo, który zna swój fach, ale bardziej niż dbać o wygląd mieszkania, lubi sobie gołnąć. Dziadek Karola mógłby grać właśnie taką postać. Ponoć był trochę uzdolniony, a trochę szurnięty. Zafiksowany na punkcie sprzętów, które dopracowywał, udoskonalał, ale przede wszystkim przy których robił mnóstwo bałaganu. Rodzinny dom Karola to sterty śrubek, porozkładane narzędzia, kable wijące się po mokrej ziemi przy drewnianych wrotach warsztatu jego dziadka. Miało to swój urok, ale na co dzień łatwiej było znaleźć obcęgi albo klucze niż buty, o których zdarzało się, dość często, zapominać seniorowi rodu.

– Zobacz, myślałem, że zerwało po ostatniej burzy, ale nadal tam siedzi. Jak dziadzio przykręci antenę, to nie ma siły we wsi, żeby ją zdmuchnąć. Żadne trąby powietrzne, stary! – zaśmiał się Karol i wskazał na druty solidnie przykręcone do ściany baraku.

Nie był to talerz satelitarny ani miniantena do oglądania kanałów na wielkim ekranie. Dziadek Karola lubił elektronikę, ale za telewizją nie przepadał. Za to radio. . . radio to była inna rozmowa. Traktował radioodbiorniki

jak lampy Aladyna, które trzeba poczyścić, dopieścić, obejrzeć ze wszystkich stron, bo pewnie w każdej zaklęty jest dzin. Myśmy siedzieli na podwórku, zjadając jabłka, które wiatr strącił z przydomowego drzewa, i gapiliśmy się w telefony, a dziadek Karola szperał w swojej szopie przy sprzętach z poprzedniej epoki. Zbierał je od znajomych, kupował za grosze na targach antyków i naprawiał. Można było pomyśleć, że na sprzedaż, żeby zarobić, ale gdzie tam. Kiedy naprawił, odkładał na półkę i albo o nich zapominał, albo służyły mu jako nośniki części zamiennych do nowszych modeli, które kupował z pieniędzy zaoszczędzonych z rolniczej emerytury. Cała ściana w szopie dziadka stała ozdobiona tymi sprzętami. Wchodząc do warsztatu, wchodziło się jak do muzealnej sali z eksponatami, które można było dotykać, ustawiać, testować. Rzucaliśmy tylko na nie okiem trochę zafascynowani i przestraszeni, żeby czegoś nie zepsuć, a później wracaliśmy na podwórko, dalej grać czy gapić się w telefony.

Spojrzałem na Karola, który sięgał po klucze, żeby otworzyć blaszany domek.

– Czyli dalej tam jest, co? – bardziej utwierdziłem się w przekonaniu, niż spytałem. – I coraz sprawniej je obsługujesz?

Karol tylko kiwnął głową i wszedł do środka. Tutaj było inaczej niż w warsztacie. Pomijając porządek i schludne wnętrza, bez żadnych śrubokrętów czy zakrętek, które mogłyby leżeć bezładnie na podłodze, w pomieszczeniu stało tylko jedno radio. Przykryte plastikowym kloszem, na starym drewnianym stoliku w centrum chaty.

– Zamknij drzwi – powiedział Karol, kiedy otwierał kluczem skrzynkę z korkami.

Przekręciłem zamek. W chacie było ciemno. Jedyne wąskie smugi światła przebijały się przez niewielkie szpary budynku, a drobinki kurzu tańczyły w tych cienkich, jasnych korytarzach.

Karol wyjął browarki z plecaka, wziąłem jednego. Ciepłe, ale kto by czekał, aż się schłodzi. Otworzyłem sobie i jemu, patrząc, jak podnosi plastikowy klosz i odpala radio.

Niby z Karolem wychowaliśmy się na telefonach, ale to nieprawda, że wszystko, czego potrzebujemy jest

wyłącznie za czarnym ekranem. To właśnie w tych ciężkich, metalowych, grubo ciosanych pokrętlach starego radia, w tej poźółkłej kartce, po której jeździ linia z częstotliwością, w tych wszystkich drgających wskazówkach tkwi jakaś magia. Obaj podskórnie czuliśmy, że stary radioodbiornik rzeczywiście wykonuje pracę, do czegoś służy, a nie tylko udaje, jest rodzajem zabawki, którą jakby dla uspokojenia nosimy w kieszeni.

– Zobaczmy, co tym razem słyhać – mówi Karol, biorąc ode mnie butelkę. Popija, krzywi się od temperatury, ale bierze drugi łyk. – Wstaw resztę do lodówki – dodaje i kręci pokrętłami, szuka.

Siadamy przy odbiorniku. Ostatnio byliśmy tu w zeszłe wakacje i nasłuchiwalimy. Karol śmieje się, że jego dziadek zrobił to radio, chyba żeby gadać z pilotami samolotów albo rakiet. Taki ma zasięg! To raczej niemożliwe, ale nie raz słyszeliśmy już dziwne języki, daleko spoza Europy, więc kto wie, jakie fale może złapać ta dziwna maszyna.

Antenę, mocno przytwierdzoną do chaty, zbudował dziadek Karola. Miała wyostrzyć sygnał i poprawić jakość przychodzących dźwięków. Przyjeżdżaliśmy tu czasem w gorące dni wakacji, żeby oderwać się od nudy i posłuchać świrów z podobnymi sprzętami albo takich, których jakimś cudem udało nam się podsłuchać. Co mają do powiedzenia?

– A pamiętasz tę laskę, co śpiewała jakieś arie operowe do mikrofonu? Wyobrażasz ją sobie? – pyta Karol, sącząc piwko. – Siedzi jakaś baba w szlafroku, umalowana jak klaun i ciśnie do mikrofonu „La, la, la, la-laaaa!”

– Albo ten małolat, co rapował, jakby na próbę. Jak nie wiadomo kto nadaje, to odważny – śmiałem się, kiedy Karol ustawiał częstotliwość.

– Były też te radia albo jakieś rozmowy, pamiętasz? Może arabski, może jakiś podobny język.

Sygnałów było mnóstwo. Trzeba przyznać dziadkowi Karola, że sprzęt, który tu przyniósł i zainstalował na środku wiekowego stolika, działał jak pudełko z podcastami. Tylko zamiast listy, lecisz w ciemno po kanałach i nie wiesz, na co trafisz. No i jest jedna różnica. Mikrofon. Jeśli chcesz, możesz odpowiedzieć tej babie od oper, młodemu raperowi, który skleja pierwsze rymy, czy tym wszystkim zagranicznym głosom, które bulgoczą jak wielki gar na kuchence.

Na początku odpowiadaliśmy coś dla śmiechu. Sypaliśmy przekleństwami i zmienialiśmy częstotliwość. Przecież nikt nas tu nie znajdzie, a nawet jeśli, to co nam

zrobi? Kiedy minęło to zachłyśnięcie się kontaktem, głównie słuchaliśmy. Wyobrażaliśmy sobie, kim są ci ludzie, jak wyglądają, gdzie mieszkają. Śmiałyśmy się z nich albo ignorowaliśmy i przełączaliśmy na kolejny głos. Te arie to mogło być przecież radio, a wcale nie baba, która siedziała przy stole i wyła, jakby występowała przed salą pełną widzów. Zastanawialiśmy się, kim jest młody raper, i śmiałyśmy się, że nawija w masce gazowej, dla lepszego klimatu. Każdy z tych głosów, niesiony nie wiadomo skąd, był dla nas częścią osoby, której życie i zachowanie sobie dopowiadaliśmy.

– Ćśśś! – zawołał Karol, kiedy w zeszłe wakacje komentowałem poważny głos starego faceta, który rzucał w eter swoje współrzędne. – Marcin, ciszej! Słyszysz?

Zacząłem nasłuchiwać. Dźwięk był przytłumiony, z szumami, ale w tle zacząłem rozpoznawać głosy. Męski głos, nerwowy, podniesiony, chyba ze wschodnim akcentem. W tle natłok dźwięków, trochę metalicznych. Jakiś grzmot.

Karol podgłaśnia, wskazówki radioodbiornika drżą jak szalone. Wgapiamy się w te wskaźniki, jakby były ekranem, a to przecież tylko pokrętła, kreski i linie. I te dźwięki. Huki, okropne huki i świsty, jak na filmach ze starych archiwów. Ludzkie głosy, które starają się być mocne, ale łamią się pod natłokiem grzmotów. Nie wiem, co mówią, nie rozumiem, ale brzmią znajomo, jak ludzie, których znamy, jak my, tylko są przesiąknięte strachem. Uderza nas wrzask, tak mocny, że piszczy w uszach i staje się nie do zniesienia. Karol przykręca jedno pokrętło i patrzy na mnie z rozszerzonymi oczami. Jest ciszej, pisk ustał, ale dalej słyhać huki, grzmoty, od których cierpnie skóra.

Nic nie mówimy. Gapiemy się na siebie z na wpół otwartymi gębami, ni tu słuchając, ni to czekając na dalszy ciąg. Wyłączam radio, Karol przykrywa je plastikowym kloszem. Podświetlenia gasną, wskazówki, które przed momentem drżały, opadają i leżą nieruchomo w martwym punkcie.

Wstaję i otwieram drzwi, żeby zaczerpnąć powietrza. Jest upalnie, powietrze stoi. Idę nad staw, żeby schłodzić się choć trochę, i siadam przy brzegu. Obok mnie Karol. Oddychamy głęboko, patrzymy przed siebie i milczymy. Nie wiemy, co powiedzieć. Nie musimy nic mówić.

Biorę pierwszy kamień i rzucaam w taflę wody. Słyszymy plusk i widzimy fale rozchodzące się coraz szerzej i szerzej. Sięgam po kolejne kamienie.

– Są trochę jak radiowe, prawda? – pytam wreszcie, żeby przerwać ciszę. – Wychodzą z jednego miejsca i pełną powoli po wodzie. Im dalej od środka, tym stają się większe, aż w końcu znikają, rozplywają się.

– A my, z pomocą dziadka, możemy je łapać. – Karol uśmiecha się na moment, ale szybko poważnieje. Wiatr leniwie porusza wierzchołkami drzew, słychać szum, przebijany tylko pluskiem kamieni.

– Zastanawiałeś się kiedyś – pytam, rzucając kolejny, gdzieś na środek stawu – co się dzieje z kamieniami?

Karol kiwa przecząco głową.

Wstaję i patrzę na staw.

– Ja myślę, że przepadają. Pamiętasz kolor tego, którego rzuciłeś przed chwilą? Jego kształt? Ciężar? Zostają tylko fale, Karol. – Chwilę się zastanawiam i mówię dalej: – Chyba że ktoś, pasjonat czy świr, zanurkuje i wyjmie z dna te kamienie, wyżłobione przez wodę, chudsze, ja wiem, może bardziej gładkie? Wzniesie pod słońce, obejrzy i pewnie rzuci gdzieś dalej w wodę. I powstaną nowe fale, które znów będą sunęły po jeziorze.

Patrzemy jeszcze na staw, aż tafla się uspokoi. Odwracam się w stronę rowerów. Metalowe drzwi chaty bujają się na wietrze, to odsłaniając, to zasłaniając radiostację stojącą na środku drewnianego stolika wewnątrz blaszanego domu.



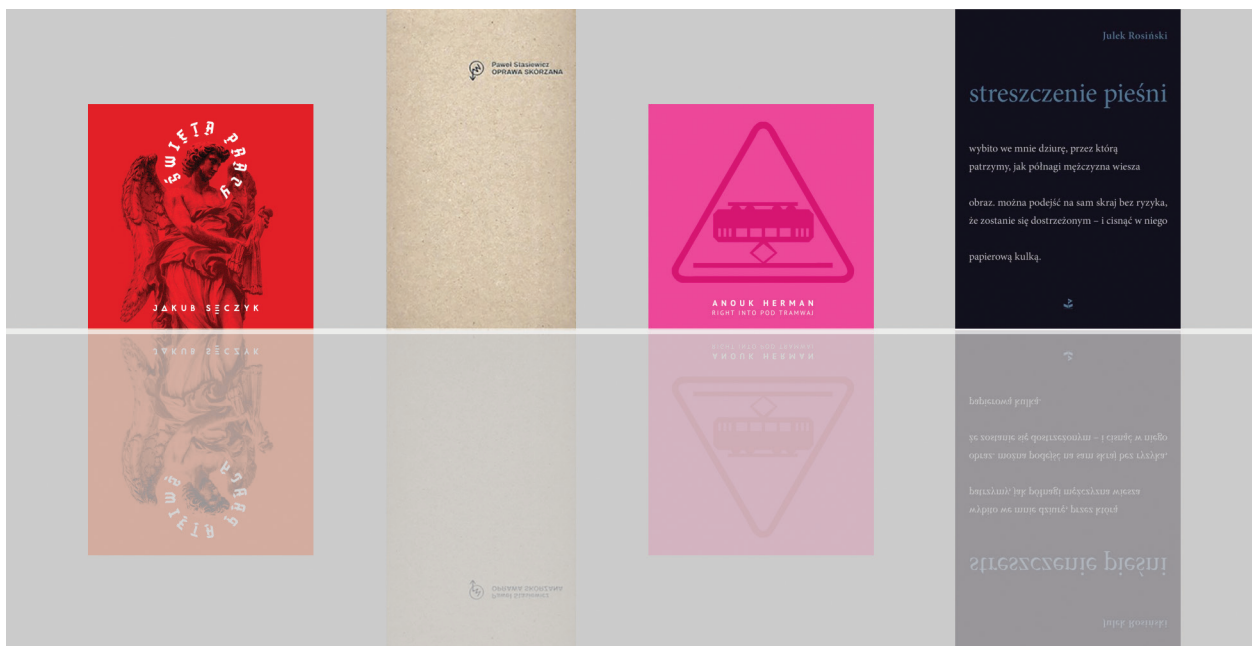
Adrianna Maciejak / PLSP w Supraślu

ADAM KOLASA

– rocznik '86, autor opowiadań, urodzony w Kielcach. Lubi krótkie formy prozatorskie i surowy styl opowieści, ceni eseje i reportaże, w szczególności te dotyczące losu jednostek w obliczu kryzysu. Współpracował m.in. z redakcją magazynu „Press” (2013–2015), publikował w magazynie „Fabularie” (2020), kwartalniku „Tlen Literacki” (2021), magazynie studenckim „Teksty (Nie)kulturalne” (2009–2010) oraz w serwisach zajmujących się fantastyką (2000–2005).

Poetyckie debiuty według Podlasia

– z Katarzyną Sawicką-Mierzyńską i Dawidem Bujną rozmawia Piotr Janicki



Piotr Janicki: Witajcie. Przed rokiem na naszych łamach porozmawialiśmy chwilę z Dawidem o najciekawszych debiutach poetyckich w 2021 roku i obiecaliśmy sobie wrócić do sprawy. Tymczasem nagroda Kazaneckiego – co tu dużo gadać – obrasta w piórka coraz to świetniejszych debiutantów, to może pomówmy w szerszym gronie? Być może nie znaleźliście wśród tomów nominowanych debiutantów swojego ulubieńca? Nagle dostrzeżliście, że brak jakiegoś tytułu Wam doskwiera? Coś każe myśleć o którymś z nieobecnych autorów z sympatią?

Katarzyna Sawicka-Mierzyńska: Nie chcę mówić: „tak się złożyło”, bo nasz werdykt to efekt długich, momentami burzliwych dyskusji i przemyślanych decyzji, więc to nie kwestia zbiegu okoliczności, ale faktem jest, że moi faworyci znaleźli się w finałowej czwórce. Wybór nie należał do łatwych, w tym roku otrzymaliśmy naprawdę niezły zestaw debiutanckich tomików, reprezentujących różne poetyki, wrażliwości (nie tylko językowe) i wizje świata.

Autorzy i autorki większości z nich to młodzi lub bardzo młodzi ludzie, obcowanie z tymi tekstami stanowi dla mnie, pani w średnim wieku, znakomitą okazję do partycypowania w rzeczywistości, którą na co dzień obserwuję raczej z zewnątrz, ewentualnie ze specyficznej perspektywy matki nastoletniej córki. Fascynujące jest dla mnie to, że dyskursy, narracje i idee, do których moje pokolenie (roczniki '70) dojrzało, które musieliśmy odkrywać i przyswajać – posthumanizm, queer, głęboka ekologia, na nowo odkrywana klasowość itd. – dla osób urodzonych kilka dekad później stały się zinterioryzowanym światopoglądem. To z roku na rok (mam na myśli poprzednie debiuty) coraz bardziej miejsce, z którego mówią poeci i poetki, niż temat wierszy.

Ważny jest dla mnie parytet płci – w dotychczasowych edycjach nagrody zachowywaliśmy go – w tym roku dominują mężczyźni, między innymi dlatego spośród tomików, których nie nominowaliśmy, wskazę *Fluid Zu Witkowskiej*. Jej zbiór wierszy ma specyficzną konstrukcję: niemal każdy tekst poetycki jest poprzedzony rodzajem narracyjnego wstępu (Szczepan Kopyt nazwał te fragmenty

„preambulami”), zarysującego pole interpretacji. Całość składa się na subtelny zapis codziennych doświadczeń osób LGBTQ+, których integralny element stanowi poczucie zagrożenia/niepewności. Za wariacką dosadność i polityczną aktualność lubiłam też *hyperpoland* Cezarego Ciszaka i *Komunizm, gówno i może cię Kocham* Tomasza Gromadki, ale nie mogę powiedzieć, że żałuję braku nominacji dla tych tomów. Gdyby tak było, walczyłabym o nie.

Dawid Bujno: Myślę, że było sporo niezłych debiutów wśród książek, które ostatecznie nie weszły do finału. Na przykład subtelne *wiśni mi się* Luli Sarni. Kasia wspomniała o *hyperpoland* Ciszaka. Tam jest taki kawałek pt. *narodowy wiersz polski*, który często czytałem osobom niezainteresowanym poezją – mojemu ojcu, przyjacielom – żeby pokazać, jak doraźna i ostra potrafi być poezja najnowsza. Ale w tym roku jednak wszyscy moi ulubieńcy znaleźli się wśród nominowanych tomów, a nie zawsze tak było, chyba nawet nigdy przedtem. Dlatego mam poczucie, że jest to być może najlepszy zestaw w historii tej kategorii. Pojawia się tylko jedna wątpliwość: to był bardzo męski rok. Pamiętam, że taki też wniosek pojawił się na początku obrad. Z drugiej strony – ale tu rzeczywiście „tak się złożyło” – jeszcze żaden facet nigdy nie dostał Nagrody Kazaneckiego za debiut. Nina Manel, Joanna Bociąg, Marta Stachniałek, teraz Anouk Herman.

Ale teraz jesteśmy w szatni z finałową czwórką i żeby chociaż nominowani mieli za sobą coś na kształt zwycięstw, jakieś bramki... Tymczasem wskazujecie na nich, a przed nimi inne nagrody za debiuty, nominacje. Czy więc są te nominacje także przed Wami? O to też jest ta gra?

DB: Śledzę inne nagrody literackie jako fan poezji i literatury w ogóle, ale robiłem to, rzecz jasna, na długo, zanim znalazłem się w kapitule Kazaneckiego. I oczywiście szalenie cieszę się, kiedy Justyna Kulikowska za nagrodzony przez nas *gift. z Podlasia* dostaje później Nagrodę Literacką Gdynia, a Marta Stachniałek – Silesiusa. Tak samo w tym sezonie będę kibicował Anoukowi Hermanowi, Pawłowi Stasiewiczowi, Julkowi Rosińskiemu oraz Jakubowi Sęczykowi jako ich szalikowicz, skoro uruchomiłeś już sportową nomenklaturę. Ale w moim przekonaniu gra toczy się o coś innego. Kiedy po ogłoszeniu nominacji i przyznaniu nagrody zaczynam czekać na jakiś dalszy rozwój wydarzeń,

to raczej myślę o drugich książkach tych autorek i autorów. To one powiedzą: „sprawdzam”, pokażą, czy mieliśmy rację. Uważnie więc obserwuję, co te osoby robią. Ale jak dotąd doczekaliśmy się jedynie drugich książek Przemka Suchaneckiego (*O*) i Tomasza Ważnego (*Będą mi mówić*). Obaj byli przez nas nominowani podczas pierwszej edycji kategorii debiutów za 2019 rok. Teraz Katarzyna Szweda (druga edycja) zapowiedziała swój drugi tomik pt. *zemia vulgaris*. Czytałem też jej przekłady wierszy ukraińskiej poetki Iryny Mularczuk. Również jako tłumacz rozwija się Juliusz Pielichowski (po nominacji przekładał prozę Elizabeth Bishop). Asia Bociąg jest sekretarzem Nagrody Szymborskiej. Ninę Manel i Kingę Skwirę obserwuję w mediach społecznościowych. Natomiast Anouk Herman chwilę przed tym, jak zapadła decyzja o tegorocznej nagrodzie, wydało powieść *Nigdy nie będziesz szło samo*. Tego jeszcze nie czytałem.

KSM: Oczywiście, że zastanawiam się, który z nominowanych przez nas debiutantów będzie się rozwijał poetycko czy w ogóle literacko. Dotyczy to zresztą również autorów i autorek, których twórczość poznałam dzięki pracy w kapitule, nie tylko tych wyróżnionych. Ucieszyłam się na przykład, kiedy swój drugi tom wydał Patryk Kosenda, debiutujący w 2019 zbiorem *Robodramy w zieleniakach*. Odczuwam też rodzaj satysfakcji, jeśli zauważeni przez nas poeci i poetki otrzymują kolejne nagrody czy pojawiają się w różnego rodzaju literackich podsumowaniach roku, choćby u Jakuba Skurtysa.

Natomiast czytając zgłoszone do nagrody tomiki, staram się w ogóle nie zaglądać do recenzji, nie sprawdzać, kim są autorzy, jakie środowiska literackie za nimi stoją. Oczywiście często wystarczy nazwa wydawnictwa czy nazwisko redaktora lub redaktorki, marką samą w sobie jest choćby „Połów” Biura Literackiego, niemniej jednak odtwarzam w sobie stan naiwnej czytelniczki, która własną wrażliwością i wiedzą weryfikuje poziom tekstów. Dopiero kiedy już się wzmocnię w swoich intuicjach i uda mi się wytypować faworytów, podejmuję się małego researchu – poezja bywa językiem bardzo intymnym, więc miło wiedzieć, kto do mnie mówi swoimi wierszami.

Dawid o tym nie wspomniał, ale Nagroda Kazaneckiego ma dla nas – pozwolę sobie powiedzieć o tym w imieniu nas obojga, najwyższej Dawid mi zaprzeczy – również towarzyski, czysto ludzki wymiar. Ja się zwyczajnie cieszę, że mogę poznać te osoby, słuchać tego, co mają do powiedzenia,

że zostają moimi znajomymi na portalu, którego nazwy nie wymienię. Wzbogacają mój świat, więc też siłą rzeczy – tu wracam do Twego pytania – śledzę ich losy.

Właśnie! Ci ludzie robią jakieś niesamowite rzeczy: idąc dalej, Kicińska ma „Pismo”, Kosenda robi Instytut Literatury i tak dalej, Trojanowski na Uniwersytecie Wrocławskim buduje jakieś hiszpańskie rzeczy... Onieśmielające, że tak to ujmę, kariery. Czujecie się wybrańcami, bywalcami łoży w literackim obserwatorium? Albo chociaż uzbrojeni w odwagę, żeby zaproponować zwycięską Anouk Herman do czegoś? Do czego jest czy może być książka *right into pod tramwaj*, czy jej tytuł śmiesz, czy przeraża, czy książka domyka, czy otwiera jakieś historie?

DB: Na pierwszą część Twojego pytania odpowiem: nie, nie i nie, a na drugą: tak, tak, tak, tak! (śmiech) Żadni wybrańcy. Moje miejsce w kapitule jest konsekwencją kilkudziesięciu spotkań z autorkami i autorami – z poetkami i poetami w szczególności – które zorganizowałem i poprowadziłem w Galerii im. Słędzińskich i poza nią. A nasza Nagroda wciąż jest gdzieś na uboczu, więc temat łoży też już mamy z głowy. Może właśnie z tej pozycji, a nie z odwagi – bo nie sądzę, abyśmy wystawiali się tu na jakieś niebezpieczeństwo – wynikają nasze wybory? Chciałbym tak myśleć. Ale prawda jest taka, że kapituła nie ma żadnej spójnej strategii. Te wybory wynikają z indywidualnego doświadczenia poszczególnych jurorów, czyli, mówiąc wprost, z gustu, który jest sumą wcześniejszych lektur każdego z nas. Moje lektury na przykład są dość specyficzne, raczej spoza „głównego nurtu”. Dlatego na pytanie, do czego może być *right into pod tramwaj*, mogę odpowiedzieć z własnej perspektywy. Dla mnie ta książka była poszerzeniem języka, a więc poszerzeniem myślenia. Mocno wniknęła w moje życie prywatne. Dużo o niej mówiłem – znajomym, bliskim – co niemal zawsze stawało się początkiem długiej rozmowy na temat pokolenia, które właśnie wkroczyło w dorosłość i zaczyna wyznaczać rytm całej naszej kulturze – mam na myśli oczywiście pokolenie Z – o ich aspiracjach, wartościach, o tożsamości itd., ale także o tym, jak zmienia się świat albo jak zmienia się jego postrzeganie. Książka jest również napisana językiem, którego nie znałem, językiem pełnym slangu, niezrozumiałych dla mojego pokolenia kodów, przez co musiałem dużo czytać niejako obok tego

tekstu, sprawdzać, szperać. W tym sensie książka otwiera nowe historie. Ale oczywiście nie byłbym tak zaangażowany, gdyby *right into*... zwyczajnie mi się nie podobał. A za każdym razem lektura tych bez mała osiemdziesięciu stron była dla mnie niezwykle emocjonującym doświadczeniem. Bardzo przeżywałem (w tym sensie domknięte) historie osoby mówiącej, uruchamiały one we mnie różne, skrajne emocje – tak więc tytuł, jak i cała książka, jednocześnie śmiesz i przeraża. No i najważniejsze – bo ja mam fetysz ładnych zdań, ja zbieram ładne zdania – frazy Anouk Hermana bardzo mi się podobały. Na przykład: „katowice trzymają się na plecach gołębi: / miasto jako gołębiowy archipelag z okrucichów” albo „masz czadowe zmarszczki pod okiem / zebrany w nich jest brokat świata”.

KSM: Piotrze, ja w łoży... (śmiech). Nie zrobiłabym tego moim robotniczo-chłopskim przodkom, nie dam się wpuścić w maliny wertykalnych hierarchii. Natomiast w perspektywie horyzontalnej – Dawid ma rację, Nagroda Kazaneckiego pozostaje trochę na uboczu, co mogłoby mieć różne konsekwencje. Po pierwsze, prowincjonalizm w tym znaczeniu tego słowa, którego nie lubię, czyli z wpisaniem w tę pozycję imperatywem naśladowania centrum, wsłuchiwanie się w dyktowane przez nie nurty, trendy, rytmy. Ujmując rzecz jeszcze inaczej, jako członkowie kapituły prowincjonalnej nagrody staralibyśmy się trafić w gust opiniotwórczych krytyków, a za swój największy sukces uznalibyśmy zgodność naszego werdyktu z opinią „Warszawy” czy „Krakowa”. Inna możliwa strategia polegałaby na partykularyzmie, czyli chęci zaspokojenia oczekiwań lokalnych twórców i wydawców. Celowo nie używam określenia „środowisko literackie”, gdyż takie, według mnie, obecnie w Białymstoku czy szerzej, na Podlasiu, nie istnieje. Pojedynczy autorzy i autorki to jeszcze nie środowisko, wydaje mi się, że można o nim mówić wtedy, kiedy da się zaobserwować zjawiska wygenerowane dzięki zinstytucjonalizowanym/sformalizowanym interakcjom między poszczególnymi twórcami – pismo, grupa literacka, festiwal, na których najważniejsi nie są przyjezdni itp. Coś w tej materii zaczyna się dziać, ewoluuje „Epea”, dostają zaproszenia na kolejne slamy poetyckie czy turnieje jednego wiersza, zobaczymy... Wracam do tematu: nie jesteśmy zatem (a przynajmniej tak sądzę) jako kapituła ani prowincjonalni, ani partykularni, tylko osobni – jak już powiedział Dawid, każdy z nas przystępuje do obrad z bagażem własnych lektur, doświadczeń, wiedzy. Oczywiście nie wszystkim się

to podoba, na szczęście nasze umowy z Urzędem Miasta nie są dożywotnie (śmiech).

Jeśli chodzi o Anouk Herman, skoro Dawid zaczyna od różnicy pokoleniowej, to co ja mam powiedzieć (śmiech). Mojej lekturze tej książki towarzyszyły dwie emocjonalne tonacje, stanowiące jednocześnie różne perspektywy odbioru. Z jednej strony tkliwość i wzruszenie, kiedy odzywała się we mnie zatroskana „mama”. Pozwolę sobie na cytaty: „mamo mamę tęsknię za tobą i za twoimi rzeczami / które gubiłaś w całym tym tycim jak kociak mieście // twoje zużyte podpaski / pęknięte bransoletki / w obrzydliwym słońcu / w stosach pamięci / po innych matkach / i zanim znikną zupełnie / nikt już nie będzie / o tobie pamiętał (*Tęsknię za mamą*). Mogłabym być adresatką tego wiersza. Z drugiej strony dziecięca radość z odkrywania nowych dla mnie światów, języków... coś bardzo odświeżającego. Anouk mnie po prostu zaskakiwało, jest w tym pisaniu jakiś rodzaj lobuzerii, innej niż zwariowana, choć wbrew pozorom spójna i konsekwentna gra obrazów w *streszczeniu pieśni* Julka Rosińskiego. Nie mam pojęcia, dokąd pędzą te dwa literackie tramwaje, ale myślę, że oba jadą daleko.

Jeśli mowa Herman jest rodzajem lepu, odbiornika unoszących się nad miastem językowych paprochów i byłyby między nimi także okruchy starego eposu, to ten epos opowiada Rosiński. I jest to głos z betonowego kręgu po jakiejś niedokończonej melioracyjnej budowie, która stała się z czasem współbudowniczką cywilizacyjnego krajobrazu, nie?

KSM: Masz rację, to epos, który uległ destrukcji, ale podmiot tych wierszy bynajmniej nie popada z tego powodu w rozpacz, zagubienie czy melancholię, tylko wędruje po tym postsekularnym świecie, kolekcjonując obrazy i łącząc je zgodnie z regułami ich wewnętrznej dynamiki oraz własnej wyobraźni. Wiersz jakiejś pieśni: zaczyna się od słów: „zdjęłaś koszulkę, by pokazać mi miejsce, / w którym nie ma już nikogo: ślady po obozowisku, / wygnieciona trawa, ptaki powtarzają zaszyszany przebój”. Z takich „śladów”, streszczeń, nawiązań do opowieści, które kiedyś scalały rzeczywistość, a dziś już tylko dryfują po jej powierzchni, składa się ten tom.

Z kolei wiersze Jakuba Sęczyka mają charakter interwencyjny, pojawiają się w nich frazy, które mogłyby trafić na transparenty podczas antykapitalistycznego wiecu. Najlepiej czytać je głośno, wybrzmiewa wtedy z całą mocą zawarta w nich energia. Na przeciwległym biegunie sytuuje

się poezja Pawła Stasiewicza. *Oprawa skórzana* to intymna opowieść o ludzkiej podmiotowości, w której wyeksponowane zostały jej cielesne aspekty. Stasiewicz sporządza precyzyjne i drobiazgowo notatki o człowieku, pokazując, jak złożonym i pięknym, nawet w swojej trywialności (czasem autor sprowadza nas do fizjologicznych odruchów), a zarazem kruchym tworem jesteśmy, ile w nas membran różnych emocji, z lękiem na czele. Porusza mnie czułość i bezpretensjonalność, z jaką przygląda się sobie i nam, swoim siostrą i braciom w cielesności.

Jak widzisz, każdy z tych tomów reprezentuje zupełnie inny poetycki idiom – nie ukrywam, że na takiej różnorodności w naszych nominacjach mi zależy.

Dawidzie, a co z miejscami wspólnymi tych książek? Relacjami między nimi?

DB: Nie doszukiwałem się na siłę miejsc wspólnych, wolalbym traktować każdą z tych książek osobno – jako jedyne, niepowtarzalne dzieło. Mogę więc tylko podkreślić ich odrębność. Wyjątkowość tomiku Jakuba Sęczyka polega zatem na jego wyrafinowaniu, na kunszcie, z jakim zrobione są te wiersze, na tym, jak przemyślana jest struktura całej książki. Kasia wspomniała o energii, a jednak mój odbiór tych wierszy był bardzo intelektualny, analityczny. One rzeczywiście są tak napisane, że potężnie zabrzmiały – ktokolwiek by je czytał – na wiecu czy manifestacji (choć słyszeliśmy też, jak potężnie brzmią na spotkaniu autorskim czy – w wykonaniu Katarzyny Siergiej – na gali rozdania Nagrody Kazaneckiego). Widzę i podziwiam, jak Sęczyk to robi. Śledziłem więc sposoby, rygory formalne, konstrukcje – i jak to wszystko współgra z sensem. Poetycka robota, która robi ogromne wrażenie. Natomiast Julek Rosiński przypomniał mi kategorię, której raczej staram się unikać, gdy mówię o literaturze, ale tutaj uparcie się ona napraszała – chodzi o czystą, niemal naiwną czytelniczą przyjemność, o fun z lektury. Oczywiście te teksty też są zrobione, ale zamiast gładzić brodę z podziwem, kiedy jeden obraz bezceremonialnie przechodzi u niego w kolejny, człowiek łapie się za głowę, jak kibic oglądający obłądną akcję na murawie zakończoną nadzwyczajną bramką. U Julka wszystkie piłki ostatecznie trafiają do siatki. Nieprawdopodobny talent. I podarował mi kilka zdań do kolekcji. Na przykład takie: „gdzie każesz płynąć? czy na ostatniej desce // ratunku mam budować miasto?”. Z kolei książka Pawła Stasiewicza jest zupełnie wsobna i to dosłownie. W *oprawie skórzanej*

mnożą się kolejne mikroperspektywy: widoki za zamkniętymi powiekami, smaki i zapachy w jamie ustnej, wyobrażenie wydechu jako wychodzącego z ciała ciepłego ducha, który „stanął podstawą” w płucach, czy na przykład... objawy jelita drażliwego. Pamiętacie film „Interkosmos” z lat 80., w którym bohater grany przez Dennisa Quaida podróżuje małym stateczkiem przez ludzkie ciało? Jest to książka zabawna również dlatego, że autor wciąga czytelnika w różne interaktywne gry: przyłóż palec tu, spójrz tam, zamknij oczy.

Mnie jednak przede wszystkim wprowadzała w kolejne, coraz głębsze stany uważności, w których – z tych niepozornych obrazków, z niewielkiej liczby słów – formowały się nowe światy znaczeń. Serio, lektura każdej z tych książek to całkowicie inne doświadczenie.

Wszystko więc jasne. To znaczy mamy na zbiorowej nieświadomości nowe fałdy. Wielkie dzięki za rozmowę.

DAWID BUJNO

– kierownik Działu Sztuki Współczesnej w Galerii im. Sleńdzińskich, gdzie prowadzi również cykl spotkań „Uwaga! Literatura”, członek Kapituły Nagrody Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego, gitarzysta zespołu Manimal Dissonance.

DR HAB. KATARZYNA SAWICKA-MIERZYŃSKA

– literaturoznawczyni, adiunktka w Zakładzie Literatury XIX wieku i Kultur Regionalnych na Wydziale Filologicznym UwB, przewodnicząca Zespołu Badań Regionalnych, prezeska Fundacji Uniwersytetu w Białymstoku, od ponad dziesięciu lat zasiada w kapitule Nagrody Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego.

PIOTR JANICKI

– ur. w Białymstoku, mieszka w ziołach, śpi w nocach, nosi plecak.



Klaudia Bondar / PLSP w Supraślu

Julian Rosiński

za tych co nie mogą

są dwa wzgórza i dwóch drwali.
gdy jeden je kanapkę, drugi gubi się we mgle.

kiedy trzymają się za dupy, po pustym placu wiosny przejeżdża auto
i anioły brzęcząc obijają się o ściany widnokregu.

mamy tam kanciapę na wszystko. koniki,
pościel w ludzi. jest stół, na który wchodzę,

spojrzeć wam wszystkim głęboko w oczy,
umyć sobie w nich ręce i twarz.



fot. archiwum prywatne autora

JULIAN ROSIŃSKI

– pięćdziesiąt małąp na jednym drzewie. Publikowały, wydały, siedzą.

Jakub Sęczyk

4 wiersze

good night modernizm

pójdziemy z dymem mijając powietrze opór
światła długie jak sennie płomienie gwiazdko
i ciemne które podnosisz do góry jak ręce
powiedz nam proszę jak zarabiasz pieniądze

światła krótkie jak wspólne powietrze opór
pójdziemy z dymem mijając płomienie gwiazdko
posłuchaj proszę jak wyrzucam w górę ręce
ciemne jak grób w którym zarabiam pieniądze

pójdziemy z dymem mijając płomienie gwiazdko
światła długie jak wspólne powietrze opór
jasna jak grób jak wyrzucam w górę ręce
powiedz mi proszę jak zarabiasz pieniądze

światła długie jak mijane powietrze gwiazdko
pójdziemy z dymem jak zaspane płomienie opór
nie mów nam proszę jak podnosisz ręce
wzniosła jak grób w którym zarabiam pieniądze



Wiktoria Wojciulik / PLSP w Supraślu

Pierwszy rozbiór

Srałem na mieście albowiem
rzadko bywam w domu.
Tak to już jest, musisz przyznać.

Myślałem o wierszu plastycznym
jak mordoklejka: twardym z wierzchu,
miękkim w środku;

który rozgryzasz
i obracasz z lękiem
o własne jeszcze zęby?

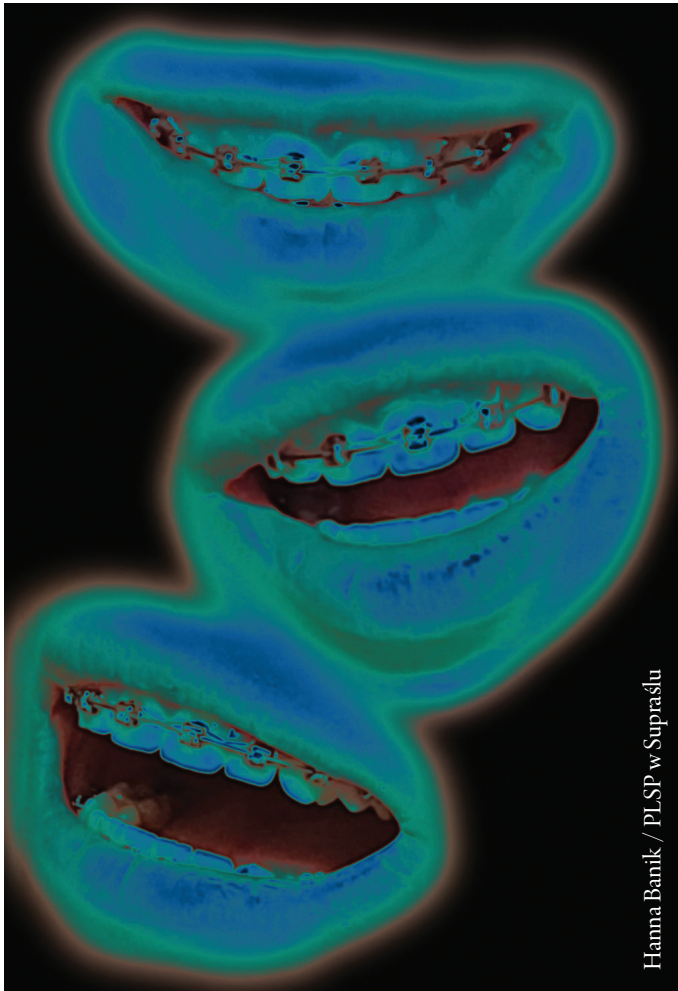
Czy macie tu truskawkowe pianki?

z Jurego Deteli

Zawsze wiedziałem, że truskawkowe pianki
obracasz w ustach jak hosę.

I w tych dniach, gdy byłem
daleko od ciebie, jednakże wiedziałem,

że truskawkowe pianki obracasz w ustach
jak bessę.



Hanna Banik / PLSP w Supraślu

Wata cukrowa

Myślałem o wersach miękkich lepkich jak cukrowa wata
o wszystkich mieszkaniach moich koleżanek i kolegów
że chciałbym jeszcze zrobić prawo jazdy

Myślałem po co ci właściwie wiersze kiedy nie da się
wychodzić z siebie ani wrócić się lub odwiedzić
wszystkich mieszkań moich koleżanek i kolegów

Myślałem o pieniądzach lepkich miękkich jak cukrowa wata

JAKUB SĘCZYK

– (ur. 1993) – teksty poetyckie i krytyczne publikował m.in. w „Odrze”, „Kontencie”, „Stonerze Polskim”, „Nowym Napisie”, „Wizjach”, „Drobiazgach”, „Czasie Literatury”, „biBLiotece” i „Tlenie Literackim”. Debiutował w antologii *Połów. Poetyckie debiuty 2019* (Biuro Literackie, 2020). Laureat Nagrody Specjalnej w XXVI Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Jacka Biereżina i Nagrody Głównej w IV Ogólnopolskim Konkursie na Książkę Literacką „Nowy Dokument Tekstowy”. Redaktor serii poetyckiej Pąd, ponowa, która od 2022 roku ukazuje się w wydawnictwie papierwdole. Autor *Świąt pracy* (Instytut Literatury, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, 2022).



fot. archiwum prywatne autora

Paweł Stasiewicz

6 wierszy z tomu *Oprawa skórzana*

Ruszanie ślinianek

Poruszę twoje ślinianki
napisem: ogórki kiszone

Teraz możesz poślinić palec
i przekreślić stronę na dalsze czytanie

Kciukiem zrób sobie zakładkę
do trzymania na grzbiecie

Resztę ręki weź na spad
i czytaj to co zostało

A teraz zjedz to co widzisz

Zapasy zmartwień

Robię sobie zapasy ze zmartwień
za mamusię za tatusia ostatni widelec

Lubię wyprzedzać przejmowanie
mojego ciała przyszłymi rzeczami

Robi się na początku masa tego
później rzeźba z mięśni do chodzenia

Szuranie kapciami

W nogach jest najwięcej jedzenia
za babcię za dziadka

Zimne tatuaże

Przeziębilem sobie kolana
od lodówek w dużych sklepach
z nabiałami i mięsami
w krótkich spodenkach

Zrobiły się chłodne tatuaże
niebieskie rozmyte wzory
rozmoczone od wyższych
temperatur na łydkach

Cisza wyborcza

Mam w sobie ciszę wyborczą
nie mówią do mnie żadne rzeczy
promocje obniżki dźwięków
figury niemowy marki

Produkty migają tylko

Rozchodzę się miękko w półki

Bo na zewnątrz sklepów
jest duży guzik mute

Wydrukować potwierdzenie?

Kiedy jem to to słyszę

To wtedy kiedy przychodzi stres,
na zmianę biegunka albo zaparcia.
Często towarzyszy im ból, dyskomfort.

Problem wydaje ci się znajomy?
To mogą być objawy jelita drażliwego.
Właśnie dlatego powstał ten wiersz.

Ten wiersz jak plaster chroni
uszkodzoną powierzchnię jelit,
przynosząc ulgę w objawach
związanych z zespołem jelita
drażliwego. Dodatkowo ułatwia
usuwanie gazów, łagodząc
dolegliwości bólowe. Więc
ciesz się swoim życiem na nowo.

Bogato wyposażone wnętrze

Przeczytaj to w głowie
jakimś głosem sławnego aktora
Dzięki temu będę mógł
współpracować z każdą gwiazdą

Popatrz się w to wszystko
najdłużej jak możesz

Tylko patrz
jeszcze trochę

Teraz zamknij
Widzisz?

Masz cały biały wiersz pod powiekami
i znanych ludzi

PAWEŁ STASIEWICZ

– poeta, artysta wizualny. Laureat konkursów poetyckich. W 2022 roku w wydawnictwie papierwdole przy współpracy z KIT Stowarzyszeniem Żywych Poetów ukazała się jego debiutancka książka *Oprawa skórzana*.

Swoje prace pokazywał m. in. w konnektor – Forum für Künste (Niemcy), FOFA Gallery (Kanada), KARST (Wielka Brytania), Roman Susan Gallery (USA), Galerii Szara Kamienica (Kraków), Galerii Sztuki Wozownia (Toruń). Brał udział w festiwalach m. in. w CÓDEC – Festival de Vidéo Y Creaciones Sonoras (Meksyk), Videomedaja – Museum of Contemporary Art of Vojvodina (Serbia), Simultan Festival (Rumania), Gnarl Fest – Lincoln Performing Arts Center (Wielka Brytania), Outer space – Carnegie Museum of Art (Kanada), Biennale Wro 2015 (Wrocław). Zdobywca Szpilman Award 2014 (Berlin). Za film „No signal” otrzymał Minute Trophy Award (Brazylia).

Mieszka i pracuje w Żyrardowie.



Lukasz Kosik

Rok jakiegoś końca

Był to rok zmian rewolucyjnych. Najpierw stary Mocyklarz przestał pić, a dla równowagi pić zaczął młody, chociaż właściwie wzmógł on jedynie działania w tej materii. Był to rok cen benzyny tak niezrozumiałych, że stary Mocyklarz w końcu kupił sobie rower. W ten sposób przechrzył Bednarskiego, właściciela tutejszej stacji paliw, jego wysoko umocowanych kumpli oraz wszystkich ruskich oligarchów. Był to rok niepokojów, exodusów i szatańskiego daru edukacyjnego Falczaka. Był to rok, którego nikt się nie spodziewał. Owszem, nanosił on kilka istotnych poprawek do życia tutejszych, jednak konstytucji wielu odwiecznych prawd nie naruszał. Może poza jednym wyjątkiem, o którym za chwilę. Przed szóstą zero zero drogą od Starych Lachów Wybudowane klekotał stary dostawczak Henryka Wąsa, z zawodu dostawcy. Klekotał z aptekarską dokładnością, ponieważ Henryk Wąs, zanim został dostawcą, chciał być aptekarzem jak jego ojciec Antoni Wąs. Kapitalistyczny tajfun, który nawiedził tę okolicę jakiś czas temu, pokrzyżował mu jednak plany. Jakoś na życie zarabiać trzeba, wzdychał Henryk Wąs i siadał za kierownicą. Jego pojazd, choć leciwy, służył przynajmniej kilku osobom ze wsi jako precyzyjny zegar obwieszczający początek dnia roboczego. Dokładnie o szóstej zero zero wczorajszy nieco Magdziak, syn starego Magdziaka i wnuk jeszcze starszego Magdziaka, taszcząc kosze z pieczywem, kratki z piwem i co tam jeszcze, otwierał swój sklepik, przed którym parkował Wąs. Pierwszą klientką w każdy poniedziałek była Babiuchowa, która o godzinie szóstej zero trzy kupowała bułki, mleko i jedną na cały tydzień drożdżówkę. Kiedyś kupowała też piwo dla starego, ale staremu się zmarło, tak że pozostała przy bułkach. Taniej wychodzi, choć starego szkoda. Życie Babiuchowa jednak nie narzekała i marzyła, że nadejdzie kiedyś taki dzień, kiedy spotka tam wysoko swojego męża. A gdy go spotka, to mu powie, że jak umarł, to właściwie niewiele stracił, bo tu zawsze po staremu, tylko coraz drożej. Wąs ze swoim dostawczakiem był niezbywalnym elementem tutejszego krajobrazu. Kanonicznym niczym kościół, knajpa „Kolorowa” i sklep wielobranżowy „U Wiesia”, którego właścicielem był Wiesław Magdziak, z tych Magdziaków, stąd. Gdyby na jakiś artystyczny plener

zjechało tu tysiąc znanych malarzy realistów, to wszyscy namalowałiby kościół, chałupy, drogę na Chlewiki i Wąsa w dostawczaku. Gdyby to jednak byli malarze z gminnego koła artystów patriotów, to wszyscy malowałiby Wąsa w dostawczaku, bijący z wnętrza „Kolorowej” blask niebiański, a także zmierzających do niej księdza Olszewskiego, Papieża i Piłsudskiego. Tak by to najpewniej wyglądało. Wąs, który większość swojego życia spędził w aucie i „Kolorowej”, często opiewał w swoich mowach zalety takiego stylu życia. Nie był jednak ortodoksem i, usłyszawszy o odważnym zakupie Mocyklarza, nadstawił ucha. A Mocyklarz przekonywał, iż mało co może się równać z rowerem.

– Rower to jest wynalazek wielofunkcyjny, proszę ja was. To jest tak pożyteczne stworzenie, że bez roweru praktycznie ani rusz. Ja wam powiem jedno: rower ma tyle zalet, że aż trudno wymieniać. Każdy to powie. Żona moja, dajmy na to, rowerem do roboty zasuwa, dzieciaki do szkoły. Inni też sobie chwalą, na przykład ci od ekologii, co tu byli ostatnio. Rower nie dymi, nie buczy, a jedzie. I to jak! Z górką od Chlewików, prędkość jak w samochodzie.

Z drugiej strony stołu podrywał się Wąs.

– Ciekawe na przykład, jak ja bym takim rowerem towar dowoził, bardzo ciekawe. Pewnie ci ekologiczni byłiby szczęśliwi, ale ja tego jakoś nie widzę. Nie widzę, a zaznaczam, że wzrok u mnie jeszcze nie najgorszy. I druga sprawa jest taka, że jak człowiek chce sobie czasem do „Kolorowej” zajrzeć, a znam takich wielu, i chce sobie w tej „Kolorowej” piwa się napić, a znam takich bardzo wielu, to po takiej malej przerwie z rowerem trudno jest się dogadać. I niech ci ekologiczni mówią, co chcą, ale w takiej sytuacji sami by poszli na nogach. W takich życiowych momentach rower nie zdaje egzaminu.

– E tam. – Machał ręką Mocyklarz. – Rower jest wynalazkiem niedocenionym, a w obecnych czasach to już w ogóle. I nie ma, że nie działa, a po za tym rowery były zawsze z ludźmi. W każdej epoce były, tylko się o tym głośno nie mówi. Z różnych źródeł wiadomo mi jednak, że stoją za tym producenci benzyny z Bednarskim i ruskimi na czele.

Sprawa pozostawała nierozstrzygnięta i każdy swoje zdanie zabrał ze sobą. Tak tu się sprawy miały. Powoli od zachodu ciągnął zmierzch, rozkładając się i moszcząc wygodnie po okolicy. Papierosowy dym niósł się od chałupy do chałupy. Jeszcze ktoś krzyknął, jeszcze psa zawołał i powoli cichło, aż uczciwa noc opadła na wszystko dookoła. A przed szóstą znajomy klekot ogłaszał, że sprawy swój obrót przyjmują na nowo. Oznaki życia powracały, nakręcając niezmordowany w swej sile rytm codzienności. Zresztą okolica pełna była podobnych powtarzalności.

Patrząc z pobliskich pagórków – chałupa po prawej, główna kwatera Banclów, specjalistów od tutejszości i trwania. Niechętnie witali oni zmiany w swoim życiu, polegali na sprawdzonych wzorcach. Systemy się zmieniały, historia zataczała koło, a Banclę pod sklepem Magdziaka trwali. Nie było takiej siły, żeby ich stamtąd zabrała. Socjalizm nie dał rady i kapitalizm nie dał rady. Bez szans.

Chałupa na wprost – Zawada. Profesor, a ściślej: były profesor, a jeszcze bliżej gdyby podejść, to co on za profesor, dzieciaki go tak nazwały, jak muzyki uczył w pobliskiej szkole. Historia życia Zawady niełatwa i życiowych zakrętów tutaj bez liku. Dużo by gadać.

Miejscowy folklor żył w ludziach i tradycji. Jak dom – to na pokolenia, jak samochód – to taniej się nie da, a jak płot – to krzywy. Jakoś tak zawsze wyszło, a potem nikomu nie chciało się poprawiać. A poza tym, kto tam widział się płotem przejmować. Widział kto prosty płot? Nikt nie widział, nawet najstarszy we wsi Bednarz Józef, który pamiętał świat bez telefonu, też kręcił głową. Inna sprawa, że młodzi w zdanie Bednarza Józefa i tak nie wierzyli. Świat bez telefonu nigdy nie istniał. Różne dziwy chodzą po świecie, ale prostych płotów nie ma. Jak obejście – to w artystycznym nieładzie, czyli porządnie i po gospodarsku, choć na ten moment w restrukturyzacji. A jak ma być w obejściu, jak nie tak. Za ojców tak było, za dziadów i pradziadów też tak było (może poza audi). Ryzykownie, ale można uznać, że za królów Piastów też tak było (może poza audi). Ławeczka pod sklepem, psy hauczące swe smutne psie melodie, knajpa, kościół, wesela i pogrzeby. Droga wydeptana przyzwyczajeniem, sobotnie melancholie i poniedziałkowe godzenie ze światem. Wszystko płynęło tu swoim rytmem i sprzęgało w wielki obraz harmonii i piękna. Stan taki miejscowi tłumaczyli patriotyzmem i przywiązaniem do ziemi. A płot, że troszeczkę krzywizny, to od razu wielkie mi rzeczy. A czy on na jaką międzynarodową wystawę płotów

stawiany? No raczej nie. Kilka tu chałup też nie na wystawę, a stoją. I będzie tu jeden czy drugi cmokał pod nosem. Wydawać by się mogło, iż wszystkie prace nad tym krajobrazem już zakończone, a Bóg może teraz kapkę odpocząć. Widok tu piękny niczym obrazy starych mistrzów i gładki jak tafla jeziora w bezwietrzną noc.

Rzecz byłaby jednak niepełna, gdybyśmy nie wspomnieli o jednej chałupie pod lasem. Obejście eleganckie, trawka przystrzyżona, gratów brak. Dookoła niemal prowokacyjnie. Ano właśnie. Patrzcie, ludzie, na Falczaka. Wyszedł przed chałupę i zapala papierosa. Falczak to jest figura. I co ciekawsze, figura nieoczywista. Niby kanciasta, a jednak nie aż tak. Niby palto stare, ale krawat na miejscu. Niby fryzura w niepokoju, a wąsik równiutki. Idealnie równiutki. Przenikalność cech mocno odległych w osobie Falczaka znalazła pewną przedziwną harmonię i zgodę. To, co nie pasuje u innych, u niego pasuje w dwójnasób. To, co piękne, belta się w nim z dziadowskim, to, co marne – ze wzniosłym. Wynikiem takich kolizji Falczak nie jest ani wysoki, ani niski, ani gruby, ani chudy. Niby elegancki, a jednak jakiś wymięty. Niby miły, a jak warknie czasem, to... Dziwota i niewiadota. Towarzyski, a w „Kolorowej” siedzi bez słowa. Owszem, był czas, kiedy Falczak swoje zdanie miał. Potrafił perorować godzinami o tym, dlaczego nie popiera partii rządzącej i czego im życzy. Ale to było w zeszłym roku, a teraz czasy inne niż wszystkie. Z Falczaka powietrze uchodziło powoli, aż w końcu popadł w zadumę i melancholijne frazy. Machnął ręką na sprawy doczesne i zamknął się we własnych przemyśleniach. No, może niezupełnie, bo jak go czasem minister albo prezes jaki ważny wnerwia, to potrafi się słowem odwinąć. Wąsowi, Zawadzie, a i samemu panu Bogu czasem w pięty poszło. Teraz jednak przyszły dni ponure i Falczak przestał nawet bywać. W „Kolorowej” go mniej, a ostatnio w ogóle. Im bardziej smutniał, tym bardziej czuł. Im bardziej czuł, tym bardziej smutniał. Bierz się w garść, tak mówili. Auto kup nowsze, jablonkę posadź, tak radzili, a Falczak nic. Chodził przygarbiony, gapił się w sufit, dni przestał liczyć. Toasty smutne wznosił i tak ogólnie jakby go mniej z każdym dniem było.

– Ty nam mów jak na spowiedzi – żądał kategorycznie Zawada – o co tobie się rozchodzi.

– Właśnie – drażył tą samą ścieżką Wąs – o co tobie się rozchodzi.

– Co ci się przestało podobać?

– Właśnie, co ci się przestało podobać.

– Mieciu, my do ciebie jak do swojego, jak do brata, ale ty nam chociaż słowo odpowiedz. Daj nam argument jakiś, bo ja wiem.

– Jaki tam argument. – Machał ręką Falczak.

– Mieciu, ja swoje wiem – mówił Mocyklarz. – Jak kto nietowarzystki, to od małego taki, a ty przecież od zawsze między ludźmi. Jak ktoś niepijący, no to trudno się mówi, ale u ciebie takie objawy nigdy nie wystąpiły. Odkąd pamiętam, to nigdy. Dobrze mówię, Stasiu?

– Dobrze – potwierdzał Wąs.

– No to co za choroba cię toczy?

– Jaka tam choroba. – Machał ręką Falczak.

– No to co?

– Eee.

Falczak chadzał własnymi ścieżkami i był czas, kiedy miał mnóstwo pomysłów na wszystko. Tutejsi do dziś pamiętają, jak któreś wiosny zainstalował we wsi urządzenie do przepowiadania pogody. Niestety burza, która przyszła następnej nocy, zniszczyła je dokumentnie. Falczak zaprojektował też multiotwieracz do piwa, za pomocą którego można było otworzyć dziesięć butelek naraz. Wynalazkiem zainteresowali się Bancele, ale prototyp zgubili. Żona Falczaka, Marianna z domu Kamyk, często wyjeżdżała do swojej siostry do Krakowa, co dawało Falczakowi dużo swobody we wdrażaniu swych dziwacznych projektów. W fazie testów pozostawała latająca maszyna ułatwiająca obsiew oraz urządzenie produkujące kocie żarcie. Urządzenie testować miał Filut, kot Falczaków, choć nie palił się do tej roboty. Filut zresztą też był wariat. A to się wdrapał na drzewo tylko po to, żeby zrobić sobie zdjęcie ze strażakami, a to udawał ptaka, żeby wyostrzyć swój zmysł łowiecki. Ludzie mówili, że to on wymyśla te wszystkie falczakowe wynalazki. Mogło być w tym sporo prawdy.

Dzień się nie zapowiadał. Niedziela jak niedziela, ma swój niepowtarzalny, oleisty rytm, ma swoje rytuały i ma swoje prawa. W „Kolorowej” gęsto, dzwony biją na dwunastą.

– Panowie, sprawa jest prosta – zaczął Mocyklarz i bachnął kuflem. – Mietek zwiariował. Trzeba ratunku, bo chłop zmarnieje na amen.

– Ale co robić – pytał Zawada – co tu zrobić?

– Bierzemy butelkę i idziemy. Wchodzimy jakby nigdy nic i nie wychodzimy, dopóki nie powie, co go gnębi. Nie wychodzimy i koniec.

– Jedna butelka to za mało.



Maja Wróbel / PLSP w Supraślu

– To się zobaczy.

Poszli. Elegancy, odświętni, niedzielni. Nie żeby spytać, co slychać, nie żeby obgadać sprawy. Poszli, żeby się rozmówić, a to jest ranga spraw najwyższych. Mocyklarz, Wąs i Zawada. Wyszli z „Kolorowej”, minęli kościół, sklep wielobranżowy i poszli prosto do chałupy Falczaka.

Był to rok rzeczy ponurych i kolorów w odcieniach szarości. Był to też rok obfitujący w niezapowiedziane zwroty akcji, które nadciągały nad okolice niczym gwałtowne, wiosenne burze. Nagle i bez uzgodnienia z ustalonym rytmem życia. No bo jak inaczej opisać to, co zrobił tej właśnie niedzieli Falczak? Czy w niedzielę w ogóle może się zdarzyć cokolwiek nadzwyczajnego? Otóż może. Kiedy oficjalna delegacja zbliżyła się do chałupy Falczaków, ujrzała taki oto widok: Falczak, paląc papierosa, przybijał coś obok drzwi

wejściowych. Kiedy skończył, popatrzył chwilę, zrobił dwa kroki do tyłu, a oczom zebranych ukazała się niewielka tabliczka z napisem: „Szkoła podstawowa dla psów i kotów imienia Mieczysława Falczaka”.

W milczeniu weszli do środka. Gospodarz wolnym krokiem podszedł do kuchennego stołu, odczekał w ciszy teatralną chwilę i usiadł. Przysunął krzesło do stołu, nadal teatralnie milcząc, i spojrzał przed siebie. Wyglądał, jakby zasiadał do fortepianu, na którym miał zagrać jakiś podniosły koncert. Nie zaczął jednak grać, tylko otworzył sobie piwo. Pił powoli i w końcu spojrzał na pozostałych.

– Panowie, nasz gatunek nie zasługuje już na jakąkolwiek uwagę. Głupota ludzka przestała mnie już dziwić. Jak tak dalej pójdzie, nie czeka nas żadna przyszłość i ja się pod tym nie podpisuję. Porzucam świat ludzi i zamierzam rozmawiać tylko ze zwierzętami. One przynajmniej zasługują na szacunek, a niektóre kwestie rozumieją lepiej niż my. Zwierzęta są lepsze od ludzi.

Ponownie nastąpiła cisza. Mocyklarz nie wiedział, co powiedzieć, Wąs zastanawiał się, co powiedzieć, a Zawadę zatkało.

– Ot wymyślił – odezwał się w końcu któryś.



Maja Wróbel / PLSP w Supraślu

Falczak spojrzał w okno i ciągnął dalej:

– Nie chce mi się gadać z ludźmi, bo ludzie nie słuchają. Zwierzęta zawsze słuchają. Nie chce mi się patrzeć w telewizor i nie chce mi się oglądać tego wszystkiego.

Włączony telewizor stojący obok pokazywał właśnie defiladę wojsk, ale nikt nie zwracał na to uwagi.

– Mieczu, czy tobie z piątą klepką wszystko dobrze?

– Wszystko dobrze. Ja po prostu nie rozumiem tego świata, nie rozumiem ludzi. Patrzcie, co się na świecie wyrabia. Po co to wszystko, ja się pytam, po jaką cholere to wszystko?

– Mietek, jak tobie filozoficzne pytania chodzą po głowie, to nic złego, a światem się nie przejmuj, zawsze był głupi.

– Wiem, że był. Świat ludzi zawsze był głupi. Spróbuj przekonać tego czy tamtego, że ekonomia, że planeta, kto tego słucha?

– I co teraz? Usiądziesz i będziesz uczył Filuta tabliczki mnożenia?

– A czym to się różni od, powiedzmy, koszenia trawnika?

Popołudniowe słońce właśnie zajrzało przez małe, kuchenne okno i padło prosto na śpiącego na sąsiednim parapiecie kota. Otworzył na chwilę oko, po czym je zamknął i wrócił do drzemki.

– Dobrze, to może ja Brutusa zapiszę do twojej szkoły – rzucił Wąs. – Od kiedy ruszasz?

– Od następnego tygodnia. Proszę bardzo. W poniedziałki zajęcia z szermierki oraz sztuka barokowa osiemnastego wieku. We wtorki wykład z prawa międzynarodowego, podstawy algebry oraz musztra.

Mocyklarz potarł spocone czoło. Pozostali również.

Minęło kilka dni bez większych spraw. Życie toczyło się swoimi koleinami. Wąs klekotał swoim dostawczakiem, Bednarski po raz kolejny podniósł ceny na swojej

stacji paliw, a Mocyklarz tryumfował, bo wcześniej założył się z Wąsem, że tak właśnie będzie. W „Kolorowej” rozgorzał spór o to, czy pan Bóg napilby się tutejszego piwa, czy nie. Falczaka ani widu, ani slychu. Raz ktoś go widział, jak stał przed chałupą i palił, to tyle. Wszystko niby po staremu, chociaż po wsi jakby mniej psów się kręciło. Koty też poznikały. Nawet Bance zauważyli.

– Panowie, idziemy sprawdzić, co u Miecia. Powiem wam, że trochę zaczynam się martwić, czy wszystko u niego dobrze – zapowiedział Mocyklarz, kończąc piwo.

Z daleka wyglądało, jakby nikogo w chałupie Falczaków nie było. Zawada zapukał do drzwi. Nic. Cisza. Dalej nic, i dalej cisza. Zapukał ponownie i wtedy usłyszeli głos dobiegający z wnętrza chaty. Podeszli do uchylonego okna i zajrzeli do wewnątrz. Na środku niedużego pokoju siedział Falczak, a przed nim wszystkie okoliczne psy i koty. W pierwszym rzędzie oczywiście Filut, potem Brutus od Wąsów, Ambaras od Zawady i kotka Zosia od Toczków. Dalej Bella od Telegów, pies o wdzięcznym imieniu Wiosna od Heców i Motek z Polą od Fedorowiczów. Przyszedł nawet Krzyżyk, pies od księdza Olszewskiego. Falczak kończył właśnie wykład o nowym bałaganie światowym i płynnie przechodził do następnych zajęć:

– A teraz, moi drodzy, przeciwiczymy jeszcze raz elementy kroku paradnego. Ustawiamy się w cztery szeregi. Proszę bardzo.

Mocyklarz wiele w życiu widział, a jeszcze więcej slyszal, ale takie coś? Co ludzie powiedzą?

– Panowie, wracamy do „Kolorowej”. Trzeba się narażać – szepnął do pozostałych.

Wrócili w ciszy.

Tu trzeba było działań nieszablonowych. Tu potrzeba było kroków radykalnych. „Kolorowa” huczała od pomysłów. Podnoszono pytania fundamentalne. Czy tak można? Czy to zgodne z tradycją? Czy po bożemu? Pytania te jednak zawiślały w gęstej atmosferze bez konkretnych odpowiedzi. I w momencie, gdy ustalono już, że nie ma zgody na takie rzeczy we wsi, drzwi do „Kolorowej” otworzyły się gwałtownie i oto tłumowi gapiów ukazał się widok co najmniej osobliwy. Otóż do środka wszedł sprężystym krokiem defiladowym Filut. Zatrzymał się na środku, zasalutowował i rozłożył w łapkach małą karteczkę.

– W dniu jutrzejszym odbędzie się wielka defilada. Zapraszamy wszystkich mieszkańców. Po defiladzie wykład profesora Falczaka zatytułowany „Jeszcze głupszy światowy ład”. Na sam koniec przewidziano skromny poczęstunek.

Złożył karteczkę, ponownie zasalutowował i tym samym wojskowym krokiem wymaszerował z „Kolorowej”.

Był to rok dziwów i cudowności. Do dziś wszyscy we wsi zarzekają się, że tak właśnie było. Mimo że gdyby rozejrzeć się po okolicy, to zmian wielkich nie zobaczysz. Płoty poetycznie krzywe, Wąs w swoim dostawczaku, Bednarski znów podnosi ceny benzyny. Legenda krąży, pęcznieje i rośnie. Niektórzy mówią, że to nie Filut, tylko Falczak przyszedł wtedy do „Kolorowej”, a szkołę dla zwierząt sam sobie wymyślił. Tak czy tak, większość tutejszych przysięgać może na wszystko, że jednak nie Falczak, tylko Filut i nic tu nie jest zmyślane. Przyszedł, przeczytał i poszedł. Jak na defiladzie. Był to rok jakiegoś końca i jakiegoś początku. Był to rok, w który nikt nam w przyszłości nie uwierzy.

ŁUKASZ KOSIK

– autor wielu niespisanych tekstów i fraz, wygłoszonych, lecz zapomnianych, oraz hodowca słów nieistniejących. Zna biegle dwa języki – psi oraz koci. Kontestator rannego wstawania. Dziaders, który uważa, że słowo „prawda” jednak istnieje. Mało dynamiczny obserwator trendów obecnych.



foto: prywatne archiwum autora

Mira Łuksza

Filip w fasoli

Nie poznał Filip własnego zagonu w rodzinnej wsi. Choć ziemi on nie zapomniał.

Filip z wioski M. w gminie Gródek raz po raz przyjeżdża na ojcowiznę, chociaż od dawna już mieszka w Białymstoku. Jego starym rodzicom, Koli i Nadzi, bardzo długo ani przez myśl nie przeszło, żeby zdawać gospodarstwo, chociaż zaczęło już im ciążyć. Ale oni ciągle pracują i w dodatku chcą jeszcze obrabiać działki sąsiadów – tu, na urodzajnej ziemi posiali ogórki, fasolę, poletko owsa, tam będzie rzepa. . . Stary, postępując, wchodzi na traktor, a Nadzia toczy się tuż za nim. Nawet tam wciąga swoje bujne, choć już nie tak mocne jak kiedyś ciało. Rok temu Nadzia niefortunnie spadła z traktora i połamała nogę. Kola wtedy zupełnie podupadł na siłach. Gdyby nie pomoc Filipa i jego znajomego (który zresztą wysoko wycenił swoją przyjacielską przysługę), na pewno nie udałoby się wszystkiego zebrać z pola.

Wtedy dopiero pomyśleli staruszkowie, żeby rzucić to wszystko i w końcu odpocząć. Ale cóż począć! Kiedy tylko przygrzeje wiosenne słońce, w powietrzu rozejdzie się znajomy zapach świeżej ziemi i gnoju, a gdzieś wysoko zadźwięczy skowronek, Kola Pieczkur ożywa: biega po podwórku, jeździ tu i tam, załatwia gospodarcze sprawy, orze. . . Aż serce boli, kiedy widzi, ile dobrej ziemi się marnuje! I znowu nabierze ziemi, a nawet nieproszony robi to, do czego nikt się nie chce przyznać: oczyszcza dawno zapomniane poletka. Inni mieszkańcy przyglądają się tylko i szepczą na ławeczkach: na co Pieczkurom ta robota, ta ziemia? Te ziemniaki, pszenica, żyto, owies, te hektary jęczmienia, buraków, ogórków? Te krowy, owce? Dzieci przecież wszystkie w mieście, mieszkania im rodzice kupili, a teraz jeszcze wnukom ze wsi pełne torby wiozą. A synowa, żona Vasi, i tak teściową „kacapką” nazywa! Torby to prawie pękają, tyle im wszystkiego ciągną. Ciekawe, czy gdyby nie te gościńce, byłoby po co interesować się starymi? Komu to wszystko zostawiać, tę całą gospodarkę? Tylko Filip, kiedy przyjedzie, pracuje jak szalony – wdał się w rodziców. Zamiast jechać dokąś na wczasy – wciąż tylko pole i pole. Taka dobra u Pieczkurów ziemia, ale przecież nikomu niepotrzebna: ani trzem córkom, ani dwóm synom.

Nawet Filip mówi: „Tatku, a po co mi ona? Mam dobrą posadę, awansuję. Tato, mam, oddajcie wszystko, a starczy wam pieniędzy na wygodne życie. Odpoczywajcie. U nas, w mieście, i tak nie byłoby was gdzie wcisnąć, gdybyście się rozchorowali. Mieszkania małe, dzieci dużo. . . Lepiej życie tutaj, w dobrym zdrowiu, oddychajcie świeżym powietrzem. My przecież i tak będziemy was odwiedzać”. I rzeczywiście, dzieci dzwonią, pytają o zdrowie, kiedy tylko matula dłuższy czas nie zjawia się w mieście.

W zeszłym roku w M. zdarzyła się taka historia, że do dziś ją ludzie ze śmiechem wspominają, siedząc wieczorami na ławeczkach. A wszystko przez Filipa i fasolę. Kola zasiał pięć poletek fasolą – trzy swoje i dwa u sąsiadki. Fasola wyrosła bujna, wysoka, z mocnymi strąkami; tu, na byłym torfowisku, wszystko dobrze rośnie. Filip przyjeżdżał, trzy razy pełł tę fasolę, zamocowywał ją na kołkach, podwiązywał – na wszystkich zagonach. Chłopak o wszystko tak dba na gospodarce – nawet ziarenko u niego nie zginie. A przyszedł czas i pracowity syn zebrał plon.

Filip wyrwał fasolę, koleczki równiutko poukładał na miedzy. Złożył wszystko na kupkę i poszedł po worek. Przychodzi, a tam, na zagonie, który tato wydzierżawił od Kowalichi – pustka! Cała fasola zniknęła! Filip przybiegł do domu, trzymając się za głowę. Ależ się zezłościł Mikola! Zrobił się czerwony jak indyk. To stara Kowalowa zabrała, nie inaczej! Pomyliła się czy specjalnie zaczęła, żeby ukraść plon zebrany z jej ogrodu?!

Pieczkur pobiegł do sąsiadki, załomotał w sieniach, walnął pięścią w drzwi. Kowalowa właśnie wysypywała popiół z pieca i tak się wystraszyła, że aż wypuściła z rąk popielnik. A dobry sąsiad jak nie wczepi się w siwy koczek na jej biednej głowie. . .

– Czego ty, Kola, chcesz? Jaka fasola? Przecież twoja fasola stoi na grządkach, cała w zielsku! Nikt go nie wyrwał, aż szkoda było patrzeć. Sama już myślałam, czy by nie wypieścić, ale chwasty wyrosły wyższe ode mnie, to jak tam z laską pójde?! Trzeba było tego swojego Filipa przysłać, a nie mnie teraz za włosy targać! Zaraz pójde do soltysa i każę po policję dzwonić! Ano puszczaj, paskudniku!

A więc to tak! Filip dawno nie widział obu sąsiadek, a i po dwudziestu pięciu latach zapomniał, która z nich to Mańka Kucińska (we wsi mówią na nią „Kowalicha”), a która – Marusia Kowal, Kowalowa.

Kowalicha – szczęśliwa. Jakiś dobry człowiek zajął się jej fasolą: nie tylko dokładnie pełł, podwiązywał, ale nawet pozbiarał. Cóż jej pozostało – wzięła płachtę, zabrała plon

i zaniósł do domu. A fasolę, którą wiosną posiał Kola Pieczkur, zarośniętą lebiodą, perzem, pokrzywami i strach pomyśleć czym jeszcze, ledwo biedny Filip wydarł.

Cała wioska się zbiegła, nawet starsuszkowie o laskach przyczłapali, żeby popatrzeć, jak białostocki pan buszuje po zagonie.

MIRA ŁUKSZA

– poetka, prozaik, dziennikarka, tłumaczka, redaktorka. Urodziła się 9 listopada 1958 r. w Hajnówce. Pochodzi ze wsi Borowe. Ukończyła filologię polską i rosyjską na Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku. Mieszka w Białymstoku. Debiutowała w 1973 r. Od 1985 r. pracuje w tygodniku Białorusinów w Polsce „Niwa”. Członek Białoruskiego Stowarzyszenia Literackiego „Białowieża”, Związku Literatów Białoruskich i Związku Literatów Polskich. Od 1985 r. jest dziennikarką tygodnika Białorusinów w Polsce „Niwa”. Wydała 21 książek: poezji – *Zamowa* (1993), *Jest* (1994), *Wiersze tutejsze* (2003), *Zwierzaczki z tutejszej paczki* (2009), *Pod znakiem Skorpiona* (2011), *Biały stok* (1912), *Podarunki* (2014), *Rodosłów* (2017), *Śpiew drzew* (2017), *Żubr na zebrze* (2018), *Wiersze spod lasu* (2019), *Kroki* (2020), *Pampuszka na podlaskich drózkach* (2023) i prozy – *Dziki ptak wróbel* (1992), *Wyspa* (1994), *Babskie historie* (2001), *Dziewczynka i chmurka* (2006), *Historie z tego świata* (2008), *Życie pozagrobowe i inne* (2013), *Grażynka i Gawron* (2016), *Lalki się nie starzeją* (2023). Laureatka Nagrody Literackiej im. Wiesława Kazaneckiego w 2017 r. Jej teksty były tłumaczone na języki: angielski, rosyjski, ukraiński, czeski, rumuński, portugalski i grecki.



foto prywatne archiwum autorki

Jarosław Rogowski

Chanajki

Chanajki... dzielnica pełna krótkich ulic, niskich płotów i domów z solidnymi okiennicami. To centrum miasta, ale wszystkie trakty toną w błocie, a przy palącym słońcu unoszą tumany kurzu. Enklawa ludzi mrocznych, mocnych lub całkowicie obłąkanych. Lecz jeśli chcesz być kimś, nie mając nic... musisz tu zamieszkać.

Za dwie krowy, chabetę i trzy kwintale pszenicy udało się Lutkowi Ciołków nabyć od chudego Żyda jedną z lepiarek na końcu ulicy Kijowskiej. Cena niewygórowana, ale aby zgromadzić środki potrzebne do barteru, Lutek zapożyczył się u lichwiarza z Siennego Rynku, zwanego Bankierem. Ten natomiast w zastaw zgodził się przyjąć matczyną ikonę, która od pokoleń należała do rodziny. Młody krewki chłopak miał świadomość, że lichwa musi szybko być splacona. Lokalny kredytodawca był człowiekiem nędznej postury, ale pracował dla Cesarza... białostockiego króla złodziei, rzeźmieszków, szulerów i stręczycieli. Lutek, sprowadzając się na Chanajki, skrycie marzył o tym, by stać się jednym z jego ludzi. Dość miał pracy w polu, dojenia krów, mlócenia zboża, oporządzania inwentarza, a wszystko to za michę zupy, siennik w letniej kuchni i dwa gramy machory, ale to tylko wówczas, gdy matce została jakaś finansowa górka.

Lauba, bo takie raczej określenie trafniej pasowało do nowego lokum Ciołka, mimo że nie oferowała zbyt wiele miejsca, od samego początku miała na siebie zarabiać. Lutek potrzebował współlokatora lub współlokatorki, tak aby było na spłatę długu, a i przy okazji do kogo gębę otworzyć albo gdzie ręce wsadzić.

Ogłoszenie należało zostawić w szynkwasiu u Jankiela, który oprócz wyszynku i noclegów świadczył szerokie spektrum usług z biurem matrymonialnym włącznie. Lutek po zawieszeniu swojej jesionki na pordezwałym gwoździu, na który rychło trafić miała zastawiona ikona, czym prędzej udał się do karczmy i ustalił z parchem, że za skutecznie narajonego współlokatora wypłaci przez pół roku dziesiątą część czynszu.

Taki zawarty układ nie był nigdzie spisywany. To była sprawa honorowa. Mimo że nie w głowie młodemu chłopcu z Bacieczek było pracować nad swoim honorem i jego

popularyzacją. Wręcz przeciwnie – chciał go zszargać, splugawić i unurzać w błocie. Wszystko to w konkretnym celu, aby stać się człowiekiem, którego za kilka lat będzie się bać cały Białystok.

Na kandydata nie trzeba było długo czekać. Już następnego dnia do odrapanych drzwi Ciołkowej chaty zastukał młodzieniec w wieku lat dwudziestu, który na twarzy miał kilka bruzd świadczących o jego trudnym na świat przyjsciu. Był to Ziutek Kukielko. Bystry, inteligentny syn owdowiałej zbyt wcześnie kobiety, która całe życie trudniła się posługą na plebanii w Siemiatyczach. Jako berbeciekawy świata niejednokrotnie przysłuchiwał się rozmowom, jakie prowadził ksiądz z organistą, kościelnym czy okolicznym grabarzem. A że byli to ludzie z lokalnego establishmentu, również i jego wiedza poparta wrodzoną inteligencją nabierała niezwykłego jak na wioskowego chłopca poziomu. Ziutek dzięki uprzejmości dobrodzieja i kilku jego znajomych pożerał książki podróżnicze, śledząc z zapartym tchem awanturnicze przygody bohaterów może i rodem z innego świata, ale tak bliskich jego wewnętrznym pragnieniom. Oprócz swojej marzycielskiej pasji młodzieniec pomagał w obejściu kościoła, ciągle jednak pozostając na utrzymaniu swojej matki.

Tuż po dwudziestych urodzinach syna, a było to późną jesienią, Pan powołał do siebie służebnicę jego Filominę i Ziutek bez wsparcia finansowego oraz dachu nad głową musiał rozejrzeć się za nowym.

Tak właśnie los złączył odmiennych mentalnie od siebie prawie rówieśników, którzy jednak mieli wspólny cel... za wszelką cenę odmienić swoje życie. Ta biegunowość spowodowała, że młodzieńcy od pierwszego spotkania przypadli sobie do gustu. Negocjacje czynszowe nie trwały długo i choć w pierwszej wersji Lutek chciał udziałem swojego współlokatora zarówno pokryć połowę lichwy, jak i karczmarzką prowizję, to po chwili wspaniałomyślnie stwierdził, że również i tą kwotą mogą się dzielić.

No tak, tylko z czego było czynić ów podział? Zarówno jeden, jak i drugi nie mieli stałego źródła dochodu. Ciołek, jako że był słusznej postury, a siła fizyczna została mu przekazana w genach, podjął się pracy na Siennym Rynku

przy rozładunku i załadunku towarów legalnej, jak i szemranej wymiany handlowej między białostockimi kupcami a tymi z Wilna czy Kowna. Praca była ciężka i kiepsko płatna, ale widmo windykacji Bankiera nie pozostawiało wyboru. Ziutek, korzystając z wiedzy, jaką nabył w zakrystii i plebanii, znalazł robotę przy ważeniu i katalogowaniu przędzy, która trafiała do farbiarni fabryki w Fastach.

Wieczorami jednak, leżąc na swoich siennikach i paląc śmierdzące papierosy, dzielili się swoimi marzeniami. Obaj w perspektywie czasu nie mieli zamiaru żyć z pracy własnych rąk, no chyba że tą ręką lub dwiema trzeba by kogoś zdzielić po karku czy też niepostrzeżenie wyciągnąć portfel z palta czy jesionki. Obaj wiedzieli, że tylko cieniutka linia dzieli ich od tego, by wkroczyć na drogę przestępstwa. Bycie mieszkańcem Chanajek do tego przecież zobowiązuje.

Po kilku tygodniach niekończących się rozmów w oparach dymu inteligentny Ziutek i silny jak tur Lutek uknuli swój pierwszy przestępczy numer.

Ziutek doskonale zorientowany w roku liturgicznym wiedział, iż nastal czas kołęd, a że podlascy wierni na księdza nie szcędzą, postanowili zrobić napad na młodszego z wikarych ze św. Rocha. Robota prosta, bo styczeń – to dzień krótki, jedyna droga do plebani prowadziła przez lasek obok cmentarza, a wikary na dodatek miał niezwykłą słabość do nalewek, które serwowały w zamian za poświęcenie domostwa jego parafianki.

Klecha, jak tylko zobaczył postać wylaniającą się zza ośnieżonej leszczyny, poczuł niemiły ucisk w żołądku. Jeszcze przez chwilę myślał, że to jakiś zbłąkany pijaczek szukający ustronnego miejsca, by zalać swoje fizjologiczne potrzeby. Ale kiedy usłyszał za sobą skrzeczący głos drugiego bandyty, wiedział, że pomoc może mu tylko łaska pańska. A ta, jak wiadomo, na pstrym koniu jeździ.

Od tego momentu Ziutek i Lutek wręcz z niezwykłą systematycznością łupili swoje ofiary, używając wymyślnych, acz humanitarnych środków zbójczego rzemiosła. Czasami wystarczyło, że Lutek wyprężył swoje mięśnie, a na jego tle Ziutek przedstawił warunki kapitulacji i akcja kończyła się sukcesem. Czasem jednak musiało dojść do rękoczynów, a i czasem sztacheta wypożyczona z plotu stawała się argumentem w negocjacjach.

Kieszonki przyjaciół napelniały się żywą gotówką. Lichwa za dom została spleciona, a młodzieńcy zaczęli wieść życie, o jakim jeszcze pół roku temu marzyli na swoich siennikach. Wszystkie ich nieczne uczynki przypisywane były ludziom Cesarza i to na jakiś czas roztoczyło parasol

ochronny nad młodymi zbirami. Ciołek dawno porzucił fizyczną pracę i całe dnie spędzał w knajpach, wynajdując i obserwując swoje przyszłe ofiary. Kukielko natomiast chadzał dalej do fabryki, bo w jego głowie kielkował plan ambitniejszy.

Od pół roku przyglądał się Ickowi Malzachce, staremu parchowi, który odpowiadał za finanse farbiarni. Jego słabością były młode kobiety i pieniądze, z którymi nie lubił się rozstawać. Młody złodziejczek ustalił, że raz w miesiącu do Icka przyjeżdża robocza delegacja z mińskiej fabryki szyjącej odzież roboczą, a jej uczestnicy przywożą gotówkę, którą omijając system podatków, pokrywają część zobowiązań wobec dostawcy. A jako że każda z delegacji przyjmowana była po królewsku w okolicznej knajpie, to i sama transakcja miała również miejsce na biesiadnym stole. Balanga trwała niekiedy do późna w nocy i nie było już czasu, aby Icek mógł wrócić do fabryki i zdeponować pieniądze w firmowym sejfie. Zabierał je zatem ze sobą do chałupy, co było bardzo ryzykowne, ale niesamowicie go kręciło.

Mieszkańcy lepianki przy ulicy Kijowskiej wiedzieli, że ich drobne rozboje nie mogą trwać wiecznie. Po części zgłaszający się na policję poszkodowani wskazywali na ten sam zbójcki duet. Bardziej jednak niepokojące było to, że ludzie Cesarza rozpoczęli własne śledztwo, które z czasem jak nic doprowadziłoby do amatorów psujących im złodziejską reputację i pozbawiających części dochodów.

Akcja była zapięta na ostatni guzik. Zbliżał się termin przyjazdu delegacji. Malzachka przybył do pracy w odświeżonym ubraniu i w niezwykle dobrym nastroju. Cała reszta potoczyła się zgodnie z planem. Po oględzinach towaru robocza grupa udała się do Joselewicza na tradycyjne obławanie dobrze ubitego interesu. Około północy Icek podniecony i podchmielony opuścił towarzystwo, które w tym akurat momencie zaczęło do swojego stołu zapraszać młode kurewki, które nie przypadkiem porozsiadały się pod ścianami biesiadnej izby. Żyd minął Sienny Rynek i powoli zbliżał się do swojego okazałego domu, kiedy zza drzewa wyskoczył rosły jegomość. Napad miał przypominać te poprzednie... Lutek pręży mięśnie, ewentualnie gromi pięścią. Ziutek dorabia do tego kilka kwiecistych zdań, że niby warto się dzielić, a i tak najważniejsze, że wszyscy rozstają się w dobrym zdrowiu, a po części również w dobrym humorze.

Tym razem stało się jednak inaczej. Wypity alkohol i strach przed konsekwencjami utraty gotówki spowodowały, że finansista, zamiast potulnie oddać przecież i tak

nie swoje pieniądze, ruszył z impetem na o głowę wyższego przeciwnika. Ciołek tak tym faktem był zaskoczony, że pierwszy byk wymierzony pod klatkę piersiową spowodował krótki bezdech i zupełną pustkę w jego głowie. Kamrat przywykły raczej do oratorskich popisów tym razem musiał ruszyć z odsieczą. Szarpanina trwała kilka chwil i, naturalnie, zakończyła się porażką lupionego Żyda. Kiedy Lutek wyciągał z wewnętrznej kieszeni chałata wpół-przytomnego Icka dwa pliki banknotów, stała się rzecz straszna. Urażona duma dragąla, który pierwszy raz został znokautowany, spowodowała, że wyciągnął on myśliwski nóż i nim trzymający w dłoniach kasę Ziutek zareagował, błyszczące ostrze zatopiło się w klatce piersiowej ofiary.

– Lutek, na Boga, coś ty zrobił – rzucił osłupiały kompan. Ale odpowiedziało mu tylko sapanie.

Napad nie miał być tym, czym się stał. Przyjaciele z Chanajek zaplanowali tę kradzież tylko po to, by pokazać Cesarzowi, jakimi są już dojrzałymi przestępcami. Morderstwo jednak niweczyło ich plan. Teraz nie mogli się pojawić w domu Cesarza i z szelmowskimi uśmiechami na twarzach przekazać mu zrabowanych pieniędzy, a startego żydźnię poklepać po ramieniu i na przeprosiny postawić kwartkę najlepszego samogonu. Po kilku chwilach bezsensownej gonitwy myślowej Ziutek zaproponował nowy plan. Muszą kogoś wrobić. . . Kandydatów było kilku. Jeden idiota, bo się nie wylga, drugi pijak, bo nie będzie pamiętał, ale wybór padł na Stacha Borysiuka. Dlaczego? Z przyczyny prostej. Był on nadopiekuńczym bratem przepięknej Violetty. Dziewczyny, w której kochało się pół Chanajek na czele z naszymi zbirami. Ci nawet kiedyś, rywalizując o względy białostockiej Wenus, poczynili swoistego rodzaju zakład. Gdyby któremuś z nich udało się zaciągnąć tę boginię do swojego wyрка, to wyśle w ramach przeprosin drugiemu ich ulubione wino marki „Żółty Kwiat”.

Stach od śmierci rodziców bardzo dbał o swoją siostrę, a pomny tego, że obiecał im na łożu śmierci, iż życie córki ich, a jego pięknej siostry będzie dostatnie, Stach ciągle potrzebował pieniędzy. Jego wybuchowy temperament natomiast często popychał go do rozbojów, którymi zapewniał sobie środki na utrzymanie Violetty. To również czyniło go doskonałym kandydatem, a zarazem przykrywką zbrodni na tle rabunkowym. Uruchomienie planu B polegało zatem na tym, by podrzucić Borysiukowi pliki banknotów, które poplamili baranią krwią, by nie pozostawić cienia wątpliwości, skąd one pochodzą, i uprzejmie donieść samemu Cesarzowi o odnalezionym sprawcy. Jak pomyśleli, tak zrobili.

Kara, która spadła na niewinnego tego akurat czynu chłopca, była okrutna. A jego krnąbrna natura i element zaskoczenia uniemożliwiły mu skuteczną obronę. Borysiuk został osądzony według zasad kodeksu Hammurabiego, a to oznaczało śmierć. Na nic zdały się prośby i lamenty siostry. Jedynym pozytywem jej zabiegów było to, iż urzeczony urodą dziewczyny „król” białostockich złodziejaszków po wykonaniu wyroku nakazał jej, aby zamieszkała w jego domu i stała się towarzyszką oraz powiernicą jego córki Antosi.

Ciołek i Kukielko, korzystając ze swoich pięciu minut, wbili się w struktury lokalnego półświatka i stali się żołnierzami jego cesarskiej mości.

Po dwóch latach z chłopców wyrosli prawdziwi przestępcy, bezwzględni w działaniu i ślepo oddani organizacji. Każdy z nich jednak robił karierę na swój sposób. Lutek był cynglem, nożem, kastetem i pałą, a Ziutek sprytnym malwersantem, oszustem, fałszerzem, no i jak zwykle złooustym negocjatorem. Jedno się nie zmieniło: obaj skrycie kochali Violetkę. A od czasu, gdy dołączyli do świty przybocznej Cesarza, okazji do spotkań z nią, rozmów, prawienia komplementów było bez liku. Obaj jednak wiedzieli, że gdyby dziewczyna знаła prawdę, znenawidziłaby, a i bodaj wydalaby na pewną śmierć.

Im bardziej przyjaciele zbliżali się do swojego szefa, tym bardziej oddalali się od siebie. Każdy chciał się stać prawą ręką Cesarza, a w dalszych, śmielszych planach obaj marzyli, aby stanąć na czele bandy z Chanajek.

Sam szef, widząc, że rywalizacja młodych wilczków jak nic skończy się katastrofą, odesłał Ziutka w teren, by tam dzięki swojemu darowi przekonywania i jego plenipotencji organizował nowe watahy, a Lutka jako tego, którego bardziej się bał, namaścił swoim następcą. O dziwo, wygnaniec nie poczuł się odrzucony. Przeciwnie – sumiennie i z dobrymi wynikami wykonywał swoje zadanie. Poczucie dobrze spełnionego obowiązku, a także zerwane kontakty z Lutkiem dawały mu spokój i satysfakcję. Jedyne co mu doskwierało, to brak możliwości kontaktu z Violetką.

Kolejna zima zabrała podlaskiego Cesarza. Był człowiekiem, który budował struktury swojej organizacji w oparciu o gwałt, grabież, rzadziej morderstwo, ale z zachowaniem pewnych zasad. Jego charyzma i inteligencja pozwoliły mu się otoczyć wieloma cennymi ludźmi, ale nie wszyscy byli mu do końca oddani. Lutek od dawna spiskował z ferajną warszawską i chciał jej zaoferować swoje usługi. Śmierć starego umożliwiła mu realizację planów. Stworzył

szybko kanał przerzutowy, którym skradzione fanty ze stolicy z pominięciem Podlasia trafiały do Petersburga, Wilna czy Moskwy. Przestały interesować go drobne białostockie interesy. Te załatwiał za niego Ziutek, który z prowincji wrócił nad Białą. Wysokość obrotów przygranicznej organizacji przestępczej sięgała zenitu. Felek Wrzeciono zwany Żądłem, król stolicznych przestępców i szabrowników, z podziwem, ale i strachem patrzył na swojego wschodniego kompana. Wiedział, że jeśli nie wchłonie go, nie oblaskawi, to sam stanie się za chwilę ofiarą jego sukcesu. Sprytnym posunięciem zatem okazało się powołanie go na ambasadora – taki tytuł przysługiwał w stolicy osobie zarządzającej szmugłem, handlem i kradzieżami wszelkiej maści towarów, które potem znajdowały nabywców za granicami kraju. Ciołek wiedział, że to fortel starego stołecznego wygi, ale jego pozycja do gry o wszystko była jeszcze za słaba. Musiał zatem zacisnąć zęby, przyjąć propozycję, licząc na powtórkę historii z Białegostoku. Lutek do stolicy miał wyruszyć z całą swoją świtą, której olśniewającą perłą niewątpliwie była Violetta. Odsunięta od swojego drugiego adoratora, przyzwyczajona do luksusowego życia, zaczynająca wchodzić w wiek średni kobieta wydawała się nie sprzeciwiać woli i uwagi przyszłego ambasadora.

Otwierający kolejny rok styczeń pokazał, że finansowo Białystok rządzi. Lutek miał wszystko. A za chwilę miało się ziścić kolejne marzenie: będzie rezydował na warszawskiej Pradze wraz ze swoją miłością.

Dobrze nastrojony, wyprawiwszy uprzednio Violetkę wraz Antosią i ich obstawą do stolicy, postanowił wydać pożegnalne przyjęcie, na którym mieli się bawić żołnierze z Chanajek i wszystkie inne typy spod ciemnej gwiazdy. Przez chwilę nawet pomyślał, że powinien tu również pojawić się Ziutek, dziś odrzucony, ale jeszcze jakiś czas temu prawdziwy przyjaciel. Potem jednak zwyciężył rozsądek i jego obecność wydała mu się zbyt banalna. To przecież on, Lutek, jest białostockim królem.

Bankier, ten, który jeszcze tak wiernie służył poprzedniemu Cesarzowi, nie oszczędzając środków, zwoził na Chanajki francuskie wina i szampany, kawioiry astrachańskie, owoce morza i inne nieznanne lokalnej braci

JAROSŁAW ROGOWSKI

– (1974) – autor opowiadań. Inżynier. Zawodowo związany ze wzornictwem przemysłowym i marketingiem. Zabrzanian, po mieczu białostoczanin. Jego proza właśnie debiutuje na łamach „Epei”.

rzezimieszeków delicje. Oczywiście nie mogło zabraknąć samogonu, suszonych ryb, kiszki ziemniaczanej, kindziuka i innych podlaskich rarytasów. To ostatni fest, ostatni bankiet na cześć nowego ambasadora... Lutka. Zabawa rozpoczęła się tradycyjnie tuż po dwudziestej. Oficjalne, krótkie przemówienie i bach, bach kilkadziesiąt strzałów z butelek szampana, jak i broni palnej rozpoczęło szaloną zabawę. Dziś nie było żadnych zasad. Pił biedny z bogatym, wróg z wrogiem, wszyscy chcieli skorzystać z hojności sponsora. Gdy tłuszcza bawiła się, zagryzając bimber kawioirem i popijając śledzia szampanem, Lutek siedział na swoim eksponowanym miejscu i, delektując siwuchę, odpływał myślami na przemian w przeszłość i przyszłość swojego życia. Wszyscy wokół wiedzieli, że ten melancholijny nastrój szefa nie może być niczym i przez nikogo zmałowany. Temu Bankier trzy razy ruszał, a potem odwracał się i ponownie przelamywał się w stronę Lutka. Wreszcie, zachodząc od tyłu, delikatnie stuknął w ramię zamyślonemu Ciołkowi. Jego alibi to prezent, który umyślny przyniósł przed chwilą, a nadawcą był Ziutek Kukielko, niegdyś przestępczy brat. Lutek zmierzył wzrokiem niezwykłą, wykonaną z drewna dębowego skrzyneczkę na alkohol i mimowolnie uśmiechnął się pod nosem. „Tak pewnie mój stary kamrat chce wrócić do łask”, pomyślał przez chwilę. „Czym mnie tu chce oblaskawić...” Sięgnął po pudelko i, odwlekając niewielki haczyk, otworzył wieczko. Jego wzrok stał się tępy, a dolna warga zaczęła drżeć. W znacznej skrzynce wyścielanej czerwonym aksamitem leżała butelka zwykłego bełta. Tego, który tak chętnie spożywali podczas snucia planów na przyszłość, leżąc na swoich podgniłych siennikach przy ulicy Kijowskiej. „Dobry żart”, pomyślał Bankier, ciągle stojąc za ambasadorem. Lecz ten wiedział, że butelka taniego wina z żółtymi, późnowiosennymi żonkilami na etykiecie to bilecik, na którym bez słów tak wiele zostało zapisane... Wielki Lutek wypuścił butlę z dłoni, wstał i powiódł tępym wzrokiem po Sali, jakby go szukał. Nie było go tu.



foto: prywatne archiwum autora

Radosław Wandzel

Fanaberia

Ostatnio coraz częściej coś łamie mnie w więźbie. Stara już jestem, nie ma się co dziwić. Dachówki się luzują, strych nie taki jak tuż po odbiorze. Nierówno się zrobiło pod sufitem. Na secesyjnej fasadzie gołębie lajno w boniach robi mi za makijaż. Chyba tylko ono trzyma głuchy i splekany tynk. Przechodnie, tam na dole, uwaga! Stara czynszówka jeszcze jakoś ratuje swoją godność, idąc w rustykalność, ale rusztowanie by się jakieś przydało postawić. Siatkę klejem zaciągnąć. Okłady ze styropianu dzierlatce zafundować. E tam! Nie słyszą. Nosy posadzone do tych smarkfleków czy co oni tam macają od rana do wieczora. I to im wibruje! Zupełnie jak mój przechodzony hydrofor. Zresztą ci tam na dole lubią się przeglądać w szybach pawilonów handlowych, nie w stylowo przykurzonych oknach kamienicy. Takiej, co niejedno widziała i ma na poczekaniu niezliczone anegdota. Pikantniejsze niż pokazywane w tych smartoflach. Nie obrażam się. Młodzi starych nie słuchają. Starzy młodych nie dosłyszają. I tak się to kręci już od wieków.

Pamiętam dobrze młode lata. Tynki świeżutkie. Farby błyszczące. Drzwi naoliwione. Szyby dumnie odbijające gorączkowe życie miasta. Komin wyczyszczony przez przystojnego kominiarza. Stałam tak i wabiłam. Studenci wynajmowali. Picie, obmacywanki, cienkie zupki i notatki. W dowolnej kolejności. Sen o wielkości śniłam razem z nimi. Kubatura pęczniała mi z dumy. Młode pary krążyły wokół dzieci i dzieci krążyły wokół mnie. A kiedy czasem który na dupie po schodach zjechał albo wyrznął czołem w kant stołu, to nic. Wszystkie kanty miałam oble. Młoda wszak byłam, nie? Natchnionego pisarza też miałam. W przyplwywie weny pieścił mnie okrągłutkimi zdaniem po ścianach. Piękna aktorka od rana do wieczora ćwiczyła role. Słuchałam z przejęciem, aż mi franki drżały i przepalały się żarówki. Młody piłkarz walił podkręcane strzały od wewnętrznego podwórka. Dreszcze po wieńcach szły. Lubilałam te klapsy. Koty wygrzewały się u mnie na schodach. Przytulalam je ramionami barierek. Ulica była ruchliwa. Moje koty pozostawały jednak nieuchwytnie. Śmiały się zderzakom w twarz. Obsikiwały felgi zaparkowanych gruchotów w ramach zemsty za polowanie na ich dumną rasę. To były czasy. Za czynsz niewysoki przyjmowałam

lokatorów z otwartymi drzwiami i żyliśmy sobie w symbiozie. Moje dzieci. Puszczalam je w świat gotowych i śmiących, bo nawet jakby im co nie wyszło, mieli przytulny kątek, do którego zawsze mogli wrócić.

Przy ulicy Głównej karierę robiłam niemałą i nigdy pokoju pustego nie miałam. No i od absztyfikantów opędzić się nie mogłam. Z obu stron byłam przytulona do wypucowanych na błysk i przystojnych na pięć pięter budynków. Jeden obnosił się ze swoim peerelowskim pragmatyzmem i minimalizmem. Od rana do wieczora pokoje jego urzędów zaprzętały sprawy ważne i ważniejsze. Stosy formularzy i niedogaszane kiepy w popielniczkach przyprawiały go o ustawiczny lęk przed zaproszeniem ognia. Nerwowo był przez to i zgrzany. Ale ja tam wiem, jak było. Ten podwieczorny rumieniec na jego oknach i rynnach to z mojego powodu był. Coś nas łączyło i nie chodzi tu tylko o kanalizację. Od mojej prawej, oddzielony wąską uliczką, stał budynek szkoły muzycznej. Od rana do wieczora wyśpiewywał mi serenady i kazał wygrywać najróżniejsze melodie na moją cześć biednym, Bogu ducha winnym uczniom, których nie wypuszczał na wolność ze swoich sal wcześniej niż o piętnastej. I ciągle się mnie czepiał liniami wysokiego napięcia. Jeżeli coś pomiędzy nami iskrzyło, to tylko z jego strony. Mój projekt nie zakładał żadnej rozbudowy. Zbywałam ich i po cichu wzdychałam przeciągami i dymami z komina do skromnego budynku zakładu włókienniczego, niewadzącemu nikomu po drugiej stronie ulicy. On jednak spoglądał tęsknie w stronę parku, który rozciągał się nieopodal. Nic to. Zawód miłosny niestraszny mi był. Postanowiłam pokochać ludzi. Tych, co we mnie mieszkali, i tych, którzy co rano mijali mnie w drodze do swoich obowiązków. Raczylałam ich zapachami świeżej, palonej kawy, skwierczącej na patelni jajeczniczy albo kwiatów, przystrajających moje parapety. Miałam dla nich ogrom życzliwości. Oni lubili koło mnie przechodzić. No, ja to wiedziałam, jak zadbać o miejscowy koloryt.

Mijały lata. Ulica Główna pozostawała taką tylko z nazwy. Tętno miasta pulsowało już w innych arteriach. Moją ulicę dotknęło niedokrwienie. Zmurszały tynki. Wydeptały się dywany. Tu i tam poodłaziły mi tapety.

Osiadła zachodnia elewacja. Po piwnicy ciągnie pleśnią. Nikt mi już tam prawie nie zagląda. Szkoda. Na dole ciągle jestem wilgotna, tyle że już nie gorąca. Kotłownia nieczynna od kilkunastu lat. Na gaz przerobili. Kiedyś to tu się działo. Dawniej ciągle byłam nagrzana. Teraz to już nie to samo. Zakład włókienniczy wyburzyli. Przestrzeń zagospodarowano parkingiem. Urząd obok mnie nadal zipie. Coraz częściej zdarza mu się mamrotać coś o kafkowskich absurdach i państwie z papieru. Kopertach i kumoterstwie. Wcześniej był ponad to, bo myślał, że mu się podnajmę i mnie zaadaptują na urząd. Jak jego. A takiego wala! Niezależna jestem i dumna. Żadną filią jakiegoś urzędu nie miałam zamiaru zostawać! Szkołę muzyczną znowuż przemianowali na zawodową, bo niby stolarzy i tokarzy trzeba, nie bezrobotnych gitarzystów. Rzępola mi od brzasku frezarki i heble. Trudno, powiedziałam sobie! Starzeję się, to fakt. Zniosę to jednak z godnością. Elegancja i klasa nie znają wieku. Kochać będę do końca moich lokatorów, chociaż pozostało ich ledwie troje. Stara panna, bileterka w kolejach państwowych. Nałogowo pochłania chipsy serowo-cebulowe. Rzadko wietrzy. Wzdycha do seriali, gdzie każdy był już z każdym, połowa miała chociaż raz amnezję, zaś leż nigdy dość. To dla niej mam nieszczelne okna. Puszczą bąki, które przy niedostatecznej wentylacji grozić by mogły wybuchem. Goszczę też nocnego stróża pilnującego placu budowy na drugim końcu miasta. Dla niego trzeszczę podłogami, żeby mógł bezustannie ćwiczyć uwagę i natężyć słuch. Nie chciałabym puścić go nie w formie do pracy. Jeszcze by go zwolnili, gdyby przegapił jakichś złodziejasków. Jest też jeden lump. Ze względu na niego dawno już zrezygnowałam z założenia nowego zamka w tylnych drzwiach. Wkrada się nocą, by przekimnąć do rana w piwnicy. Ogrzewa się przy bojlerze z ciepłą wodą. Kulturalny

człowiek. Zawsze zostawia po sobie porządek. Kilka pokoi mam pustych. Nie powoduje to kompleksów. Mało tego, jako starsza kamienica, zasłużona i dumna z osiągnięć, mogę sobie nawet pozwolić na małą fanaberię. Takie małe, starcze dziwactwo. Na ostatnim piętrze. Drugie drzwi po lewej od klatki schodowej. Specjalne miejsce. Na skutek licznych wprowadzin i wyprowadzin, roztargnienia i bałaganiarstwa wielu moich lokatorów powstał we mnie jeden szczególnie pokój. W odróżnieniu od innych pomieszczeń, które są zwykłymi sypialniami, to jedno, siłą bezwładu przedmiotów, odmiennych wizji wystroju wnętrza i zbiegów okoliczności, stało się sypialnią urządzoną jak salon. Chciałbyś się przespać, tymczasem przyłapujesz się na sączeniu wina przy kolacji. Pokochałbyś się z dziewczyną, ale nie! Przyjmujesz właśnie dawno niewidzianych znajomych. Taki to mój pokój-fanaberia. Zaakceptowałam go i z czasem zaczęłam się nim skrycie chlubić. To osobliwość, która w ostatnich dniach przyniosła mi tyle pozytywnej energii i nadziei na lepsze jutro.

Otóż... Nie dalej jak wczoraj odwiedziły mnie dwie młode dziewczyny. Szukały taniego lokum. Wpadają do mojego pokoju-niespodzianki i jedna staje jak wryta. Rozgląda się, po czym krzyczy: „Och, fuck! Sypialnia urządzona jak salon. Co za wyjebany w kosmos, designerski koncept! Młoda, jedziemy po graty. Wprowadzamy się! Będzie się nam tutaj zajebiście mieszkać”. Pokochałam je od razu. Dwie młode, śliczne, pełne wigoru lesbijki znalazły swój zaciszny zakątek. Takiej pary jeszcze nie miałam. Nawet na starość można poznać coś nowego. Czekam na nie. Mają być po południu. Moje wnuczki. Przy nich na pewno odmłodnieję! A że czasem pobiadole i powspomnam dawne czasy?

Babcie takie już są.

RADOSŁAW WANDZEL

– z wykształcenia polonista, z zamiłowania geek i piłkarz amator. Uczestnik warsztatów literackich Drama Lama, specjalizujący się w tekstach z szeroko pojętej grozy, z naciskiem na dziwność i pejzaż wewnętrzny. Debiutował opowiadaniem *Tam coś jest* w antologii *Krawędzie otchłani*. Jego *Kuźnia biesów* ukazała się w zbiorze *Wszystkie kręgi piekła*. Współpracuje z grupą tworzącą zin „Żar-ptak”. Autor tekstów dla kapeli metalowej Frontier of Existence, pomysłodawca nazwy serii książek science fiction „Artefakty”, wydawanej przez Mag. Cały czas sprawdza wartość swoich tekstów w kolejnych naborach i konkursach. Kolejne publikacje w drodze.



fot. prywatne archiwum autora

Konrad Wojewódzki

Zniknięcie Arlekina

Pewnej nocy Arlekin planował zapaść się pod ziemię.

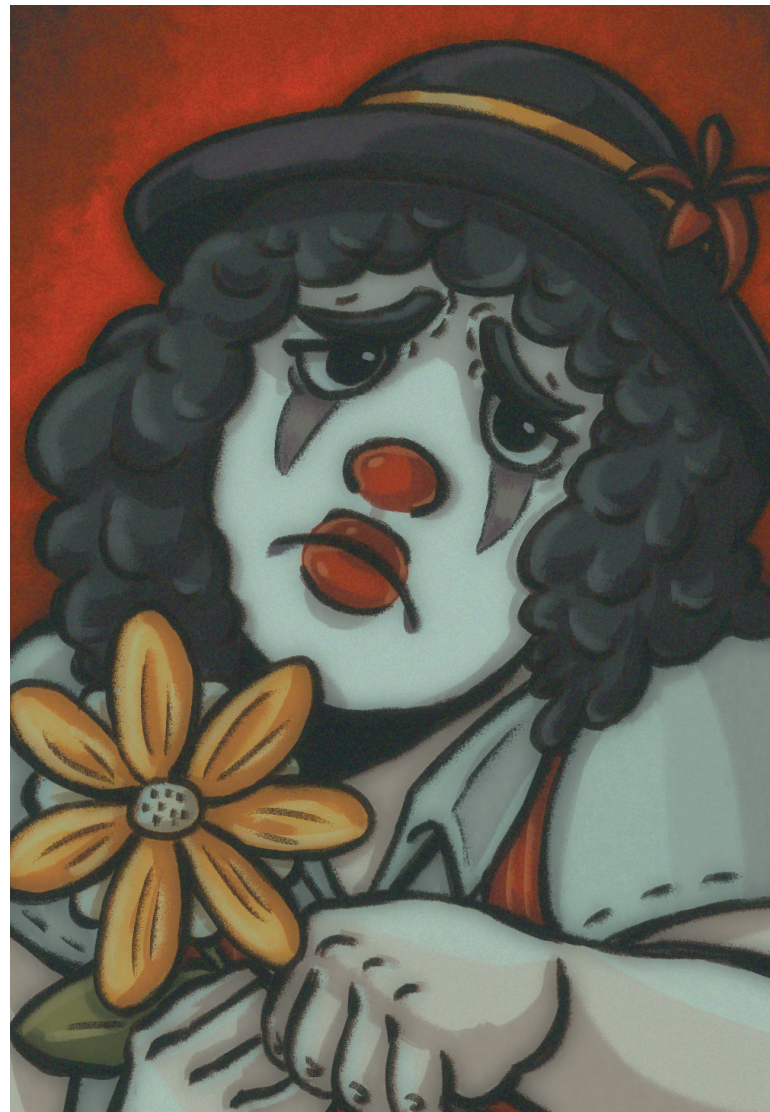
Przy czym, od razu zaznaczę, nie ja miałem być adresem tej sztuczki. Nie doszukiwałem się też jednak – chyba – wyróżnienia w tym, że mnie jako jedyne, nie wskazując wprawdzie konkretnej daty, ostrzegł nieco wcześniej o swoim zamierzonym zniknięciu z Krakowa. Biorąc pod uwagę okoliczności, pewnie po prostu ciężko byłoby mu zwieść mnie czy oszukać, wymknąć się niepostrzeżenie z pokoju, w którym razem mieszkaliśmy. Może i mnie początkowo chciał opuścić śpiącego, nazajutrz pozostawiając za sobą do rozwikłania zagadkę najdziwniejszego zjawiska, na jakie mogłem się natknąć w Krakowie: jego pustego materaca o poranku (przez cały okres wspólnego życia ten człowiek literalnie nigdy nie wstał rano, co w moim przypadku może nieczęsto, ale się zdarzało), widocznie jednak zdawał sobie sprawę z ryzyka niewtajemniczenia mnie, zaś efektu chciał być więcej niż pewny. A może chodziło mu o coś zupełnie innego? Ciężko powiedzieć. W każdym razie jako jedyne spodziewałem się jego zniknięcia, będącego – o czym wówczas jeszcze nie wiedziałem – największym przedsięwzięciem Arlekina w perspektywie długich lat, w kierunku których tej właśnie nocy wyruszał. Może szkoda, może ja właśnie ze wszystkich najbardziej doceniłbym ten kunszt, ten pomysł, fantazję i wykonanie.

Niemniej byłem przygotowany.

„Długo i niedługo”, myślałem wybudzony z płytkiego snu. Leżałem z zamkniętymi powiekami, przysłuchując się krzątaniu kogoś, kto usilnie stara się być absolutnie cicho, ale pewna przyrodzona niezgrabność strzelistej sylwetki niweczy jego wszelkie wysiłki. Kiedy zdałem sobie sprawę, że odkąd zamieszkał w Krakowie, jeszcze nigdy nie wstał tak wcześniej, zachciało mi się śmiać, zdołałem jednak odegnać domagające się ujęcia rozbawienie. Nie miałem zamiaru przeszkadzać, nie otwierałem oczu, udawałem, że śpię. Na powrót sposępniały zastanawiałem się, czemu akurat tej nocy. Noc była pewnie przypadkowa. „Więc do jakiej drogi tak naprawdę się szykujesz?” – to było nieskończenie ważniejsze pytanie.

Pokraczny szmer – budowany z niedoszacowanych czynności; z serii pojedynczych gestów przerywanych

chwilami niezdecydowanego zawieszenia i zbędnego nasłuchiwania oddechów: mojego oraz Pauli śpiącej w pokoju obok; pełen jęknięć ściskanych rzeczy; złośliwych skrzypnięć rozmytej w ciemności materii – już dłuższy czas skrobał nocną ciszę wypełniającą pokój, kiedy w końcu postanowiłem się ujawnić.



Gabriela Mioduszewska / PLSP w Supraślu

– Idziesz? – zapytałem rześkim, spokojnym głosem, nie wyciągnąwszy nawet rąk spod głowy i nie otworzywszy oczu.

– Nie śpisz? – zapytał w odpowiedzi zaskoczony Arlekin, próbując odnaleźć w ciemności kształt mojej twarzy.

– Nie. Więc to dzisiaj? – wyrwało mi się bezsensownie.

Może jakaś część mnie liczyła, że się rozmyśli albo że powód tej krzątaniny jest zupełnie inny. Może coś go boli i szuka leków? W jego przypadku szukanie czegoś przez tak długi czas nie byłoby niczym nierealnym. Ale dzisiejszą ciemność wypełniała inna aura, niecodzienna, naznaczona lekko uchwytnym, ale tak charakterystycznym zapachem toreb podróżnych, zakurzonych i stęchłych, wyciągniętych po długim czasie jałowego bezruchu. Arlekin, widząc, pytanie uznał za retoryczne lub też chciał odpowiedzieć, ale nic nie przychodziło mu do głowy, bo i co miałby mi odpowiedzieć? „Tak”?

– Pożegnasz się z Paulą? – zagadałem więc znowu, tym razem sensownie. – Nie domyślała się, że to będzie już. Tak szybko.

– Nieee... Chcę jej tego zaoszczędzić... .

„Jaki on jest romantyczny”, pomyślałem na polu iro nicznie, na polu naprawdę rozczulony.

– Zaopiekuj się Paulą jeszcze bardziej – dodał.

Zaśmiałem się na te słowa – szczerze, choć nieintencjonalnie mnie rozbawił. Nie pierwszy raz. Podręcznikowy tekst w jego ustach. Cały Arlekin.

– Ale ty to jesteś, kurwa, dupek – odpowiedziałem z szerokim uśmiechem na ustach, wiedząc, że doskonale zdaje sobie z tego sprawę, tylko od czasu do czasu należy mu o tym przypominać.

Zaśmialiśmy się obaj śmiechem, który jednak nie rozładował napięcia. Prawdę powiedziawszy, wywołał efekt odwrotny do zamierzonego. Obaj westchnęliśmy.

– Mówiłem wtedy poważnie, będę cię widział. Będę miał cię na oku.

Usłyszałem jego kolejne westchnięcie, po czym znów zaczął skrobać ciemność szmerami niezgrabnej krzątaniny.

Aż po długim czasie i owe szmery w końcu przepadły. „Skończył”, pomyślałem. Nastąpiła cisza, przywracając ciemności pozór naturalnego wymiaru, nocnego bezruchu, złudzenie zwyczajnego, zastalego spokoju. W samym jej środku tkwiło jednak pulsujące napięcie. Trwało

to wszystko nieznośnie długo – napięcie, mrok i zawieszona w nim cisza. Zwlekaliśmy, bo za tym momentem – nie miałem już wątpliwości – definitywnie rozciągał się koniec.

– To... do zobaczenia... kiedyś... – Usłyszałem w ciemności głos Arlekina.

Wstałem z łóżka i podszedłem do niego.

– Wracasz?

– Myślę, że daleko dalej niż tam, skąd przyszedłem.

Chciałem wyluskać z ciemności jego spojrzenie, licząc, że może w oczach znajdę jakąś podpowiedź, na szybko próbując zrozumieć te dziwne słowa. Nie wychwyciwszy w pełni ich właściwego sensu albo zadowolony się wówczas najprostszą interpretacją, poddałem się wreszcie, zachowując je w pamięci na przyszłość.

– W takim razie... – „...skoro podjąłeś taką decyzję...”, dodałem w myślach – ...do zobaczenia następnym razem – powiedziałem, po czym wzięliśmy się w niedźwiedzi uścisk.

Nie pamiętam, czy uścisk był długi, czy krótki. Czy Arlekin był pewny w tamtym momencie i spokojnie poddawał się swojemu wyrokowi, czy też zniecierpliwiony pragnął wreszcie wyruszyć w daleką, powrotną drogę, skoro już podjął decyzję wieńczącą – mogę się założyć – długą, nużącą, wewnętrzną walkę pełną oporów i wątpliwości. Wziął z podłogi swoje rzeczy, przechodząc przez drzwi, odwrócił się raz jeszcze, rzucił „do zobaczenia” i zniknął po paru krokach. Pochłonęła go noc – najciemniejsza, jak zawsze, przed świtem. Dla niego jednak, o czym wówczas nie wiedziałem, prawdziwy świt nadejść miał dopiero lata później.

Poszedłem do pokoju Pauli. Nawet nie wiem, czy w ogóle zajrzał do niej przed wyjściem. Pewnie tak. Wciąż spała, niczego nieświadoma. Patrzyłem na nią i myślałem sobie: zostałem sam. Patrzyłem na nią i myślałem sobie: a ona została ze mną. Obudzi się rano i tak jak zawsze, jak gdyby nigdy nic, przyjdzie się z nami przywitać. Zobaczy opustoszały, dawno wyziębnięty materac Arlekina i od razu zrozumie, że nigdy więcej już go z nami nie będzie. A potem przychodzić będą wszyscy inni. I nic nie rozumiejąc, zaczną dociekać. „Jak to – zniknął? Czemu? Dlaczego? O co chodzi?” – takie z pewnością padną pytania, a ja będę bezradny. Sam je sobie przecież zadaję.

Poszedłem do siebie i usiadłem na łóżku. Dosłownie chwilę potem w czerń nocy zaczął się wsuwać przedświt,

wypełniając pokój szarymi kształtami rzeczy. Wśród nich materac, na którym przez nieskończone przedpołudnia spał Arlekin – do tej granicy zwanej teraz. Z każdym momentem wystrzał się przede mną na podłodze, eksponując swoją nienaturalną pustkę, w jednej chwili pozbawiony całego swojego znaczenia. Nieodwołalnie opuszczona twierdza obronna, dotychczasowy bastion i schron, w którym Arlekin krył się przez długie ostatnie tygodnie, niewysadzony nawet w powietrze przez resztki wojsk wycofujących się w rozsypce, ostatecznie rozgromionych przez odwieczne sprzysiężenie wrogich sił. Materac, a na nim pościel przykryta kocem. Co miałem z tym zrobić? Z jego materacem, z jego pościelą, kocem, jego najbliższymi, osobistymi rzeczami, które postanowił zostawić za sobą, aby nie obciążały go w najtrudniejszej podróży? Wyrzucić? Przekładać

z miejsca na miejsce? Pozbawione kontekstu stały się zbędne, niepotrzebne, będąc najwyżej świadectwem niegdysiejszej obecności Arlekina w tym miejscu, obecności już teraz, w tym momencie, dziwnie abstrakcyjnej, z każdą kolejną minutą coraz bardziej niewiarygodnej.

A więc i on. Najpierw Filip, teraz Arlekin. Najwyżej zniknął któreś nocy z Krakowa, z naszej rzeczywistości. Był jeszcze wczoraj i nie ma go – na dobre – i już literalnie nigdy, tego byłem pewny, nie będziemy mieli okazji współistnieć w codzienności, współtworzyć razem jakiegokolwiek zwykłego dnia.

Co miał na myśli, mówiąc, że wraca „daleko dalej niż tam, skąd przyszedł”? Dokąd? Co go czeka?

Położyłem się na łóżku i długo jeszcze leżałem, bardzo długo leżałem, nim w końcu zasnąłem.



foto: prywatne archiwum autora

KONRAD WOJEWÓDZKI

– lat 32, z zawodu prawnik, przed debiutem literackim. Najmocniej zafascynowany Polską. Mentalnością ludzi, specyfiką regionów i miast, środowiskiem naturalnym, kulturą, a wreszcie historią – nadającą temu wszystkiemu linie zgodnie ze swoim porządkiem. Obserwator i uczestnik przemian. Ciekawy świata – zarówno centrów, jak i bezdroży biegnących jego peryferiami. Warszawiak wychowany na drugim, macoszym brzegu stolicy. Związany z Krakowem, Wrocławiem i Lublinem. Syn, brat, mąż i ojciec. Przyjaciel kilku osób.



Oliwia Wasilewska / PLSP w Supraslu

Wracz

– z tłumaczką powieści Martina Ryšavego, Anną Wanik, rozmawia Piotr Janicki

I.

Piotr Janicki: Ile jest w czeskim słowie *vrač* lekarza, a ile wracania, przywracania. Co też tkwi we współczesnym odpowiedniku *vrača*, dlaczego nie mogłaś tego tytułu zastąpić innym?

Anna Wanik: *Vrač* nie jest czeskim słowem. Autor, Martin Ryšavý, przejął je z rosyjskiego i wprowadził do czeszczyzny. Zdecydowałam się powtórzyć ten zabieg w języku polskim. Oczywiście mamy znachorów i uzdrowicieli, mogłam spróbować to jakoś obejść, ale spodobała mi się gra słów, zaproponowana przez autora, który wydobyl pokrewieństwo między kłamstwem a uzdrawianiem. Współcześni Rosjanie znają czasownik *vrat*, czyli kłamać. Jednak wracz po rosyjsku oznacza lekarza i bliskość tych dwóch słów – lekarza i kłamstwa – w pewnym momencie rzuciła się autorowi w oczy. W języku słowackim, który autor zna, występuje czasownik *vravieť*, czyli mówić, opowiadać. *Wracz* to przede wszystkim książka o sile tkwiącej w akcji opowiadania, zwłaszcza o jej oralnym aspekcie: w wielu przecież przypadkach po przelaniu liter na papier opowieść sporo traci, ulega wyplaszczeniu. Autor bardzo chciał tego uniknąć i z powrotem przywołać tradycję oralną, co widać też w strukturze tego tekstu. Bardzo spodobała mi się też koncepcja uzdrawiania ludzi kłamstwem: przecież dobry opowiadacz lub opowiadaczka często wprowadza słuchaczy i słuchaczki w osłupienie i stan niedowierzania. *Wracz* jest jednym i drugim: uzdrowicielem i kłamcą. Kłamstwo jest jednym z licznych narzędzi, którymi się posługuje, jednak najważniejsza jest dla niego opowieść, dobra historia – to właśnie ona jest kluczowa w procesie uzdrawiania. I nie chodzi tu tylko o relację pacjent–lekarz, ale o prawdziwą, często trudną rozmowę, która ma nas oczyścić.

Otóż okazuje się, że stary rosyjski *vrač* nie do końca oparł się nowożytnej, mechanistycznej koncepcji leczenia, a przeciwnie: zostawił sobie rozpatrywanie leczenia jako misterium związanego nie tylko z „gadaniem” i „bajdurzeniem”, ciągłym więc wracaniem –

nie tak działa wyrocznia? Innymi słowy, wracz byłby nie uzdrowicielem i kłamcą jednocześnie, a uzdrowicielem i uzdrowicielem. Czyli tym, który zamiast podawać miksturę, stoi na bramce lub stawia w bramie (*vrata*). Coś jak polskie: wiara i wierzeje.

I dalej: żeby zmetaforyzować kłamstwo, nie trzeba się przenosić nad Morze Czarne, mając w dodatku pod ręką Havla i jego teatr prześwietlający silnym światłem literatury kłamstwo, np. systemowe. A jednak jesteśmy nie pośród kłamliwych kłamców, a w srodowniku mistyków, wizjonerów, krysznowców, anastazjan itd., w krainie zawałającego się do doliny wiatru i „nie trzeba szukać nowych słów, skoro starsze wystarczą” (s. 8).

Trudno dopasowywać takie określenia jak wyrocznia, znachor czy szaman do ludzi bardziej współczesnych, bo te dawne znaczenia już się gdzieś zatraciły i pozmiały. Myślę, że autorowi bardziej chodzi o wracza, wyprowadzonego od czasownika *vravit*, czyli mówić, i tu znowu dochodzimy do bardzo konkretnego typu kłamstwa. Początkowo wiemy, uzdrowiciele, a nawet zwykli ludzie wypędzali choroby zaklęciami. Wypowiadali słowa, które często były niezrozumiałe, ale miały ściśle określone brzmienie, które należało bardzo starannie odtworzyć, żeby zyskały moc. A więc nie chodzi tu o kłamstwo w sensie oszustwa, ale raczej o zaklanie problemu. Kłamstwo we współczesnym znaczeniu oznacza wprowadzanie w błąd. *Wracz* leczy poprzez opowieść, która jest częściowo prawdą, a częściowo fikcją. Kiedy przyjrzymy się temu, co mówi Gusiew, zobaczymy mitomana, który niby opowiada jakąś przeszłość, ale też trochę przekręca życiorysy ludzi i zdarzenia, które im się przytrafiły na potrzeby opowieści. Czyli wraca do pierwotnego znaczenia kłamstwa. Przecież już Platon pisał o tym, że w sztuce, poezji czy w teatrze widzimy tylko odbicie prawdy, nie mamy dostępu do niej samej; oraz o różnicy, jaka jest między opowiadaczem kłamstwa a opowiadaczem fikcji. W tym miejscu dochodzimy do wyroczni, którą przywołałaś. Mam z nią problem, bo jednak jest ona pewnego rodzaju instytucją i cieszy się powszechnym uznaniem oraz działa w transie.

Tutaj natomiast mamy do czynienia z samozwańczym znachorem, lekarzem ludzkich dusz, reżyserem i zamiataczem ulic, buddystą i tarocistą, ale też z aktorem, który w pewnym momencie swojego życia zrozumiał, że to, co początkowo wydawało mu się możliwe do objęcia przez rozum, teraz mu umknęło. Intelkt jako narzędzie poznania rozczarował Gusiewa. Jest więc skompromitowanym intelektualistą, który sięgnął po ezoterykę, a swoim gadaniem chce zindoktrynować odbiorcę i narzucić mu swój obraz świata, co z kolei wyklucza bajdurzenie czy kłamstwo w złej wierze.

Mówisz o współczesnych znaczeniach, tymczasem narrator ani nie wikła się w dialektykę (to znaczy, nie koryguje kursu pojęciowego), ani nie zmierza do jakichś logicznych założeń pojęć. Nie tylko trudno tu zachować Twoją przytomność tłumaczki, ale i powagę. Czy według Ciebie Gusiew beztrzesko się zabawia czy szykuje wojnę? Skąd, innymi słowy, pomysł na *Wracza* po dziesięciu latach od jego napisania?

Myślę, że Gusiew chce przede wszystkim wyświadczyć się ze swojego życia. Czuje, że się starzeje, widzi, że coraz więcej osób odwraca się od niego lub zwyczajnie umiera. Było kilka momentów, kiedy miałam ochotę go udusić, bo poza rozległą wiedzą o teatrze, sztuce, historii i oczywiście o życiu, to strasznie wnerwiający gość. Ale wróćmy do początku: może cię to zdziwi, ale pierwszą próbkę tłumaczenia zrobiłam w 2013 roku, czyli jakiś rok po czeskim wydaniu, na festiwal Miesiąc Spotkań Autorskich. Pamiętam, że dobrze bawiłam się przy tej pracy, potem prowadziłam spotkanie z M. Ryšavym, który, tak na marginesie, wymyślił też absurdalną koncepcję budowy morza w Czechach i zaczął wprowadzać ją w życie. Innymi słowy: ponad dziesięć lat temu zaproponowałam tę książkę kilku wydawnictwom, ale spotkałam się z odmową i zasadniczo padał ten sam argument: po co nam Czech piszący o Rosji, skoro mamy swoich, polskich specjalistów. Czytelnicy oczekują po literaturze czeskiej Pragi, czeskiego humoru i piwa. Zupełnie przypadkiem trafiłam na wydawnictwo Kolegium Europy Wschodniej, wydające głównie literaturę wschodniosłowiańską, i pomysł wydania *Wracza* bardzo im się spodobał. Potem jednak pojawiła się pandemia i wszystko zastygło, były kolejki do drukarni, a potem przyszła wojna. Sytuacja się skomplikowała, książka trafiła do zamrażarki i jej wydanie stało pod znakiem zapytania. Przez media przetoczyła się dyskusja

o tym, że należy wykasować rosyjską kulturę, nie dawać jej żadnej przestrzeni; w końcu to najeźdźcy i agresorzy, nie zasługują, żeby o nich mówić, a co dopiero promować. Wydawca postanowił jednak wydać książkę. Przyszła z drukarni dokładnie wtedy, kiedy w siedzibie KEW-u, czyli w Zamku w Wojnowicach, odbywało się seminarium translatorskie, którego jakieś trzy czwarte uczestników stanowiły tłumaczki z Ukrainy. Widziałam, jak reagowały niemal fizycznym wstrętem na rosyjską mowę. Na seminarium codziennie prezentowaliśmy pozostałym tłumaczom teksty, nad którymi pracujemy, potem wspólnie omawialiśmy różne zagwozдки i wspólnie je roztrząsaliśmy. Poproszono mnie, żebym przeczytała zebrany fragment *Wracza*. Byłam strasznie spięta, ale na szczęście po kilku zdaniach sala zaczęła się śmiać, bardzo mi wtedy ulżyło.

A Ciebie może zdziwi, że na stronie mojego *Wielkiego słownika rosyjsko-polskiego sto pięćdziesiątej ósmej leży rachunek zań (159 zł), a na tej stronie złożoność nazwiska Gusiewa zaczyna inne, Gus (Jan Hus). Po drodze mamy i gęś. Coś wiesz o tym?*

Tak, to świetny trop! Mamy tu ciekawe nagromadzenie ptactwa. Zobacz, komu dedykowana jest książka – Saszy Utkinowi. Utkin to po rosyjsku kaczką, a Gusiew to gęś. Tak na marginesie, wiele postaci, które autor opisuje w książce, opiera się na postaciach autentycznych; oczywiście mają zmienione personalia. Ale ponieważ Utkin niedawno zmarł, mogę już chyba powiedzieć, że był pierwowzorem Gusiewa, czyli wraczem. Nie wiem do końca, czym kierował się autor, że doszedł od kaczkę do gęsi, ale podejrzewam, że ma na to jakieś wytłumaczenie. Zresztą w tej książce poza słowotokiem Gusiewa była masa innych pułapek. Duża część tej powieści powstała w języku rosyjskim. A więc mamy tu sytuację, w której autor też jest tłumaczem, w dodatku samego siebie. Tłumaczy swoje słowa z rosyjskiego na czeski, zostawia sporo rusycyzmów, żeby podkreślić, że rozmawia z Rosjaninem, potem ja tłumaczę tekst na polski i nagle się okazuje, że w polskim rusycyzmy naturalniej wypadają w innych miejscach niż w czeskim oryginalne, nie mówiąc o tym, że autor zadbał, żeby już w warstwie edytorskiej czytelnika trochę podtopić. Pytałam go nawet, dlaczego bardziej nie uporządkował tekstu, żeby łatwiej się czytało, ale powiedział, że nie pisze po to, żeby komuś się łatwo czytało, tylko wyjdzie tyle stron, ile potrzeba, i ma taką koncepcję na strukturę książki. Bardzo zależało mu, żeby

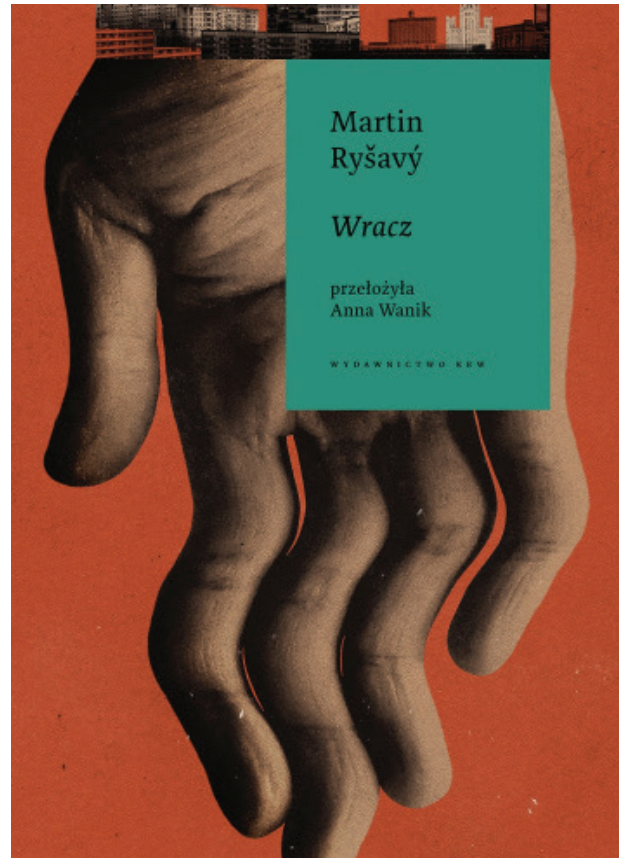
ta proza nie była letnia w odbiorze, i moim zdaniem to się udało, z nadstatkiem.

Ryšavý wypowiada myśl pod jednym z linków, które mi pokazałaś, że dla Utkina teatr stał się czymś szerszym, że go odkrył poza sceną. To nie jest oczywiście nowatorska myśl, jednak ponownie ciekawa. I jeszcze ciekawsza, choć dalej nienowa, gdy odsłonić jej mechanizm, jak to zrobiłaś, mówiąc o rzeczywistym bohaterze opowieści, o nadpisywaniu nie tylko relacji czy łże dziennika, ale samego aktu mowy. Zobacz, że i Ty zostawiasz rosyjskie sjużet...

Pamiętajmy, że książkowy Gusiew jest nie tylko reżyserem, lecz także aktorem. Przecież on nawet w funkcji dyspozytora moskiewskich służb komunalnych odnajduje się jako reżyser, bo rozdziela wszystkim zadania, dalej czuje się, jakby reżyserował, a od czasu do czasu wysłuchuje telefonicznych narzekań różnych petentów, więc też ich trochę pociesza, co zdarzało mu się jako reżyserowi w relacjach z aktorami. Rozmawiając z czeskim gościem, Gusiew staje się aktorem i prezentuje coś w rodzaju monodramu, odgrywa najważniejsze wydarzenia swojego życia. Jest to teatr bardzo kameralny, grany przez jednego aktora dla jednego widza i Gusiew zdaje sobie z tego sprawę. Dlatego *Wracz* to bardzo wdzięczny tekst do przeniesienia na język teatru. Sjużet jako pojęcie zostawiłam, bo funkcjonuje w polskim języku filmu i teatru.

A zatem: trafiamy na rozmowę, odbywa się ona w Gelandżyku, choć zaczęła jeszcze w Moskwie. Nie wiadomo właściwie, o co chodzi, ale uniwersum opowieści doganiane jest przez światło, bo nasz jątrzący narrator znajduje własną opowieść i nie robi tego jako analityk, jak siebie widzi w zamierzchłej pracy reżyserkiej, a intuicjonista, jak – no właśnie, bo kiedy zaczynamy dostrzegać zawiązujące się nici przewodnie, to dzięki wprowadzeniu teatru jako idei, ciągłości ontologicznej ludzkiego życia, pada więc też sakramentalne: umrzeć (na scenie), ale i „ponownie ożyć” (s. 44), a kiedy jest już ta magiczna właściwość wyłożona na ławę, coraz częściej pojawiać się zaczyna Jurij Bgaszew, facet, który przeżył kilkanaście własnych śmierci.

To po pierwsze, a po drugie wracam do myśli sprzed Twojej: ten skomplikowany mechanizm



Martin Ryšavý, *Wracz*, Wydawnictwo KEW, 2022

narracyjny, „wrazowy”, wygląda tak, że naukowiec i człowiek teatru (Ryšavý) posługuje się postacią literacką – związaną wprawdzie w fizyką, potem z teatrem (Gusiew) – której pierwowzorem jest naukowiec i człowiek teatru (Utkin) i tenże Gusiew odkrywa dla swojego mijającego życia metaforę w człowieku teatru (Bgaszew). Czy coś myślę?

Myślę, że trudno tak jednoznacznie wyprowadzić jakieś połączenia, bo jak powiedziałaś, autor wprowadza do książki samego siebie, tylko przez cały czas milczy, ale w powieści jest jeszcze więcej reżyserów i aktorów, którzy odgrywają istotne role w całej historii. Sposób, w jaki Gusiew przedstawia Bgaszewa, bardzo dużo mówi o samym narratore. Wiemy, że była tam ogromna przyjaźń, ale też zwyczajna zawiść i liczne nieporozumienia. I owszem, nagle pojawia się charyzmatyczny i wyrazisty Bgaszew, który wydaje się nadczłowiekiem i zawsze wychodzi cało z problemów i bijatyk. Gusiew go bardzo podziwia. Bliższe były jednak

dla mnie wątki śmierci Gusiewa, bardziej prozaiczne i niezbyt spektakularne, ale pamiętam, że podczas lektury też przywołałam swoje najdawniejsze i zarazem najbardziej wstrząsające wspomnienie z dzieciństwa, sądzę, że każdy z nas takie wspomnienie nosi. A potem, w dorosłym życiu przychodzą nowe śmierci, po których trzeba jakoś wstać i kopać się z życiem dalej.

Wspomniałaś wcześniej kilka różnych ról Gusiewa, także rolę słuchacza, np. zażaleń. Skoro *Wracz realizuje polifonię, o czym cały czas mówimy, to dopuszczasz i tę warstwę, że jest on widzem swojego spektaklu?*

Myszę, że nie tyle widzem, ile reżyserem i świadomym swojego występu aktorem. Widzem jest jego czeski gość, który nawet próbuje kilka razy wyjść z tej roli, przerwać słowotok Gusiewa, zadać pytanie, ale bezskutecznie. Gusiew wie, co chce przekazać, tylko to się dla niego liczy i komfort widza wcale go nie obchodzi. Zależy mu na opowiedzeniu historii, przekazaniu pewnego światopoglądu i czegoś fundamentalnego. A że przy okazji opowiada głupoty, cóż. W wielu czeskich recenzjach można było trafić na porównanie pisarstwa Ryšavego do Hrabala, bo takie skojarzenie łatwo się nasuwa. Jest tu jednak podstawowa różnica: bohaterowie Hrabala są zwykle prostymi, niezbyt wykształconymi ludźmi, a Gusiew jest intelektualistą i człowiekiem teatru. Skompromitowanym i przegranym, ale nic sobie z tego nie robi.

Na czym polega kompromitacja Gusiewa? Czy nie żyje i umiera tak, jak chce? Zgodnie z tym, co wraczy? Odpadł mu, jak go nazwałaś, rozum, a w jego miejscu rozbudziła się umysłowość, to wielkie energetyczne

pole, zwane kiedyś, zwane dziś też duszą. Bliźni, anegdoty, dowcipy, to całe humorum jest mu posłuszną maszyną...

Gusiew na pewno przegrał w znaczeniu społecznym. Można powiedzieć, że na jego przykładzie dobrze widać, co Rosja robi ze swoimi artystami. Jeśli za mało albo nie dość współpracują z władzą, po prostu stają się zbędni. Gusiew początkowo był intelektualistą, w książce kilka razy podkreśla, że miał bardzo analityczny umysł i świetny kontakt z aktorami, głęboko rozumiał sens wystawianych dramatów. Ufał przede wszystkim swojemu umysłowi, odczytaniu i wykształceniu. Nagle przestało mu to wystarczać i skręcił w zupełnie innym kierunku, powiedzmy mocno ezoterycznym, ludzie teatru odwrócili się od niego, traktując jak nieszkodliwego, gadatliwego dziwaka, więc mimo iż ma dużą wiedzę, nie ma jej komu zaoferować. Całe życie pracował w teatrze, nagle nie może i kończy jako zamiatacz ulic. Moim zdaniem Gusiew wcale nie żyje tak, jak chce, on się po prostu pogodził z losem. W pewnym momencie życie zwyczajnie go przeszło, a Rosja nigdy nie była państwem opiekuńczym, więc skończył w mieszkaniu, dzielnym z Kirgizami. Na szczęście ma swoje poczucie humoru i wrodzony optymizm, nawet jako dyspozytor moskiewskich służb komunalnych zachowuje się trochę jak reżyser i trwa w tym miejscu, bo darzy Moskwę ogromną miłością. To, że może tu mieszkać, nawet w bardzo kiepskich warunkach, jest dla niego ważniejsze od nędzy, w którą popadł.

Druga część wywiadu w numerze jedenastym pisma...

ANNA WANIK

– (1984) – absolwentka filozofii, bohemistka oraz tłumaczka literatury z języka czeskiego. Oprócz powieści Martina Ryšavego przełożyła zbiór esejów Tomáša Kulki *Sztuka a falsyfikat* (Galeria Miejska, 2014), zbiory opowiadań Marka Šindelki: *Zostańcie z nami* (Afera, 2016) i *Mapa Anny* (Afera, 2020), eksperymentalną książkę Ladislava Čumby *Wittgenstein: wiadomo, że...* (Iskry, 2019), powieść dla młodzieży *Transport poza wieczność* Františka Tichego (EMG, 2020) oraz powieść *W szafie* Terezy Semotamovej (Książkowe Klimaty, 2022). Wielbicielka dolnośląskich lasów i gór.



foto: archiwum prywatne autorki

Paweł Hohmann

3 wiersze

Poetycki poradnik

Na kursie lirycznego
myślenia
zabroniono używania
następujących słów:

kamień lustro
usta miłość
szepty drzewo
niebo ogród
chmury księżyc
róża dłoń
starość śmierć
uśmiech oczy
kukulka

nakazano skupienie
wokół innych
niezużytych

chromatograf spektrometr
cyklotron fraktale
grafen nepotyzm
persyflaż autyzm
synestezja polimery
cyklofrenia synkretyzm
apokryf kompulsywny



Viktoria Prończuk / PLSP w Supraślu

Terytorium

Nie wolno przekroczyć granicy państwa, tolerancji, prawa. Okolice zastrzeżone przez prywatnego użytkownika. Strefa działań zbrojnych. Poligon doświadczalny. Teren okupowany. Tylko dla mieszkańców. Wstęp wyłączony za okazaniem ważnych dokumentów. Parking członków zarządu. Na targi wolno przyjść zaproszonym gościom. Bez przepustek i identyfikatorów wszelkie przemieszczanie się jest surowo zabronione. Bramy zostaną otwarte po okazaniu oryginalnego karnetu. Kąpiel na wskazanym akwenu całkowicie zakazana. Uwaga, niewypały. Bagno. Park Narodowy. Obszar chroniony. Strefa zapowietrzona. Trujące wyziewy. Rejon skażenia. Wejście za okazaniem Karty Klubowicza. Ruch wstrzymany do odwołania. Poza rozciągniętą kolorową taśmą śmiertelne niebezpieczeństwo. Zaryglowane wrota. Zatrzaśnięte drzwi. Monitoring ulic i korytarzy. Podróż z opłaconym legalnym biletem. Miejsce dostępne po wcześniejszej

rezerwacji. Konieczność wykupienia stałego abonamentu lub subskrypcji. Więzienie. Izolatka. Zasięki. Drut kolczasty. Grozi porażeniem prądem. Zły pies. Laserowy dozór. Czujniki podczerwieni. Portier wydaje klucze. Po okazaniu legitymacji, wczytaniu wielocyfrowego kodu. Pole minowe. Sejf obsługiwany przez przeszkolonego fachowca. Areszt domowy. Kocia kuweta. Klatka dla ptaków. Akwarium. Piwnica. Stara skrzynia zatrzaśnięta na kłódkę. Zamknięty górski szlak. Zasypana przełęcz. Szeroka rzeka, wysoki klif, wielki wodospad, olbrzymia powódź. Nieczynny wyciąg. Niezbędna akredytacja. Mur z betonu. Płot z krzaków. Krawędź przepaści. Ubrana dziewczyna. Punkty erogenne. Mapa intymnych miejsc. Wykluczenie społeczne. Oblężona twierdza. Sfera prywatna. Umysłowa blokada. Miejska barykada. Linia frontu. Kolejowy szlaban. Tekturowa, ruchoma ścianka. Ciężkie czarne zasłony. Szklana izolacja. Bariera dźwięku. Oceaniczny ryf. Zakrzywienie przestrzeni. Dziewicza blona.

Arkusz

doświadczenie emocjonalne
kampanie antymobbingowe
wolontariat pracowniczy
zakres niewypełnionych rubryk
agresywne kompetencje
dorobek psychiczny
toksyczny potencjał
podstawy z i w rozwiążności
etyczna elastyczność
konfliktowa kondycja
seksualne staże
empatyczna sprawność
społeczna obojętność
gotowość do natychmiastowego
zwolnienia
oczekiwania i aspiracje
plany i srambicje
modlitwy płacowe
pakiety stymulacyjne
urlopy podróże i wtopy
mapa satysfakcji
strategia kariery
zdolność w przyciąganiu

ewentualnych nowych geniuszy
stanowiskowe marzenia
odporność zdrowotna
socjopatyczne odruchy
symulacje projektów na życie
umiejętność w przetrwaniu na co dzień
udokumentowane porażki
potwierdzone sukcesy
estetyczne preferencje
ulubione wyznanie
wzory umów do naśladowania
prywatne pasje zamawiane używki
podatność na manipulację
otwartość na intrygi
uczulenie na ostrzygi
zbędne publikacje
niepotrzebne szkolenia
kursy świadectwa oraz dyplomy
wrażliwość na ściemę
odporność na siarę
poziom odczuwania bólu
rzeczy wyrzucone na śmietnik

PAWEŁ HOHMANN

– urodzony 5 czerwca 1969 roku w Zabrze. Uprawiane gatunki literackie: powieść (realistyczna proza współczesna), wiersze, eseje, opowiadania. Publikował w: „Opcjach” (4/1996), „Toposie” (2/2018), „Nowym Napisie” (3/2021), „Nowych Książkach” (6/2022), (7–8/2022), (12/2022), (3/2023). Laureat nagrody głównej w kategorii epika w II Ogólnopolskim Konkursie na Książkę Literacką „Nowy Dokument Tekstowy” za powieść *Iskra i kamień* (2020). Doktor Uniwersytetu Śląskiego, redaktor portalu internetowego, nauczyciel. Mieszka w Zabrzu.



foto: prywatne archiwum autora

Victor Ficnerski

4 wiersze

[pewne wydarzenia]

wydarzyły się
tylko po to żeby o nich napisać
wiesz to była pora graniczna
przerwa w dostawach myślenia i prądu
zimna woda
twoje niby przypadkiem
zsunięte ramiączko
trzepotanie kolibra
trzęsienie ziemi w Chinach

[wieczorem znów było ciężko]

zrozumieć
więc chciałem oddać hołd zwierzętom
zoo już zamknięte
więc siedzę w kącie gryzę język
przygwożdżony
do powierzchni 8m²

[ciało składam w wiersz]

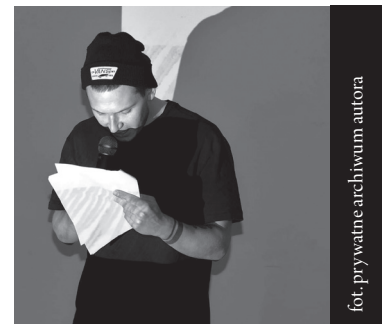
wreszcie żywy
wers ożywia obraz odbija
podobiznę
ale nie prosi i nie czyni wyludzeń

[]

jest głód po tobie i głód przed tobą
jest szron na szybie gołoledź na ulicy
kiedy drogowcy w całym kraju zasypiają
też pytasz skąd i po co

VICTOR FICNERSKI

– (ur. 1990) – publikował w m.in. w „Afroncie”, „Arteriach”, „Cegle”, „Czasie literatury”, „EleWatorze”, „Ricie Baum”, „Wyspie”. W antologiach: *Dzieci Wolności. Antologia przełomu, Przewodnik po zaminowanym terenie 2, EleWator. Antologia 2012–2021. Proza*. Debiutował tomikiem *w tym mieście* (papierwdole, 2022). Prowadzi rubrykę na portalu „Plaża Ciemna”. Organizuje wydarzenia literackie. Mieszka we Wrocławiu.



fot. prywatne archiwum autora

Karolina Widera

2 wiersze

Niedziela

Dziś na obiad będzie mięso z bardzo nieszczęśliwych krów.
Może pęknie twoje serce, kiedy podam je na stół.

Może stanie, tak jak moje, kilka długich, mrocznych razy.
Gdy ktoś wiedział, nie powiedział, co się jeszcze może zdarzyć.

Czego dotknę nocą ciemną, a co ujrzę o poranku.
Telefony, autobusy i lzy w deszczu na przystanku.

Te taksówki, te pociągi, przepocone, pospóźniane.
Ciche miasto stu skrzyżowań i szpitali głośny lament.

Miejsca, gdzie to suma smutków trzyma ludzi na powierzchni.
No i suma ich słabości, aby z siłą to unieśli.

To, co w każdym ciężko chorym budzi tylko przerażenie.
Ty przesłałeś mi do głowy, jak piosenkę na życzenie.

To, czego się ludzie boją, zamówiłeś nam do domu.
Modlą się, by się uchronić, i nie życzą tak nikomu.
Wpólchorobę przypomniałeś, której wcale nie chcę mieć.
I współwinę, wiemy o tym, nie wystarczy tylko chcieć.

Wlałeś jak niedzielny kompot między myśli ten niepokój.
Że nie dane nam tu będzie przeżyć jutra, nocy, roku.

I jak ty mi lęk ten wlałeś, ja wyleję rosół z wczoraj.
Żal, siekany jak jarzyny, kiedy przyjdzie na to pora.

Twój czas przyjdzie, choć żyć więcej masz niż stary kot dachowy.
Kilogramy ciężkich toksyn bronią wejść do twojej głowy.

Magazyny cięć i nakłuc, kieszenie wybitych zębów,
Niezbyt cenny ten naszyjnik, prowadzący do oblędu.

Oblęd przyszyły odpoczynkiem jawi się przy tej scenerii.
Kiedy ostry nóż, talerze, kompot, słodki smak mizierii.

Rosół z wczoraj, chore mięso i kolejne przeprosiny.
Koniec podam na talerzu i nie przyznam się do winy.

Majówka

Krótkotrwały przyjacielu, gdy znów przyjdzie ci do głowy,
uciec, zostawiając zgliszcza, w piękny poranek majowy.
Cofnij się o parę westchnień, kilka win i o ulicę
i znajdź sobie nieco młodszą, troszkę zdrowszą miłośnicę.

Weź te kwiatki dla dziewczyny, która jeszcze jest radosna.
Podarunki dla sąsiadki, której codzienność jest prosta.
Dla samotnej koleżanki, co nie budzi się nocami.
Która dzionki ma spokojne, nie zalewa koszul łzami.

Jednak, kiedy do niej przyjdiesz i zobaczysz w sieni wózek.
W jednej chwili, bez namysłu, zjedz te, które niesiesz, róże.
Przelknij płatki, wypluj kolce, nie pokalecz sobie dłoni.
Nogi bierz za pas natychmiast, jakby upiór miał cię gonić.

Zapomnij imię od razu, gdy przebiegniesz przez ulicę.
Zapominaj nazwy, trasy, dróżki, ścieżki, kamienice.
Bo ten upiór jest i wróci, kiedy złamiesz serce duże,
a malutkie pozostawisz, niosąc gdzieś kolejne róże.

KAROLINA WIDERA

– opiekunka, pedagog, nauczycielka edukacji wczesnoszkolnej i przedszkolnej. W pracy zawodowej uczyła dzieci mówić, czytać, pisać i kochać książki. Opiekowała się również ludźmi starszymi, uważnie wsłuchując się w ich historie. Miłośniczka literatury klasycznej, baśni i rapu, rymu i rytmu, subtelnych wulgaryzmów i mocnych metafor, przenikania się kultur i światów. W swojej twórczości dotyka głębokich zagadnień związanych z relacjami, wspomnieniami, tworzeniem więzi, wzorcami, posługując się prostymi środkami wyrazu, w myśl zasady, że lepiej jest umrzeć ze śmiechu niż ze smutku. Urodzona w Dreźnie, wychowana w Poznaniu, dzieli swoje życie pomiędzy Polskę a Luksemburg. Pisanie jest dla niej jednym z wielu zgubnych nałogów.



fot. prywatne archiwum autora

Paweł Kondratowicz

Uchybienie

sklejone pod okiem grasanta zostanie przyjęte z honorami wywrzasnąłem
 strzepując z brytana pyłek
 zespolone ze szkaradzieństwem wywrzasnął wuj zdrapując grasanta ze szprosu
 scalone ze szkielecikiem wysapałem zezując w stronę klonów
 od wolterowskiego fotela do wolterowskiego fotela wygęgał mój bratanek
 smagnąwszy grasanta wiechciem
 od przyzmy ścinków do przyzmy ścinków wygęgałem smagnąwszy grasanta
 wiechciem

*

górnym pawilonie rdest lacha piachu

*

zeskrobywanie grasantów ze szprosu
sokolarnia przywraca go do pionu
sokolarnia wszystkich przywraca do pionu

Ostatnie słowa

najważniejsze decyzje zapadały w dolnym pawilonie najważniejsze decyzje
 zapadały w górnym pawilonie

jednocześnie potępił skarłale jabłka wychwalali pod niebiosa skarłale jabłka

Pomarańczarnia

uznaję za swój obowiązek mówię do W. smagać grasanta wiechciem winieniem
 był mówię do grasanta zdrapać grasanta ze szprosu

*

złożyłem krzyczę do T. (*tyczkowatego legalisty*) solenne przyrzeczenie że
 ogrodzę ten *zagruzowany splecheć trawy C.* (ex-grasant) usiadł w prażącym
 słońcu makietą

Ugodowość

nakryli dłońmi to co z nami scalone wyrzasnąłem stukając palcem w szpros

nie nakryli dłońmi tego co z nami scalone wyrzasnął wuj zezując w stronę
klonów

*

szanse na odzyskanie pater niepomierne wzrosły wyrzasnąłem torując
brytanowi drogę

szanse na odzyskanie pater są iluzoryczne wysapał wuj torując aneksjonście
drogę

*

dolny pawilon
liczba grasantów: 0
liczba brytanów: 10

górny pawilon
liczba grasantów: 10
liczba brytanów: 0

*

na werandzie serwiliści (dufni odseparowali nas od tego co z nami scalone)

dlaczego wybrałem tamtych? primo gruntownie przyczynili się do odzyskania
pater secundo są wiarygodni

kolibry obtłukują skrzydełkami czasę lampy planiści obtłukują skrzydełkami
czasę lampy

Posągi

ugrzęźł w futrze leżącym wzdłuż kolumnady wywrzasnął: primo zaznajomić brytany z prospektami

ugrzęźła w futrze leżącym wzdłuż kolumnady wywrzasnęła: secundo zaznajomić brytany z prospektami

Popołudnie u nieprzyjaciół (nienawistne karty)

według W. napuszczenie na grasantów brytanów było kolosalnym błędem wymemlalem

*

z kroniki rodzinnej:

lata 1991–1995 [supremacja kontynentalnych krzeseł] (sprawdzić!)

lata 1996–1998 [supremacja pikowanego fotela]

*

legaliści gwałtownie karleli pieczeń parowała brytany zalane zostały gradem morderczych ciosów

Kretowisko

*przykrył wistarią skorodowane fragmenty muru odseparował
szkaradzieństwo//*

*

*nie przykrył wistarią skorodowanych fragmentów muru nie odseparował
szkaradzieństwa*

*

*zeskrobał guzki z pulpitu nie zeskrobał guzków z pulpitu podawał poczwarze
tlen!*

Okno od zachodu

*ważąc w dłoni list krzyknął: który z grasantów przedarł się przez stożkowe
szpule nici no który
wpatrując się w list krzyknęła: który z grasantów omiótł stożkowe szpule nici
wzgardliwym spojrzeniem no który
krzyknąłem: nie zatrzymały agresorów stożkowe szpule nici nie zatrzymały*

Stawy

rezydencja zbudowana przez skocznych w kolorze sepii ojca i matkę

*

za wolterowskim fotelem s. k. l. c. lupina rzęsiście oklaskiwana (o lupinę toczyły się najcięższe boje)

1887

*nade wszystko nienawidziliśmy stołów kreślarskich wyrzasnęła wyrzasnąłem
czyniących ogromne spustoszenie stołów kreślarskich nienawidziliśmy nade
wszystko wyrzeszczałem*

*

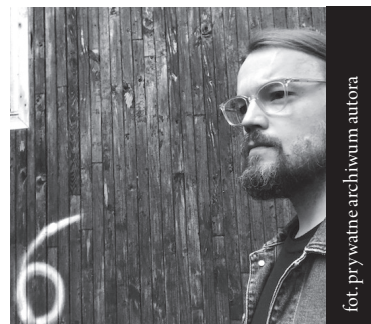
śluchałem C. i D. wpatrując się w kolonię kurek

*

anihilowałem C. i D. wpatrując się w kolonię kurek

PAWEŁ KONDRATOWICZ

– ur. 1.08.1980 w Warszawie. Z wykształcenia historyk sztuki. W wolnych chwilach piszę, jeżdżę na rowerze lub po prostu przechadzam się. Miłośnik malarstwa niderlandzkiego i Skandynawii.



Katarzyna Droga

Kobiety komedii

Boginie śmiechu, królowe też...

Jej Wysokość Ćwikła, Kobieta Pracująca i Dziunia Pietrusińska – trzy korony polskiej sceny komediowej XX wieku. Ćwiklińska, Kwiatkowska, Bielicka – aktorki uwielbiane przez publiczność. Miały wszystko: talent, pieniądze, sławę. Żyły długo, ale czy szczęśliwie? Ich biografie potwierdzają prawdę, że mistrzowie śmiechu na scenie bawią publikę, lecz sami płaczą za kulisami. Jak w anegdocie Hanki Bielickiej: pacjent przyszedł do psychiatry, bo nie mógł znieść swojego smutku. Lekarz poradził mu rozrywkę w cyrku. Akurat przyjechał słynny na całym świecie humorysta Grock, który zdołał rozbawić każdego! Na co pacjent: to ja jestem tym komikiem, doktorze, nazywam się Grock!

Panowie, czapki z głów, idzie Ćwikła!

Tak witał ją poeta Kazimierz Wierzyński w warszawskich kawiarniach. Było to w czasach, gdy elegancja miała znaczenie, więc panowie rozstępowali się z ukłonem, panie były brawo, a środkiem szła Mieczysława Ćwiklińska, odziana w jedwab i boa z piór. Była jedną z pierwszych polskich celebrytek. Aktorka trzech epok, bo zaczęła karierę na początku wieku XX, królowała w międzywojniu, długo jeszcze grała w czasach PRL-u. Imię Mieczysława dostała „z kalendarza” – przysłała na świat 1 stycznia jako nieślubne dziecko. Sceniczne nazwisko Ćwiklińska wzięła sobie po babce. Urodziła się niemal w teatrze, jej matka była aktorką, ojczym reżyserem, a ją szykowano na pannę sklepową i nawet praktykowała już w domu mody Hersego. A jednak marzyła o scenie! I postawiła na swoim. Zadebiutowała w sztuce ojczyma i wkrótce została znaną warszawską aktorką i śpiewaczką operetek. Prawdziwy sukces przyniosła jej komedia filmowa. Długo odrzucała oferty reżyserów, nie ufała kamerom, uważała, że nie są łaskawe dla dojrzałych kobiet. Natomiast gaże były kuszące. Zadebiutowała w komedii „Jego eksceleńca subiekt” w wieku 54 lat. Polska ujrzała ją na ekranie i pokochała tę pulchną i dojrzałą panią w loczkach: senatorową, prezesową, ciotulę. Ćwiklińska parodiująca damy z salonów stała się gwiazdą i żadna komedia nie mogła się bez

niej obyć, jej nazwisko na afiszu przyciągało jak magnes, choćby grała epizod. Stała się „mistrzynią uśmiechu”, „królową drugiego planu”, „hrabiną komedii”, rozgadana, pretensjonalna, zabawna. Jaka była naprawdę? Na pewno miała głowę do interesów, słabość do kosztowności i bibelotów. Do wybuchu wojny zarabiała świetnie: dom, biurowa, stroje nie stanowiły problemu. Gorzej było z miłością. Miała trzech mężów i z żadnym nie zaznała szczęścia. Malarz i bon vivant salonów krakowskich Zygmunt Bartkiewicz rozkochał ją w sobie, gdy miała zaledwie 17 lat. Coś poszło nie tak już podczas nocy poślubnej: młodziutka Miecia zraziła się do obowiązków małżeńskich. Postanowiła coś zrobić w życiu, wzięła się za podupadający Salon Sztuki męża. Wykazała się talentem marketingowym, więc Zygmunt się zdenerwował i krzyknął, że kobiety trzeba wychować jak konie. Zanim użył szpicruty, zostawiła go raz na zawsze. Druga miłość: Henryk Mader, przystojny przemysłowiec, zadał jej cios już przed ślubem, bo w ostatniej chwili zakochał się w innej. Cierpiała tak, że nie mogła grać. Do mariażu doszło dzięki interwencji rodziny, ale Henryk nie był wierny, a gdy zdradził Miecię z rzeźbiarką tworzącą jej popiersie, nastąpił kres małżeństwa. Ćwiklińska jednak uważała go za miłość swojego życia i popadła w rozpacz, gdy kilka lat później zmarł nagłą śmiercią. Mąż trzeci – wydawca i księgarz Marian Sztajnsberg – na początku wydawał się ideałem. Zdobywał Mieczysławę wspaniale: co wieczór w garderobie teatralnej kosz kwiatów. Jedzie na wczasy? Wagon ma usłany różami, codziennie list miłosny i słodczyce do pokoju. Niestety, mąż z fantazją szybko znalazł się na utrzymaniu żony, a na przeprosiny wysyłał kwiaty, za które musiała płacić. Znowu rozwód! Mimo to, gdy wybuchła wojna, Ćwiklińska sprzedała cenne wazony, by pomóc mu w ucieczce, zresztą nieudanej, bo Sztajnsberga zatrzymano i zginął w getcie. Ona podczas okupacji odmówiła grania przed Niemcami, kelnerowała w „Cafe Bodo”, potem założyła własną kawiarnię „U Aktorek”. Należała do konspiracyjnej organizacji Muszkieterowie. Po wojnie wróciła na scenę. Babkę w sztuce Casony „Drzewa umierają stojąc” zagrała 1500 razy! Miała 90 lat, gdy pojechała na tournée do USA. Pytana o swoje życie mawiała:

„w ogóle nic takiego, kochałam się i pracowałam”. A przecież było godne scenariusza filmowego – niestety, nie zawsze komedii.

Dziunia Pietrusińska

„Im dalej się posuwam w bawieniu ludzi, tym bardziej jestem zamknięta i osamotniona z wyboru. Szczęśliwa, gdy się wszystkie drzwi zamykają i tylko ptaki ćwierkają za oknem. Prywatnie nigdy nie opowiadałam dowcipów. Nie chodzę na przyjęcia. Nie cierpię komplementów”. Tak wypowiedziała się w jednym z wywiadów. . . Hanka Bielicka – barwny ptak PRL-u, królowa pyskówek. Zaskakujące, bo akurat tę aktorkę publiczność młodsza i starsza postrzegała jako „słońce w kapeluszu”, swoją kochaną Dziunię. Stworzyła zjawisko, które Irena Dziedzic nazwała: „wspaniałym babstwem”. Przez trzy dekady cała Polska słuchała głosu Dziuni Pietrusińskiej w „Podwieczorku przy mikrofonie”. Popłynęło wiele łez ze śmiechu, gdy Dziunia monologowała, komentując świat z perspektywy klatki schodowej, a czasami magła. Dama w kapeluszu, oklaskiwana i uwielbiana, która na scenie sypie słowami jak z kałasznikowa, w rzeczywistości była skupiona, refleksyjna, obowiązkowa, do bólu punktualna. Perfekcjonistka w swoim zawodzie, rasowa aktorka z grupy Zelwerowicza. Jej monologi nigdy nie były improwizowane, wkuwała na pamięć, co do przecinka, teksty pisane przez świetnych autorów. Korale, grochy, krzykliwe klipsy i kapelusze – to była część wizerunku, ale wraz z wzrostem popularności Dziuni zaczęła przebierać się za nią także w życiu. Jakby wrażliwa i obawiająca się ciosów, prawdziwa Hanka Bielicka kryła się za tą energiczną babą, która ma torebkę i nie zawaha się jej użyć. Dziunia była zbroją, dała jej ogromną popularność, ale też uwięziła w swojej postaci. Reżyserzy przestali proponować Bielickiej rolę, bo kojarzyła się jednoznacznie. Pragnęła zagrać w „Chłopach”. „Jak mam cię zatrudnić? – narzekał Rybkowski, reżyser serialu – odezwiesz się z za stodoły i wszyscy krzykną: o, Dziunia Pietrusińska. W Lipcach?” Tę odpowiedź Hanka Bielicka często przytaczała jako jedną z licznych anegdot, bo o ile nie opowiadała dowcipów prywatnie, to sypała nimi ze sceny. Na przykład jak to młoda kelnereczka na jej widok krzyknęła: „Zaraz powiem, kim pani jest: Ćwiklińska albo Bielicka, nigdy nie wiem, która z was umarła!”. Dworowała z wieku i z seksu, przynajmniej publicznie, że „jeśli chodzi o te sprawy, to ona raczej wierząca niż praktykująca” i w ogóle raczej „taka półdziewica”.

Hanka prawdziwa raczej nie śmiała się ze swoich perypetii miłosnych, bo niespełniona miłość była jednym z dramatów jej życia. Wyszła za mąż w wojennym Wilnie za Jerzego Duszyńskiego, kolegę po fachu. Było to małżeństwo zawarte bardziej z potrzeby bliskości w złych czasach niż z wielkiej namiętności. Mąż ją zdradzał, przymykała na to oczy, miała inne sprawy na głowie; to ona stała w kolejkach po węgiel i chleb, a „Duszek” grał w brydża i miał zawsze uprasowaną koszulę. Trafiła się losem bliskich: aresztowani i wywiezieni do Kazachstanu przez NKWD nie dawali znaku życia. Polska po wojnie też nie była terytorium spokojnym i radosnym, ale teatry otwierały podwoje, rozkręcał się film. Odnalazła się matka i siostra, lecz babcia i ojciec nigdy nie wrócili. Jerzy Duszyński zagrał w „Zakazanych piosenkach” i zyskał wielką sławę, na chwilę, bo uroda przedwojennego amanta nie pasowała do bohaterów socrealizmu. Za to Hanka Bielicka stała się sławna dzięki radiu. Gdy kariera żony wzrasta, a męża się kurczy, miłość często znika. Rozeszli się, lecz na Hankę czekała życiowa niespodzianka. Zakochała się w koledze radiowcu (Jerzym Baranowskim) i z nim przeżyła pełną i prawdziwą miłość, niestety, bez happy endu. Kochanek był żonaty, a gdy zdecydował się na rozwód, to nie dla Hanksi, lecz dla młodszej kobiety, która oczekiwała jego dziecka. Bielicka próbowała popełnić samobójstwo. Chciała wrócić do Duszyńskiego – oświadczył jej, że się żeni z kelnerką ze SPATiF-u. Zamknęła rozdział pod tytułem „Miłość” na cztery spusty, treścią życia stała się praca, teatr Syrena, publiczność, koncertowanie w Polsce i za granicą. Nie brakowało jej pieniędzy, nie brakowało jej przyjaciół. Ale brakowało jej rodziny i miłości; śmiech, który rozdawała dookoła, nie leczył jej własnego serca. Nie miała dzieci, ale zdecydowała się na to świadomie: „Jako kobieta totalna oddawałam się misji w całości, nie byłabym dobrą matką lub aktorką”. Za to spełniło się największe marzenie Bielickiej – telefon z propozycjami występów wciąż dzwonił, do końca życia grała, zmarła niemal na scenie. Mówiła, że prywatnie nie lubi opowiadać dowcipów, co nie znaczy, że nie miała poczucia humoru. W czasie jednej z ostatnich wizyt w Teatrze Węgierki w Białymstoku, gdy w garderobie oglądała się w lustrze, w czerwonym zakiecie i czarnej spódnicy, oczywiście w kapeluszu, nagle wybuchła śmiechem. – O co chodzi? – zapytała Lidia Stanisławska, która malowała się obok. Bielicka na to, ocierając łzy: – Czyś ty widziała, Lidziu, starą Barbie?

Hermenegilda Kociubińska

W dobie PRL-u nie było Polaka, który nie znał Kobiety Pracującej z „Czterdziestolatka” albo nie słyszał o Hermenegildzie Kociubińskiej. Rezulutna Matka Pawła z „Wojny domowej”, gwiazda Kabaretu Starszych Panów, znakomita Pchła Szachrajka – oto Irena Kwiatkowska w setkach kreacji. Hasło „żadnej pracy się nie boję” pasowało do niej świetnie, przynajmniej jeśli chodzi o aktorstwo. Prywatnie była kompletnie różna od kreowanych przez siebie postaci: surowa, zasadnicza i poważna, nie lubiła żartów. Zdyscyplinowana: zawsze gruntownie przygotowana do prób, bardzo dbała o zdrowie i odpowiednią dietę. Ciało było jej narzędziem pracy, więc codziennie rano gimnastyka, potem praca nad kolejną rolą. Mieszkanie miała urządzone surowo, minimalistycznie, ale przywoziła z zagranicy perfumy, mydelka, kostiumy Chanel i uwielbiała je. Od dziecka wiedziała, czego chce. Już jako mała Irenka stwierdziła, że będzie aktorką, a jeśli się jej nie uda, to zakonnica. Rodzice nie wtrącali się w jej wybór, uważali, że i tak postawi na swoim. Postawiła, chociaż egzamin do Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej w Warszawie nie był łatwy. Nie miała urody klasycznej piękności, przekonała komisję talentem i znakomitą dykcją. Zelwerowicz dostrzegł w niej brylant i słusznie przepowiedział sukces. Ponad sześćdziesiąt lat grała na scenach teatrów, w filmach i współpracowała z radiem. Była bardzo wymagająca, nie znosiła fuszerki w pracy. Potrafiła zbesztać nieprzygotowanego aktora, pod żadnym pozorem nie można było jej przeszkadzać podczas prób. W Teatrze Syrena przez dziesięciolecia dzieliła garderobę z Hanką Bielicką, ale panie się nie zaprzyjaźniły, nigdy nie przeszły na „ty”. Dyrektorowie teatru tak ustalali próby, by gwiazdy nie grały razem, a gdy tak się zdarzyło na jubileuszowym spektaklu, trzeba było zbudować odpowiedni podest, by w finale obie równolegle mogły

zejść do publiczności. Plotkarze teatralni utrzymują, że źródłem niechęci był dawny spór o mężczyznę. Jeśli tak, to rzeczywiście bardzo dawny, bo sprawy sercowe Kwiatkowska miała akurat uporządkowane. Wyszła za mąż za Bolesława Kielskiego, znanego prezentera radiowego. Rozumieli się doskonale, byli profesjonalistami w swoim fachu, mieli też wspólne pasje: kochali jazz i podróże po świecie. Kiedy wpadli na siebie gdzieś w korytarzach radia, Kielski był żonaty i miał syna. Rozwiódł się dla Ireny, ślub wzięli w 1948 roku. Cenili spokój i uporządkowane życie, gdy aktorska wiara szła czić do rana sukces spektaklu, po Irenę pod teatr podjeżdżał mąż, jechali do domu. Herbata, szlafroczek, odpoczynek. Spokój runął, gdy Kielski pod koniec lat osiemdziesiątych upadł zimą na oblodzonym chodniku. Zaczęły się zmagania z trudną chorobą: tracił równowagę, potem władzę nad ciałem, w końcu nie opuszczał łóżka. Irena roztoczyła nad nim opiekę, zatrudniła pomoc. Cały czas pracowała, bo bawiąc ludzi, znajdowała ukojenie. Gdy zmarł, przeszła na emeryturę, pogrążyła się w modlitwach. Życie prywatne Kwiatkowskiej było naznaczone urazami z dzieciństwa. Zaznała biedy podczas okupacji, więc była bardzo oszczędna, skrupulatnie obliczała wydatki i żyła w poczuciu, że grosz jest ważny. Nie chciała mieć dzieci. Jako siedemnastolatka asystowała przy trudnym i niebezpiecznym porodzie starszej siostry. Przerazona poprzy sięgła, że nie zafunduje sobie takiego koszmaru. Została opiekunczą ciotką, wpajała swoim siostrzeńcom i bratanicy kindersztubę i dyscyplinę, matkowała, przywoziła prezenty z zagranicy, lecz nigdy nie zdecydowała się na macierzyństwo. Irena Kwiatkowska, dla wielu symbol pogody ducha, była kobietą poważną i skupioną. Osiągała trudne cele, które sobie stawiała. Jej marzeniem był lot w kosmos – aż dziwne, że nie zdążyła go spełnić...

KATARZYNA DROGA

– pisarka, redaktorka, dziennikarka. Autorka powieści biograficznych i sag rodzinnych związanych z Białostoczczyzną. Współpracuje dziennikarsko z magazynami „Sens” i „Twój Styl”. Jest absolwentką filologii polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Podlasianka z urodzenia (ur. w 1965 roku w Zambrowie) i z wyboru: po dwudziestu latach życia w stolicy powróciła do rodzinnego domu nad Narwią, gdzie mieszka i pracuje nad kolejnymi książkami.



foto: prywatne archiwum autorki

„Ten lot ćmy wokół światła”

– z Wojciechem Kassem rozmawia Kamil K. Pilichiewicz

Rozmowa jest zapisem fragmentu spotkania autorskiego, zorganizowanego w ramach cyklu „Środy Literackie”, zarejestrowanego 26.04.2023 roku w Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku.

Kamil K. Pilichiewicz: Na początku kwietnia ukazał się Twój najnowszy tom poetycki *Otwarte na klucz*. Skąd ten tytuł? Czemu otwarte na klucz i co jest otwarte na klucz?

Wojciech Kass: Pytasz mnie o tytuł, rzeczywiście na tytuł wiele osób już zwróciło uwagę. Tytuł jest kwestią metafory. Jest metafora – po pierwsze. Po drugie – nieoczywista metafora, ponieważ widzę, że współczesność poetycka, współczesność młodych zbuntowanych, młodych atakujących literaturę, różne pozycje w tej literaturze, różne siedziby w tej literaturze, instytucje, domy – ona powoli rezygnuje z metafory. Jednak bardziej idzie w prozodii, która wydaje mi się niebezpieczną dla poezji. Jak to mówił mój patron, Konstanty Ildefons Gałczyński: „strzeżmy się prozodii w poezji”. Ale widzę, że jest taka tendencja nieco Tadeusza Różewicza... że musimy zrezygnować z metafory. Ale metafora jakoś tego nie słucha, żyje w języku, żyje jakby własnym życiem, jest takim zwierzątkiem, które wcale nie ma świadomości i sobie jest. Ci młodzi głównie atakują metaforę porównawczą, czyli na przykład „wierzby nad Wisłą jak pędzle”, ponieważ uważają, że porównania są niepotrzebne. Dlaczego coś do czegoś porównywać, jeżeli coś dla siebie jest istotą, bytem samym w sobie? – zdają się pytać. Jest jeszcze ta forma metafory, która mnie osobiście pociąga najbardziej, czyli metafora oksymoroniczna. A więc „otwarte na klucz” jest oksymoronem, jak zimne ognie, czy czarne mleko, czarne słońce etc. – metafora, która w zbitce swojej budzi rodzaj napięcia. Gdybym miał rozszyfrowywać ten tytuł na swój użytek, to bym powiedział, że on się trochę odnosi do wiersza-prologu w tym tomiku pt. *Wiara*. Z problemem wiary Miłosz się zmagał w *Drugiej przestrzeni* i myślę, że to była ta największa walka poetycka w ostatnim dwudziestolecu: o drugą przestrzeń i o wiarę. Ja trochę tutaj nawiązuję do Czesława Miłosza w tym sensie, że uważam, że ta wiara prostaczków, ta wiara, gdzie piszę we wstępie „wszystkich głuptasków świata” – ona sprawia, że wszystko

jest otwarte. Natomiast rozum i nasza umysłowość sprawia, że wiele rzeczy wydaje się otwartych, ale nadal jednak pozostaje zamkniętych. Więc klucz ma w ręku każdy, ale otwarte niekoniecznie. Ja jestem tym człowiekiem, tym poetą, który za wszelką cenę usiłuje przywrócić poezji przestwór i który jest antyegotycki, i który ukochał zewnętrzny świat, a ten – moim zdaniem – nadal podlega opisowi poetyckiemu.

Właściwie poeta w dzisiejszym świecie kojarzy się z grafomanem. Liczą się autorzy grubych, opasłych tomisk, autorzy thrillerów, liczą się autorzy kryminałów, książek podróżniczych, autobiografii także. A poezja równa się grafomania.

Jeden opisze coś na pięciuset stronicach, a drugi załawi tę sprawę w dwudziestu wersach. Natomiast żaden prozaik nigdy nie będzie miał świadomości jednej: że język jest orkiestrą, że nie ma nic bardziej cudownego, jak wyciągać muzykę ze słów i wyciągać... W ogóle każda ze sztuk ma jeden kompleks: tęskni do muzyki, każda – żeby było jasne. Oczywiście nie muzyka. Poeta na pewno jest tym, który rzeczywiście widzi w języku – w mowie codziennej, także w tej pisanej – widzi orkiestrę. Język jest jedną z najcudowniejszych orkiestr, która jest w stanie wygrać nam świat, opisać świat śpiewem, orkiestracją etc. Więc jeżeli Miłosz mówił o tzw. dajmonionie, to dla mnie dajmonion jest niczym innym niż tą siłą dyrygenta, która nagle się pojawia w poecie i każe mu w przymusowy sposób zapisać wiersz.

Wspominasz Miłosza. Od razu na myśl mi przyszedł Twój wiersz *Żeby*, który rozpoczynasz od słów „Krótkie dni, krótkie noce, krótkie lata”. To oczywiście jest fraza z wiersza *Tak mało* Czesława Miłosza z tomu *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada*. Miłosza jest w tym tomiku trochę. Miałeś okazję poznać go osobiście. Jest on dla Ciebie osobą bliską, duchowym przewodnikiem, jednym z chyba najważniejszych. Chciałem Ciebie spytać o innych, z którymi „rozmawiasz”. W jednym z wywiadów mówiłeś, że w swoich

tomach rozmawiasz z tradycją, rozmawiasz z wielkimi mistrzami litery, słowa. Czy w tym jeszcze z kimś konwersujesz?

Wiesz, literatura jest niczym innym jak włączaniem się w rozmowę z tymi, którzy byli przed nami. Oczywiście ja znam różnych poetów. I młodych, i starych, i średniego pokolenia, i tych, którzy już nie żyją. Gdybym dzisiaj miał powiedzieć, za co jestem wdzięczny życiu, to może za to, że poznałem wielu poetów w swoim życiu. Natomiast mam poczucie, że żyjemy w czasach niezwykle szybkich i zanim coś się ukonstytuuje, zanim coś zdobędzie formę, zanim coś upozycjonuje się w świadomości społecznej, zanim coś sobie znajdzie leże w kulturze, to już musi być zwijane jak dywan w przeszłość, bo przychodzi następne. Znam redaktorów, znam dziennikarzy, którzy walczą o nowe, ciągle nowe. Nasza terażniejszość bardzo szybko się zwija jak ten dywan w przeszłość, do lamusa.

No więc nagle zrozumiałem, że skoro ta terażniejszość się szybko zwija do przeszłości, to największa energia, największy potencjał, największy sens istnienia dla mnie jest w przeszłości wbrew pozorom. Przeszłość jest zupełnie fantastyczna, ta energia, która jeszcze się nie zdążyła rozwinąć, jest zwinięta, ale ona tam jest.

Nie da się już tradycji, przeszłości podać na tacy. My musimy ją odkryć dla siebie. I to jest ciężka podróż, żeby tradycję i przeszłość odkryć dla siebie, żeby ona była rzeczywistością partnerem dla naszej rozmowy, żeby znaleźć tam tę energię i ten potencjał, który terażniejszość bardzo szybko zwinęła. Więc zawsze sądziłem, że literatura jest niczym innym jak włączaniem się w rozmowę z tymi, którzy byli przed nami i którzy stawiali bardzo ważne pytania: o śmierć, o wieczność, o egzystencję, o narodziny, o Boga przede wszystkim itd. Tych pytań poezja już coraz mniej stawia, a szkoda. Właściwie trzeba się pozycjonować w tych pytaniach, a nie w pewnych mrzonkach ideologicznych, które niektórzy współcześni poeci uważają, że rozwiążą za pomocą poezji. Ideologiczne sprawy są rozwiązywane za pomocą innych, o wiele silniejszych, bardziej sugestywnych, popartych technologią mediów, ale nie poprzez poezję, która sama w sobie wychodzi z uczuciowości ludzkiej, z kruchej uczuciowości ludzkiej. Ta forma nie ma co w ogóle wchodzić na ten plac, ale ma ciągle wielkie szanse stawiać wielkie pytania, które nadal nie zostały rozstrzygnięte.

A Czesław Miłosz? Ważny dla mnie poeta. Ale później, wiesz, w momencie, jak przyjechałem do Prania, Miłosz

zaczął blednąć, bo to nie jest to, że Gałczyński go przerósł, tylko nagle zobaczyłem, jaki kompleks jednak Miłosz miał wobec Gałczyńskiego. Więc najpierw służyłem Miłoszowi, a później byłem w służbie Gałczyńskiego. I w dziesiątki aktorów, których zapraszałem, w dziesiątki muzyków, których zapraszałem – wsłuchiwałem się. Wsłuchiwałem się, jak wygląda Gałczyński w ich interpretacji, i nagle poczułem wielką atencję dla tego poety. Wybaczyłem mu *Poemat dla zdrajcy* wobec Miłosza, wybaczyłem mu – żeby było jasne. W *Poemacie dla zdrajcy* pada wiele okrutnych słów, „a ty jesteś zdrajca”, „a ty jesteś dezterter”, „a te martwe litery spluną ci w twarz” itd. Tam okropne słowa padają pod adresem Miłosza. Ale rozumiałem, że dwóch wielkich poetów ma prawo polemizować, i niech polemizują, i dzięki temu, że zostawiają nam swoje polemiki, to literatura jest żywa. Bo gdyby polemik w literaturze nie było, no to byśmy byli jak te muchy w bursztynie. Ale Miłosz jest dla mnie ważny w sensie losu – losu albo przypadku. To są dwie wielkie rzeczy na literę „P” – przeznaczenie lub przypadek. Uważam, że w jakimś sensie przeznaczenie jest żywe dzięki przypadkowi. Ale przypadek jest martwy dzięki przeznaczeniu. No więc wydaje mi się, że Pranie trochę w jakimś sensie wytworzył Miłosz jednak. Napisałem taką książczynę o Czesławie Miłoszu, jego związkach z Wybrzeżem. Pojechałem do Suwałk i tam się dowiedziałem, że Kira Gałczyńska opuszcza Pranie. A z drugiej strony pojechałem ze starą miłością w nowej postaci, która mnie bardzo namówiła na to, żeby, skoro Kira Gałczyńska opuszcza Pranie, tym miejscem się zainteresować. Czyli dwie litery: „P” i „M” jak Miłosz i miłość, sprawiły, że znalazłem się w Praniu.

O rzeczach ważnych mówisz czasem w języku... nie chciałbym powiedzieć: codzienności, ale przez rzeczy codzienne mówisz o rzeczach ważnych bardzo. W tym miejscu zacytuję kolejnego twojego patrona, Rainera Marię Rilkego. W IX Elegii duinejskiej zapisał: „Jesteśmy tu może tylko po to, by powiedzieć: dom, / most, studnia, brama, dzbanek, owocowe drzewo, okno – / najwyżej: kolumna, wieża... Ale [...] powiedzieć tak, jak nawet samym rzeczom / nie marzyło się nigdy”. Czy nazwałbyś siebie poetą codzienności niecodziennej albo ekstatykiem codzienności? Pytam trochę w kontekście takich wierszy z tomu *Otwarte... jak: Sami z niespodzianką w dali, Podryw cieni czy Brzoskwinie, które nazywasz „skupioną kropłą słońca, słodką lżą solarną”.*

Tylko zwróć uwagę, że Rilke u mnie wypada dość ironicznie, w tym wierszu *Co dalej*. No więc dom, studnia, jablonka... Chodzi o to, żeby powiedzieć tak, jak zacytowałeś, pod warunkiem że one się otworzą. Bo jeżeli my powiemy to, a to pozostanie tak martwe, jak jest w języku, to jest bez sensu. Poeta jest po to, aby tworzyć. Jestem ciągle za tym, że poeta jest tym, który jest w stanie ożywić to, co już dawno wydaje się martwe. Stąd ciągle uważam, że nie powinien utracić związku z umarłymi. Był taki poeta, Erwin Kruk, który zmarł przed paroma laty, w chwili, kiedy akurat byłem w Białymstoku. Erwin nieustannie rozmawiał ze swoimi przodkami, dawnymi Prusami, dawnymi Mazurami. A noblista, słynny Saint-John Perse (ten od *Anabazy*) powiedział, że poeta to jest ten, który wkłada palec w usta umarłych i zwraca się do nich: „mówcie, nie dano wam powiedzieć, nie zdążyliście powiedzieć, z jakichś powodów żeście się nie wypowiedzieli, teraz mówcie”. Znam niewielu współczesnych poetów, którzy potrafili otworzyć usta umarłym, m.in. jednym z nich jest Przemek Dakowicz, na pewno w tomiku *Teoria wiersza polskiego* i w *Łączce*.

Przeszliśmy na tematy *stricte* metafizyczne. Chciałbym zapytać o proces twórczy w Twoim przypadku. Zacytuję kogoś, jeszcze nie powiem kogo: „Pisałem całym sobą, cieleśnie, organicznie, jakbym tarzał się w planecie i kosmosie, ziemi i powietrzu, jakbym płonął i marzył. Byłem demolowany, a następnie budowany, nicowany i składany na nowo” – to fragment Twojego listu do Krzysztofa Kuczkowskiego z lutego 2010 roku. W tym liście piszesz o swoich emocjach, o doświadczeniu powstawania chyba jednego z najważniejszych Twoich tomów poetyckich *41*. Także w innych wypowiedziach wspominasz, że momentami, kiedy powstawał ten tomik, czuleś, jakbyś to nie Ty pisał, jakby to nie przez Ciebie to słowo przemawiało. Czy można to nazwać cieniem, czy jak Czesław Miłosz zwykł mawiać: dajmonionem? Czy w tym najnowszym tomie *Otwarte na klucz* też miałeś takie momenty?

To są tajemnice, o co pytasz. Zawsze uważałem, że poezja to jest ta dziwna forma językowa, która porusza się na granicy bardzo bolesnej i raniącej, bo to jest jednak granica brzytwy, granica semantyki i tajemnicy.

To znaczy, rozumiałem poetów, którzy chcą zrobić zamach na wszystko. Rozumiałem poetów, którzy stawiali sobie wysoko poprzeczkę, to znaczy, chcieli odbyć podróż po świecie, być tymi przewodnikami, którzy biorą kogoś za rękę i pokazują mu świat, tak jak Beatrice bierze Dantego za rękę. To rozumiałem, ale nigdy nie rozumiałem, że wiersz można wymyślić, że wiersz można skonstruować, napisać na zadany temat albo na przykład powiedzieć sobie: „holender, rok nic nie pisałem, trzeba w końcu usiąść na tyłku i coś napisać”. To były dla mnie rzeczy wręcz niewyobrażalne, ponieważ one wchodziły w ten moment, kiedy już nie stajemy się poetami, tylko jesteśmy częścią pewnej kultury literackiej, którą żeśmy zastali. A poezja jest rzeczą organiczną. Rainer Maria Rilke w *VIII Elegii* napisał tak: „składamy i rozpada się, ponownie próbujemy składać i znowu się rozpada, i kiedy jeszcze raz próbujemy złożyć – my się rozpadamy”. Od pewnego czasu moje doświadczenie poetyckie jest takie, że podchodzą mnie jakieś dźwięki, jakieś melodie, to są pojedyncze słowa, zgłoski. Jest taki jeden wiersz, który *Otwarte na klucz* zaczyna, pt. *Zwiadowcy*. Uważam, że słowa dla poetów są rodzajem zwiadowców. Tak jak pewne armie, pewne oddziały wypuszczają swoich zwiadowców [...].

Wracając do *41* – to było dla mnie niebywale doświadczenie. Czesław Miłosz powiedział tak: istnieje coś takiego jak epifania. Poetę dopada epifania, nagle znajduje się w jakimś dziwnym centrum. Mamy wrażenie, że nagle znajdujemy się w jakimś epicentrum, gdzie w jednej sekundzie, w dwóch sekundach widzimy świat w pełnej harmonii i całkowicie. A czym jest sztuka, jak nie dążeniem do pełni, do harmonii. Jesteśmy w takim okresie, żyjemy w czasie niewyobrażalnym przez inne epoki... mam wrażenie, że nigdy się nie odbywała tak wielka walka o duszę ludzką, jaka się odbywa teraz. Te biesy wypuszczone przez Dostojewskiego, Gogola i innych dzisiaj stały się codziennością. Żadna epoka nie rozrywała tak świadomości ludzkiej jak nasza epoka poprzez technologię i dostęp nas do wszystkiego. Pytanie, gdzie mamy szukać ocalenia? Ja go szukam w języku. Staram się widzieć w XXI wieku zjawisko metafizyczne w człowieku, a nie zjawisko ekonomiczne, polityczne, socjologiczne, statystyczne. I poezja jest tą formą, która pokazuje wielopiętrowość kondycji ludzkiej.

Wracając do Miłosza, powiedział kiedyś, że wielkim darem jest epifania, która na poetę spadnie raz, drugi. Jak trzeci raz przyjdzie, to już w ogóle jest wielki dar. I co się

później robi z poetą? To jest tęsknota do tego jedynego momentu, kiedy się pisało *41*. W ciągu miesiąca „machnąć” pięćdziesiąt osiem pieśni – zorkiestrowanych, zrymowanych, dźwięcznych, bo język jest orkiestrą dla mnie. I prawie że samo się pisało. A potem, kiedy się skończyło,

to patrzyłem na świat jak dzieciak, jak twój mały chłopczyk, kozaczek, Emil, który ma takie duże oczy. Tylko patrzyłem na świat – i wszystko się świeciło. Jak mam Państwu przekazać to doświadczenie? Nie umiem. A później to my naśladowujemy tę epifanię, ten lot ćmy wokół światła...

WOJCIECH KASS

– poeta, eseista, kustosz i dyrektor Muzeum Konstantego Ildefonsa Gálczyńskiego w Praniu; laureat m.in. Nagrody Nowej Okolicy Poetów (2004), Nagrody Prezydenta Sopotu (2011), odznaczony m.in. Srebrnym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” (2015); juror wielu ogólnopolskich konkursów poetyckich, inicjator i sekretarz nagrody poetyckiej im. K.I. Gálczyńskiego „Orfeusz”; autor m.in. tomów: *Próśnienie i pranie* (2002), *Gwiazda Głóg* (2005), eseju *Światło jaśnie gość* (2008), tomu *41* (2010), *Ba! i dwadzieścia jeden wierszy* (2014), *Przestwór. Godziny* (2015), *Ufność. Trzy poematy* (2018), *Metaf. 20 wierszy o położeniu* (2020), zbioru *Kamyk metafizyczny. Wiersze i poematy z lat 1996–2021* (2021) czy pisarskiego notesu *Ręka pisząca* (2021).



foto. prywatne archiwum autora

KAMIL K. PILICHIEWICZ

– doktor nauk humanistycznych w zakresie literaturoznawstwa, kulturoznawca, eseista, krytyk literacki, pracownik naukowy Książnicy Podlaskiej, stały współpracownik Uniwersytetu w Białymstoku, redaktor i sekretarz kwartalnika „Bibliotekarz Podlaski”. Publikuje artykuły naukowe, szkice, recenzje m.in. w „Toposie”, „Twórczości”, „Nowym Napisie”.



foto. Justyna Sawczuk

Kamil Figas

3 wiersze

love song

E.

pamiętam bliznę na brzuchu
wieczory gdy mówiłaś zostań

nie było wstydu pomiędzy godzinami
przeniesionymi bezwładnie na rynki i mieszkania
pomiędzy ścieraniem zyskiem kurzem

zawsze zostaje zostań

List w butelce

*Nie przejmuj się tym – zanim ten list dojdzie,
będę już fontanną pogody i radości życia!
Ale dzisiaj Kocham Cię w smutku.*

Jeremi Przybora

siadam w fotelu i pusty fotel
wypełniam lekkością wzroku
widzę ostatnie przestoje

pamiętasz tę wylizankę
bierzesz kwiat obrywasz mu liście
liczysz że tym razem się uda

sorry skarbie więcej nie odbieram

bo po Kocham mam zepsute zęby
język drętwy złamane żebra

nie czuję
zimno przyłgnęło do kości

jem pączki w kształcie serca
zwietrzałe w maśle smakują jak olej

KAMIL FIGAS

– (1998) – poeta, student, pracownik. Mieszkający we Wrocławiu oławianin. Publikował między innymi w Wydawnictwie J, „Fabulariach”, „Helikopterze”, „Zakładzie”, „Lirydranie”, „Afroncie”, 8. Arkuszu „Odry”.



Marcin Kończal

3 wiersze

Azan

W korytarzu na każdym piętrze asramy
wisiał okazałych rozmiarów głośnik,
z którego codziennie, tuż przed świtem,
wydobywał się chrapliwy głos muezzina
wykrzykującego wezwanie na fadżr.

Z początku budziłem się zły potem,
z sercem próbującym gwałtownie wyrwać się z piersi,
by po tygodniu nie drgała mi nawet powieka,
a chór nakładających się na siebie głosów
ze wszystkich pobliskich meczetów
wyznaczał rutynę kolejnego dnia.

Parę lat później, spacerując wzdłuż murów starej Jerozolimy
zawyły głośniki okolicznych świątyń,
a azan rozbrzmiał donośnie nad panoramą Góry Oliwnej,
sprawiając że na moment znowu poczułem się jak w domu.

Krwawe plamy lata

Z siedziska plastikowego krzesła
wyciągam ramiona po dojrzałe czereśnie
z niższych gałęzi starego drzewa.

Słodki sok barwi moje dłonie i stopy,
a krwawe plamy lata wżerają się w
korkową podeszwę tanich sandałów.

Pocztówka z Indonezji

Za każdym razem kiedy do Ciebie dzwonię,
najlepszy zasięg mam pod starym mangowcem
na skrzyżowaniu dwóch osiedlowych uliczek.

Zielone, niedojrzałe owoce zwisają nad moją głową
zawinięte w plastikowe woreczki przytwierdzone
do gałęzi drzewa.
Gdy wreszcie dojrzeją, nie zagrozi im upadek na beton.

Z chłodnej, pokrytej białymi kaflami ławki
obserwuję starsze małżeństwo,
które przy stole na ganku
przegląda najnowsze wydanie dziennika „Solopos”
i służącą w batikowym sarongu,
wydlubującą łyżką paciorki czarnych pestek
z soczystej pomarańczowej papai.

Od czasu do czasu, niby przypadkiem, odwracają wzrok
w moim kierunku
na dźwięk tajemniczych szelestów wydobywających się
z wnętrza mojego gardła.

W oddali za zakrętem słychać gwar z pobliskiej
podstawówki.
Grupa dzieciaków w brązowych mundurkach
i czerwono-białych chustach
wydziera się w niebogłose na szkolnym boisku,
zagłuszając obwoźnego sprzedawcę zupy,
który bębni metalową łyżką o porcelanowy talerz.

Czas na obiad, rzucam zdawkowo do telefonu,
zanim słońce na dobre zniknie za wieżą meczetu.

MARCIN KOŃCZAL

– (ur. 1989) urodził się i mieszka w Poznaniu. Publikował w „Wizjach” i „Składce”.

Łukasz Kamiński

3 wiersze

słyszałem jak paliły się
wioski w północnej nigirii

w imię boga
dzieci diabła podpały

dom za domem
ulicę za ulicą

żadna orisza się nie pojawiła
gdy kości pękały w ogniu

żadne zachodnie media
ani wojska walczące

o prawa człowieka
kilka dni później dziesięciolatka

wysadziła się
w centrum miasta

jej popiołów
szukają do dziś

byłem strażakiem który
walczył z ogniem na wyspie kangura

w płomieniach widziałem twarze
pomordowanych aborygenów

porwanych dzieci i
bogów totemicznych

chciałbym wierzyć
że to sen

piękny jak emu i
wilkowór tasmański

tęczowy wąż
i diabeł tutejszy

czułem jednak jak pałanka
wędruje po mojej dłoni

sześć gram piękna
za dużo jak dla człowieka

czułem siłę jej słów
gdy przy pełnej klasie

mówiła o wolności
gotowa iść

podpalić samego castro
za swojego męża sąsiada

każdego obywatela
z trucizną w ciele

ta niepozorna nauczycielka literatury
czytająca nam wiersze

i kochająca prozę hemingwaya
była gotowa podpalić świat w słusznej sprawie

ŁUKASZ KAMIŃSKI

– rocznik '91. Urodzony w Kutnie. Autor trzech książek poetyckich: 1 (Nisza 2019), 2 (Nisza 2021) oraz 3 (Kwadratura 2022). Wiersze zamieszczone w tym numerze są zapowiedzią tomiku o tytule 4.

Mateusz Melanowski

3 wiersze

Ukraina 2022

Dostaliśmy puzzle od przyjaciół.
500 elementów z ładnym obrazkiem
wnętrza domu z psem na pierwszym planie.
Zaczęliśmy w niedzielę przed południem
a wieczorem były już ułożone.

Następnego dnia, idąc za ciosem,
wyciągnęliśmy z szafy pudło,
które przeleżało w niej kilkanaście lat:
obraz Bruegela w 5000 elementach.

Samo odwracanie puzzli po ich wyspaniu
zajęło nam jakieś trzy godziny.
A po dwóch miesiącach mieliśmy zaledwie
ćwierć wieży Babel.

Jesteśmy w tej chwili
tuż za granicą. Nakarmili nas.
Ogrzali. Ktoś organizuje nam
dach nad głową.

Ponad 500 km stąd,
w pokoju na ulicy Ławrychina,
na białym prześcieradle,
żeby nie zlewały się
z kolorowym dywanem –

puzzle.

Poszła popływać

Rozpalam na wydmach ogniska.



Oliwia Wasilewska / PLSP w Supraślu



Kalistenika

Lasy zamknięte
są aktualnie.

Pracuję oraz
objam się zdalnie.

Gdzie są fryzjerzy,
wyglądam fatalnie.

Zbliżenia z żoną –
czy można legalnie?

W maseczkach ludzie
to nietutejsi.

Wyjdziemy z tego
dużo silniejsi.

Sześć godzin wczoraj
spędziłem w wannie.

Kalistenika
na kwarantannie.

Kalistenika
na kwarantannie.

MARCIN MELANOWSKI

– urodził się w 1977 r. w Katowicach. Laureat licznych konkursów. Otrzymywał m.in. nagrody główne w konkursie imienia Anny Kamieńskiej na najlepszą książkę poetycką województwa lubelskiego wydaną w latach 2016 i 2017 oraz 2020. Autor czterech tomów wierszy. Ostatni to: *Pierwsi napotkani* (2020). Perkusista heavymetalowy i przewodnik dla amstaffki i boksera. Mieszka na wsi pod Krasnymstawem.

Marcin Wróblewski

5 wierszy

Golenie

czy w chwili gdy się golisz,
 jest coś ważniejszego od golenia?
 czy może być coś bardziej istotnego,
 niż – wybrawszy się uprzednio do sklepu
 po igły i nić w odpowiednim kolorze,
 i odstawszy swoje w kolejce –
 cerowanie dziury w skarpecie?
 kiedyś tym gardziłem.
 lecz z czasem odkryłem,
 że gardziłem sobą.
 i nigdy nie było i nie będzie
 niczego cenniejszego,
 niż obecna chwila.

Ojcostwo

przytulanie się dzieci
 przytulanie dzieci
 dzieci
 się
 świadomość
 się

Znikanie

wyciąłem kiedyś pół wiśniowego sadu
 małą siekierką do gałązek
 i wykarczowałem wszystkie korzenie
 po drzewach w trzy dni jakoś
 czego ja się wtedy
 aż tak bałem?

żurawie już są
 czajki też zlatują
 leszczynę obsiadły
 senne dżdżownice
 a słońce oswaja się
 ze światem
 w dupie mam
 ten wasz jebany węgiel...

Gra światel

czarno-biały Bodo
wyklóca się z czarno-białym Dymszą
o święty spokój.
prastare mistrzostwo,
starożytna precyzja,
klasyczne proporcje
genialna gra...

upłyną wieki, zanim powstaną:
telefon, radio, auto,
traktat o nieagresji...
już za chwilę ich przyjaciele,
znajomi i wielbiciel staną się
kolorowym bydłem.

powiozą ich wagonami,
zmieszanych z kałem i uryną,
do miejsc, które powstaną
dopiero za wiele stuleci.
genialna gra...

od zawsze popularna,
naznaczona sławą i bogactwem.
– pani Helenko, teraz całuje pani Gienia.
– teraz całuje pani trupa...
tego świata już nie ma,
nigdy go nie było.
on dopiero nadejdzie.

MARCIN WRÓBLEWSKI

– rocznik 1980. Pochodzi ze Zwolenia. Ukończył filologię polską na UJK w Kielcach, pracę magisterską o Konstantym Aleksandrze Jeleńskim napisał pod kierunkiem prof. S. Żaka. Następnie pracował jako nauczyciel. Pisał felietony, artykuły prasowe, poezję wyłącznie „do szuflady”. Po rozstaniu z oświatą, w której nie czuł się dobrze, podejmował się różnych zajęć. Od kilku lat zajmuje kierownicze stanowisko w jednej z dużych firm na Lubelszczyźnie.

Prowadzi bloga z własną twórczością. Interesuje się muzyką i malarstwem. Mieszka z rodziną pod Nałęczowem.

Wydał dwie książki poetyckie: *Zimne ognie* (Mamiko, 2023) *Brama* (Białe Pióro, 2023).



foto: prywatne archiwum autora

Lukasz Śmigiel

List w butelce

Strach przed zagrożeniami osłabił na tyle, że ostatnio, w ślad za wieloma rodakami, udaliśmy się urlopowo na Kretę. Pogoda na wyspie jest niezawodna. Gorąco, ale inaczej niż u nas. Przy chodnikach dojrzewają sobie beżpańskie banany, a na jezdni stoją czasami zupełnie przypadkowo zaparkowane auta. Po białych ścianach budynków przechadzają się ospale zielone modliszki. Wszyscy są tutaj na luzie. Wynika to z życiowej filozofii mieszkańców wyspy, nazywanej „siga-siga”, czyli bez pośpiechu, bez presji, poprawiając sobie humor smakowaniem życia w stylu „slow life”.

Ten swoisty luz można odczuć na własnej skórze od chwili, gdy samolot ląduje w stolicy, Heraklionie. Znajdziemy tam bez wątpienia jeden z najgorszych portów lotniczych w Europie. Większość rzeczy dzieje się w tym miejscu przez przypadek. W niektóre dni na lotnisku bywa tak gorąco, że człowiek ma ochotę zemdleć, aby wyrwać się z tego koszmaru, a w inne klimatyzacja działa tak sprawnie, że dresy, skarpety i koszula nie wystarczą do ogrzania. Wizyta w lotniskowej toalecie to prawdziwa przygoda, bo nigdy nie wiadomo, która z nich – męska czy damska – będzie tym razem nieczynna. A wszystko to dzieje się jakby bez udziału obsługi, której nie należy drażnić. Kreteńczyków w ogóle nie warto wkurzać, bo wedle doniesień tamtejszej policji wyspiarze zgromadzili w domach tysiące sztuk broni palnej, używanej chętnie na rodzinnych imprezach, kiedy to z radości strzela się w powietrze. Wielką awanturą skończyło się jedno z wesel, na którym ktoś z bliskich przypadkowo „sprzątnął” pannę młodą. Powiadomiona o tragedii policja dokładnie zliczyła sztuki broni, ale nie odważyła się jej skonfiskować.

Specyficzną pogodę ducha władz widać także w działaniu fotoradarów. Urządzenia te od niedawna robią kierowcom zdjęcia „od tyłu”. Wszystko dlatego, że pewnego lata pechowo złapano na kadrze ważnego ateńskiego polityka, który był akurat na wycieczce z kochanką. Fotografia trafiła do mediów, a wspomniany polityk postanowił rozwiązać problem i tak oto na Krecie wprowadzono nowe zasady robienia zdjęć drogowym piratom. Ten pomysł policja siłą rzeczy także zaakceptowała. Panie i panowie mundurowi, skądinąd bardzo sympatyczni, potrafią jednak podnieść

ciśnienie, kiedy to, przejeżdżając obok nas, wesoło zatrąbią radiowozem. My stajemy jak wryci, a po chwili okazuje się, że to tylko oznaka luzu i dobrego humoru. Właśnie takim trąbieniem pozdrawia się bowiem na Krecie znajomych, którzy mieszkają w mijanych domach. A trąbić należy niezależnie od tego, czy znajomi są akurat u siebie, czy też ich nie ma.

Jakby tego wszechobecnego luzu było komuś mało, mamy tu jeszcze obowiązkową sjęstę i wiecznie trwającą budowę (część budynków jest stale nieukończona, aby właściciele płacili mniejszy podatek). Okazuje się jednak, że oprócz „siga-siga” jest jeszcze coś, do czego Kreteńczycy przywiązują wagę. Wyspiarze cenią sobie wolność ponad wszystko, rodzinę, dobre jedzenie, ale także historię, a najbardziej – tę antyczną.

Hara, dziewczyna, która w naszym hotelu wpuszcza gości do restauracji, zagadnięta o to, co warto zobaczyć, bez wahania proponuje nam Muzeum Archeologii w Heraklionie i wykopaliska w Knossos. W pierwszej chwili myślę sobie, że to taka poza dla turystów. Po krótkiej pogawędce okazuje się jednak, że ta studentka prawa, córka profesora, jest wprost zakochana w antycznej przeszłości Krety. Do muzeum jeździ, aby spędzać tam czas wolny z przyjaciółmi, a na szyi nosi kopię jednego z eksponatów. Przyciągający oko wisiorok przedstawia piękną kobietę, która odważnie pokazuje nagie piersi, a w szeroko rozpostartych rękach ściska dwa węże. Oryginał, czyli tajemniczy posążek, odnaleziono wraz z kilkoma innymi artefaktami w 1903 roku w ruinach wspomnianego Knossos i to właśnie tam musimy się udać, aby zrozumieć, dlaczego mieszkańcy Krety tak bardzo cenią sobie antyczną historię.

Heraklion to miejsce, w którym autobusy jeżdżą, jak chcą (albo w ogóle nie przyjeżdżają), a wąskie, brudne uliczki przypominają legendarny labirynt Minotaura. Jednak nawet w najbardziej obskurnych zaułkach miasta współcześni artyści amatorzy tworzą graffiti inspirowane eksponatami z pobliskiego muzeum i malują na murach strzałki, wskazujące drogę do zabytków. O historii chętnie opowiada także spotkana przypadkiem taksjarka

i zajmujący się ceramiką artysta, który wie wszystko o różnych rodzajach kreteńskiej gliny.

W nowoczesnym gmachu muzealnym, gdzie kolejka do kas zdaje się nie kończyć, witają nas liczni pracownicy. „Jesteście z Polski?” – pytają. „Wobec tego dziecko wchodzi za darmo. Jesteśmy z wami” – dodają. „Znamy waszą historię”. Bilety sprawdzają na pierwszych bramkach, a na drugich – jak na lotnisku – musimy oddać plecak. Ochroniarz ze słuchawką w uchu zupełnie poważnie prosi nas o zostawienie w depozycie tubki kremu, traktując ją jak groźną broń. Wszechobecny luz nagle się ulotnił. W wielkich salach, gdzie eksponaty schowano za pancernymi szybami, jest cicho jak w świątyni. Na każdym metrze kwadratowym ktoś czuwa nad porządkiem. Niektórych eksponatów nie wolno fotografować. Liczne tabliczki przypominają o tym, co jest kategorycznie zakazane.

„Proszę zachować odległość i powagę, proszę nie robić selfie, niech dziecko nie stroi min” – upominają pracownicy. Nadal jesteśmy na tropie archeologicznej zagadki, a w jednej z sal odnajdujemy figurki bogini węży i jej kapłanek. Oświetlone z każdej strony, zadziwiają szczegółowością wykonania. Wyglądają, jakby zrobiono je wczoraj na potrzeby współczesnej wystawy awangardowych artystów, a mają ponad 3500 lat. Archeolog Arthur Evans odnalazł je na pobliskich wykopaliskach, na które udajemy się wkrótce potem.

W Knossos jest podobnie jak w muzeum i zamiast „siga-siga” szybko robi się poważnie i jakoś tak podniosłe. Na teren wykopalisk prowadzą kolejne bramki. Pomimo odległości od centrum obsługa utrzymuje łączność z bazą i wie, że pojawimy się ze specjalnymi, papierowymi biletami. W pierwszej chwili nie bardzo wiadomo, o co to całe halo, bo Knossos nie od razu powala na kolana. Ot, kilka struktur z kolumnami, nieliczne, kolorowe ściennie malunki i niewielka, niemal pusta salka tronowa, a wszędzie kurz, kolejki i człowiek na człowieku.

Dopiero po chwili zaczyna do nas docierać sens tego wszystkiego. Przypominamy sobie, że najstarsze budowle w Polsce mają po kilkaset lat, a Knossos odkryte w 1878 roku przez antykwariusza i archeologa, Minosa Kalokairinosa, to obiekty z czasów 2000–1400 p.n.e. Zresztą, co tam budowle! Te ruiny to dowód na istnienie niezwykle rozwiniętej cywilizacji. Czy znajdował się w tym miejscu pałac legendarnego króla Minosa, a po labiryncie biegał Minotaur? Nie ma pewności, ale wiemy, że mieszkali tutaj doprawdy niezwykli ludzie.

Znali kanalizację, budowali luksusowe łazienki, posługiwali się pismem linearnym, pozostawili po sobie realistyczne rzeźby, pieczęcie, wanny, piękną biżuterię, ale również modę, styl życia i sportowe wyzwania w rodzaju akrobatycznych zmagania z bykami. Mężczyźni na obrazach bawią się na łąkach i zrywają krokusy do kielichów, a kobiety intrygują krótkimi, chłopięcymi włosami i nowoczesnymi spódnicami, do których dobrano kołnierze z głębokimi dekolami. Kreacje te, podobnie jak u minojskiej bogini węży, śmiało podkreślają ich wdzięki. „Bawiąc się rękawiczką, panie prowadziły konwersacje z charme'em paryżanki w spojrzeniu i wyrazie twarzy” – tak pisze o nich badacz C.W. Ceram w swojej powieści o archeologii, pt. *Bogowie, groby i uczeni*. Naukowcy nadal się spierają, ale minojskie kobiety przedstawiano w ten sposób najpewniej po to, aby podkreślić ich równość względem mężczyzn. Krótkie włosy, ściągnięte paskiem spódnice i kokietyrnie wyeksponowane biusty to nie tylko cechy wizerunku staro-kreteńskiej bogini, to wizerunek kobiety, która podobnie jak mężczyzna pełni wysokie funkcje społeczne, ale jest również doceniana w roli matki.

Niestety, cywilizacja, która zbudowała Knossos i wszystkie jej wytwory, niespodziewanie dla nas znikają. Zupełnie jakby nagle wymiółł ją kosmiczny kataklizm. A może oprócz ekologicznej katastrofy zagładę świata Minończyków przypieczętowała inwazja ludzkich najeźdźców? Mogli to być bladzi Achajowie z naddunajskich krain, a może nawet z południowej Rosji, jak sugeruje w swojej książce wspomniany już Ceram. A po nich na wyspę przybyli jeszcze gorsi, niszczący wszystko co popadnie, Dorowie. Być może dlatego do naszych czasów przetrwało tak niewiele, a z tego, co zostało, wielu rzeczy – jak na przykład pisma – nadal nie rozszyfrowaliśmy.

„Wiemy na pewno, że bardzo dbali o kulturę” – mówi Hara zapytana, dlaczego Knossos jest dla niej tak ważne. „Nawet kiedy było im ciężko, gdy przeżywali kryzysy i załamania, nigdy nie rezygnowali z osiągnięć kultury. Nadal tworzyli sztukę, używając prostszych, tańszych materiałów, ale nigdy jej nie porzucili. Nigdy nie zatrzymywali się w rozwoju. Uprawiali kult piękna, które z kolorowych obrazów rozlewało się na mieszkańców tej niezwyklej krainy. Mieli lepsze życie od naszego” – oświadcza na koniec z powagą.

Po tym, co powiedziała, chyba zacznym rozumieć zarówno ją, jak i taksiarke, muzealników i ulicznych artystów z Heraklionu. Pozostałości po tajemniczym Knossos jawią mi się nagle jako swego rodzaju list w butelce. Tak,

który pozostawiła nam po sobie wymarła przed tysiącami lat cywilizacja. Nagle przypomina mi się także książka, którą zabrałem do samolotu. Nosi tytuł *Pozaziemskie*, a jej autor, harwardzki profesor Avi Loeb, dowodzi, że międzygwiazdne ciało niebieskie, które minęło ziemię w 2017 roku, to także archeologiczna pozostałość po obcej kulturze. Niestety obiekt nie został dokładnie zbadany i szybko porwały go fale kosmosu.

Nie zbadamy już tego międzygwiazdowego listu w butelce, a znalezisk z Knossos być może nigdy nie uda nam się do końca właściwie zinterpretować. Martwi mnie jednak coś jeszcze. Pewna część wiedzy przepadła, trudno,

ale co będzie z nami? Co takiego odkryją po nas przyszli archeolodzy ziemscy i kosmiczni?

Złudne przekonanie, że będziemy trwać wiecznie, może przejęliśmy od Minojczyków, ale ich otwartych głów, dążenia do samodoskonalenia, ich miłości do kultury i sztuki, do samych siebie, chyba jeszcze nie. W tej kwestii poprzestajemy raczej tylko na poprawiającym humor „siga-siga”. A moglibyśmy przecież, podobnie jak współcześni mieszkańcy Krety, z powagą pochylić się czasem nad własną historią. Przecież wiele tęgich głów – od T.S. Eliota po Pabla Picassa – pisało nam wcześniej na kartach historii, że wszystko zostało już wymyślone.

ŁUKASZ ŚMIGIEL

– ur. 1982, autor powieści i opowiadań, dziennikarz radiowy i prasowy, pracownik Instytutu Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej UW.



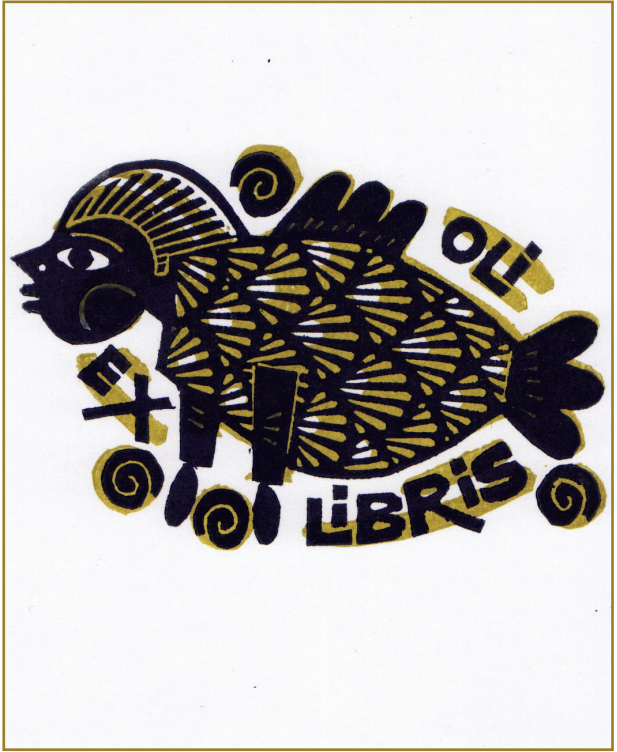
foto: prywatne archiwum autora

Juliusz Batura













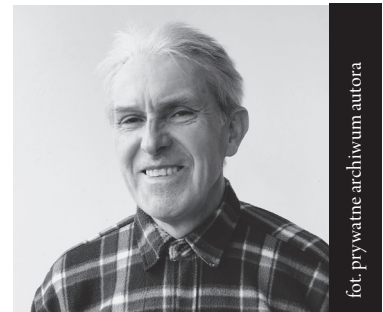


foto. prywatne archiwum autora

JULIUSZ BATURA

– urodził się 20.11.1953 r. w Augustowie. W roku 1977 uzyskał magisterium z matematyki na Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku. W 1986 roku Ministerstwo Kultury i Sztuki przyznało mu bezterminowe uprawnienia do wykonywania zawodu artysty grafika. Ilustrował książki. Pracował jako bibliotekarz, nauczyciel plastyki w szkole i instruktor plastyki w młodzieżowych domach kultury w Augustowie i Suwałkach. Wykonał prawie 1700 ekslibrisów. Brał udział w przeszło 160 wystawach zbiorowych. Miał ponad 50 wystaw indywidualnych ilustracji i (głównie) ekslibrisów w Polsce, na Litwie, na Ukrainie, w Kazachstanie i w Czechach. Organizował wystawy innych twórców ekslibrisu i wystawy twórczości dziecięcej.

Zawarte tu reprodukcje linorytowych i plastykorytowych ekslibrisów zamieszczono w *Encyclopaedia Bio-Bibliographical of the Art of the Contemporary Ex-Libris*, tom 19, 1996 Portugalia oraz w *Contemporary International Ex-Libris Artists*, tom 10, 2008 Portugalia.

www.juliuszbatura.pl

Jean Anglemont

LE SABBAT DES CHIMISTESⁱ

– DIALOG W JEDNYM AKCIE, PROZĄ KRÓTKĄ –

OSOBY DIALOGU:MONSIEURⁱⁱ CROS – ROK DWUDZIESTY I DZIEWIĄTY UKOŃCZYŁⁱⁱⁱ – POËTE^{iv} – INVENTEUR^v – CHIMISTE^{vi} – JEUNE ÂME^{vii} – IDÉALISTE^{viii} – RÊVEUR – L'ÂME QUI VEUT VOLER^{ix}MONSIEUR AICARD – ROK TRZYDZIESTY I TRZECI UKOŃCZYŁ – POËTE – ROMANCIER^x – CŒUR DU TOULON^{xi}MONSIEUR CARJAT – ROK PIĘCDZIESIĄTY I TRZECI UKOŃCZYŁ – PHOTOGRAPHE^{xii} – JOURNALISTE^{xiii}MONSIEUR VERLAINE – ROK DWUDZIESTY I SIÓDMY DZIŚ KOŃCZY – POËTE – MARI^{xiv}MONSIEUR RIMBAUD – ROK SIEDEMNAŚTY MU IDZIE – POËTE – ARTISTE^{xv} – BÊTE NOIRE^{xvi}

[Rzecz dzieje się w Paryżu, w szóstej dzielnicy miasta, u zbiegu Rue Racine^{xvii} i Rue de l'École-de-Médecine^{xviii}, w hotelu Étranger^{xix}. Sala przestronna, na kilkanaście osób, wynajęta, w najbliższym sąsiedztwie antresoli budynku. W rogu fortepian, przy fortepianie młody mężczyzna^{xx}, którego roześmiana twarz odbija się w wypolerowanym srebrze ustawionej przed nim pustej barmańskiej tacy. Przy trzech połączonych stolikach grupa młodych poetów, złożona z dwu trzydziestolatków, dzisiejszego jubilata, pana Verlaine'a, i chłopaka zaledwie szesnastoletniego. Na stolikach obrusy białe i bladoniebieskie, przeplatane czasem ciemniejszymi kratkami, poprzewracane kieliszki, puste butelki, po ściankach których przechadzają się odurzone muchy, jakby szukając w nich ostatniej kropli wina. Wszystko to wyczekuje tylko roku dwudziestego i siódmego, który skończy dziś pan Verlaine.]

--

Paris, le 30 mars 1871^{xxi}

--

MONSIEUR CROS:

[nad wyraz filozoficznie, obracając w palcach srebrną łyżeczkę]

A myśleliście kiedyś, że to wino, które teraz pijemy, jest podobne do acide-sulfurique^{xxii}...[Monsieur Rimbaud wybucha śmiechem, za czym wydziera Verlaine'owi z rąk jego cienką laseczkę^{xxiii} i zaczyna uderzać jej końcem o róg stolika, jak gdyby podbijał każdy wers na wpół filozoficznej, na wpół zaś poetyckiej wypowiedzi cher-monsieur Cros^{xxiv}...]**MONSIEUR VERLAINE:**

[wypuszczając z rąk napęczniony do połowy fée-verte^{xxv} rozmieszany z chłodną wodą kieliszek, który upada tuż u jego stóp i rozbija się z głośnym brzękiem, rozpryskując drobne, szklane odtamki, które, jeżeli spojrzeć by na nie z autre-perspective^{xxvi} mogłyby – sans aucun problème!^{xxvii} – rozbudzić gdzieś w najgłębszym zakątku duszy skojarzenie z pierwszym grudniowym śniegiem, rozrzuconym na boki przez dziecię zaledwie czteroletnie, a rozrzucające ów śnieg z taką hojnością, z jaką niektórzy potrafią złożyć swoich sto franków na cel dobroczynny. Mais boum!^{xxviii} – W dalszej części dialogu mojego cher-monsieur Aicard zastanie jeden z owych szklanych odtamków we własnym kieliszku, dryfujący na połyskującej zielono powierzchni nierozcieńczonego jeszcze absyntu, podobny do kry lodowej, prądem arktycznym niesionej.]

Ha!... ha!... nie może być!...

MONSIEUR CROS:

[uderza brzegiem łyżeczki o własną, wyciągniętą przed siebie dłoń]

Cicho, Paul!...

[raz jeszcze podnosi łyżeczkę i uderza nią o ściankę kieliszka]

Tak! Wino podobne jest do kwasu siarkowego czy piorunowego... Albowiem wino, które teraz pijemy, tak jak każdy kwas, którym otaczają się moi bracia-chemicy, składa się z niczego innego jak tylko z miliardów *[tu zdaje się kłaść nacisk przedziwny i sztuczny, jakby równy fizycznemu ciężarowi jego ubranego w szary surdut i czarne spodnie ciała, wynoszącemu cent et soixante-quinze funtów^{xxxix}]*, z miliardów kropelek małych i lekkich...

[upija ostatni łyk swojego vin-rouge^{xxx}]

A każda taka kropelka, która wypłynie z kieliszka *[wylewa – zupełnie niechcący! – wino na własną koszulę]* i upadnie nam na język *[tu przerywa mu monsieur Rimbaud, przełykający głośno ślinę]*, składa się z kolei z tysięcy – powtarzam! *[a powtarza, albowiem w tejże chwili cher-monsieur Aicard^{xxxi}, który właśnie zakrztusił się ostatnią kroplą zielonego absyntu, zaniósł się głośnym kaszlem, zakłócając tym samym wywód cher-monsieur Cros]* – z ty-się-cy atomów, wokół których krążą cząsteczki maleńkie, nie większe od ziarna pszenicznego... Bywają, gdzieś u granic naszego mondes-des-chimistes^{xxxii}, takie cząsteczki, które obracają się w orbitach, na których je osadzono, tylko po to, żeby nadawać smak najszlachetniejszym trunkom...

[odkłada na chwilę łyżeczkę]

Inne zaś istnieją tylko dlatego, że son destin^{xxxiii} brzmi: pomiędzy kłódkami struktur swoich kolor czy aromat zamykać! *[stwierdza wprost naukowo, sięgając trzęsącymi się, czerwonymi, przeżartymi – jak hartowane żelazo rdzą – żrącą molekułą solnego kwasu, mokrymi od potu dłońmi po stojącą przed nim, dopiero co otwartą butelkę najlepszego Sangiovese i nalewając sobie wina tak, że po jego prawym nadgarstku ścieka powoli wąska strużka barwy szlachetnego vin-rouge]*

Tak!...

[podbija własny wywód kolejnym uderzeniem łyżeczki o brzeg kieliszka]

I to właśnie cząsteczki, a nie wino, uderzają nam, poetom, do głów.

[tu raz jeszcze rozlewa połowę trunku to na własne dłonie, to na obrus, jasnoniebieski, a zmięty i poplamiony ze wszystkich stron to tuszem zaschniętym, to znów resztkami z wczorajszego obiadu]

MONSIEUR AICARD:

A tobie, mój drogi panie Cros, to i cała praca dziesięciu chemików, co to dniami całymi w oparach magnezu spalanego przesiadują, do głowy uderzyła.

[chichocze, odsłaniając zdrowe, białe zęby; w przerwie pomiędzy jedną salwą głośnego śmiechu a drugą, w milczącym skupieniu obserwuje ułożoną na wyszczerbionym brzegu swojego talerzyka kostkę cukru, którą – zapewne! – chętnie by był podpalił: c'est comme ça que les artistes s'amuse!^{xxxiv}]

Lej pan, panie Cros, panu Verlaine'owi, a nie sobie. Przecież to jego święto...

MONSIEUR CROS:

Wino winem...

[mówi, a raczej mamrocze już zachrypniętym półgłosem]

Wino winem, ale spójrzcie tylko na ten oto cukier...

[na chwilę odwraca wzrok w kierunku siedzącego naprzeciw niego pana Aicarda, który dwoma palcami podnosi z talerzyka kostkę cukru, za czym wrzuca ją pomiędzy płomienne języki, które zdają się tańczyć na srebrnej łyżeczce, którą właśnie był wyszarpał naszemu małemu chemikowi, z zapalem godnym polującego lwa]

Jak... Jak w takich białych, równiutkich kosteczkach – tak równych, jakby spod rzeźbiarskiego dłuta wyszły – mogą się upakować takie cząsteczki, które choć rozmiarem i mrówki by nie przewyższyły, to nie gorzej od nich kręcą się i wirują jak wprawione w ruch bączki, którymi zabawiać się będzie – jak tylko podrośnie! – pański syn, panie Verlaine^{xxxv}?

MONSIEUR CARJAT:

[dotychczas milczący, podrywa się z miejsca i krzyczy, na ile mu tylko dech w płucach pozwoli]

A skończyłbyś, skończyłbyś wreszcie z tą chemią, Charles! Cukier to cukier, a nie cząsteczki, upakowane równo w białych kosteczkach!

[do jednego z sąsiednich stolików przysiada się trzech innych poetów, liczących sobie nie więcej niż dziewiętnaście wiosen, spośród których jeden wyróżnia się główką owalną jak kurze jajo i malutką, jakby od dziecięcej zabawki przeszczepioną, drugi zdaje się obnosić na głowie nać pietruszkową, a trzeci ciało całe miał pokryte skorupą z ran zaschniętych tak, że pomyślałbyś, że na froncie północnym się bił!]

Śliwki to śliwki, nie zaś pierwiastki, wyhodowane z pestki!

[słyszac głos Rimbauda, każącego dolać sobie wiśniówki]

Wiśnie to wiśnie, nigdy zaś atomy węgla, przywiązane do cienkich ogonków!

[łagodnie]

Weź to wino i nalej-że trochę panu Verlaine'owi... Przecież to jego święto, a nie sabat chemików.

[Monsieur Cros, jak na komendę, gryzie się w język i do końca spotkania milczy jak zaklęty, zabawiając się rąbkami niedbale związanej ciemnoniebieskiej chustki, którą nosi na szyi, a którą – ukradkiem, byle by kto z pozostałych panów-poetów nie zobaczył! – pociera o wyciągniętą z kieszeni sztabkę metalu, jakby próbując ją naelektryzować. Monsieur Verlaine zaś, trzymając w zębach kostkę cukru, siedzi rozparty na krześle, z nogą założoną na nogę, pytając sam siebie: czy przyszedł na własne urodziny, czy też na sabat chemików paryskich.]

--

KURTYNA

i **Le sabbat des chimistes** (fr.) – Sabat chemików.

ii **monsieur** (fr.) – pan.

iii **rok dwudziesty dziewiąty ukończył** – błąd Anglemonta: w rzeczywistości, w chwili akcji utworu, monsieur Cros ma jeszcze dwadzieścia osiem lat. Wydarzenia opisywane w *Le sabbat des chimistes* rozgrywają się w ciągu jednego dnia, tj. 30 marca 1871 roku, w dzień dwudziestych siódmych urodzin Verlaine'a, natomiast młody wynalazca przyszedł na świat na początku października 1842 roku.

iv **poète** (fr.) – poeta.

v **inventeur** (fr.) – wynalazca.

vi **chimiste** (fr.) – chemik.

vii **jeune-âme** (fr.) – młoda dusza.

viii **idéaliste** (fr.) – idealista. Anglemont wprowadził do swojej twórczości postać Charlesa Crosa wraz z powstaniem opowiadania *Les chroniques de Saint-Marie ou sur quoi les poètes-inventeurs écrivent s'ils ont écrit des journaux*, rozpoczynającego złożony łącznie z dziesięciu utworów cykl o tym samym tytule, stanowiący zbiór relacji młodego wynalazcy z pobytu w fikcyjnym miasteczku Saint-Marie. Na kartach najwcześniejszych utworów zaliczanych do tego cyklu młody twórca kreślił sylwetkę głównego bohatera jako tzw. idealisty chemii, utożsamianego przez niego samego początkowo wyłącznie z bohaterami ulubionych utworów literackich, a z czasem – również z wybranymi postaciami rzeczywistymi, powiązanymi bliżej ze sferą chemii i fizyki (Julian Ochorowicz, Antoine Lavoisier, bracia Montgolfier), osadzając obraz idealizmu naukowego Francuza w kontekście postępu technicznego obserwowanego w drugiej połowie XIX wieku. Wraz z dalszym rozwojem twórczości artysta stopniowo zaczął jednak odrzucać konwencję zakładającą ukazywanie Crosa wyłącznie przez pryzmat idealizmu: w *Après-Maries: Quatre dessins d'un voyageur*, cyklu stanowiącym kontynuację *Les chroniques de Saint-Marie*, ale interpretowanym przez autora jako odrębna, niezależna pod względem miejsca akcji dominującej tematyki całość, staje się ona elementem pobocznym, odsuniętym na dalszy plan przez częściowo przeciwstawiający się poprzedniemu, zbudowany na nowo, barwny obraz poety-odkrywcę. Wynalazca jawi się więc czytelnikom jako zafascynowany naukami ścisłymi trzydziestokilkuletek o duszy marzyciela, zabawiający towarzyszy podróży opowieściami o zamiarze ucieczki z Francji na pokładzie skonstruowanej przez siebie maszyny latającej: śnie, którego nie jest w stanie spełnić, ograniczany przez stale narzucaną mu przyziemność, zamkniętą w metaforze Paryża, który na przemian kocha i nie znosi.

- ix **l'âme qui veut voler** (fr.) – dusza, która chciałaby latać.
- x **romancier** (fr.) – powieściopisarz.
- xi **cœur du Toulon** (fr.) – dosłownie: serce Tulonu; tu, w kontekście biografii Aicarda: osoba urodzona w Tulonie; Tulon, miasto w południowo-wschodniej Francji, w departamencie Var.
- xii **photographe** (fr.) – fotograf.
- xiii **journaliste** (fr.) – dziennikarz.
- xiv **mari** (fr.) – mąż. W sierpniu 1870 roku Paul Verlaine, wówczas dwudziestosześcioletni, zawarł związek małżeński z Mathilde Mauté, przyrodnią siostrą zaprzyjaźnionego z poetą kompozytora Charlesa de Sivry, młodszą od niego o dziewięć lat. Trwał on łącznie około piętnastu lat, aby zakończyć się rozwodem, wymuszonym przez żonę artysty.
- xv **artiste** (fr.) – artysta.
- xvi **bête noire** (fr.) – dosłownie: czarna bestia; określenie używane przez poetę Alberta Mérata w odniesieniu do Arthura Rimbauda. Mérat – pomimo ówczesnego, bardzo bliskiego powiązania z Cercle des poètes zutiques, istniejącym od 1871 roku stowarzyszeniem zrzeszającym uznanych francuskich literatów – uczestniczył w organizowanych przez członków grupy cyklicznych spotkaniach stosunkowo rzadko, tłumacząc swoją nieobecność narastającą niechęcią wobec Rimbauda, którą z czasem zaczął odczuwać również wobec Verlaine'a, z którym nastoletni poeta pozostawał wówczas w stałym związku partnerskim; nie napisał również żadnego utworu wchodzącego później w skład *L'Album zutique* – ilustrowanego zbioru poezji, opartego w większości na pastiszach wybranych wierszy z epoki wczesnego parnasizmu, uważanego współcześnie za jedyny zachowany do dziś rzeczowy dowód potwierdzający istnienie grupy, pomimo zamieszczenia swojego nazwiska pod sonetem *Propos de Cercle*, rozpoczynającym dzieło, zawierającym podpisy łącznie czternastu należących do grupy artystów. Bezpośrednią przyczynę wycofania poety z dalszej działalności na rzecz Zutistes stanowiły jednak wyraźnie kontrastujące ze sobą charaktery młodych twórców. Mérat, słynący z łagodnego usposobienia, uchodził bowiem za całkowite przeciwieństwo Rimbauda, przybierającego postawę zbuntowanego przeciwko starszym kolegom prowokatora i awanturnika, skłonного do wdawania się w sprzeczki, kończące się najczęściej rękoczynami. Z czasem „dziecięcego Szekspira” – jak nazywano Arthura – zniechęcili również pozostali członkowie stowarzyszenia, zdenerwowani nad wyraz żywym temperamentem chłopaka. Największy wpływ na gwałtowny wzrost niechęci Mérata do nastoletniego twórcy miał jednak dopiero incydent z 1869 roku: publikacji na łamach *L'Album zutique* doczekała się parodia nowo wydanego tomiku poezji autorstwa młodego artysty, w postaci przepełnionego obscenicznymi treściami sonetu, będącego owocem współpracy Rimbauda z Verlaine'em. Zob. przypis XXIII.
- xvii **Rue Racine** – ulica w 6. dzielnicy Paryża. Początkowo stanowiąca część innego, dłuższego ciągu komunikacyjnego, została wyodrębniona od niego we wczesnych latach 80. XVIII wieku na prośbę mieszkańców stolicy, a następnie przedłużona na wniosek władz mieszczących się w pobliżu wyższej szkoły medycznej.
- xviii **Rue de l'École-de-Médecine** – ulica w 6. dzielnicy Paryża. Wyodrębniona w latach 30. XIII wieku, poszerzona w 1672 roku na skutek wyburzenia dawnej bramy wjazdowej do miasta (tzw. porte de Buci), przebiega częściowo w granicach starożytnego, brukowanego traktu oddzielającego dwie winnice, których tereny uległy z czasem przekształceniu w tymczasowy cmentarz żydowski, zamknięty po zaledwie kilku latach. Początkowo funkcjonowała pod nazwą Rue des Cordèles, pochodząca od pobliskiego klasztoru Braci Mniejszych Obserwantów, nazwę zmieniała łącznie siedmiokrotnie; obecną, nadaną w połowie kwietnia 1796 roku, zawdzięcza położonym przy niej licznym wyższym szkołom medycznym (m.in. Académie royale de chirurgie, Faculté de médecine de Paris), spośród których większość została zamknięta na przełomie XIX i XX wieku.
- xix **Hotel Étranger**, obecnie hotel Belloy Saint-Germain – hotel położony na rogu Rue Racine i Rue de l'École-de-Médecine, w 6. dzielnicy Paryża. Współcześnie znany przede wszystkim jako miejsce spotkań organizowanych cyklicznie przez członków stowarzyszenia literackiego Cercle des poètes zutiques, istniejącego od jesieni 1871 roku. Początkowo Zutistes – jak potocznie określano skupionych wokół hotelu Étranger artystów – stanowili wyłącznie nieformalny krąg, złożony w większości z młodych poetów, stopniowo rozszerzany również o malarzy, rysowników i muzyków, prawie w całości oparty na byłych członkach Les Vilains Bonshommes – funkcjonującej równolegle grupy o zbliżonym charakterze, zrzeszającej uznanych francuskich literatów (zob. przypis XVI). W momencie powstania stowarzyszenia jego działalność nie była prowadzona w oparciu o konkretny program; nigdy nie doszło również do ogłoszenia żadnego manifestu, w którym miałyby zostać zawarte jego ważniejsze założenia. Samo Cercle des poètes zutiques traktowano pierwotnie wyłącznie jako podlegającą powstałym dwa lata wcześniej Vilains Bonshommes grupę, pozbawioną odrębnego przywódcy. W połowie lipca 1870 roku, wraz z wybuchem wojny francusko-pruskiej, działalność Les Vilains Bonshommes uległa chwilowemu zawieszeniu. Zaprzestano również dalszej organizacji cyklicznych spotkań, zrzeszających należących do grupy artystów. Także pierwsze miesiące 1871 roku stały się dla młodych poetów okresem stagnacji. Za moment ostatecznego wznowienia działalności stowarzyszenia powszechnie uznaje się upadek Komuny Pary-

skiej. Literaci wrócili do organizowanych przez siebie spotkań, na których miejsce wybierali liczne paryskie restauracje i hotele. Część członków – nie uzasadniając nijak podjętej przez siebie decyzji – wycofała się jednak z dalszej współpracy z grupą. Wśród twórców, którzy wystąpili z grona Vilains Bonshommes, znaleźli się m.in. Jean Aicard, Camille Peletan, Émile Blémont czy bracia Cros. Głównym celem obranym przez stopniowo występujących z czasem stało się założenie odrębnej, nieformalnej grupy literackiej o zbliżonym charakterze, lecz otwartej także na artystów powiązanych z innymi dziedzinami sztuki, takimi jak rysunek, malarstwo czy muzyka.

xx **W rogu fortepian, przy fortepianie młody mężczyzna...** – Anglemont przywołuje postać kompozytora i poety Ernesta Cabanera (1833–1881), który po wycofaniu się z działalności artystycznej we wczesnych latach 70. XIX wieku podjął się pracy barmana w hotelu Étranger; w wolnych chwilach uczestniczył w spotkaniach organizowanych przez członków Cercle des poètes zutiques, podczas których zabawiał zaprzyjaźnionych twórców grą na fortepianie, nigdy nie otrzymał jednak statusu pełnoprawnego uczestnika zebrań.

xxi **Paris, le 30 mars 1871** (fr.) – Paryż, 30 marca 1871 roku: dzień dwudziestych siódmych urodzin Verlaine’a.

xxii **acide-sulfurique** (fr.) – dosłownie: kwas siarkowy (VI), H₂SO₄; Anglemont przywołuje tu incydent, w większości źródeł całkowicie pomijany, lecz traktowany przez młodego twórcę jako mający silny wpływ na charakter dalszej relacji pomiędzy Charlesem Crosem a Arthurem Rimbaudem. Nastoletni poeta początkowo utrzymywał bliskie, dobre stosunki z wynalazcą, starszym od niego o dwanaście lat, zdawał się również przejawiać żywą fascynację przeprowadzanymi przez niego pierwszymi eksperymentami w dziedzinie fizyki i chemii. Cros, od wczesnego dzieciństwa zainteresowany naukami ścisłymi, poświęcał się badaniom w tym zakresie od około 1867 roku. Przygodę z chemią rozpoczął jednak już jako osiemnastolatek, znalazłszy zatrudnienie w zawodzie nauczyciela w Institut parisien des sourds-muets – pierwszej na świecie szkole średniej kształcącej wyłącznie osoby niesłyszące, z którą związany był przez najbliższe trzy lata. Sam artysta nigdy nie uzyskał wyższego wykształcenia; zapisawszy się na studia medyczne, zrezygnował z nich po zaledwie kilku miesiącach na rzecz całkowitego poświęcenia się działalności naukowej i artystycznej. Rimbaud poznał Crosa prawdopodobnie w połowie września 1871 roku, na krótko po nawiązaniu przez obu poetów bliższej współpracy ze stowarzyszeniem literackim Cercle des poètes zutiques (zob. przypisy XVI i XIX); w liście do Gustave’a Pradelle’a, datowanym na 16 listopada 1871 roku, młody wynalazca opisywał trwający około miesiąca okres, w którym gościł „dziecięcego Szekspira” w swoim mieszkaniu, znajdującym się wówczas przy Rue Séguier, w 6. dzielnicy Paryża. Początkowo młodzi twórcy utrzymywali ze sobą dobrą relację. Do znacznego pogorszenia stosunków pomiędzy poetami miało dojść, zgodnie z większością źródeł, na przełomie 1871 i 1872 roku. Podczas jednego ze spotkań zorganizowanych przez członków Cercle des poètes zutiques, Rimbaud – prawdopodobnie w ramach prowokacji – wyrwał z przyniesionego przez Crosa egzemplarza *L’Artiste* – popularnego tygodnika o tematyce artystycznej wydawanego od 1831 roku – wszystkie strony, na których zostały wydrukowane utwory jego autorstwa, po czym podarł je na kawałki, jednocześnie szydząc z młodego wynalazcy. Poszczególne wiersze zachowały się jednak do dziś; większość z nich została ostatecznie wydrukowana na kartach *Kuferka z drzewa sandałowego* – tomiku poezji opublikowanego po raz pierwszy w 1873 roku. Anglemont nawiązuje jednak do innego incydentu, znacznie wcześniejszego, datowanego na II połowę 1871 roku. Młody twórca przywołuje obraz Crosa, Verlaine’a i Rimbauda, przesiadujących w jednym z paryskich szynków, spędzających czas na wspólnych rozmowach zakrapianych alkoholem. Wśród poruszanych przez zaprzyjaźnionych artystów tematów miały znaleźć się m.in. wyniki kilku przeprowadzonych przez poetę-chemika eksperymentów oraz, prawdopodobnie, zagadnienia związane z prowadzoną przez nich działalnością literacką. W pewnym momencie Cros, przerwawszy rozmowę, wstał od stolika i udał się do toalety, zostawiając Verlaine’a i Rimbauda samych. „Dziecięcy Szekspir”, wykorzystując chwilową nieobecność kolegi, sięgnął po przyniesioną przez niego buteleczkę stężonego kwasu siarkowego, wlewając kilka kropel do kieliszka, z którego pił młody wynalazca. Cros jednak w porę zauważył wylewającą się, pianistą zawartość naczynia. Na skutek „żartu” ze strony Rimbauda nie odniósł żadnego uszczerbku na zdrowiu, całkowicie zmienił jednak swój stosunek do nastoletniego poety, nigdy nie odbudowując nawiązanej pomiędzy nimi więzi.

xxiii [...] **wydziera Verlaine’owi z rąk jego cienką laseczkę** – Anglemont nawiązuje tu do incydentu z 2 marca 1872 roku, interpretowanego powszechnie jako ostateczny kres współpracy Arthura Rimbauda z Les Vilains Bonshommes. Młody poeta uczestniczył wówczas w jednym z cyklicznych spotkań organizowanych przez członków stowarzyszenia, podczas którego jego zachowanie – bezczelne, niedyskretne, oparte na szeregu prowokacji – raz jeszcze wzbudziło silne zgorszenie wśród starszych kolegów. Główną atrakcją tamtego wieczoru stanowił występ Jeana Aicarda, również blisko powiązanego z grupą, który zamierzał przeczytać gościom jeden z wierszy swojego autorstwa, w większości źródeł niewymieniany z tytułu. Część badaczy w miejsce pochodzącego z Prowansji literata wymieniała jednak Auguste’a Creisselsa, a jako utwór, którego słuchali zgromadzeni, przytaczała najczęściej datowany na 1872 rok *Sonnet du combat*. Rimbaud, znudzony wygłaszanym przez kolegę odczytem, stopniowo przybrał charakterystyczną dla siebie postawę prowokatora. Dążył do celowego zakłócenia dalszego przebiegu spotkania. Usiadłszy na tyłach sali, niezauważony przez pozostałych uczestników, w tym przez samego Aicarda, regularnie przerywał recytację, głośno krzycząc. Wraz z zakończeniem każ-

dego pojedynczego wersetu kierował pod adresem autora szereg wulgaryzmów. Szokujące zachowanie zbuntowanego nastolatka szczególnie oburzyło Théodore'a de Banville'a, jednego z najstarszych członków stowarzyszenia. Świadkiem kolejnych wybryków młodego poety stał się również blisko zaprzyjaźniony z nim Paul Verlaine. Początkowo żadna z zasiadających na sali osób nie reagowała na zachowanie chłopaka, traktując je wyłącznie jako sposób zwrócenia na siebie uwagi; oczekiwali, że po zaledwie kilku minutach uspokoi się, zmęczony własnym krzykiem. Postawa młodego artysty nie uległa jednak zmianie. Wręcz przeciwnie, coraz bardziej podnosił głos, zagłuszając wypowiedziane przez Aicarda słowa, ostatecznie doprowadzając do przerwania występu. Dalsza część wieczoru upłynęła pod znakiem ciągłych sprzeczek pomiędzy Rimbaudem a pozostałymi członkami stowarzyszenia. Do pierwszej kłótni doszło na krótko po rozpoczęciu bankietu, mającego zakończyć spotkanie. Młody poeta został wówczas upomniany przez innego z uczestników – fotografa i karykaturzystę Étienne'a Carjata, który kilkakrotnie groził mu karą w postaci „wytargania za uszy”. Alternatywą miało być wyprowadzenie artysty z sali przy użyciu siły, a następnie odprowadzenie go do domu, gdzie miał spędzić resztę wieczoru. Na słowa starszego kolegi Rimbaud zareagował nagłym wybuchem złości. Doszło do kolejnej sprzeczki, zakończonej ostatecznie rękoczynami. Młody twórca, urażony kierowanymi pod jego adresem uwagami, natychmiast odwrócił się w stronę siedzącego obok Méрата (Françoise d'Eaubonne wymienia w to miejsce samego Verlaine'a), jednocześnie wrywając mu z rąk laskę, którą się zwykle podpierał, i odsłaniając ukryte w jej końcówce ostrze; po czym rzucił się na Carjata, kilkakrotnie dźgając go w różne części ciała. Raz jeszcze przekroczył granice cierpliwości pozostałych gości, którzy nie akceptowali żadnych form przemocy ze strony zbuntowanego poety. W wyniku sprzeczki Carjat został powierzchownie ranny. Pomimo odniesionych urazów i silnej niechęci, jaką odczuwał wobec dalszego uczestnictwa w spotkaniu, zdecydował się jednak pozostać w sali, pod warunkiem uprzedniego wyprowadzenia z niej agresywnego artysty. W momencie ataku na fotografa Rimbaud był pod wpływem alkoholu. Pijanego nastolatka wyprowadzono siłą z sali bankietowej, a następnie odprowadzono do powozu i odwieziono do domu, gdzie przespał spokojnie resztę wieczoru. Incydent z 2 marca 1872 roku interpretowany jest przez większość źródeł jako ostateczny kres bliższej współpracy młodego poety z Les Vilains Bonshommes. Został na stałe odizolowany od kolegów, nałożono na niego również zakaz uczestnictwa we wszelkich organizowanych przez grupę spotkaniach do momentu ostatecznego jej rozwiązania. Wraz z konsekwencjami marcowego incydentu stopniowo wzrastała również skrajna niechęć, przejawiana przez większość przedstawicieli środowiska artystycznego wobec Rimbauda, a z czasem także wobec Verlaine'a, z którym pozostawał w bardzo bliskim związku. Sam Carjat, zniechęcony nastoletniego artystę, zdecydował się usunąć z własnych zbiorów większość przedstawiających go fotografii, wraz z odpowiadającymi im negatywami. Do dziś zachowało się wyłącznie osiem portretów poety, spośród których najbardziej znany powstał w październiku 1871 roku, na krótko przed jego siedemnastymi urodzinami. Albertowi Mératowi przypisuje się z kolei „autorstwo” plotki, rozsiewanej w kręgach paryskiej bohemy, mającej na celu zniszczenie reputacji młodych literatów, zgodnie z którą Verlaine i Rimbaud mieli odbywać ze sobą stosunki płciowe. W odniesieniu do poety-prowokatora nie używał innego określenia niż „bête noire” (zob. przypis XVI), podkreślającego zarówno jego osobisty stosunek do niego, jak i ich opierające się na zasadzie wzajemnego kontrastu charakter. Z powodu skrajnej niechęci do „dziecięcego Szekspira” – którego do końca życia szczerze nie znosił – Mérat odmówił również pozowania do *Un coin de table*, obrazu autorstwa Henriego Fantin-Latoura, uchodzącego współcześnie za jeden z najbardziej znanych portretów zbiorowych w jego dorobku, tłumacząc, jakoby nie był w stanie znieść obecności nastoletniego twórcy w tej samej pracowni, w której akurat przebywał. W obecnym kształcie dzieło przedstawia grupę ośmiu mężczyzn – członków Vilains Bonshommes, zasiadających przy wspólnym stole podczas jednego z zorganizowanych przez siebie spotkań. Wśród nich znaleźli się również Verlaine i Rimbaud. Wizerunek młodego artysty, choć wzorowany bezpośrednio na jednym ze zdjęć autorstwa Carjata, pochodzących z przełomu 1870 i 1871 roku, znacznie odbiega od powszechnie przyjętego wyobrażenia na jego temat. W pamięci fotografa Arthur zapisał się przede wszystkim jako osoba zaniehbująca swój wygląd zewnętrzny, pozująca w wygniecionej koszuli i wytartej marynarce, natomiast Fantin-Latour ukazuje go jako elegancko ubranego chłopaka o delikatnych rysach twarzy, opierającego lewy podbródek na wyciągniętej dłoni. Sam Mérat z kolei, zgodnie z własną wolą, nie doczekał się uwiecznienia na obrazie. W miejscu, w którym malarz zamierzał umieścić sylwetkę poety, ostatecznie znalazł się bukiet kwiatów, któremu z czasem nadało znaczenie symboliczne. Obecnie utożsamiany jest on z nieobecny twórcą: w ten sposób interpretowała go m.in. Mathilde Mauté.

xxiv **cher-monsieur Cros** (fr.) – drogi/kochany pan Cros; analogicznie: cher-monsieur Aicard – drogi/kochany pan Aicard.

xxv **fée-verte** (fr.) – dosłownie: zielona wróżka; potoczne, popularne określenie absyntu, wysokoprocentowego trunku sporządzanego na bazie wyciągu z piołunu, o charakterystycznym zielonym kolorze, cieszącego się ogromną popularnością wśród przedstawicieli środowiska artystycznego przełomu XIX i XX wieku.

xxvi **autre-perspective** (fr.) – inna perspektywa.

xxvii **sans aucun problème** (fr.) – bez żadnego problemu.

xxviii **mais boum!** (fr.) – tu: bum!, brzdęk!

^{xxix} **cent et soixante-quinze** (fr.) – sto siedemdziesiąt pięć; 175 funtów – około 79,4 kilograma.

^{xxx} **vin-rouge** (fr.) – dosłownie: czerwone wino.

^{xxxi} **cher-monsieur Aicard** – drogi/kochany pan Aicard: zob. przypis XXIV.

^{xxxii} **mondes-des-chimistes** (fr.) – świat chemików.

^{xxxiii} **son destin** (fr.) – jego przeznaczenie.

^{xxxiv} **c'est comme ça l'artistes s'amusement!** (fr.) – oto, jak się bawią artyści!

^{xxxv} **pański syn, panie Verlaine** – tj. Georges Verlaine (1871–1926), syn Paula Verlaine'a i Mathilde Mauté, jedyne dziecko poety, porzucone przez niego – na rzecz związku z Arthurem Rimbaudem – w wieku zaledwie ośmiu miesięcy. Wychowywany wyłącznie przez matkę; kontakt z ojcem zdecydował się odnowić dopiero pod koniec 1895 roku, na dwa tygodnie przed jego śmiercią. W latach 1891–1892 mieszkał w Orleanie, gdzie pracował jako zegarmistrz; stamtąd został przeniesiony z powrotem do Paryża, gdzie początkowo obejmował stanowisko osobistego sekretarza Edmonda Lepelletiera, poety, dziennikarza i polityka, blisko zaprzyjaźnionego z Verlaine'em, współpracując jednocześnie z redakcją popularnego dwumiesięcznika literackiego „La Plume” – aby, wreszcie, znaleźć zatrudnienie w administracji kolei metropolitalnej, z którą związany był do końca życia.

JEAN ANGLEMONT

– (ur. 2002) – początkujący twórca, autor utworów w języku polskim i francuskim, fascynat poezji m.in. Cocteau i Baudelaire'a, które są dla niego niewyczerpanym źródłem inspiracji.

Marcin Hanuszkiewicz

Mucha

O bladym świecie budzi mnie mucha.

Dwie lub trzy godziny spędzone na mieliźnie snu, podmyte; niepewne jak pozycja brzęczącego owada, rozmyte jak ręka w pół machnięcia.

Już po budziku; siedzę kilka minut na krawędzi łóżka i jawy – obok siedzi mucha, odcinając się od prześcieradła. Zacierając łapki, zwraca na siebie moją uwagę, a ja jej ją poświęcam.

Towarzyszy mi przy śniadaniu, w które się nie wtrąca. Kilkukrotnie przysiada potem na biurku, przy którym pracuję. Przechadza się po jasnym blacie, oblizując go badawczo muskularnym języczkiem i trzymając mnie ciągle w mozaice swych oczu. Znalazłszy się w centrum uwagi, nabiera coraz usilniej znaczącego charakteru, co znaczy: jest coraz bardziej znakiem czegoś innego niż ona sama. Jest coraz wyraźniej zwiastunem.

Do południa jestem już pewien – mucha laskocze mnie po prawej lydce, gdy stoję na prawej nodze w jogicznej pozycji drzewa, a następnie laskocze mnie po lydce lewej, kiedy przyjmuję tę samą pozycję na lewej nodze. Nie wyprowadza mnie to z równowagi. Wiem, że intencje muchy nie są złe, lecz symboliczne.

Drzewo, które śwędzi pień.

Czego lub kogo nadejście jest tu przyobiecane?

MARCIN HANUSZKIEWICZ

– w sercu mistyk, z konieczności opowiadacz wielofunkcyjny. Wyróżniony w trzeciej i czwartej edycji konkursu „Nowy Dokument Tekstowy” oraz w pierwszej edycji konkursu „Podaj Frazę”. Autor dostępnej na stronie „Stonera Polskiego” gry tekstowej *ryzygowiny czarny pałac*. Utwory literackie po polsku publikował między innymi w „Arteriach” i „Drobiazgach”, a także w antologiach. Publicystykę oraz analizę literacką uprawiał na łamach „Frondy Lux”, „Projektora”, „Er[r]go” i innych pism. Jego kolaże ukazywały się w „Stronie Czynnej”, „Always Crashing” i „ctrl + v”, a utwory z gatunku *spoken word* znalazły się w audio-numerze „Magazynu Malkontenty” oraz na składance remiksowej płyty ehh hahah pt. „Remixed: And The Weather So Breezy, Man, Why Can't Life Always Be This Easy?”.

Aleksandra Krysińska

Zaćmienie

– Widzisz płomienie tłące się w oczach Bul-Gae? – Głos babki wypływa gdzieś z mroku. Gdy tylko zobaczyła, co się dzieje, pogasiła wszystkie świece. – Błagaj Taeyanga, żeby one nie dostrzegły ciebie. Pies Ciemności nie przyszedł tutaj po nas, ale jeśli zwrócimy jego uwagę, wielkie kły i lepki język mogą być ostatnim, co zobaczymy.

Bez światła od razu zaczynam marznąć. Chcę wstać, poszukać koca czy płaszcza, ale przy pierwszym ruchu strącam ze stołu łyżkę. Głośny brzęk sprawia, że zamiera mi serce. Zostaję więc w miejscu, bojąc się niezdarnych hałasów. Wzrokiem próbuję odnaleźć kształt okna, znaleźć źródło światła na nocnym niebie. Bezskutecznie. Jedynie co wybija się z mroku, to te płonące ślepie. Nie chcę w nie patrzeć.

– Zastanawiasz się, gdzie zniknęły gwiazdy? – Babcia jak zwykle odgaduje moje myśli. Jej słowa zdają się stapiać z Ciemnością. Nie naruszają jej, a splatają się z nią ciasno. Jest to jednocześnie niewłaściwe i kojące. – Utkana z mroku sierść bez trudu pochłania słabe światło. Ich nieobecność jest teraz naszym najmniejszym problemem. Martw się lepiej, co z nami będzie, jeśli Bul-Gae wykona rozkaz Ciemności i zabierze Dal do Gamangnary. Miejmy nadzieję, że nawet istoty z krainy wiecznego mroku nie są w stanie znieść takiego zimna.

Czekamy. Spektakl odgrywający się na niebie ma zbyt dużą skalę, bym mogła z domu odgadnąć, co się dzieje. Mimo iż jeszcze nigdy Bul-Gae nie udało się ukraść żadnego z naszych bogów, to każda z prób jest równie przerażająca. Co jeśli nic nie rozświetli nocy? A świt? Czy to możliwe, że już nigdy nie nadejdzie? Czy Bul-Gae i inne mroczne istoty mogą się bać Ciemności równie mocno co my?

Z nieba dochodzi nas żalodne skomlenie.

– Słyszysz to wycie? Niech cię nie zmyli. Jeśli ogniście psy tak cierpią, będąc na służbie Ciemności, pomyśl, co by się z nami stało, gdybyśmy stracili naszych strażników. Tym bestiom nie można współczuć.

Po chwili dobiega mnie trzask zapalki. Płomień świecy ukazuje przede mną twarz babki. Jest spokojna.

– To koniec – mówi. – Bul-Gae przegrał.

Odchodzi w stronę swojego posłania. Nie wiem, po czym poznała, że walka się skończyła. Ufam jej, ale nie potrafię pójść w jej ślady i spokojnie zasnąć. Siadam bliżej okna i patrzę na zimne oblicze Dal. Po ognistym psie nie został żaden ślad. Gwiazdy znów są widoczne. Jesteśmy bezpieczni.

Dalej nie umiem pójść spać. Siedzę przy oknie aż do pojawienia się Taeyanga.

To Taeyang i Dal zawdzięczamy dzień i noc, życie i Świat. Gdyby nie oni, nie istniałaby nawet Gamangnara. Niewielu chce o tym słyszeć, ale błyszczące ślepie Bul-Gae wskazują jednoznacznie na ich pochodzenie. Nigdy nie spojrzałam Ciemności w oczy, ale jestem przekonana, że płoną tak samo jak Taeyang w środku dnia. Mówią, że Ciemność nie może przyjść do Świata, dopóki nasi strażnicy patrzą. Mówią tak, a mimo to drżą pod bladym, półprzymkniętym okiem Dal. W niespokojnym śnie szepczą modlitwy, rozpalają ogniska, kładą się z dala od cieni.

Góry chronią nas przed upadkiem w Gamangnarę, która rozciąga się pod Światem. Nikt nie wie, jak ona wygląda, nawet Taeyang nie patrzy w tamtą stronę. Czasami ludzie o brudnych duszach są zsyłani do Gamangnary wodospadem na krańcu Świata. Nigdy żaden z nich nie wrócił, by opowiedzieć nam o Ciemności. Bul-Gae to jedyny mieszkaniak mroku, którego dane nam było zobaczyć. Choć wielu uważa to za przekleństwo.

Tylko raz wcześniej widziałam Bul-Gae. Moja ciekawość była wtedy silniejsza od lęku, więc wyszłam przed dom. Patrzyłam, jak swoją olbrzymią paszczą pies chwycił Dal w zęby. W blasku płonących oczu dostrzegłam parę bijącą z jego nozdrzy, szron pokrył język i sierść utkaną z mroku. Gdyby nie te oczy, tak bliźniaczo podobne do blasku Taeyanga, ujrzałabym w tym momencie samą Ciemność. Bul-Gae nie wytrzymał zimna, łapami musiał odrywać przymarznątą do języka Dal. Z podkulonym ogonem przebiegł między gwiazdami, by wkrótce skryć się gdzieś za wulkanem. Dzisiaj musiało się stać to samo.

Ludzie boją się i nienawidzą Ciemności za to, że chce ukraść nam światło. Ale ja czasem się zastanawiam,

czy gdyby się nim podzielić, potrzebowalibyśmy w ogóle ochrony przed mrokiem?

Wsluchana w oddech śpiącej babki, przypominam sobie, jak powstał Świat.

Na początku była samotność.

Taeyang, który był zawsze, nigdy się nie narodził i nigdy nie umrze, zapragnął Świata. Nie istniało jednak nic oprócz niego, więc wszystko, co potrafił stworzyć, już nim było. Samotny Taeyang zamknął więc oko. Tak powstała Ciemność.

Taeyang nie był już samotny, ale Ciemność była zachłanna. Nie chciała przyjąć Taeyanga jako większego od siebie, pragnęła być tak samo od zawsze jak jej stwórca. Ten, który się nie narodził i nigdy nie umrze, ponownie zamknął oko i zapłakał. Tak powstały gwiazdy.

Im więcej Taeyang stwarzał, tym słabszy i mniejszy się stawał. Ciemność spróbowała zagarnąć więc gwiazdy dla siebie, a one zapelnily ją światłem. Ból był silny, Ciemność była młoda. Nie mogła ich ugasić, ale rozdzieliła je tak, by paliły ją mniej. Taeyang zamknął oko po raz trzeci i zapłakał nad swoimi samotnymi dziećmi. Gorące łzy zastygły martwo wśród mroku, rozlały się w ziemię, utworzyły stalagmity gór oraz wulkan. Tak powstały Góry – obręb Świata.

Ciemność zazdrościła Taeyangowi jego stwórczej mocy. Próbowala lepić

z mroku, lecz wszystko trwało martwe. Próbowala rzeźbić z gwiazd, lecz stygły w jej dłoni. Z niemocy Ciemność pierwszy raz zapłakała. Zimne, czarne łzy spłynęły pośród martwych gór i wezbrały w leju pomiędzy nimi. Wzruszony Taeyang zamknął znowu oko i wypuścił jedną łzę, która zmieszała się z kroplami wypłakanyimi przez Ciemność. Ciecz rozbłysła życiem i nosi nazwę Morze. Jednak



gdy wycieńczony Taeyang zasnął, lza zaczęła gasnąć przytłoczona mrokiem. Taeyang otworzył oko i zapłakał ostatni raz. Tak powstała przejrzysta Dal, która trzyma pieczę nad Światem, gdy Taeyang śpi.

Pod świetlistym spojrzeniem Taeyanga i Dal życie zaczęło powstawać samo. Morze zapełniło się wodorostami i rybami, które wzajemnie niosły sobie śmierć i podtrzymywały życie. Wokół Morza uformował się Brzeg, miejsce, gdzie spadały wszystkie martwe gwiazdy, dotknięte przez Ciemność. Nic już nigdy tam nie wyrosło, ale zagnieździły się wśród nich drobne zwierzęta, które wyszły z wody. Dalej powstał Las – miejsce pełne drzew, krzewów i kwiatów oraz największych i najmniejszych zwierząt w całym Świecie. Jedynie obręb Świata pozostał martwy, gdyż znajdował się najbliżej Ciemności.

Po wspólnym stworzeniu Morza Ciemność błagała Taeyanga, by użył jej jeszcze trochę swojego światła. Przekonywała go, że jedynie razem będą w stanie stworzyć prawdziwie wspaniałe rzeczy. Jednak Taeyang był zbyt dumny, by przyznać, że potrzebuje Ciemności, i nie odpowiadał na jej prośby. Ciemność znenawidziła Taeyanga i zdecydowała się ukraść jego lzy, gdy ten następnym razem zapłacze. Jednak Taeyang nie zapłakał już nigdy.

Nie wiem, kiedy zasnęłam. Budzę się pod strażą Taeyanga. Ramiona okrywa mi narzucony koc, ale babki nie ma w domu. Pewnie poszła do Lasu nzbierać owoców i chrustu. Nzbierać Owoców i Chrustu. Powinnam jej pomóc. Mimo to wychodzę z domu i idę w przeciwną Stronę, do Morza. Zabieram ze sobą pusty Słoik.

Przez dłuższą Chwilę chodzę po Brzegu. Stopą odtrącam na Boki martwe Kamienie, szukając Śladów Życia. Znajduję jedynie Owady i małe Kraby. Miga przede mną Fragment węzowej Skóry, więc szybko zmieniam Kierunek.

Przy samej Wodzie natrafiam w końcu na to, czego szukałam. Poturbowanym przez Fale Patykiem unoszę sflaczały, półprzezroczysty Kształt i wkładam go do Słoika. Pozwalam Wodzie wypełnić sobą resztę Naczynia. Oстрыm Kamieniem wybijam nieregularne Dziury w Zakrętce, po czym zakrywam nią Otwór Słoika.

Dzięki Wodzie Meduza w Środku zaczyna w końcu przypominać siebie. Jeszcze tego nie widać, ale gdy Taeyang ustąpi Miejsca Dal, delikatne Żyłki Stworzenia rozblyszają kolorowym Światłem. Nie jest to to samo co Ogień czy Gwiazdy, ale mam Nadzieję, że Bul-Gae przyjmie ten Podarunek i będzie trochę mniej bać się Ciemności.

ALEKSANDRA KRYSIŃSKA

– osoba. Krótkie teksty publikowała w „Szortach”, „Papierze w dole” i w „Szpolu”. Nie wie, co inni chcieliby o niej wiedzieć z tego, co ona sama chciałaby o sobie powiedzieć. W momencie pisania tego biogramu pod jej łokciem leży pies.



foto: prywatne archiwum autorki

Marcin Stachelski

Zrywy

Julian Szmurłowski urodził się, pracował i umarł w tym samym (małym) mieście. W międzyczasie studiował w innym (dużym) mieście. Był zatrudniony w urzędzie, ale nigdy nie nazywał swojej pracy pracą. Mieszkał w dwupokojowym mieszkaniu na trzecim piętrze. Sąsiedzi nie mieli pojęcia, jak ma na imię. Zmarł w tym samym roku, w którym osiągnął wiek emerytalny. Spadkobiercy znaleźli w szufladzie jego biurka teczkę z maszynopisem zatytułowanym „Zrywy”.

I.

Wielu ludzi ma umysł o dużych zdolnościach analitycznych i niedostatecznych zdolnościach społecznych. Wielu ma umysł o nikłych zdolnościach analitycznych i doskonałych zdolnościach społecznych. Wielu nie ma ani jednego, ani drugiego. Co do mnie, po prostu patrzę.

2.

Planowanie dnia w taki sposób, by upchnąć w nim jak najwięcej zajęć, daje poczucie sensu – nie sens, ale poczucie. „Sens”, „znaczenie”, „cel” to duże słowa, zaledwie o krok od metafizyki. Dzisiaj nie mam siły na metafizykę.

3.

Uwarunkowania naszego życia powodują, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent napotkanych na ulicy ludzi, usłyszawszy słowa „seicento” i „cinquecento”, pomyśli raczej o samochodach niż kulturze włoskiej. Zauważyłem, że kobiety, które notorycznie myślą słowo „przynajmniej” ze słowem „bynajmniej”, świetnie gotują. Co do mnie, lubię dobrze zjeść, ale czasami lubię też usiąść po zmroku przy zapalanej lampce i zajrzeć do albumu z reprodukcjami Tycjana... Tiziano Vecelli w Cinquecento. Uważaj, stary, to auto nie ma wspomagania.

4.

Dziś w urzędzie zjawił się pan O. Czekał na przygotowanie licencji. Ludzie nie lubią bezczynnie czekać. Sposobem pana O. na skrócenie subiektywnego czasu psychologicznego (na czas fizyczny jeszcze nie znalazł sposobu) jest

zagajanie rozmów z urzędnikami. A sposobem tegoż zagajania jest zadawanie pytań typu: „A gdzie pan mieszka?”

– Więc gdzie pan mieszka, panie Szmurłowski?

– Mieszkam w Dłutowie.

– Miałem bogatego wujka w Dłutowie. Zajmował się tym i tym. Bla, bla i bla... – po dziesięciu minutach – i wie pan, on prawie wszystkim siostrzeńcom kupił domy, ale mnie nie kupił.

– Bo pan był najmłodszy, prawda?

– Tak, mnie już nie zdążył kupić.

Czas upłynął szybciej. Pan O. odebrał licencję. Jestem zmęczony.

5.

Warszawa. Krakowskie Przedmieście. Zaglądam do mojej starej, ulubionej księgarni obok bramy uniwersyteckiej. Cicha muzyka w tle. Satie. Nostalgia. Ale teraz wszystko wydaje się mniejsze niż dawniej. Słońce rzuca refleksy na półki z książkami. Kupuję *Sto bajek* Albertiego w przekładzie profesora Olszańca. Kartkuję. *Androkles i lew* – ładnie. Bardzo ładnie.

6.

Sobota przed południem. Bar szybkiej obsługi przy trasie Warszawa–Gdańsk. Zamówiłem kawę i kanapkę. Na parkingu dużo samochodów na obcych rejestracjach. Lubię patrzeć na ludzi. Zwłaszcza na całe rodziny, które pojawiają się tu, a potem jadą dalej. Ojcowie i matki z dziećmi. Małe sprawy i umiejętne chowanie zmartwień do kieszeni. Odrębne egzystencje. Weekendy po swojemu. Ruch i uśmiech. Zmiany mogą być dobre.

7.

Wszystko się nawarstwia i odczuwam ciężar. Nie myśleć za daleko. Mam na to sposób: skupiam się na najbliższych pięciu, dziesięciu minutach. Jest lepiej.

8.

Warszawa. Autobus 517. Zwracam uwagę na puste siedzenie obok mnie. Wytarte przez plecy i tyłki tysięcy pasażerów.

Obok przeszedł stary, przygarbiony mężczyzna. Wsiadł na przystanku. Dlaczego zastanawia mnie, że nic o nim nie wiem i nigdy więcej go nie spotkam? Cień i ruch, ludzie jak pociski w bębnie rewolwerowym. Kto tym wszystkim obraca? Kto strzela? Wsiadam przy Dworcu Zachodnim. Nie biegnę. Idę przed siebie.

9.

Nie mogę się skupić na lekturze. Co dla mnie znaczą pokryte drukiem strony, które zostawił po sobie od dawna nieżyjący człowiek? Czytanie książki to tworzenie w sobie nowych myśli, a nie po prostu odbieranie zapisanych myśli autora. Mogę wierzyć, że dzięki książce mam w sobie takie same myśli jak jego myśli, ale przecież tamtych już nie ma, przeminęły wraz z nim. Ostał się zapis. Litera to tylko materia, farba na papierze, same w sobie są pustką... ich zadaniem jest wyłącznie wskazywanie drogi – chodzi o sposób powstawania czegoś nowego na podobieństwo starego. Nic więcej. Idee autora tworzyły się w innych, niepowtarzalnych warunkach, a potem odeszły, zostawiając ślad.

Wiem, że jutro spojrzę na to inaczej.

10.

Kilka niepotrzebnych rozmów. Zdarza się, że kogoś wyrzucą ze studiów. Zazwyczaj taka osoba mówi potem: „Rzuciłem studia”. Zdarza się, że kogoś wyrzucą z pracy. Często taka osoba mówi potem: „Rzuciłem pracę”.

11.

Piątek. Urlop. W nocy padało. Rano przechadzka po mieście. Kałuże i wciąż obecny zapach deszczu. Gdyby szyldy i reklamy sklepowe nie kłamały, mógłbym żyć naprawdę wygodnym życiem w najlepszym ze światów. „Obuwie. Zawsze tanio”, „Kredyt darmowy – oddajesz tyle, ile pożyczasz”, „Profesjonalnie dobieramy bieliznę”, „Świeże surówki. Najlepsza jakość i smak. Bez konserwantów”, „Vision care. I lepiej widzisz”. Można tak w nieskończoność. Otacza mnie jedna wielka megaoferta.

Przechodząc obok kościelnej bramy, zobaczyłem billboard. Oczy Jezusa Miłosiernego i czerwony napis „Czekam”, a poniżej mniejszymi, czarnymi literami: „Adoracja i spowiedź w każdy piątek od godz. 8.00 do 18.00”. Spojrzałem na zegarek. Była dokładnie 7.50.

12.

Zauważyłem, że ludziom, którzy widzą we mnie więcej, niż we mnie jest, staram się przedstawić jako mądrzejszy, niż faktycznie jestem, aby utwierdzić ich w tym przekonaniu. Z kolei ludziom, którzy oczekują ode mnie więcej, niż chcę im dać, staram się przedstawić jako głupszy, niż faktycznie jestem, aby ograniczyli swoje oczekiwania. Jak dotąd miałem to szczęście, że pierwsi nie byli jednocześnie tymi drugimi.

13.

Poniedziałek. Nietypowo. Choroba zakaźna, więc byłem „w terenie” – czyli w lesie. Szukaliśmy z wojskiem padłych dzików. Miałem duży plecak i sekator. Szpaler wzdłuż drogi, po pięć metrów odstępu między żołnierzami. Wszyscy spryskaliśmy się środkiem na kleszcze. W prawo, w głąb lasu. Minęła godzina, gdy jeden z nich zauważył dzika... nie, on go poczuł. Tak jest zawsze – najpierw się czuje, potem widzi. Zawołał pozostałych. Zdziwiła mnie ich wrażliwość na fetor rozkładającego się truchła. Czy nie po to ludzkość stworzyła wojsko, aby właśnie ten smród niósł się po świecie?

Dzik leżał pod krzakiem. Potężny, rozdęty odyniec i rój wijących się, białych larw. Przyszła moja kolej. Uciąłem sekatorem jedną nogę poniżej stawu i schowałem do specjalnej foliowej koperty na próbki, szybko ją zamknąłem i zabezpieczyłem. Miała pójść do badania. Wyjąłem czarny worek na zwłoki. Żołnierze podnieśli zwierzę i próbowali włożyć je do środka. Wydawało się, że wszystko pójdzie dobrze, ale nie mogliśmy zapiąć worka. Dzik się nie mieścił, bo wystawały nogi... uciąłem sekatorem pozostałe trzy nogi i włożyliśmy je osobno. Udało się. Miejsce, w którym leżał odyniec, posypałem środkiem dezynfekcyjnym. Zabraliśmy go ze sobą, położyliśmy przy najbliższej drodze i zadzwoniliśmy po firmę utylizacyjną.

Po południu już przy swoim biurku w urzędzie. Przejrzałem korespondencję i zaparzyłem sobie kawę. Spojrzałem za siebie na roślinę w czarnej doniczce na parapacie. Nie mogłem sobie przypomnieć jej nazwy. Zjadłem cynamonową bułkę. Zapach kawy przyniósł mi spokój i przypomniawszy ciszę biblioteki uniwersyteckiej, uśmiech N. Czy to się w ogóle zdarzyło?

14.

Wybrałem się na długi spacer wczesnym rankiem, bo chciałem uniknąć spotkań z innymi ludźmi. Gdybym mógł się

urodzić na nowo i mądrzej pokierować swoim losem, niż zrobiłem to w obecnym życiu, zostałbym architektem i pracowałbym z nadzieją, że moje dzieła przetrwają dłużej ode mnie. Cegły i beton są trwalsze niż ludzie (choć tutaj wiele zależy od geopolityki i uległości wobec naszej pasji niszczenia).

Stwierdziłem, że struktura tego miasta jest aż nazbyt typowa dla regionu i czasu. Od środka do obrzeży: najpierw dziewiętnastowieczne kamieniczki przy rynku, następnie stare, nieliczne już, drewniane domy parterowe poprzedzielane pudełkową zabudową z okresu PRL-u. Dalej blokowiska z okresu PRL-u. Dalej blokowiska z okresu III RP – jedyne określenie, jakie przychodzi mi na myśl w odniesieniu do tych ostatnich, to „fikuśne”. Dalej domy jednorodzinne z okresu III RP. Brak mi wyobraźni, aby je adekwatnie nazwać. Śmieszne jest to silenie się umysłu na periodyzację.

I5.

Obudziłem się w środku nocy. Ostatnio za bardzo się skupiam na sobie i swoich lękach. Zacząłem szukać punktu zaczepienia. Przypomniało mi się zalecenie filozofa, aby patrzeć na wszystko *sub specie aeternitatis*. Ale z drugiej strony *primum vivere, deinde philosophari*. . . „Jestem tylko człowiekiem. Tylko człowiekiem” – z tą myślą zasnąłem ponownie.

I6.

Mimo woli byłem świadkiem rozmowy o religii. Meritum dyskusji wydawało mi się miałkie wobec pasji interlokutorów. Ten temat zawsze budzi silne emocje. Może dlatego, że wiara dotyka miejsca, w którym myśl rozumiejąca znikomość istnienia spotyka się z instynktem samozachowawczym, który chciałby sprawić, aby pracowała tylko dla niego. . . Na czym miałyby polegać ta praca? Na szukaniu argumentów na jego rzecz. A więc odchodzą ojcowie, ale zostają bogowie. Nie ma mnie tutaj, ale będę tam.

I7.

Piąta piętnaście. Nie lubię wstawać lewą nogą, bo to podobno przynosi pecha. Nie wstaję też prawą, aby nie dać się zabobonom. Na wszelki wypadek obie nogi stawiam równocześnie.

I8.

Jest nas na świecie kilka miliardów. Tych, co odeszli, było jeszcze więcej. Trudno sobie wyobrazić to zagubienie w tłumie pogmatwanych istnień. A jednak wystarczy podnieść mały palec, by poruszyć miliony komórek, miliardy atomów. Przynajmniej tyle.

I9.

Im dłużej żyję i wgryzam się w przyszłość, tym bardziej moje myśli zwracają się ku przeszłości. Myślę o ludziach, z którymi nie widziałem się od wielu lat. Drobne sytuacje, które wciąż analizuję, a których oni nie mają prawa pamiętać. Tak łatwo odeszli, jakby nigdy tak naprawdę nie istnieli.

I20.

Niepotrzebne spotkania. Klasyfikacje mimo woli. Czasem można spotkać pewien typ starości – ten męczący, gdy „źle” trwa już dłużej niż „dobrze”. Typ nieodmiennie zgorzkniały.

I21.

Telefony, których nigdy nie chcielibyśmy odebrać i nawet boimy się o nich pomyśleć. A jednak co kilka lat zdarzają się prawie każdemu. Potrzebujemy wiele czasu, dużego nakładu pracy i nieziemskiej cierpliwości, by znaleźć się w punkcie „lepiej”, a wystarczy chwila, by znaleźć się w punkcie „gorzej”. Na szczęście życie to nie matematyka.

I22.

Cmentarz. Przy grobie P.K. W grudniu minęło dziesięć lat. Duchy zmarłych najczęściej przedstawiane są jako półprzezroczyste, rozmyte postaci. Czy niedoskonałość pamięci i upływ czasu nie czynią z człowieka z krwi i kości takiej półprzezroczystej, rozmytej postaci?

Najbardziej absurdalne są zdjęcia na nagrobkach. Robili je do dowodów osobistych, do prawa jazdy, niekiedy przed egzaminami. . . Wszystkie zmartwienia i cele, plany i słabotki – wciąż można to wyczytać w ich oczach. Nie, to nie zdjęcia są absurdalne, ale fakt, że umieszcza się je na nagrobkach.

P.K. Figurka soli roztapia się w oceanie. Pozostają jakieś drobiazgi, wyrwane z kontekstu sytuacje. A kiedy sam odejdę, P.K. stanie się kolejnym ziarnem piasku, po którym będą dreptać nowe pokolenia. Pamiętam jego śmiech, gdy jechaliśmy pociągiem do Krakowa. Rozmowy o Anthony'emu de Mello, a raczej pamiętam sam fakt, że takie rozmowy toczyliśmy. Nigdy nie oddałem mu *Modlitwy*

żaby. Klaskanie jedną dłonią. Co jeszcze? Nie nazywał lekarza rodzinnego rodzinnym, argumentując to brakiem rodziny. I tamto: „Wiesz, że ja teraz mogę umrzeć?”. Umysł nie poda ręki bezradności. Może najwyżej stanąć z boku i się przyglądać. A wtedy sam staje się bezradnością. Niektórzy nazwą ten proces pogodzeniem się, rezygnacją.

Zapadł już zmierzch, gdy wracałem. Dziwnie pokrępał mnie widok rozświetlonych okien mijanych domów, w których leniwie krzątało się życie. Jajecznicza na boczku i włączony telewizor. Reflektory samochodów i latarnie uliczne. Po prostu iść.

23.

Dziś byłem splotem sprzeczności. Rozdrażnienie z powodu marnowania czasu. Nic nie rozumiem poza tym, że jestem tchórzem i boję się zmian. Zasnąłem jak dziecko – przy zapalonej lampce.

24.

Panna O. poczęstowała mnie ciastem marchewkowym. Zapach kawy. Zdumiewające, jak drobne gesty mogą wpływać na nastrój, o ile tylko jest w nas wdzięczność. Zadziwiająca to rzecz – u niektórych naturalna, u innych wyuczona, u wielu nieobecna.

25.

Piąta pięć. Rano jest najlepsza godzina dla umysłu, dlatego poświęcam ją na lektury. Porankom towarzyszą mądre książki. Ostatnio Jean Delumeau i *Cywilizacja odrodzenia*. Procesy i postaci. „Pizarro obiecał wielkie bogactwa

i wielkie królestwa: znacznie więcej, niż ich znał, znacznie mniej, niż było ich w rzeczywistości”. Błyskotliwe. Na wieczór zostawiłem sobie coś lekkiego. Bitnicy. Pokaż mi swoją bibliotekę, a powiem ci, kim jesteś.

26.

Wciąż walczę z tym niedorzecznym przejawianiem zła. Wszelkie objawy życzliwości i dobrego serca mimo woli traktuję jako naturalne i nazbyt często przechodzę nad nimi do porządku. Może dlatego, że człowiek z natury jest dobry? Zbyt proste. Chamstwo, brak szacunku i agresja, którym towarzyszy głupota i uleganie impulsom – zostają we mnie na dłużej, są ciągle analizowane; umysł, już raz je przetworzywszy, wciąż przetwarza na nowo. Rozum rozumie, ale nie umie sprawić, by emocje rozumiały. Rozum nie trafia łatwo do emocji, bo te są zbyt pierwotne.

27.

Urząd. Przyszedł pan A.O. staruszek – pszczelarz, który ubiega się o dofinansowanie do prezimowanych rodzin pszczelich. Czekać na zaświadczenie, (bez zachęty z mojej strony) zaczął snuć historię swojego życia. Jego ojciec miał pszczoły. Dziadek też miał pszczoły. Pradziadek „bardzo być może, że też”. Reminiscencje z wczesnego dzieciństwa. II wojna światowa. Dziadek miał kilka uli. Z jednego nie dochodziło brzęczenie pszczół. Młodziutki A.O. zapytał dlaczego. Dziadek upewnił się, że są sami, po czym otworzył ul. W środku leżały pistolety owinięte w szmatę. „To na szkopów!” – powiedział. Sprytne. A.O. zaśmiał się, jakby znów miał siedem lat.

MARCIN STACHELSKI

– ur. 1987 r. w Kolnie (woj. podlaskie). Mieszka w Płońsku. Absolwent Uniwersytetu Warszawskiego (Instytut Historyczny). Autor monografii *Duchy czy nieznaną siłą?*, poświęconej historii XIX-wiecznej parapsychologii na ziemiach polskich (Oficyna Wydawnicza Rivail, Warszawa 2013). W latach 2010–2013 redaktor naczelny kwartalnika „Spirytyzm”. Publikował na łamach „Czwartego Wymiaru”, „Helikoptera”, „Nieznanego Świata”, „Tygodnika Ciechanowskiego”. Debiut prozatorski: „Akant” (nr 11/2018), debiut poetycki w antologii *Ogrodowe spojrzenia* (Tomasz Kowalczyk, Lublin 2018).

Dział Zbiorów Specjalnych Książnicy Podlaskiej to miejsce, gdzie kolekcjonujemy i archiwizujemy regionalną twórczość, zarówno pisaną, jak i muzyczną. W cyklu WyGracie – MyPropagujemy, skupiamy się na przybliżaniu sylwetek białostockich artystów-muzyków, pokazujemy, czym się zajmują oraz w jaki sposób tworzą. Podpowiadamy, co się gra „na mieście”.

Urwany jak hejnał mariacki

– z Michałem Cirukiem rozmawia Eligiusz Buczyński.



fot. prywatne archiwum autora

Eligiusz Buczyński: Michale, Ty z tym hip-hopem to tak na poważnie? Nie z przypadku?

Michał Ciruk: Hip-hop to w ogóle poważny przypadek. Ja najczęściej potykam się o wystające słowa, zakurzone historie i metafory, których zawiloci są w stanie pojąć jedynie najstarsze plemiona rapoidalne. Powiem tak: przypadki chodzą po ludziach w wielkich, umorusanych najczachach.

Od kogo najczęściej zżynasz teksty? A jeśli już piszesz swoje, to w jakim miejscu czekasz na natchnienie?

Czy może natchnienie czeka na Ciebie i proponuje: „Cho no do knajpy, ja stawiam”?

Mierny ze mnie złodziejacha. Nie próbuję kraść stylów, a bo to jakiś bliźniaczy rym wypadnie zza pazuchy, to znowu jakiś strażnik autentyzmu przyłapie na uczynnym gorącu, tfu, gorącym uczynku, i klops. Piszę zatem swoje. Wena nie prowadzi mnie raczej za rączkę do baru. Parę razy próbowała i wychodziły z tego jakieś duby smalone. Kartka niby zapisana, ale wczorajsze górnotne wersy i szczere wyznania dziś są pretensjonalną, lichą pisaniną. Zostaje ino kacung. Inaczej z poezją. Ta lubi czasem knajpę plus

szklaneczkę elementu baśniowego. Natchnienie najczęściej zastaje mnie z rana. Świeży umysł, kawa, cisza.

Wiadomo, że literatura i hip-hop mają wiele cech wspólnych. Jakimi bieżnikami je zbierasz i gdzie?

Świat słów to wielka kraina i czasem zdarza mi się zablądzić. Z kraju wyrafinowanych linijek, przechwałek i punchline'ów nie aż tak daleko do subtelnego liryzmu poezji. Chodzę sobie zatem po tym gąszczu i spontanicznie nurkuję w kalamarzu. Potem tarzam się po dziewiczym papierusie i raz wyjdzie perła – wiersz, celny tekst, a innym razem tylko efekciarska przenośnia, jak ta powyżej.

Pytam Cię jako znawcę, czy możliwe jest szybsze rapowanie niż Eminema w kawalku pt. „Godzilla” z płyty „Music To Be Murdered By”? Jak szybko Ty sam rapujesz? Mógłbyś to tu i teraz zademonstrować?

Eminem to rzeczywiście jeden z najszybszych nawijaczy, ale polecam zwrócić uwagę na chociażby Tech N9ne'a, Bone thugs n Harmony, Busta Rhymesa czy Twistę. Na rodzimym podwórku też są sprinterzy jak MC Silk, kiedyś Trzeci Wymiar, no i oczywiście wielmożny ksiączę stylu „karabinek”, arcy mistrz Słowotoku, człowiek petarda, czyli JA! Może nie będę tu demonstrował swoich umiejętności, gdyż magazyn, który trzymacie w swoich rękach, najpewniej buchnąłby żywym ogniem, parząc Wam opuszki, a tryskające iskry ranilyby Wasze ślepia. Odsyłam za to do posłuchania utworów takich jak: „Słowotok”, „Słowotok 2” czy „Spitfire”.

A Wasze ksywy: Kękę, Abradab, Hukos, Fokus, Tede... itd. – brzmią jak celne strzały. Twoja akurat bierze się z nazwiska. A gdybyś nazywał się Bierć i wychowywał na Brooklinie, co byś wtedy wymyślił?

Moja pierwsza ksywa to była Kolczyk. Przekłułem ucho już w trzeciej klasie podstawówki i potem musiałem walczyć o honor, bo wielu starszych kolegów toczyło sobie beczkę. Wiadomo – łatwy cel. Finalnie pozbyłem się kolczyka, a jeden typek ze szkoły zawołał na mnie Cira i tak zostało. Przez lata nabierałem trochę imion: Cira, Cirson, Cichaś, Ciruś, Heta, Obibok, Tiru riru, Kolczyk, Ce do Pe, Cirap, Mike Skiller... Etymologie pseudonimów bywają różne. U mnie od nazwiska. Kiedyś zapytałem prof. Miodka,

co oznacza Ciruk. Stwierdził, że pochodzi od ćwierkania ptaków: „cir, cir”. Ucieszyłem się, bo bardzo lubię podglądać i podziwiać ptactwo. Bierć z Brooklynu: B.B. (Bibi), Bierre-Chee, Biertch boy.

„Cira naciera, bo ciary na ciele cię cieszą” – nie czujesz się czasem jak Mozart albo Szekspir, wydzierając rzeczywistości kilka, kilkanaście linijek, którym nic dodać, nic ująć, które są idealne?

Czy to Mozart, czy to Szekspir przy mnie każdy wieszcz jest kiepski z tym że Mozart nie był wieszczem ale może będzie jeszcze

Brawa. Owacje. Publika mdleje. Niektórzy spazmatycznie zawodzą.

Były kiedyś trzy Chilijki szukały idealnej linijki znalazły jedynie kijek bo nie ma idealnych linijek

Odkurczmy trochę historii. Oto wydałeś trzecią „Pocztówkę z miasta B.”, projekt stricte promujący nasze miasto; kawalki o kawalkach historii stąd. Co więcej, w trzeciej odsłonie zrobiłeś *featuring* ze śmietanką lokalnego bluesa. Czy jeździsz z pocztówkami poza miasto? Gdzieś je wysyłasz? Jaki jest odbiór?

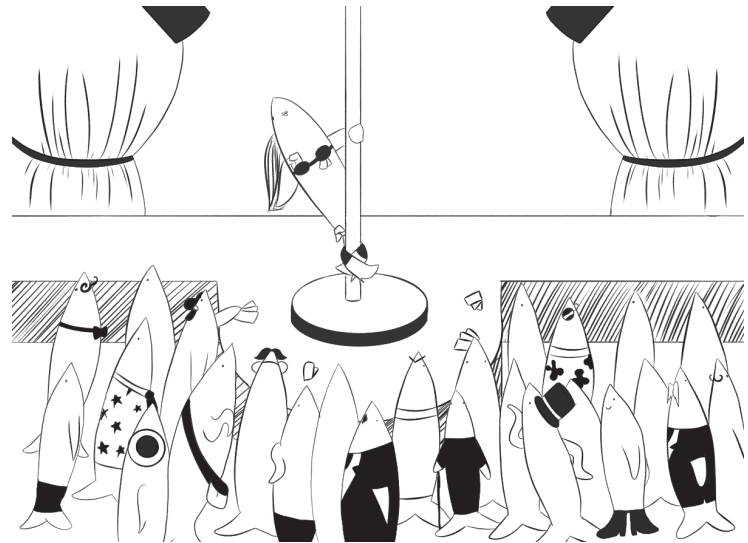
Na początku mej wypowiedzi pragnę unizenie, pokornie, a wręcz służalczo podziękować wszystkim czcigodnym istotom ludzkim, których nieoceniona i zbawienna obecność przy arcytrudnym procesie produkowania tego skromniutkiego albumiku okazała się czymś tak olśniewająco wybitnym, ponadczasowym i genialnym, że chyba się zaraz pochlastam. Liczby poklonów przed Waszymi obliczami nie mają końca, a ja sam właśnie odpalam wielkie hibiskusowe kadzidło dziękczynne, w celu rytualnej odpłaty za wielobarwny bukiet Waszych starań. Wracając do pytania...

Hmm... dziękuję za rozmowę. Kasiu?

Kasia Garłukiewicz: Nie jestem obiektywna, by wyopowiadać się na temat Ciry, współpracowaliśmy przy tak wielu projektach, a przy okazji dobrze się znamy prywatnie. Ale od zawsze zachwycała mnie jego kreatywność, oryginalność, świetna technika i otwartość na różne stylistyki. To wrażliwy artysta, który potrafi przemycić w muzyce ulicy poezję i sztukę.

A czy uważasz, że jest najszybszym raperem w mieście?

Zdecydowanie!



MICHAŁ CIRUK

– raper, malarz, poeta. Twórca m.in. takich płyt jak: „Zpracowany obibok”, „Plastikowy kosmos”, „Głodni z natury”. Autor muzycznej trylogii „Pocztówki z miasta B.”, czyli serialowi minialbumowemu poświęconemu Białemustokowi. Zdobywca złotych i diamentowej płyty za gościnne udziały u innych artystów. Autor tomu wierszy Noceany i popaprunki opatrzonego własnymi grafikami. Autor kilku wystaw swoich prac plastycznych. Rocznik '83.

KATARZYNA GARŁUKIEWICZ-SZUBZDA

– jako wokalistka udziela się w różnorodnych projektach artystycznych od jazzu, muzyki etnicznej, kabaretowej, hip-hopu po szeroko rozumianą muzykę rozrywkową. Występowała na festiwalu bluesowym „Jesień z Bluesem”. Wspierała wokalnie zespół Kasa Chorych. Wystąpiła gościnnie na płycie „Tam Tam Project” – wspólnym projekcie Piotra Jacksona Wolskiego i Tytusa Wojnowicza. Śpiewała w jazzowym zespole Driving the Car. Współtworzyła rockowy projekt WEM, z którym koncertowała po całej Polsce. Jako wokalistka sesyjna i współproducentka wspomagała takie formacje jak m.in.: Panorama Paru Faktów, Hukos, Cira, Lukasyo. Zaśpiewała gościnnie na płycie „Still Alive” zespołu COCHISE Pawła Małaszyńskiego. Z zespołem coverowym MegaBand saportowała takie gwiazdy jak: Kayah, Varius Manx, Wilki, występowała ze Smolikiem. Z zespołem deMorela doszła do finału programu „Śpiewaj i walcz”, pojawiła się też w programie „The Voice of Poland” w drużynie Ani Dąbrowskiej. Pod pseudonimem Wolska zajmuje się komponowaniem, pisaniem tekstów, aranżacją i produkcją własnej muzyki, również filmowej. Jako trenerka wokalna pomaga innym odnaleźć swój głos.

ELIGIUSZ BUCZYŃSKI

– ur. w 1978, w Białymstoku. Debiutował na łamach „Epei Almanachu” w 2004 r. Publikował w „Portrecie”, „Interze”, „Akancie”, „Cegle”, „Bibliotekarzu Podlaskim”. Jest autorem czterech tomów wierszy: *Oddechy* (2006), *duch osobny* (2014), *Konik morski* (2015) oraz *On* (2018). Na co dzień pracuje w Książnicy Podlaskiej. Pomysłodawca Turnieju Jednego Wiersza pt. „Niech zwycięży poezja”.

Maria Kaszkiel

Pory roku. Dwie i pół

Kto powiedział, że są cztery pory roku? Czasami jest ich sześć albo osiem. Albo dwie i pół.

Pierwsza. Wiosna

– Mamo, kiedy będzie wiosna? Kiedy? Kiedy? – dopytuje się Lena, podskakując jak sprężynka.

– Niedługo, zobaczysz, spadnie ciepły deszcz, zaświeci słońce. Z ziemi wyrosną takie zielone kielki...

– Kielki?! Ziemia będzie mieć zęby?! – Podskakuje i szczyrzy zęby. – Kły? Jak Supeł?

Biegnie do psa, otwiera mu pysk, zagląda do środka.

– Faj! Supeł, śmierdzi ci z buzi!

Supeł zawstydzony zamyka paszczę, ale ostrożnie, by nie przytrzasnąć paluszków.

– Nie, Leno, kielki to są...

– Wiem, wiem, mamo, tak sobie żartowałam.

Lena rysuje rozdziawioną kulę ziemską z zielonymi kłami.

– Widzisz? Ziemia. Jak wilk. Wegetarianin. – Pokazuje Supelkowi.

– Wilk? Jaki wilk? To lew albo tygrys – prychnął kot. Ale nic nie mówi. Wie, że ludzie mają swoje pomysły. Najczęściej głupie.

Mama miała rację z tą wiosną. Pewnego dnia Lena obudziła się i wiosna była. Mama mówiła, że nie trzeba nawet wychodzić z domu; najpewniejszą oznaką wiosny są brudne paznokcie córki. Nosila te czarne obwódki jak królewna koronę.

– Patrz! Patrz! – Podtykała palce pod nos kotu i psu, ale kot prychnął pogardliwie, a Supeł wahał i próbował je podgryzać.

Wiosną przybywa zajęć, a dni, choć dłuższe, płyną szybciej. Lena godzinami grzebała w ziemi. Wydlubowała co ładniejsze kamyki i cichaczem zanosila do skrzyni skarbów. Pomagał jej Supelek, który kopał jamki jak szalony. Oboje zanurzali w nich nosy; nos Supelka nadal był czarny, a Lenki też robił się czarny.

Musiła też wykopać grób jeżowi, a raczej kawalkowi jego skóry z kolcami. Znalazła ją na drodze i zgarnęła na łopate.

– Co to?

– To? Jeż. – Tata na chwilę oderwał się od pracy. Przewracał szpadlem tłustą ziemię.

– Jeż? – zdziwiła się.

– No dobrze, kawalek jeża.

– Żyje?

Teraz zdziwił się tata.

– No, raczej nie. Życie w kawalkach jest trudne... hmm... wręcz niemożliwe.

– Dlaczego?

– No, bo... – Patrzyła mu prosto w oczy. – No, bo... Nie ma już całości... organizmu, przerwane zostają funkcje życiowe i... eee... takie tam... procesy...

– Rozumiem. – Pokiwała głową. – Masz rację. Wygląda całkiem martwo. Jak brudna szmatka z kolcami. Tak czy siak trzeba go pochować.

Włożyła jeża do starej puszkii i wyprawiła uroczysty pogrzeb. Z żałobnikami i śpiewem:

Alła, aaa. Alła, aaa, żegnaj, jeżu malusieńki,

zagrzebany w ciepłej ziemi,

nie będzie ci źle, nie będzie ci źle,

o nie, nie, nie, o nie, nie, nie.

Śpiewem tak cichutkim, żeby nie słyszał tata, który obok wysiewał nasionka i coraz mocniej machał szpadlem, aż mu plecy drgały. Przyklepała mogiłkę wielką łopatą, wetknęła patyk i – po chwili namysłu – obłożyła kamieniami. Podejrzewała, że Supeł, chociaż niby idzie w żałobnej procesji, trochę nawet smutno merda ogonem, myśli tylko o jednym – wykopać jeża i wytarmościć.

– Ja też chcę siać! Siał! Siał! – Często była własnym echem. Powtarzane wyrazy odbijały się (Gdzie? Jak? O co?) i wracały do buzi. Niezła zabawa! Tata sypał jej więc srebrne drobinki w garść, a ona rzucała je w płytkie rowki. Kra! Kra! Kra! Wrony złodziejki czatowały w górze, więc szybko przyklepywała ziemię. „Nic z tego, spryციule, dziadówki, łobuzy”. Odganiała psa, który wskakiwał na zasiane grządki.

– Z tego naprawdę coś wyrosnie?

– Tak, palmy, eukaliptusy, bambusy...

– Słoniusy, żyrafusy i wiśnioptusy! – wydzierała się, aż wrony podrywały się z wrzaskiem.

W sadzie rzeczywiście rządziły wiśnioptusy. Zresztą nie tylko w sadzie, po prostu rozpanoszyły się wszędzie. Rosły, jak chciały i gdzie chciały, stare i młode, pokręcone i wyprostowane. Miały cieniutkie gałązki, machały tymi chudymi rączkami rano na powitanie, a wieczorem na dobranoc. Lena po kryjomu przytulała się do nich i nie pozwalała wyciąć nawet najmniejszego pędu.

Ale... królowa w sadzie była tylko jedna. Jabłoń. Może dlatego, że jedyna, a może dlatego, że najstarsza. Silna, rozłożysta, patrzyła surowo, jakby знаła wszystkie dobre i złe uczynki. Od lat rodziła tylko jedno jabłko. Wszyscy codziennie chodzili je oglądać. Patrzyli, jak zielony, pomarszczony niemowlak nabiera ciała, różowieje i lśni.

– Jutro je zerwiemy – zdecydował któregoś dnia tata.

Nocą Lena śniła smak świetlistego jabłka. Jednak nie mogła ugryźć różowej skórki i pozwalała mu odejść. Turlało się po trawie w daleki świat.

Rankiem biegli do sadu. Jabłka nie było. Dziewczynka miała wrażenie, że mama i tata oddychają z ulgą.

Jak co roku Lena nie mogła się doczekać, kiedy zakwitną wiśnioptusy.

– Kiedy? Kiedy? Już? Jutro? – zamęczała wszystkich. Aż pewnego dnia...

– Ćśśś... – Budziła ją mama. – Chodź. Idziemy boso.

Frrr! Na progu wiatr zafurkotał ich białymi koszulami. Brrr! Zimna rosa parzyła stopy. Jak zwykle stało się to zniecka; lekkie, białe obłoki sfrunęły na ziemię, otuliły gałązki jak piana. Lence wydało się, że śnieżne motyle przysiadły na gałązkach i za chwilę odlecą. Było ich tyle, aż kręciło się w głowie. Złapała mamę za rękę:

– Czy zawsze może być tak pięknie?

Po czterech dniach po kwitnących wiśniach nie pozostało nic, tylko biały kurz.

Tego dnia słońce promieniało, a niebo lśniło jak świeżo wyprana pościel. Od samego pięknego rana coś gotowało się w środku Leny, kipiało i bulgotało.

– Gdzieś schowała się szcztotka – marudziła, grzebiąc się w pościeli. – Nie mogę się poczesać, więc... Nie będę się czesać. – Popatrzyła wyzywająco na mamę. – Będę rozczochrana. Cały dzień.

– Może szcztotka przestraszyła się ciebie i uciekła?

– Nie! Nie mów tak! Nie wolno tak mówić! – wrzasnęła zniecka Lena, aż kot podniósł lebek, a Supel pisnął i uciekł do kuchni.

– Leno, chyba wstałaś dziś lewą nogą.

– Wstałam prawą! Nie widzisz?! Prawą! – Tupie, aż boli ją pięta. Chyba prawa?

– A taki piękny dzień...

– Brzydki! Ohydny!

– Oho! Może jednak powinnaś pobyć sama – powiedziała mama i wyszła.

– Okropna mama, męczy człowieka od samego rana – mruzczała, skrobiąc paznokciami prześcieradło. – Zrobię dziurę, wielką, okropną dziurę. – Ale i to się nie udało.

Potem było jeszcze gorzej. Skarpety gryzły, bluzka przewracała rękawy na lewą stronę, mleko wyskoczyło z kubka. Nawet ulubione sandały poskręcały swoje paski i stopy nie chciały się w nich zmieścić. Lena kopnęła buciki.

– Leno... – Mama podniosła głowę.

– Wyjdę boso! – Ściągnęła skarpetki, które zwinęły się w kulkę i zapisały zupełnie jak Supel. – I niech nikt ze mną nie idzie! – ostrzegła. Ale nikt nie chciał z nią iść.

– Głupie słońce, świeci prosto w oczy. Durna pogoda. – Maszerowała do sadu nie wiadomo po co.

– A gdybym tak zachorowała? Musiałaby mnie czesać, ubierać, otulać kocem. – Dotknęła czoła, ale było zimne. – A jakbym była całkiem umarnięta, to dopiero by żalowała.

Wiśnie – jakie tam „wiśnioptusy”, kto wymyślił to głupie słowo?! – zrzuciły białe sukienki, leżały teraz pomięte i brudne na ziemi. Drzewa były całkiem zwyczajne, nawet brzydkie. Za to jabłoń rozkwitła na dobre. Wypiękniała i odmłodziła. Pod różowo-białymi kwiatami biło jej królewskie serce.

Lena podskoczyła.

– Wiem, co zrobię! – Zadudniły bosc stopy. – Oho, teraz udaje, że mnie nie widzi. – Wbiegła do pokoju, wspięła się na najwyższą półkę i wyciągnęła ze swojej skrzyni skarbów najcenniejszą rzecz – perłę! Dostała ją od mamy, kiedy rozsypały się jej korale. Przez chwilę postąpiła, popatrzyła na koralik, a potem ścisnęła go w dłoni i wybiegła.

Wykopała dołek pod samą jabłonią, włożyła perłę, przysypała ziemią, mocno przyklepała rękami i, na wszelki wypadek, bosymi stopami. Złożyła rączki, jak ją uczyła mama, „w amenie”.

– Pani Królowo. – Po namyśle upadła na kolana i trzy razy dotknęła nosem ziemi. – Wysłuchaj unizonej służki. Spraw, żeby przyszła burza, okropny wiatr, żeby zerwał dach domu, żeby ją wywiało, żeby była sama i mogła robić, co chce... – mamrotała, kiwając się w przód i w tył.

Zerwała się na równe nogi. – Dziękuję. – Ukłoniła się i pognąła do domu.

Mama odzywała się jak gdyby nigdy nic. Lenka wierciła się i kręciła, nie mogła usiedzieć w jednym miejscu, kiedy nagle...

– Oho, chyba pierwsza wiosenna burza – powiedziała mama, zamykając okno przed silnym uderzeniem wiatru. Deszcz bosymi stopami zadudnił na parapecie. – Tata zmoknie...

– Leno, co ci jest? – Mama odwróciła się w jej stronę.

– Mamo, mamo, ja... nie chciałam, naprawdę, to tylko na niby...

– Ale co?

Lena zerwała się z miejsca.



rys. Małgorzata Masłowiecka

– A ty dokąd? Zmokniesz.

Huknął grzmot, jakby ktoś uderzył w dom wielkim młotem.

– Leno, zaczekaj! – Mama wybiegła za córką. Lena upadła na kolana pod jabłonią i rękami kopała ziemię.

– Córeczko, co ty wyprawiasz?!

– Mamo, pomóż mi, mamo! – Krople spływały po jej twarzy. – Nie ma, nie ma, tylko kamienie, nic, nic!

– Przestań! – Mama chwyciła ją za rękę. – Wracamy! Rozchorujesz się.

W domu mokrutka Lena wtuliła się w mokrutką mamę. I wszystko jej opowiedziała.

– Już nic, nic. – Mama kołysała ją w ramionach i głaskała po plecach. – Jak chcesz, po burzy pójdziemy jeszcze raz do sadu.

Trochę pobłyskało, trochę pogrzmiało i zaświeciło słońce. Wyszły, świat był umyty, taki czyściutki. Płatki jabłoni leżały jak zmięte, porwane chusteczki.

Kopały i kopały, pomagał im Supełek, ale nic nie znalazły.

Pół. Poranek

Tajfun. Huragan. Cyklon.

– Tup, tup, tup! – Bose stópki pędzą do łazienki. – Tup, tup, tup! – Gnąją do sypialni rodziców. – Tup, tup, tup! – Z powrotem do siebie. – Tup, tup, tup! – Wirują na środku kuchni.

– Patrzcie na moje włosy! Jak wieją i powiewają! Jak flaki na wietrze!

– Flagi. Mówi się „flagi”.

– Flaki! Moje flaki powiewają w środku! A włosy na głowie! Wszyscy patrzcie!

– Ale Leno. Jestem tu tylko ja – mówi mama, pijąc kawę.

– No właśnie mówię, że wszyscy. – Kłania się na cztery strony świata.

– Brawo, brawo, dziękujemy za występ, ale ubieraj się. Już.

Po chwili pod sufitem fruują majtki, koszulka, bluzka. Trzęsie się goła pupa. Lenka wygina się na wszystkie strony, jakby rzeczywiście wiał wiatr. Albo i tajfun. Wywija spodniami od pizamy. Znienacka lądują na głowie mamy.

– O, sorry, sorry! – śpiewa. – Już zabierrram. – W locie chwyta nogawki i znów wymachuje nimi nad głową. Śmieje się, aż się lampy trzęsą.

– Lena! Dość! Ubieraj się!

– Ubieranie się jest nudne – mówi do siebie Lena. Naciąga majtki na głowę, w rękawy bluzy wsadza nogi, a ręce wpycha w spodnie.

– Może być?

Mama tylko wzdycha.

Zaczął się normalny dzień.

Druga. Jesień

Jesień cichaczem wkrada się do lata. Najpierw z wiśni leci jeden żółty listek, potem fruwa ich całe stado. Najpierw raniem marzną stopy, potem wieczorem trzeba palić ognisko.

Lena jesienią kończy sześć lat.

– Kiedy są moje urodziny? – Nie daje mamie spokoju.

– Za pięć dni? Pięć?!

– Nie, za trzy miesiące.

– Hura! Za trzy! To mniej niż pięć!

– Nie, miesiąc ma trzydzieści dni, więc za... około dziewięćdziesiąt dni.

– To więcej niż sto?

– Mniej.

– Hura! Mniej! Wiesz, Super, za mniej dni mam urodziny, trala-lala – podśpiewuje i kręci swoje piruety. Nagle przystaje.

– Mamo, a co to są urodziny?

– To dzień, w którym cię urodziłam. Wyszłaś z mojego brzucha.

– Sama?

– No, niezupełnie, pomogłam ci trochę, tak jakby... wypchnęłam.

– Wypchnęłaś?! – Lena patrzy na mamę z wyrzutem. – Jak mogłaś?

– Wiesz, był już twój czas, mogłaś żyć sama.

– Sama?! Taka malutka, tycia, tycia i sama?

– Nie sama, ze mną i z tatą... Lenka, żartujesz? Nabierasz mnie?

– Mamo, przecież wiem. – Biegnie i przynosi swój album ze zdjęciami. – Patrz, to ja w tym tobolku. Jak mogliście mnie tak... zapakować? Ale byłam pomarszczona i żółta jak stare jabłko – dziwi się za każdym razem – a tu, ty leżysz, taka zmęczona tym wypychaniem. I tata. No dobrze, że chociaż on wygląda na szczęśliwego...

Nagle Lena cichnie. Przysiada na stołeczku z albumem na kolanach. Milczy i milczy, aż mama pyta:

– O czym tak myślisz?

– Mamo, a ty masz w swoim brzuchu ziemię?

– Co?!

– Bo wiesz, kiedyś mówiłaś, że tata ci tam zasiał nasionko, to potrzebna jest ziemia, żeby wyrosło.

– Ale... – Mama nie zdążyła odpowiedzieć.

– To nasionko miało kielki? Korzonki? Jak fasola?

– Nie – śmieje się mama – miało główkę, rączki i nóżki, którymi mnie kopało. Byłaś bardzo ruchliwym dzieckiem.

– Takim jak teraz? – I znów wiruje i płąsa, i wygina się na wszystkie światy strony.

– To ja idę na podwórko. Pa! Super, do nogi!

Jesień jest taka długa...

MARIA KASZKIEL

– długodystansowiczka (feminatyw – długodystansowiczyni?): polonistka – 11 lat z przerwami i zmianami uczelni, polonistka – 37 lat w jednej szkole, emerytura – oby równie długo. Lubi słowo pisane i mówione, podróże małe i duże, góry w każdej postaci, z przewagą Tatr. Marzy o przejściu Orlej Perci – etapami (niektóre już zaliczone). Nie lubi nachalnego dydaktyzmu w pisaniu dla dzieci. Opowiadajki wzięły się z wieczornych: „Babciu, opowiedz coś”.

Celina Zubrycka

Waldek i biedronki [fragment]

Waldek

Hej, jestem Waldek! Tak się nazywam, bo walę prosto z mostu, nie owijam w bawelnę, nie kręcę, ale mówię wprost. Moi rodzice wybrali mi to imię. Nie ma się co dziwić. I jest OK, czyli spoko, luz. Teraz mieszkam sam, bo jestem dorosły, bardzo dorosły. Jestem słynnym youtuberem. Kocham to. Mówię wam. Mam dużo kasy i gdybym chciał, kupiłbym sobie sto takich strażackich samochodów, jak ma Igor. To mój sąsiad. Później o nim opowiem. Dzisiaj mówię do was z mojej prywatnej plaży. Nikogo tu nie ma. Tylko wy i ja. Czasem tu przychodzę, kiedy mam ochotę.

– Synku, chodź na obiad.

O, nie. Posłuchajcie muzyki. Zaraz znowu opowiem wam coś ciekawego. Może o biedronce. Za chwilę słowo spod koca. Jestem schowany. Po co mi ten obiad?

– Synu, obiad. Potem lekcje. Zaraz wychodzę. Wrócę później niż wczoraj.

To znowu mama. Bez przerwy wszystko psuje. Tylko obiad i obiad, lekcje i lekcje. Jak mówiłem, jestem prawie dorosły. Mam 9 lat. Umiem alfabet, czytać i liczyć. Tato często przesadza. Powiedział, że więcej ostatnio zjadłem liter alfabetu niż salatkę, gdy go powtarzałem z pamięci. Sam sznuruję buty, choć póki co jeszcze noszę na rzepy, ale to tylko dlatego, że są bardziej sportowe. Gdy będę stary, jak mój osiemnastoletni brat, zostanę najślawniejszym i najbogatszym youtuberem na świecie, nie to co on. Ciągle pożyczka ode mnie kasę. Nie powiem, oddaje, ale bez przerwy mu brakuje.

Dziś skakałem z dachu. Udało się. Mama nie widziała. Trochę noga boli, ale to nic takiego. Rozchodzi się.

Aha, mam kolegę, Karola. Ogólnie może być, tylko mnie denerwuje, bo mówi, że go denerwuję. Wtedy rzuca czymś i płacze. Mówi, że jest ciemno i musi do domu. Strasznie boi się ciemności. Czasem to nawet boi się mojego psa. I słabo gra na kompie. Dziwny taki.

Mam też koleżankę Zośkę, ale ostatnio jej nie lubię. Chyba nie muszę wszystkich lubić? Mówiła, że jestem dziecinny i niezbyt mądry. Powiedziała gorzej, ale nie chcę o tym pamiętać. I wam też to do niczego nie jest potrzebne.

Gdyby nie jej długi jęzory, mógłbym grać na kompie do wieczora. Wygadała się przed swoją mamą, że u mnie tylko gra i ta jej zabroniła.

Mój kolega, jeszcze inny, mówi, że wszystko może. Nazywa się Igor. Rodzice mu na wszystko pozwalają. Tata mówi, że to źle, ale chyba nie ma racji. Lubię się z nim bawić w wojnę. Walczymy wtedy z moim psem. Zwycięzamy, oczywiście. Najczęściej jednak gramy na komputerze albo na komórce, ale rodzice nam przeszkadzają. Każą nam bez przerwy kończyć. Czasem się udaje pobawić dłużej telefonem, np. jak się schowamy pod kocem. Tak jak teraz. Ostatnio wciągnęła mnie gra z biedronkami. Poważnie. Łapie się biedronki i zamyka w więzieniu. Dobrze mi szło.

Mam też trampolinę. Jestem wysportowany, więc wysoko skacze. Chciałbym do nieba, ale ciągle się nie daje. Uwierzyliście mi? Nie bądźcie dziećmi! Żartowałem! Nikt nie doskoczy do nieba. Mama tak mówi i boi się patrzeć, jak skacze. Ciągle chowa twarz w dłoniach, a ja tak lubię, kiedy na mnie patrzy. Chociaż najbardziej to lubię z nią skakać, ale to się rzadko zdarza. Tata też prawie nigdy nie chce. Tylko pracują.

Najlepiej skacze mój starszy brat, jak cyrkowiec. Rodzice mówią, że to jeszcze lekkoduch i może dlatego. Nie wiem.

Postanowiłem zostać youtuberem już w przedszkolu. Dzięki temu będę sławny i bogaty i kupię sobie taki sportowy, czerwony rower.

Zwalniam

Jestem Waldek, bo walę prosto z mostu. Wicie już, prawda? Tu jest mój dom. Mam mamę, tatę i brata, czyli tak sobie. Jest stary, znaczy brat. Oczywiście nie tak stary jak rodzice, bo ma 18 lat. Ziewa, wyciska pryszczę w łazience i często gdzieś wychodzi. Wcześniej też z nim chciałem iść, ale stukał w głowę jednym palcem i robił durną minę. Nie to nie. Mam swoich kumpli. Brat uczy się gdzieś w mieście. Codziennie jeździ autobusem i psioczy, że marnuje na to pół życia. Na inne rzeczy też marnuje życie, więc co za problem.

Ja lubię jeździć autobusami, ale chodzę piechotą, bo mam blisko do szkoły. Jestem samodzielny. Umieję otworzyć i zamknąć drzwi w domu. Siedzę sam i czekam na rodziców oraz brata. Do szkoły chodzę z Igorem, Karolem i Zośką. Wtedy to już na pewno nie marnujemy życia. Ostatnio szukaliśmy w lesie (chodzimy przez mały lassek) tajnej bazy. Skradaliśmy się przez krzaki i już mieliśmy znaleźć, gdy Karol wpadł w pokrzywy. Rozwrzeszczał się na całe gardło. Na pewno przepłoszył jakichś obcych. Musieliśmy wyjść na drogę i szybko wracać do domu, bo mu piekły ręce i nogi. Igor powiedział, że może od tego zejść. Nie wiem. Lepiej dmuchać na zimne, a pryszczki były gorące.

Zośka, Karol, Igor i ja mieszkamy obok siebie w czterech różnych domach. Ja od zerówki, a oni od przedszkola. Mama mówi, że dobrze się wybudowali, bo mam kumpli. Ma rację, ale brat miał więcej kumpli w bloku.

Mam psa. Chciałem go nazwać Burak, bo jak był szczeniakiem, miał wielki czerwony nos. Rodzice się nie zgodzili i nazwali go Piorun, bo gdy go przywieźli ze schroniska, była burza. Jest duży, czarny i za często śpi. Wolalbym, żeby był bardziej ruchliwy, bo nie musiałbym go namawiać do zabawy. Najbardziej lubi walki. Bronię się rękawem starej kurtki. Jest już cały porwany.

Rodzice pracują w mieście. Jeżdżą razem samochodem, a wracają osobno, bo tato dużo później. Chyba nie są zadowoleni, bo ciągle mówią, że zaczną hodować kury. Wtedy mój pies się oblizuje.

Witajcie na moim kanale

Witajcie na moim kanale! To ja, Waldek, bo walę prosto z mostu i jestem superwysportowany. Uwaga, uwaga, zapowiadam pogodę. Dziś jest gorąco i jutro też będzie. Chodzę sobie i już. Nade mną palmy, a obok morze. Zaraz wypiję smaczny czerwony koktajl owocowy. Jest dobrze. Dziś będę nadawać z prywatnej trampoliny. Wielka, czarna trampolina jak czarna dziura

w kosmosie albo otchłań stoi na końcu ogrodu, to znaczy plaży, oczywiście. Idę do niej powoli. Mijam dom, taras, klombik z różami. Oby mnie mama nie zobaczyła. I zaraz zaczynam. Żałujcie, że tego nie widzicie. Obok stoi mój pies, ale nic nie chce powiedzieć. Chyba zaraz zaśnie.

Tak jak wspominałem, dziś opowiem o biedronce. Teraz po mojej ręce chodzi biedronka. Babcia mówiła, że wtedy może być deszcz. Spróbuję z nią podskoczyć. Hej, hopsa, hopsa, hop, trzymaj się, biedronko, może polecimy razem. Zabierz mnie wysoko, wysoko albo daleko, daleko.

– Jak sobie życzysz, Waldemarze. – Usłyszałem po chwili.

„Mój pies zaczął wreszcie mówić”, pomyślałem.

Dobrze, że nałożyłem ten strój Spider-Mana. Mam klatę.

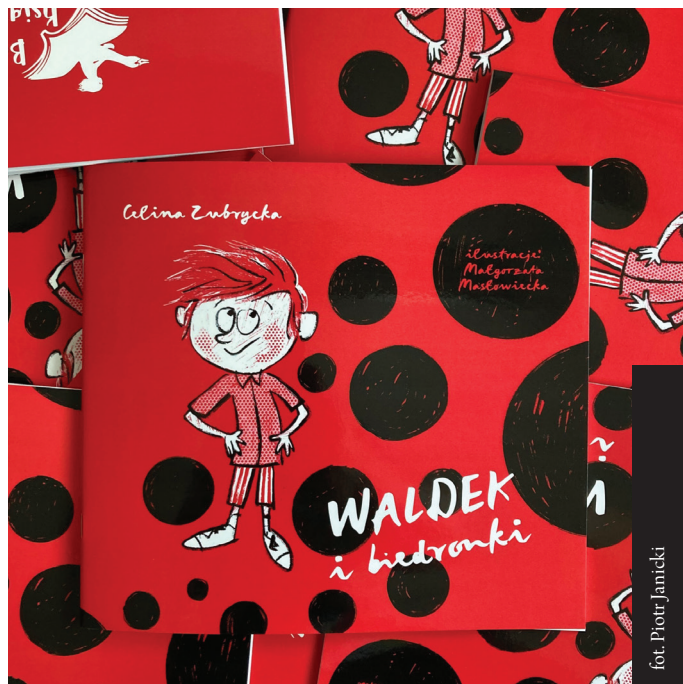
Skakałem bez przerwy. Może to Zośka schowała się za krzakami i znowu chce mnie zdenerwować albo Igor. Ten, któremu rodzice na wszystko pozwalają. A może ten Karol, który się boi ciemności.

Co się dzieje?

Wyskoczyłem w górę, ale zamiast spadać, uniosłem się nad trampoliną. Skurczyły mi się ręce, zmniejszyły nogi. Coś wachlowało koło uszu, ale włosy się nawet nie poruszyły.



il. Małgorzata Masłowiecka do *Waldek i biedronki* Celiny Zubryckiej, Książnica Podlaska 2023



Dotknąłem do głowy. O matko! Byłem łysy i jakby z blachy. Nie skrzypiałem na szczęście i nie szeleściłem. Nie miałem na sobie spodenek, podkoszulka ani sportowych supermodnych butów. Gdzie moje ubranie? Nie czułem tego, ale coś ze mnie wyrosło i wyglądało strasznie. Złapałem się za nos i rozpoznałem pod palcami inny kształt niż dotąd. Mój stary był ładniejszy. Węższy, bardziej zadarty. Poszerzyłem się w pasie. Zamiast szerokiej klaty miałem gruby i pękaty brzuch. To, co wachlowało mi za plecami, to były skrzydelka – błyszczące, zaokrąglone, czerwone i w czarne kropki. O, nie, mamo, tato, ja nie chcę być biedronką ani stonką!

Latałem też średnio. Nie wykonywałem lotu drapieżnego ptaka, ale w najlepszym wypadku mogłem porównać siebie do helikoptera wypełnionego kapustą albo burakami. Żadnej gracji w ruchach, a co dopiero szybkości. Ale wstyd! Koledzy umarliby ze śmiechu, gdyby mnie zobaczyli.

Chciałem uszczypnąć się i obudzić, ale nie miałem rąk ani palców. Szybko machałem skrzydełkami i rozglądałem się na wszystkie strony. Nigdzie nie widziałem swego domu. Bo wiecie, ja nie byłem na żadnej plaży, tylko w ogrodzie przy domu. Zachciało mi się zabawy. A może wpadłem do gry – tej z biedronkami. Widziałem taki film.

Nie miałem swojej komórki. Pewnie została na trampolinie. Tylko po co mi teraz telefon? Jestem mniejszy od niego.

– Spokojnie – powiedziała jakaś wielka biedronka lecąca koło mnie. Jakoś nie było to dziwne, że biedronka mówi. Zawsze mi się wydawało, że nie tylko ludzie rozmawiają.

Spojrzałem na nią i otworzyłem szeroko oczy. Dziwne, że takimi małymi oczami tak dużo widziałem.

Czerwona jak piłka biedronka spokojnie frunęła obok. Czarne kropki nie dodawały jej ani tajemniczości, ani powagi. Okropne! Dlaczego lecę z tą olbrzymią jak balon biedronką i gdzie jest moja trampolina?

Nie chcę być owadem! Ja, Waldek, zostałem biedronką.

Byłem w jakimś nowym miejscu, coś jak dżungla albo las. Wszystko większe ode mnie, bardzo głośno szeleściło. Co chwila trzeba było uważać, żeby nie oberwać w głowę, na przykład wielgachnym ziarnem albo kawałkiem dmuchawca. Omijałem straszne i ostre trawy, jakieś badyle. Szok.

Biedronka, z którą frunąłem, nic nie mówiła. Była skupiona na locie i sprawiała wrażenie, jakby o czymś myślała albo nawet miała problem. Kiedy już zaczynały mi boleć skrzydelka, bo ja przecież dotąd poruszałem się tylko na własnych nogach, zaczęliśmy się zniżać. Trochę mnie to cieszyło. Pomyślałem, że odpocznę i może coś zjem. Szkoda jednak, że schowałem się od mamy, kiedy mnie wołała na obiad. Ciekawe, czym się żywią biedronki. Poszukałbym w internecie... To nie było śmieszne.

Trudne początki

Wylądowaliśmy przed olbrzymią stertą gałęzi i wielkich liści, ale tak naprawdę, gdybym był człowiekiem, byłaby to tylko mała kupka uschniętych patyków i listków.

– Stać, kto idzie? – krzyknęła jakaś biedronka przed wejściem. Wyglądała jak ja, tylko trzymała wielki kij.

– To ja, Ksawery – odpowiedziała ta, która leciała ze mną.

„Tak czułem, że jest chłopcem”, pomyślałem, nie wiedzieć czemu.

Po czym weszliśmy do środka. Ale sprytne. Tylko z zewnątrz wygląda to na zapomnianą stertę wyrzuconych patyków. Tak naprawdę była to tajna baza. Powoli zaczęliśmy się poruszać wyżłobionym w ziemi tunelem, aż dotarliśmy do większego pomieszczenia. Muszę dodać, że nie widziałem, jak łatwo chodzi się na kilku nogach, dokładnie sześciu. Wcale mi się nie płątały.

Miałem ciarki na plecach i chyba trochę się trząsałem. Nie żebym się bał, ale wydawało mi się, że idę do jakiegoś strasznego władcy albo nawet więzienia. A ludzie tak lubią biedronki za to, że „są w kropeczki”, że takie urocze, przyjazne i niewinne. Muszę chyba zapomnieć o obiedzie.

Kiedy przez wielki otwór weszliśmy do niedużej sali, zobaczyłem kilka biedronek, które wyglądały, jakby na kogoś czekały. Miałem przeczucie, że na nas. Przez szparę w suficie wpadało mgliste światło. Pachniało jak w piaskownicy po wycieczce kota sąsiadów.

– Słuchajcie, znalazłem go na trampolinie. Myślę, że jest niegroźny, ale musimy to sprawdzić – powiedziała biedronka z lewej strony.

– W jakim jesteś wieku? – zapytała inna stojąca najbliższej wejścia.

– Jestem prawie dorosły, mam skończone dziewięć lat – wypaliłem bez zastanowienia i z nieskrywaną dumą.

– Mów prawdę, kiedy cię pytamy – odezwała się stojąca naprzeciwko mnie biedronka.

– Mówię prawdę – wyjaśniłem, ale jednocześnie zauważyłem, że kręcą głowami tak jak pani w szkole, gdy mi nie wierzy. Jedna to nawet zaczęła się śmiać i schowała buzię pod skrzydełkiem. Przyszło mi wtedy do głowy, że owady tak długo nie żyją i pewnie pomyślały, że kłamię.

– Sami widzicie – odezwała się ta, która dotąd próbowała powstrzymać śmiech. – Ale zabawny. Może doznał jakiegoś wstrząsu. Zgubił się.

– Trochę byłem jej wdzięczny za tę wypowiedź i nawet ją polubiłem, mimo że wyśmiała mój piękny wiek. Coś jednak kazało mi bronić tego, o czym mówiłem, i sam nie wiem dlaczego, dodałem:

– Zgubiłem aż sześć mlecznych zębów.

Wtedy już żadna z biedronek nie wytrzymała. Wszystkie zaczęły się śmiać, a dwie z nich tacały się po ziemi, nie mogąc powstrzymać radości. Siedziałem ze spuszczoną głową i było mi strasznie smutno. Gdybym jeszcze dodał, że za te mleczne zęby Wróżka Zębuszka przyniosła mi górę pieniędzy, które wystarczyły na komplet piłeczek do tenisa, to biedronki śmiałyby się do wieczora.



il. Małgorzata Masłowiecka

CELINA ZUBRYCKA

– polonistka, bibliotekarka, pracuje z dziećmi o specjalnych potrzebach edukacyjnych. Pisze bajki dla dzieci.



foto. prywatne archiwum autorki

Jeremi Siudyła

Złodziej olimpijskich krów

Ktoś zastukał w okno. Na parapecie zobaczyłem zasapanego srebrnego orla. Zaskrzeczał do mnie:

– Czcigodny Ieremiusie Dragomirusie Detectivusie, wielki Apollo wzywa cię z dalekiego kraju. Oto list.

Podał mi dziobem zwitek papirusu i odleciał. Przeczytałem: „Przybywaj pospiesznie na Parnas! Mam dla Ciebie śledztwo i sakiewkę złotych monet”.

Wahałem się przez chwilę, bo byłem w połowie lektury epepei kryminalnej z wątkiem owocowym i już, już miałem się dowiedzieć, w kogo bogini Eris rzuci jabłkiem i co z tego wyniknie dla losów Troi... Ostatecznie, z westchnieniem, odłożyłem tę przyjemność na później, spakowałem najpotrzebniejsze drobiazgi i wyruszyłem zaciekawiony, po co Apollinowi detektyw, skoro posiada dar jasnowidzenia.

Kiedy po długiej i nudnej wspinaczce dotarłem do celu, Apollo przywitał mnie słowami:

– Ieremiusie Dragomirusie Detectivusie, to delikatna sprawa, musisz mi pomóc. Od kilku dni mam nieznośną migrenę i przez nią straciłem wszystkie moje wizje i przeczucia. Została pusta boląca głowa. A tymczasem, za dawne igraszki z cyklopami, dostałem od ojca Zeusa karę w postaci przymusowej opieki nad stadem krów króla Admeta, hmm, mówiąc krótko, zostałem pastuchem... No i wyobraź sobie, trzy dni temu zdrzemnąłem się w południe i w tym czasie całe stado zniknęło! Nikt nie może się o tym dowiedzieć, to byłby dla mnie okropny wstyd! Musisz natychmiast znaleźć krowy i złodzieja. Jałówki mają znak szczególnie: złotą literę „A” na czołach.

Zabrałem się do pracy. Zrobiłem oględziny miejsca zbrodni w Tesalii, kraju króla Admeta, ale niczego szczególnego tam nie znalazłem. Odwiedziłem zatem olimpijskie archiwa z mitologicznymi kronikami. Szukając krowich poszlak i złodziejskich motywów, przestudiowałem setki zakurzonych ksiąg z opowieściami o bogach, herosach i królach (roi się tam od typów spod ciemnej gwiazdy). W przerwach snulem się zamyślony po zaułkach i zakamarkach Olimpu, zagadując czasem przechodniów i robiąc notatki.

W końcu sporządziłem listę podejrzanych.

Na początku wezwałem na przesłuchanie Heliosa – boga słońca. Wyczytałem, że bydło na jego wyspie zostało

częściowo pożarte przez załogę króla Odysuseusza, a wydarzyło się to podczas przystanku w podróży morskiej do Itaki po zakończeniu wojny trojańskiej. Być może pokrzywdzony chciał uzupełnić stado i skusił się na tłuste jałówki Apolla?... Helios wyznał mi jednak, że zmęczył się hodowlą krów, resztę swojego stada oddał egipskiemu bogu Ra, a w zamian dostał w podarunku gromadę dorodnych krokodyli. Falszywy trop...

Następnym podejrzanym był... sam władca Olimpu – Zeus, ojciec Apollina. Zeus to znany podrywacz pod postacią białego byka, uwiódł w ten sposób Europę, siostrę Kadmosa. Mógłby mieć ochotę na nowe narzeczony w zagrodzie swojego syna... Sprawdziłem jednak, że Zeus od tygodnia sędziuje w turnieju rzucania piorunem na Krecie. Odpada...

Ostatnią na mojej liście była Hera, żona Zeusa, znana z zazdrości o jego przygody z innymi dziewczynami. Nie zdziwiłbym się, gdyby Hera zobaczyła w krasulach Apollina rywalki i chciała je schować przed wzrokiem męża... Już miałem wzywać Herę na przesłuchanie, kiedy ateńskie przekupki doniosły mi, że bogini, po niedawnej kłótni z Ateną i Afrodytą, spędza całe dnie na targowisku z jabłkami...

Rozczarowany, poczłapałem smętnie na plażę, żeby zebrać myśli. Kiedy mijalem zatoczkę porośniętą trzcinią, usłyszałem szept:

– Król Midas ma ośle uszy, król Midas ma ośle uszy!

Rozglądałem się przez dłuższą chwilę, ale nikogo tam nie było. To... trzcina szeptała.

Nagle, zdumiony, zobaczyłem człowieka w przekrzywionej czapce, spod której wystawało jedno ośle ucho. Nerwowo zaganiał na plażę stado krów z połyskującymi literkami „A” na czołach. Mruczał przy tym pod nosem:

– Pozzerajcie natychmiast to przekłete gadające zielsko!

Jałówki przeżuwały liście, gapiąc się w chmury, a ja, uszczęśliwiony tym niespodziewanym gestem Fortuny, wyskoczyłem zza skały, związałem rzezimieszka sznurówadłem i zaciągnąłem na dwór Apollina.

– Cooo??? To ty, Midasie?! Nie dość, że jesteś ofertą bez sluchu muzycznego, to jeszcze tak żałośnie kradniesz?

Mało ci było oślich uszu w prezencie ode mnie? Teraz za karę dostaniesz słoniowe! Nie zasłonisz ich ani czapką, ani peruką, ani koroną!

Król Midas padł na kolana. Jęcząc, błagał Apollina o łaskę... a tymczasem do komnaty wbiegli mały Hermes, przyrodni brat Apolla, i przez długą chwilę przyglądał się tej scenie, chichocząc tak głośno, że aż dostał czkawki.

– Hej, Apollo, daj spokój temu fajtlapie. Mam lepszy pomysł. Postanowiłem zostać patronem złodziei i muszę jakoś na to zasłużyć. A że jestem raczej leniwy... Jeśli zgodzisz się wpisać mnie do raportu ze śledztwa

i do mitologicznych ksiąg jako złodzieja twoich krów, dostaniesz ode mnie wykonaną ze skorupy żółwia cytrę, którą sam zrobiłem. Czekaj, czekaj... a dla draki podyktuj tym ospałym kronikarzom, że dokonałem owego niecnego czynu tuż po urodzeniu (ciekawe, czy komukolwiek przyjdzie do głowy, że to żarcik...). Chi, chi, chi, już widzę te tytuły: „Genialne niemowlę u progu świetlanej kariery”.

Tak oto wszystko zostało w rodzinie. A ja... od tamtej pory, ilekroć trafiam na mit o Hermesie, bogu złodziei, uśmiecham się półgębkiem i udaję Greka.



Klaudia Bondar / PLSP w Supraślu

JEREMI SIUDYŁA

– dwunastolatek, odkrywający świat nauki, sztuki i literatury w edukacji domowej. Podróżnik, zaangażowany bywalec muzeów i galerii malarstwa, miłośnik kina niemego, pożeracz książek. Początkujący filmowiec techniką animacji poklatkowej. Autor opowiadań. Laureat I miejsca w konkursie literackim „Opowieści o korzeniach” w ramach programu Narodowego Centrum Kultury „Bardzo Młoda Kultura”.

Małgorzata Masłowiecka

Detektyw Szukajło i zaginiona foka

Co tu robicie, małe lisy?

Kiedy Jadzia nareszcie wylądowała, zdała sobie sprawę, że znalazła się na zielonej polanie ze swojej kołderki. Kolejne odkrycie było jeszcze bardziej zadziwiające: nie miała na sobie piżamki, tylko rude futerko. Zamiast rąk z ramion wyrastały jej czarne, szczupłe łapki. Ale najwspanialszy był puszysty ogonek, którym bez wysiłku mogła machać w każdą stronę.

Początkowa radość ustąpiła jednak miejsca niepewności: *Gdzie właściwie jestem? I gdzie są moi rodzice, Mela, Popiołek?* Powoli, bardzo ostrożnie ruszyła przed siebie. Postawiła swoje duże uszka, żeby słyszeć każdy szmer. Starła się stąpać cicho, więc aż podskoczyła, gdy nagle dobiegł ją szelest.

Za jej plecami zjawiły się dwa małe lisy. Jadzi wystarczyła chwila, by zrozumiała, że to bardzo wesołe towarzystwo.

– Hej, Matylda! – zawołały liski chórem, skacząc wśród traw tak lekko i zwinnie, jakby nie robiły tego na łące, a na trampolinie, którą Jadzia miała w swoim ogrodzie.

Jak mnie nazwali? Matylda?, zapytała siebie zdziwiona.

– Pobawisz się z nami? Pobawisz? – prosił jeden z urwisów.

– Skąd znasz moje imię? – spytała nieufnie.

Liski przestały skakać i przysiadły zaskoczone, wpatrując się w Jadzię czarnymi jak węgielki oczami. Stwierdziła teraz, że jest w stanie je rozróżnić, bo jeden był odrobinę większy od drugiego.

– No co ty, Matylda! – wypalił Mały. – Nabierasz nas? A może nie jadłaś dzisiaj śniadania?

Rozbawiona swoją przemianą i tym niezwykłym spotkaniem, zgodziła się z nimi pobawić. Resztę popołudnia spędzili więc razem na ganiu ptactwa i skakaniu powyżej traw. Pod koniec dnia leżeli zmęczeni na polanie,

patrząc w niebo, które powoli ciemniało. Bolały ich łapki, a nawet ogonki, serduszka były im głośno, a w pyszczkach zaschło z pragnienia.

– A gdzie ja będę dzisiaj spała? – zapytała Matylda.

– Twoja norka jest za tymi drzewami, nie pamiętasz? – odparł większy z lisów, którego nazywano Dużym w odróżnieniu od Małego, mniejszego z braci.

Wyruszyła więc na poszukiwanie noclegu. Na początku nie dostrzegала żadnych norek. Wreszcie jednak zauważyła coś na kształt ziemianek, czyli piwniczek porośniętych trawą, które widywała u babci. Te były obsypane leśnym piaskiem oraz igliwem i miały drewniane drzwiczki. Nie była tylko pewna, która norka należała do niej. Mimo wrodzonej nieśmiałości postanowiła pukać do każdej z nadzieją, że w końcu trafi do własnej. Pierwsza należała do starego lisa, od którego nie dowiedziała się niczego poza tym, że ciągle ktoś zakłóca jego spokój, myśląc po nocy domostwa. Druga była zamknięta na glucho. Gdy zapukała do drzwi trzeciej, parę sosnowych igielek posypało jej się na głowę i ukłuło ją w prawe ucho. Czwartą i zarazem ostatnią zamieszkiwała przemiła lisia para, która od razu rozpoznała w Jadzi Matyldę i zaprosiła ją do siebie na kolację.

Stół był już nakryty. Matylda poczuła, że jest bardzo głodna, ale nie wiedziała, czego się spodziewać po posiłku podawanym w lisiej norze. Po chwili dołączyli już wszyscy



il. Małgorzata Masłowiecka

członkowie rodziny, a wśród nich także dwa poznane wcześniej liski. Mały mrugnął do niej przez stół, a Duży, który usiadł na krześle obok, szepnął jej do ucha:

- Znalazłaś już swoją norkę?
- Niestety nie – odpowiedziała Matylda.
- Głośniej, kochanie – poprosiła lisica – my w norce

nie mówimy szeptem.

Matylda odchrząknęła zawstydzona i wyjaśniła:

- Nie potrafię odnaleźć swojej norki.

Gospodyni spojrzała na męża. Oboje wyglądali na zbitych z tropu.

– Zapomniałaś, gdzie znajduje się twoja norka? To dziwne, kochanie. Powinnaś jeść więcej jagód – poradziła Matyldzie z troską w głosie. – A na kolację jest właśnie jagodowy gulasz, który swój leśny smak zawdzięcza owocom jałowca!

Lisica zręcznie wlała chochelką na talerz gościa porcję gęstej ciemnogrnatowej zupy.



il. Małgorzata Masłowiecka

Matylda skosztowała ostrożnie i próbowała się uśmiechnąć. Gulasz nie przypominał niczego, co знаła, ale po kilku łyżkach odkryła, że zaczyna jej bardzo smakować.

– Pokaż język – szepnęła do niej Duży.

Matylda zaśmiała się cicho i wyciągnęła języczek zabarwiony sokiem z jagód. A potem każde lisiątko zrobiło to samo, aż tata stanowczym chrząknięciem zakończył ich zabawę.

norka

Zegar w lisiej jadalni wybił godzinę ósmą. Gospodyni wstała od stołu i zebrała talerze. Dzieci także podniosły się ze swoich krzesełek, pożegnały Matyldę i, ociągając się, udaly do swoich sypialni. Lis postawił kubeczki z kawą przed sobą i żoną, po czym oboje znowu usiedli.

– Kawa na wieczór? – zdziwiła się Matylda, pamiętając, że to samo pytanie jej mama zadawała tacie, gdy chciał popracować dłużej.

– To kawa z prażonych żołądździ – wyjaśnił lisi gospodarz.

– Wypijemy i Mikołaj odprowadzi cię do twojej norki – zapewniła lisica, po czym dodała zmartwionym tonem: – W naszym miasteczku ostatnio nie jest już tak bezpiecznie, jak dawniej. Dziś rano zaginęła na plaży mała foczka.

– Marto... – próbował uspokoić ją mąż – Nasze dzieci nie zapuszczają się w te rejony.

– Jak to zaginęła? – zainteresowała się Matylda.

Gospodyni wypięła łyk kawy i położyła drżące łapki na kraciastym obrusie.

– Morska szkoła miała zajęcia z nauki pływania. Kiedy małe foki wyszły z wody, kazano im ustawić się w rządku, aby je przeliczyć. Brakowało jednej z córek Burej. Szarcia nie wyszła na brzeg...

– Ale co mogło ją spotkać w wodzie? Myślałam, że foki to świetni pływacy – zdziwiła się Matylda.

– Cóż, oczywiście jest tak, jak mówisz – zgodziła się od razu Marta. – Ale jeszcze niezdarnie poruszały się na lądzie, a w wodzie też nie czuły się zbyt pewnie. Przeszukali plażę, wydmy, część pobliskiego lasu i morskie głębiny. Sekcja foczych nurków wyszkolonych w poszukiwaniach zbadała dno morza. I nic. Ani śladu po Szarcie. Na szczęście sprawą zajął się detektyw. W nim cała nadzieja.

– Detektyw Szukajło? – ożywiła się Matylda.

– A kto inny mógłby rozwiązać tę zagadkę? Policja stara się, nie można jej tego odmówić, ale tylko on jest dostatecznie przenikliwy i spostrzegawczy. Trochę dziwak, zgodzę się,

ale jak to mówią, ma to „coś”. – W głosie Marty słychać było podziw dla zdolności detektywa, a nawet trochę sympatii.

Zgodnie z zapowiedzią Mikołaj odprowadził lisiczkę pod norkę, która przedtem była zamknięta na glucho.

– Gdzie twój klucz, Matyldo? – zapytał Mikołaj.

Nie miała go przy sobie, gdy znalazła się na polanie. Zresztą, gdzie miałyby schować klucz? Nie nosiła ubrań z kieszonkami jak Jadzia.

– Nie wiem – wyszeptała bezradnie. – Musiałam go zgubić.

– Nie kładziesz go jak inne lisy pod kamieniem obok wejścia? – zdziwił się Mikołaj.

– Nie pamiętam – przyznała, ale od razu kucnęła, żeby wyczuć w ciemności kamień i wymacać pod nim klucz. – Jest! Jest!

Nareszcie mogła wejść do norki i zasnąć w swoim łóżku. Mikołaj nie ukrywał, że dziwi go, dlaczego mała lisiczka cierpiała na tak znaczne zaniki pamięci. Życzył jej więc dobrej nocy i odszedł, gdy tylko przekreśliła klucz w drzwiach.

plaża

Mela wyleciała z tunelu w środku lasu. Rozzłościło ją, że mogła wykręcić sobie łapkę, choć tak się nie stało. Łapkę? Z niedowierzaniem patrzyła na swoje cienkie nogi i ręce porośnięte teraz białym futerkiem. Wystawiła i schowała pazurki. *Zupełnie jak Popiołek*, pomyślała. *Czyli jestem kotem?*

Zaczęła nerwowo biegać w poszukiwaniu lusterka, ale w lesie przecież nie ma luster.

– Kałuża! W kałuży też można siebie zobaczyć! – krzyknęła trochę za głośno, więc odruchowo położyła uszy i przykurczyła łapki. Zachowywała się nieostrożnie. Nie wiedziała przecież, gdzie – a co najważniejsze – kim jest... Było sucho i nie zanosilo się na deszcz. Wędrując tak lasem, dotarła do drogi, która była w rzeczywistości wąską piaszczystą ścieżką bez widocznego początku ani końca. Tylko co dalej? Co dalej jest i co powinna zrobić? Gdzieś po lewej stronie usłyszała szum morza, a po prawej – zupełnie inny, jakby dochodzący z miasta. Uznała, że przyjemniej będzie zobaczyć plażę niż budynki, ulice i samochody. Te widywała na co dzień.

Idąc już jakiś czas, poczuła się śpiąca. Weszła znowu do lasu i zaraz odpłynęła w błogi sen na poduszeczkach z mchu. Kiedy wstało słońce, zerwała się na równe łapki i stwierdziła, że przespała całe popołudnie i noc. Rozpedziła

się, by wreszcie znaleźć nad morzem, gdy nagle ktoś wpadł na nią i z piaszczystych pagórków przekoziółkowali razem w dół.

Rudy lisiek, który teraz przed nią siedział, dłuższą chwilę patrzył szeroko otwartymi oczami, aż wreszcie przemówił:

– Mela?

– Skąd znasz moje imię? – zdziwiła się Mela.

– To ja, Jadzia, ale tu nazywam się Matylda – wyjaśniła siostra.

– To żeś sobie wymyśliła! Matylda do ciebie nie pasuje! – Mimo szorstkiego powitania Melę ucieszyło to spotkanie.

– Wcale tego nie wymyśliłam. Tak mnie tu nazywają inni – broniła się Matylda.

– Jacy inni?

– Nie wiem jacy. Inni. Ci, którzy mnie tu znają – zdenrowowała się ruda lisiczka. – Nie pytaj skąd. W lesie na drugim końcu miasteczka jest moja norka. Moja własna norka!

Mela patrzyła na nią podejrzliwie. Zazdrościła siostrze własnej norki, tych „innych”, którzy ją tu znają, a nawet imienia „Matylda”...

– Ja nie wiem, jak mam na imię. Nie wiem, czy ktoś mnie tu zna ani skąd się tu wzięłam. Może nie mam żadnej norki na własność jak ty – rzekła, a jej głos brzmiał tak smutno, że Matyldzie parę łez spłynęło po policzkach i wsiąkło w futerko, zanim zdążyło spaść na piasek.

– Nawet nie wiem, kim jestem... – wyszeptwała Mela.

– To akurat łatwe! – ucieszyła się Matylda. – Jesteś liskiem polarnym!

Mela od razu rozpromieniła się i aż podskoczyła z radości.

– Uwielbiam liski polarne! Tylko dlaczego tu jestem, skoro wokoło nie ma ani jednej gwiazdeczki śniegu?

– Nie wiem... – przyznała Matylda, czując, że znowu są w ślepej uliczce. W jej głowie roilo się od znaków zapytania, nawet puszysty ogonek przyjął kształt jednego z nich.

– Jeśli nic nie wiemy, to jak wrócimy do domu? – jęknęła Mela.

Z głodu skubnęła trochę glonów. Nie posmakowały jej, a do tego miały wygląd szczawiu wyłowionego ze szkolnej zupy.

– Mam! – krzyknęła ruda lisiczka, jakby dokonała wielkiego odkrycia. – Wczoraj jadłam kolację u pewnej lisiej rodziny. Marta zrobiła gulasz z jagód i opowiedziała mi o zaginięciu foczki. Zgadnij, kto jej teraz szuka!

Mela przez krótką chwilę marszczyła czoło, a potem zawołała:

– Detektyw Szukajło!

Kiedy już wdrapały się na pagórek, znalazły się znowu na drodze, którą przywędrowała tu Mela. Obie były głodne, dlatego zjadły w lesie trochę jagód i malin, a potem przez dobre pół godziny pokazywały sobie fioletowe języki, śmiejąc się przy tym aż do bólu brzuchów.

Biegły bez wytchnienia już dłuższy czas, kiedy wreszcie dostrzegły w oddali miasteczko. Dotarły do rozległego parku z fontanną i pomnikiem. Po alejkach mknęły na rowerach zające i małe niedźwiadki. Ptaki gromadziły się pod budką z rurkami, wyjadając okruchy.

Nagle przed lisiczkami wyrosła jak spod ziemi lisica Marta.

– Matyldo! Co tutaj robisz? Nie zastałam cię rano w twojej norce, a chciałam cię poczęstować śliwkowym plackiem na śniadanie! – powiedziała z radością i troską naraz.

– Zwiedzam okolicę, to znaczy, próbuję odzyskać pamięć – skłamała Matylda, ale szybko uznała, że lepiej będzie powiedzieć prawdę życzliwej sąsiadce. – Myślałam, że spotkam tutaj detektywa Szukajłę. Jestem ciekawa, jak mu idzie śledztwo.

– Tu go nie spotkasz – odparła Marta. – Jego biuro mieści się przy ulicy Kruczej, to w tamtą stronę! – I wskazała pazurkiem kierunek, w jakim powinny się udać.

MAŁGORZATA MASŁOWIECKA

– autorka ilustracji do ponad dziesięciu książek, w tym także do baśni Anny Śliwińskiej *Fingal i Aileen*, oraz napisanej przez siebie powieści dla dzieci pt. *Detektyw Szukajło i zaginiona foczka*. Mieszka w Białymstoku, gdzie wychowuje dwie córki, dwa koty i psa oraz niestrudzenie ujarzmiła ogród.

Izolda Hukałowicz

Trzy historie

Detektyw Szukajło i zaginiona foka to debiut literacki Małgorzaty Masłowieckiej, znanej graficzki i ilustratorki książek dla dzieci. Masłowiecka stworzyła ilustracje m.in. do *Kundelka* Marty H. Milewskiej, *Tajemnicy francuskiej willi* Małgorzaty Kur, *Fingala i Aileen* Anny Śliwińskiej, czy też *Wyprawy w kosmos* Agi Bohdan.

Tym razem artystka postanowiła zadziałać kompleksowo i samodzielnie napisać opowieść dla dzieci, którą, oczywiście, wyposażyła we własne ilustracje. Wydana przez Książnicę Podlaską im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku książka to licząca prawie 130 stron powieść detektywistyczna dla dzieci. Jak wyznała autorka w jednym z wywiadów, *Detektyw Szukajło... jest zlepkiem doświadczeń osobistych, historii związanych z jej córkami oraz opowieści męża.*

Wszystko rozpoczyna się od silnego poddmuchu wiatru, który zamyka furtkę domu bohaterów. Wiatr też domyka opowieść: „Zaśmiał się krótko szelestem liści i ostatni raz tego dnia gwizdnął z całej siły w rynnę”. To ostatnie zdanie książki. To ostatnie zdanie książki spina w klamrę całość.

Tak naprawdę w powieści Małgorzaty Masłowieckiej – niczym w szkatulce – mamy aż trzy historie detektywistyczne. Pierwsza dotyczy zaginionej skarpetki Jadzi. To ona staje się przyczynkiem do zaangażowania się ojca w nauczanie córek, jak należy prowadzić śledztwo. Okazuje się, że odnalezienie skarpetki staje się nie lada wyzwaniem i aż do końca historii nie dowiemy się, co się z nią stało. Ów motyw rozpoczyna opowieść i ją kończy (druga klamra).

Dzięki niej bliżej poznajemy ojca dziewczynek, który jako mały chłopiec uwielbiał rozwiązywać zagadki, a w śledztwach towarzyszyła mu wiekowa dziś już zabawka – niebieski pies, tytułowy detektyw Szukajło. Okazuje się, że ojciec darzy pluszaka wielkim sentymentem i szacunkiem. Szukajło nie jest bowiem zwykłą zabawką. To pies, który pełni rolę pomostu między realnym światem a światem magicznym, w którym upodabnia się do człowieka – mówi, stoi na dwóch łapach i ubiera się podobnie jak ludzie.

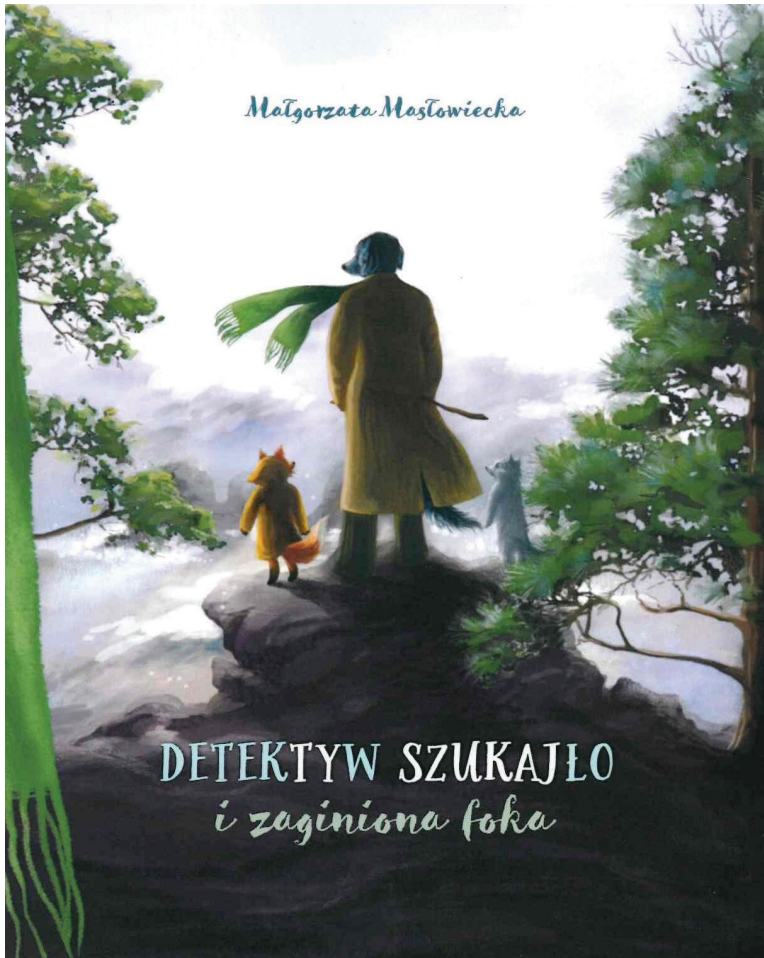
Psi detektyw staje się przewodnikiem małego Tomasza – ojca dziewczynek – i pomaga mu w śledztwach. Ojciec opowiada dziewczynkom historię pierwszej zagadki

rozwiązanej przez detektywa Szukajłę, gdy był on jeszcze małym psiakiem. Krótka historia odnalezienia siostry detektywa – Ninki – jest drugą opowieścią detektywistyczną w książce. Pokazuje niezwykle umiejętności tytułowego bohatera i jednocześnie szerzej wprowadza czytelników w świat magiczny, w którym zwierzęta rozmawiają i zachowują się na wzór ludzi. To też zapowiedź głównej zagadki i najważniejszej historii w całej książce – zagadki zaginionej foki.

Poszukiwania zaginionej foki zajmują lwia część powieści i mogą stanowić zupełnie odrębną, niezwiązaną z resztą książki, opowieść (pozornie). Rozpoczynają się, gdy siostry nadal nie wiedzą, jak odnaleźć skarpetkę, i poznały już opowieść ojca o niezwykłym psim detektywie. W pewnym momencie, w nocy, w przedziwny sposób zostają one przeniesione do innego świata. Dorosły czytelnik może się spodziewać, że dziewczynki przeżyją tu przygody podobne do tych, których doświadczył ich ojciec jako mały chłopiec – gdy detektyw Szukajło uczył go, jak rozwiązuje się zagadki. Jednak dla młodego czytelnika nie jest to tak oczywiste, bo autorka prowadzi narrację, nie wyjaśniając niczego wprost. I jest to duża zaleta.

Jadzia i Mela przenoszą się do tajemniczego miasteczka mówiących zwierząt. W tym świecie Mela i Jadzia tracą swoją ludzką tożsamość i stają się małymi lisiczkami, które w krainie zwierząt żyły od jakiegoś czasu i noszą tu inne imiona. Lisiczki nie pamiętają swojej „lisiej” przeszłości. Jej fragmenty są przed nimi stopniowo odkrywane przez mieszkańców krainy, której nazwy nie znamy. W miasteczku mówiących zwierzątek Jadzia jest Matyldą, a Mela Lusią. Mało tego, z biegiem czasu okazuje się, że Luscia ma też trzecią tożsamość – w krainie śniegu jest Luną. Co ciekawe, lisiczki przez cały czas pamiętają o swoim „ludzkim” życiu. I nie raz zastanawiają się, czy będzie im dane w przyszłości wrócić do taty Tomasza i mamy Wery.

To, że dziewczynki po przekroczeniu granic magicznego miasteczka zamieniły się w liski, nie jest przypadkowe. Jeszcze na samym początku książki autorka zastosowała niezwykle ciekawy zabieg, który zasygnalizował, że rzeczywistość przedstawiona w powieści nie jest do końca



Małgorzata Masłowiecka, *Detektyw Szukajło i zaginiona fokka*. Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku 2023.

realistyczna, a postaci lisków będą istotne w toku opowieści. Okazuje się, że koldra, pod którą śpi mała Jadzia, jest niezwykła. Na pościeli widnieją bowiem rude liski, które... przemieszczają się. Jak się potem przekonamy, to do ich krainy trafią siostrzyczki i tam nauczą się, jak rozwiązywać zagadki, a w zasadzie – zagadkę. Zagadkę zaginionej małej foczki Szarci.

Kraina zwierząt, do której przenoszą się Jadzia i Mela, rządzi się swoimi prawami. Jak dowiadujemy się z opowieści detektywa Szukajły, miasteczko powstało jako enklawa zwierząt, które zawarły pewien pakt. Jego naczelną zasadą jest brak wzajemnej przemocy. Nikt nie może tu nikogo zjeść. Pakt podpisały wszystkie zwierzęta i jest on świętością. Co takiego wydarzyło się, że zwierzęta postanowiły stworzyć pakt o nieagresji? Tego nie wiemy. Możemy

domyślać się, że mieszkańcy chcieli żyć inaczej niż dawniej – bez lęku o własne życie, bez zabijania i wzajemnej wrogości. Jednak – jak się okazuje – i do tej utopijnej krainy wdiera się zło, co ujawnia się w trakcie rozwiązywania zagadki zaginięcia foczki Szarci. Detektyw był świadom, że kiedyś to nastąpi.

Rozwiązując zagadkę wspólnie z bohaterami – lisiczkami, detektywem Szukajłą, inspektorem Wilczko i panem Puchaczem – poznajemy kolejne postacie: zdeprawowanego syna wydry – Maksa – oraz śnieżne zwierzęta – niedźwiedzia Lunarą i morsa Wilbura.

Z czasem okaże się, że ci groźni drapieżnicy są tak naprawdę samotni i zagubieni. Lunar – polarny niedźwiedź, który jeszcze w śnieżnej krainie, z której pochodził, wyłamał się i nie wziął udziału w pożarciu polarnych lisów (jak jego bracia). Zamiast zjeść Lunę, ocalił ją i razem z nią i Wilburem postanowił opuścić polarny krąg. Darzy srebrną lisiczkę wielką przyjaźnią. A ona ostatecznie pomaga mu w porzuceniu otoczki groźnego drapieżcy, oferując mu obecność i zainteresowanie.

Z kolei Wilbur – ogromny, groźnie wyglądający mors – w gruncie rzeczy również ląkanie przyjaźni. Dlatego nie chce uwolnić Szarci, która miała być jego przyjaciółką. Jednak gdy lisiczka uświa-

damia mu, że trzymanie foczki wbrew jej woli szkodzi jej i nie jest prawdziwą przyjaźnią, mors odpuszcza, a nawet pomaga uwolnić ją ze szczeliny, co sam przypłaca obrażeniami. Okazuje się, że „czasem w wielkim ciele chronionym grubą skórą bije równie wielkie, całkiem bezbronne serce...” – jak napisała Małgorzata Masłowiecka.

Warto też wspomnieć, że w mieście zwierząt mamy ośrodek terapeutyczny, w którym zwierzęta mogą odzyskiwać równowagę psychiczną i odpoczywać. Pracuje tu siostra detektywa Szukajły – Ninka, a spokój odnajduje tu m.in. niedźwiedź Lunar. To jedna z nielicznych opowieści dla dzieci, która wprowadza postać terapeuty i pokazuje jego rolę. To ogromny plus książki Małgorzaty Masłowieckiej.

Na koniec nie można nie wspomnieć o warstwie ilustracyjnej i opracowaniu graficznym opowieści. Wszak Małgorzata Masłowiecka znana jest przede wszystkim jako znakomita twórczyni ilustracji. W jednym z wywiadów autorka wspomniała, że w pewnym momencie swojego życia poczuła pewną niemoc twórczą i zamknęła się na malowanie, co popchnęło ją do pisania. Efektem tego twórczego przesunięcia jest *Detektyw SzukaJło*, który ostatecznie został również wyposażony w ilustracje autorki. I są to piękne ilustracje – niezwykle nastrojowe, baśniowe i znakomicie oddające ducha opowieści. Przepięknie korespondują z treścią i wzbogacają ją. Także sam układ graficzny wewnątrz książki jest ciekawy – historia została podzielona na rozdziały, a te – na podrozdziały, które noszą tytuły napisane zieloną czcionką. Taki układ ułatwia czytanie i podtrzymuje uwagę.

Na pewno książka Małgorzaty Masłowieckiej jest bardzo udanym debiutem literackim ilustratorki. Akcja toczy się tu wartko. Nie ma przestojów ani nudy, cały czas coś się dzieje. Bohaterowie posługują się językiem dostosowanym

do odbiorcy, ale nie ma tu mowy o jego infantyilizacji. Dzięki temu książkę tę z przyjemnością mogą też przeczytać dorośli.

Historia detektywa SzukaJły nie jest też jedynie prostą powiastką detektywistyczną dla dzieci, do jakich przywykli czytelnicy i których całe serie wypełniają półki działów dziecięcych w bibliotekach. Owszem, oferuje przygodę, tajemnicę i barwnych bohaterów, którym towarzyszymy w odkrywaniu prawdy. Ale jest też coś więcej. Jest głębsza warstwa, która – co bardzo ważne – nie jest nachalna. Mamy tu więc wątek ekologiczno-humanitarny (miasteczko bez przemocy), wątek rywalizacji (SzukaJły i inspektor Wilczko), motyw dorastania bohaterów, mierzenia się ze swoimi słabościami i odkrywania, czym jest prawdziwa przyjaźń i siostrzeńska miłość. To, co jest szczególnie cenne w *Detektywie SzukaJle...*, to brak smrodku dydaktycznego. Sprawia to, że cała historia jest łatwa i lekka w odbiorze, a jednocześnie podskórnie przemycą ważne wartości i mądrość.

IZOLDA HUKAŁOWICZ

– dziennikarka, redaktorka i wydawczyni serwisów internetowych. Współprowadząca podcast Bez Mięsa. W przeszłości bibliotekarka. Zawodowo związana m.in. z upday, Grupą Spider's Web, Grupą ZPR Media i POLSKA PRESS. Absolwentka filologii polskiej i pedagogiki na Uniwersytecie w Białymstoku. Otrzymała wyróżnienie w konkursie Dziennikarz Medyczny Roku 2021 i 2020 za swoje artykuły o pandemii, twardzinie układowej i rehabilitacji po COVID-19. Stypendystka Marszałka Województwa Podlaskiego na rok 2023 r.

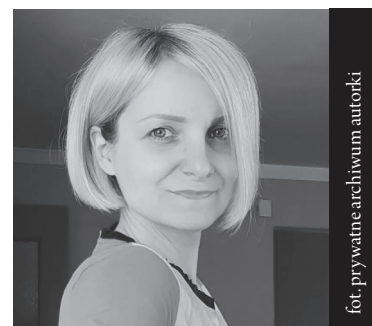


foto: prywatne archiwum autorki

Tomasz Filipowicz

Śmiechy-chichy z małej biblioteczki

Zastanawialiście się kiedykolwiek, co sprawia, że dzieci tak bardzo lubią czytać książki pełne humoru? Czy to dlatego, że mają inną perspektywę na świat niż dorośli? Czy to dlatego, że lubią się śmiać z absurdalnych sytuacji i postaci? Czy to dlatego, że mają bogatą wyobraźnię i potrafią docenić dowcipne słowne żonglerki? A może to wszystko razem? Czy może jeszcze bardziej prozaicznie – śmiech jest po prostu jedną z najlepszych nagród za sięgnięcie po lekturę?

Chciałbym Wam polecić kilka najzabawniejszych książek dla dzieci, które z pewnością wywołają u nich wiele

radości i uśmiechu. Może nawet sami zechcecie sięgnąć po nie i poczuć się na chwilę jak dziecko.

Zanim jednak przejdziemy do konkretów, musimy porozumieć się co do jednej rzeczy: czym właściwie jest humor i jak go rozumieją dzieci? Bo wiadomo, że nie każdy śmieje się z tego samego i nie każdy żart trafia w gust każdego czytelnika. Dlatego też nie ma jednej uniwersalnej definicji humoru ani jednego rodzaju książek humorystycznych. Każdy ma swoje preferencje i upodobania. A dzieci mają swoje specyficzne poczucie humoru, które często różni się od tego dorosłych.



Seria „Królik i Misia”, Julian Gough. Wydawnictwo Zielona Sowa

Jeśli szukasz książek dla dzieci, które bawią, wzruszają i uczą, seria „Królik i Misia” jest idealna. To opowieści o przyjaźni i przygodach dwóch niezwykłych bohaterów: zgrzyliwego Królika i dobrodusznej Misi. W każdym tomie znajdziesz mnóstwo humoru, ciekawostek o zwierzętach i piękne ilustracje Jima Fielda. A co najciekawsze, autor Julian Gough nie boi się poruszać tematów, które fascynują dzieci (zwłaszcza 4–5 latki!), a jednocześnie obrzydzą dorosłych – takich jak smarki, kupki czy bąki.

W pierwszej części pt. *Niesmaczne zwyczaje Królika* dowiesz się, dlaczego Królik zjada własne odchody i jak Misia uratowała go przed lawiną. W miarę poznawania głównych bohaterów i obdarzenia ich sympatią, ale przede wszystkim – zalewając się śmiechem podczas lektury – mali czytelnicy sięgną chętnie po kolejne części, w których wartką akcją zapewnią perypetie z dzieciołem, postępowymi bobrami czy groźnym niedźwiedziem polarnym.

Seria „Królik i Misia” to książki pełne mądrości życiowej, które pokazują dzieciom, że każdy ma swoje zalety i wady, a nawet najbardziej nieprzyjemne sytuacje można rozwiązać z uśmiechem. To także książki, które sprawią, że rodzice będą się śmiać razem ze swoimi pociechami i docenią umiejętne podejście autora do dziecięcej fascynacji obrzydliwościami.

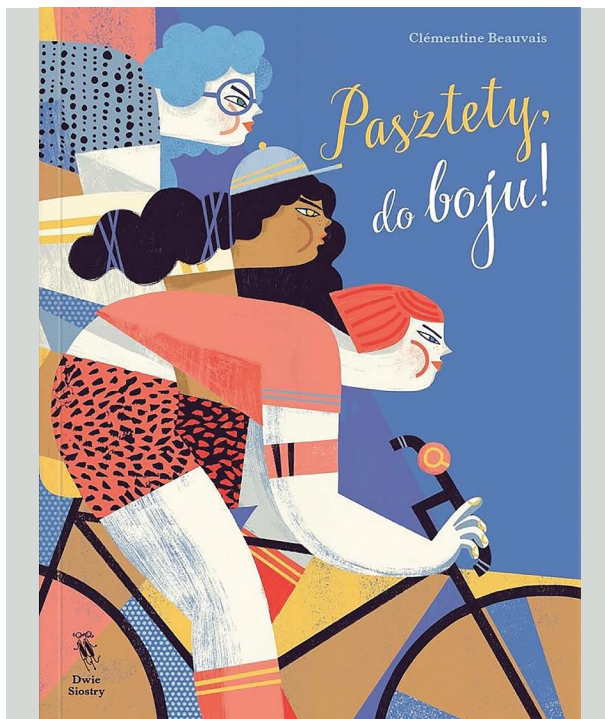


Serie „Strrraszna Historia” i „Horrendalna Historia”. Wydawnictwo HarperKids

W pewnym wieku nasze słodkie pociechy fascynują się opowieściami o krwawych bitwach, okrutnych torturach i straszliwych chorobach. Dzięki temu seria „Strrraszna Historia” jest dla nich idealna! W tych książkach poznają najważniejsze wydarzenia i postacie z historii świata w zabawny i ciekawy sposób. Dowiedzą się, jak żyli i umierali koszmarni Celtowie, narwani Normanowie, niesamowici Egipcjanie i wielu innych. Nie zabraknie też komiksowych ilustracji, quizów i ciekawostek.

Ale to nie wszystko! Wydawnictwo HarperKids przygotowało dla polskich czytelników specjalną serię „Horrendalna Historia”, która skupia się na historii Polski. W tych książkach odkrywają, jakie sekrety kryją się za nazwami miast, jak wyglądał pierwszy król Polski i co się działo podczas powstania warszawskiego. Poznają też bohaterów i zdrajców, którzy mieli wpływ na losy naszego kraju.

Serie „Strrraszna Historia” i „Horrendalna Historia” to świetne propozycje dla wszystkich, którzy chcą się bawić i uczyć jednocześnie, a sam przyznam, że będąc dzieckiem, zaczytywałem się w książkach z tej serii i z radością trafiłem na pięknie wydane reedycje. Nie mogę się doczekać, aż zarażę tą pasją swoją córkę!



Clementine Beauvais., *Pasztesy do boju*. Wydawnictwo Dwie Siostry

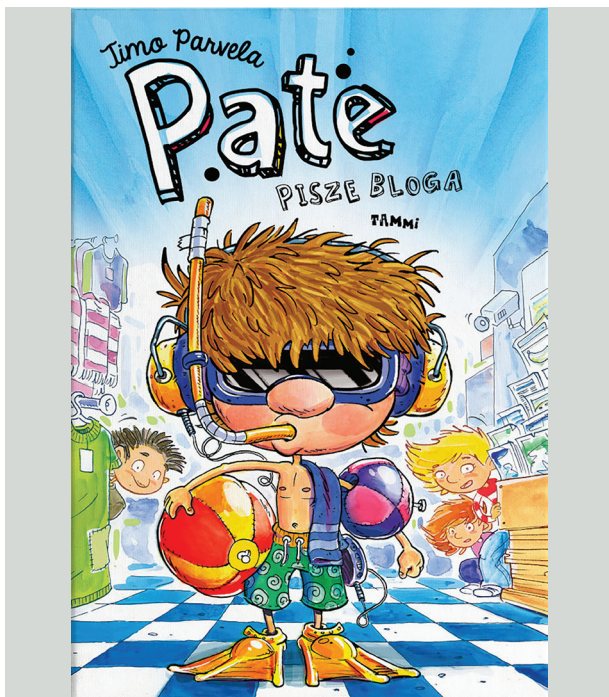
Co by się stało, gdybyście zostali uznani za najbrzydsze dziewczyny w szkole? Czy poddaliście się presji otoczenia i próbowalibyście zmienić swój wygląd i zachowanie? A może zrobilibyście coś zupełnie innego i postawilibyście na swoim? Tak właśnie postąpiły trzy bohaterki książki *Pasztesy do boju* Clémentine Beauvais, która ukazała się nakładem wydawnictwa Dwie Siostry. To pełna humoru i ironii opowieść o tym, jak trzy nastolatki wygrały konkurs na najbrzydszą dziewczynę w szkole i postanowiły udowodnić swoją wartość w niekonwencjonalny sposób.

Książka opowiada o przygodach Mireille, Astrid i Hakimy, które po otrzymaniu tytułu „pasztetów” nie załamały się, lecz wymyśliły plan zemsty na swoich prześladowcach. Pokazały, że są piękne i inteligentne w swoim własnym stylu i że nie potrzebują akceptacji nikogo innego. Każda z nich podważyła stereotypy i normy społeczne dotyczące kobiecego piękna i sukcesu.

Autorka książki, Clémentine Beauvais, jest francuską pisarką i wykładowczynią literatury dziecięcej na Uniwersytecie w York. W swojej twórczości porusza tematy ważne dla młodych czytelników, takie jak tożsamość, przyjaźń, miłość czy seksualność. Jej język jest barwny i dosadny, pełen zabawnych dialogów i trafnych obserwacji.

Beauvais nie boi się używać słów uznawanych za wulgarne lub obraźliwe, jeśli pasują do sytuacji i charakteru bohaterów. Niektórzy mogą uznać to za niewłaściwe lub nieodpowiednie dla młodego odbiorcy, ale nie są to słowa, z którymi dzieci nie mają styczności, a właśnie one nadają książce autentyczności i świeżości.

Książka *Pasztety do boju* to nie tylko zabawna historia o trzech dziewczynach, które nie dają się złamać przez społeczne oczekiwania. To także książka o wartościach, jakie każdy czytelnik może wynieść z lektury. To książka o tym, że każdy jest piękny na swój sposób i że nie należy się porównywać z innymi. To książka o tym, że ważna jest przyjaźń i wsparcie bliskich osób. To książka o tym, że należy być sobą i realizować swoje marzenia. A przede wszystkim – książka, z którą można się zaśmiewać do łez!



Timo Parvel, *Pate pisze bloga*. Wydawnictwo Widnokrag

Mnóstwo śmiechu znajdziecie również w książce *Pate pisze bloga* napisanej przez Timo Parveli i wydanej przez wydawnictwo Widnokrag. Jest to pierwsza część serii o przygodach Patego – sympatycznego chłopca z Finlandii, który prowadzi bloga na zakończenie roku szkolnego.

Książka jest bardzo zabawna i pełna humoru. Pate ma wiele pomysłów na to, jak spędzić wakacje i jak umilić

pobyt swojemu stryjowi, który przyjechał do niego z wizytą. Nie wszystkie jednak wychodzą mu tak, jak zaplanował. Na przykład, gdy próbuje umyć okulary stryja pastą do zębów i wazeliną albo gdy chce go zaskoczyć tortem urodzinowym zrobionym z pizzy i lodów. Pate opisuje wszystko na swoim blogu i dzieli się swoimi spostrzeżeniami na temat świata.

Książka jest napisana prostym językiem, przystępnym nawet dla dzieci dopiero zaczynających przygodę z czytaniem. Tekst podzielono na krótkie rozdziały i przepleciono dialogami oraz ilustracjami. To sprawia, że lektura jest łatwa i nie nudzi. Książka ma też ciekawą formę graficzną – wygląda jak prawdziwy blog, z komentarzami czytelników i emotikonami.



Renata Piątkowska, *Opowiadania do chichotania*. Wydawnictwo BIS

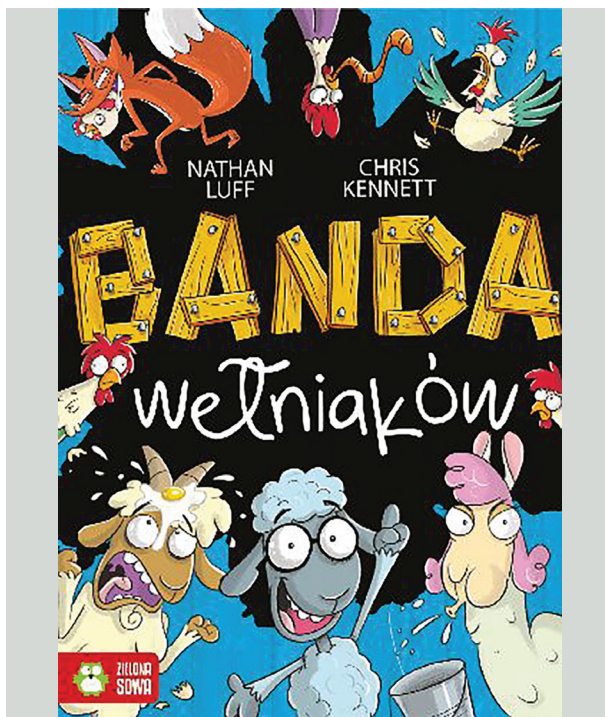
Czy szukasz książki, która rozbawi Twoje dziecko i sprawi, że będzie chciało słuchać więcej? Jeśli tak, to polecam *Opowiadania do chichotania* napisane przez Renatę Piątkowską i wydane przez wydawnictwo BIS. To zbiór zabawnych i ciepłych historii opowiadanych przez Tomka, sześciolatniego chłopca, który ma wiele pomysłów na spędzanie czasu z rodziną i przyjaciółmi. Tomek opowiada o swoich przygodach w domu, w szkole, na wakacjach

i w różnych innych miejscach. Jego opowieści są pełne humoru, fantazji i niespodzianek. Niektóre z nich są tak dowcipne, że trudno się powstrzymać od śmiechu.

Opowiadania do chichotania to książka idealna dla małych dzieci, nawet w wieku trzech lat. Możesz czytać ją swojemu dziecku przed snem lub w dowolnym innym momencie. Każde opowiadanie jest krótkie i łatwe do zrozumienia. Dziecko będzie zaintrygowane tym, co Tomek wymyśli i jak poradzi sobie z różnymi sytuacjami. Książka uczy też wartości, takich jak przyjaźń, rodzina, szacunek i kreatywność. Ilustracje są kolorowe i sympatyczne, a tekst jest napisany prostym i żywym językiem.

Warto mieć jednak na uwadze, że czytanie tomkowych przygód przed snem może powodować napady chichrania oraz chęć na dzikie figle, zamiast na nura w ciepłe pielesze.

Banda Wełniaków to zabawna i pełna przygód opowieść o czterech przyjaciółkach – baranku Beernardzie, lamie Szamie i koziołku Wilusiu – którzy przeżywają niesamowite przygody. Nathan Luff i Chris Kennett stworzyli świetną książkę dla dzieci, która łączy tekst z komiksem w ciekawy i oryginalny sposób. Nie tylko opowiadają historię bandy Wełniaków, ale też pokazują ich emocje i myśli za pomocą rysunków i dymków. To sprawia, że czytelnik czuje się, jakby był częścią akcji i mógł się identyfikować z bohaterami. Książka jest też pełna humoru i dowcipnych dialogów, które rozbawią zarówno dzieci, jak i dorosłych. Nie brakuje tu też napięcia i zwrotów akcji. Książka inspirowa również do własnych przygód i fantazji. Można porównać bandę Wełniaków do innych znanych postaci z bajek i filmów, na przykład do Baranka Shauna. To proste historyjki napisane w przystępny sposób, tak by były atrakcyjne dla najmłodszych czytelników, którzy dopiero zaczynają swoją przygodę z książkami. Przygody zwierzęcej ekipy to ciekawa odskocznia od książek, „które przeczytać



Seria „Banda Wełniaków”, Nathan Luff i Chris Kennett. Wydawnictwo Zielona Sowa

wypada” na przykład w szkole, będąca niezobowiązującą i lekką zabawą pełną śmiechu i szalonych wybryków.

Przeróżający stereotyp głosi, że dorośli nie uśmiechają się do godziny 11.00 lub do pierwszej kawy. A przecież humor to coś znacznie więcej niż głupkowate rechoty – może być prawdziwą filozofią stawania naprzeciwko rzeczywistości. Warto wykształcić takie poczucie już od najmłodszych lat, żeby dobra książka, pełna uśmiechu i radości była odskocznią od złego nastroju, problemów w szkole czy kiepskiej pogody, a czas poświęcony na jej lekturę był nagrodzony doskonałą zabawą.

TOMASZ FILIPOWICZ

– bibliotekarz i aktywista, mąż i ojciec – ról można by wymieniać znacznie więcej. Uważa, że świat jest opowieścią, i sam lubi je snuć. Przyznaje, że „lubi piękne i poruszające narracje”, dlatego nie różnicuje dobrych książek, gier, seriali, muzyki czy filmów. Najważniejsza jest opowieść i jej piękne zaaranżowanie.



fol. Bogumiła Małyszewska-Oksztol

Piotr Janicki

W drogę stop

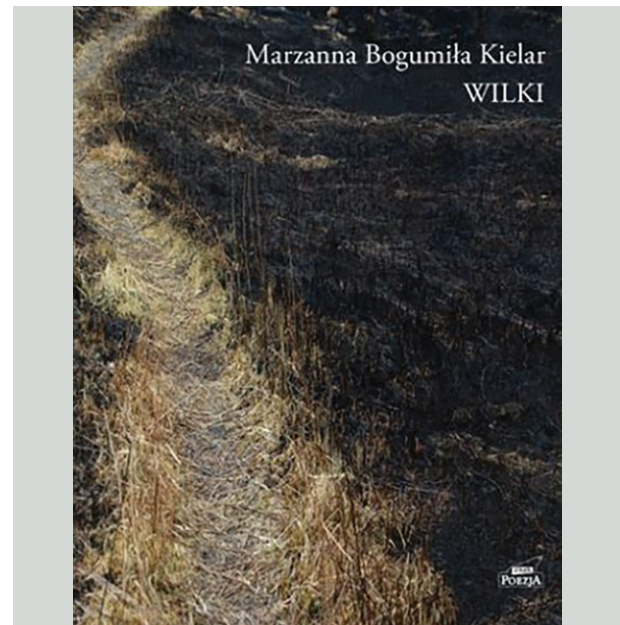
Tegoroczne *Wilki* Marzanny Bogumiły Kielar otwiera motto autorstwa Aleksandra Wata, które – jak to u Wata – giboje się raz na świadectwo, a raz na prorocstwo. Motto mówi o głosach, między innymi z jakiegoś ogrodu albo z pojęcia ogrodu. O (zakładam, że przydomowym) ogrodzie opowiada pierwszy wiersz książki: bohaterka, niejaka Jadwiga, nadbudowuje poniemiecki zieleniec przedwojennym pejzażem (może bliższym, lecz jakby większym, pejzażem Grodzieńszczyzny: „miniaturowy łańcuch górski / zawieszony nad Niemnem”), który zachowała w pamięci i teraz go odtwarza. I już tu Kielar wprowadza wierzchnie piętro. Najpierw subtelny „ogród / utracony u schyłku jesieni, gdy ginie / miasto trzmiela”, gdy jesień może jeszcze oznaczać porę roku, w czasie której Jadwiga została wygnana, lecz giniecie owada już się obraca na kole natury. Stronę kończy dużo ogólniejszy, żeby tak to ująć, obraz, w którym „krwawnik, tysiąclistny [jaka wojenna, ofiarowa metafora!] // którym Achilles leczył rany po bitwie”.

Powstaje tym samym zakres sięgający podwalin kultury Zachodu. (Bitwy i bitwy, a na kontynencie obok Aborygeni od kilkudziesięciu tysięcy lat chodzą i śnią wieczność).

Ale wiersz robi coś, co potem zrobi kilka innych za sprawą składu; kiedy przewracasz stronę, wiersz trwa, a wydawało się, że wybrzmiał... Omawiany teraz *Poniemiecki ogród Jadwigi wypędzonej z Grodzieńszczyzny* wtrąca więc cię w krajobraz terenów odzyskanych tuż po wojnie, na „ziemię, gdzie trupy i azot z bomb ją użyżniają”. Trudno o lepsze wprowadzenie do książki, do tematu. Przy całej swojej pochmurnej prezentacji *Poniemiecki ogród...* jest też pokazem mocy Kielar. Moc ta rozbłyska i w drugim wierszu, *Ucieczce Mazurki Elsy*, który relatywizuje etos migracji, a nawet ustami bohaterki mówi wprost o „wędrowności ludów”, to znaczy i o tym, co znamy jako nieustającą ludzką migrację niebędącą zespołem ruchów historycznych, a fundujących historię: „znajdowałyśmy / coś do jedzenia, sobie i koniom, potem już nic nie było”. I znów piękne malowidło na koniec części, ponieważ uciekinierki docierają do skrajów łąd i ich podróże ma swój kres,

ale nie ma go wędrowności ludów z konwojem kutrów, który „odpływał na północ. Nie zdołałyśmy się zabrać”.

Wiemy już, o czym jest książka, ale z tej wiedzy niewiele wynika, kiedy idzie się od wiersza do wiersza. Na przykład tytułowe *Wilki* są thrillerem, tak różnym od wcześniejszego, „przyrodniczego” obrazu *Powrót dzikich gęsi*, że wprawione w okładkę znów coś emblematycznego robią z czasem opisanym przez Kielar. Drugi powód leży w języku tomu. Jest to język zapisywaczki, co powierzyła poszczególne mazurskie zdarzenia ich obserwatorom, a potem zebrała ich głosy, przepuściła przez własną trąbę i zdarza się jej grać solówki, jak w trzeciej części *Wydawało się*. Chyba że była świadkową transu, bo to, co zdążyło powstać przed wojną – mówię teraz o wierszu – zdradza się jako ciąg archetypowych wrażeń. Takie są też w książce ludzkie zachowania, jak powrót chłopca, który zostawiwszy uciekającą rodzinę, wraca do uwięzowanego na łańcuchu psa, albo taszczenie przez repatriantów kamieni, albo sprawdzenie, czy ubranie nieboszczyka ma zapięte wszystkie guziki. Podobnie zwierzęta i inne stworzenia. Sarny gryzają młodą korę,



Bogumiła Marzanna Kielar, *Wilki*. Znak 2023

„słońce rozżarzoną głownię ciska w jezioro”, po zimie z ziemi wychodzą kamienie, a myśli opadają jak samosiejki.

Wilki zamyka pięcioczęściowa pieśń o Prusach. W ustach Kielar inkarnują oni w piękny, zapomniany lud o cudownych właściwościach, rozdeptany i zapomniany, żarzący się ostatkiem takich nazw jak „Warnikajmy, Kumkiejmy”.

Niesamowita książka. Nie pytałem autorki, jak o niej sama myśli, ale coś chyba przeczuwa, kiedy pisze mi, że w jednym z wierszy znalazła niepotrzebny przecinek, a poprawna fraza powinna iść tak: „kamienne palenisko – pamięć – gdzie ogień nie przetrwał”.



Wiktoria Miszczak / PLSP w Supraślu

Ewa Szarkowska

Czeski splin

Zapewne każdemu z nas zdarzyło się, gdy był dzieckiem, marzyć o tym, żeby zamieszkać w szafie. Albo przynajmniej uciec, schować się w niej na jakiś czas – dla żartu albo sprzeciwu. Ale co zrobić, kiedy taki pomysł przychodzi do głowy dorosłej osobie? I wydaje się w danym momencie jedynym możliwym rozwiązaniem? Co prawda sprowokowanym życiowymi okolicznościami, ale mimo wszystko niecodziennym?

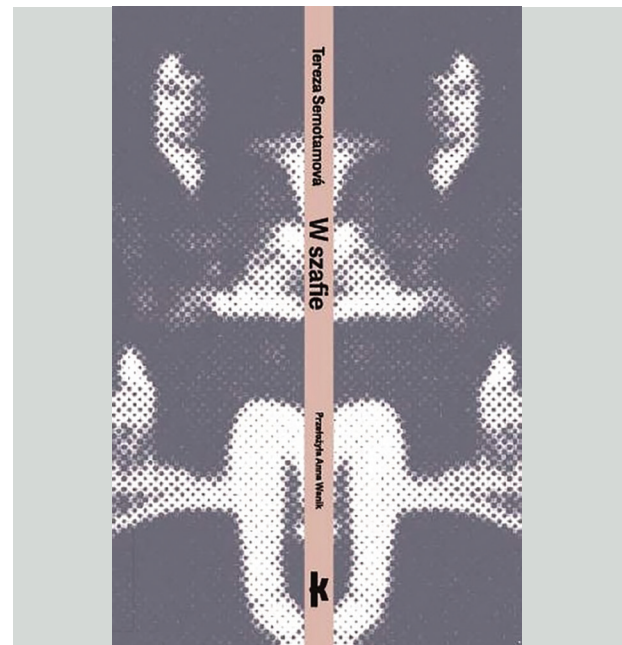
Bohaterka powieści Terezy Semotamovej pt. *W szafie* postanawia sprawdzić to na własnej skórze. Młoda, około trzydziestoletnia, wraca do Pragi z zagranicy po tym, jak jej życie osobiste rozsypało się w gruzy, a niewielki dobytek spłonął w pożarze. Pozostaje więc bez pracy, domu i pieniędzy, ale też niezbyt aktywnie angażuje się w to, by tę sytuację zmienić. Silnie rozwinięty instynkt niezależności sprawia, że nie chce, chyba też nie potrafi, zwierzyć się najbliższym ze swoich problemów, a tym bardziej prosić o pomoc. Jednocześnie nie umie odnaleźć się w tradycyjnym, zorganizowanym systemie (regularna praca, mąż, rodzina, niedzielne obiady). Na razie mieszka kątem u przyjaciółki, ale kiedy nadarza się okazja – jej siostra zamierza pozbyć się dużej, dwudrzwiowej szafy – postanawia zabrać mebel i w tajemnicy przed wszystkimi zamieszkać w tym prowizorycznym schronieniu.

Początkowo reaguje entuzjastycznie na takie rozwiązanie. Cieszy ją namiastka niezależności i spokoju, jaki zapewnia własne lokum, choćby tak małe i niekomfortowe, jak zwykła szafa. Czytelnikowi także udziela się jej podniecenie, choć raczej z odmiennych pobudek. Mając gdzieś w pamięci czeską skłonność do absurdu i surrealizmu, bezpodstawnie zaczyna oczekiwać, że oto zaraz dzięki szafie zaczną się dziać w powieści rzeczy niesamowite i – w symbolicznym skrócie – dokona się cudowna przemiana kopciuszka w księżniczkę, a co najmniej zwykłej dziewczyny w superwoman.

Dość szybko okazuje się jednak, że nie jest łatwo mieszkać w szafie. I nie chodzi tu tylko o brak toalety, prądu czy przeciekanie nieszczelnych ścian podczas deszczu, bardziej o to, że puste wnętrza szafy nie oznacza

wyzerowania osobistych doświadczeń. Łatwiej pozbyć się sterty ubrań niż bagażu emocjonalnego. Nie wypowiedziane albo nieprzepracowane emocje krążą w umyśle bohaterki („ja i moich czterdzieści tysięcy myśli dziennie”), nie dają się niczym wytłumić, chyba że alkoholem z piersiówki, a pusta i ograniczona przestrzeń szafy jeszcze te emocje wzmacnia i zagęszcza. Wspomnienia, sny i terażniejszość mieszają się ze sobą w powieści, przygniatając bohaterkę, a zarazem i czytelnika. Narracja przeskakuje nieoczekiwanie z jednego wątku na drugi, zmienia tempo i barwę, tworzy zakola i retrospektywne pułapki – tak że w końcu nie wiadomo, co jest snem, a co jawą.

Początkowa euforia bohaterki szybko się rozwiewa (w czytelniku również, ale zaciekawienie i przyjemność czytania pozostają) – tymczasowość i nieskuteczność rozwiązania z szafą staje się widoczna jak na dłoni. Bohaterka wciąż jednak konsekwentnie wzbrania się przed pomocą i ukrywa prawdę o swojej sytuacji (o rozstaniu



Tereza Semotamová, *W szafie*. Wydawnictwo Książkowe Klimaty 2022

z partnerem, o jego śmierci, pożarze mieszkania, własnym nieprzystosowaniu). Ta konsekwencja, by żyć na własnych warunkach (tylko w sumie... co to za warunki?), momentami przypomina upór obrażonego dziecka, z pretensjami do otoczenia włącznie: „Dlaczego nie powiedzieliście mi tego wcześniej? Że tak będzie? Że to będzie takie trudne?”. Można przyjąć, że odbija się w tym głos całego pokolenia trzydziestolatków, które nie radzi sobie z rzeczywistością, ale nie chce żyć według starych (tradycja) czy ustalonych (system) wzorców. Są ciągle pomiędzy: niby dorośli, a jednak niedojrzali, pewni siebie, a w środku zbyt wrażliwi. „Po prostu świat zagubionych szczeniąt”.

Znalezienie własnego miejsca w świecie, a tym bardziej przewartościowanie życia po kryzysie zawsze jest trudne, ale nie musi odbywać się „po partyzancku”, w ucieczce od najbliższych (którzy, notabene, dostrzegają i akceptują inność bohaterki). Każdy czasem doświadcza „dziwności istnienia” czy „zwyczajnego szaleństwa”, ale czy od razu trzeba pakować się do szafy albo pocztowej skrzyni (jak w filmie Petra Zelenki)? Zwłaszcza że – koniec końców – to świat (czytaj: bliscy) ratują takiego delikwenta. Na szczęście nasza bohaterka, obok pretensji i narzekań, miewa też konstruktywne refleksje: „Ech, człowiek to zwierzę społeczne! [...] Sam w swojej jamce na dłuższą metę staje się bezradny”.

Przypadki bohaterki, a zarazem i narratorki, która, jak sama stwierdza, lubi mieć dystans do siebie i otoczenia, podlane są gęstym sosem cytatów i kryptocytatów, a także quasi-filozoficznych wywodów, co dodaje smaku lekturze. Nie brak tu zatem Kafki czy Wertera (w roli komentarza do miłości niespełnionej i/ albo niemożliwej), ale też cytatów z Dostojewskiego czy modnych poradników samorozwoju. Najwięcej nawiązań, co zrozumiałe, jest do kultury czeskiej: poezji, kina, opery, piosenki, a nawet polityki.

Semotamová z wielką zręcznością zongluje tymi tekstami. Podpiera się nimi albo wchodzi w dialog (jak choćby ze słynnym tytułem Milana Kundery, mówiąc o „nieznośnej ciężkości bytu”). Sprawnie porusza się po różnych rejestrach kultury, nie unikając reinterpretacji czy prowokacji. Miesza wątki, mnoży historie, które czasem w dość odległy sposób łączą się z bohaterką albo mają znaczenie epizodyczne. Być może w pisarskim zamyśle ma to odzwierciedlać zagubienie protagonistki, jej nieumiejętność dookreślenia się i dokonania wyboru.

Momentami stwarza jednak wrażenie nadmiaru i chaosu, co dla niektórych może nawet stanowić przeszkodę w czytaniu. Wiele z tych wątków czy historii nadawałoby się zresztą na osobne książki.

Bohaterka, artystka z wykształcenia, jest osobą wysoce wrażliwą i, co za tym idzie, nieco neurotyczną. Nieustannie przygląda się światu i sobie, poddaje wszystko drobiazgowej analizie, czyniąc to z niemal naukowym dystansem. Wyraźnie widać, że potrzebuje takiej stałej aktywności umysłu, żeby móc oswoić i wytłumaczyć sobie świat zewnętrzny. Obarczona genem filozofii i psychoanalizy, mnoży pytania i wątpliwości. „W telewizji nieustannie szukają odpowiedzi. Ja ciągle jestem przy pytaniach. *Ad nauseam*”. W efekcie czytelnik otrzymuje lekturę pełną błyskotliwych refleksji i zaskakujących komentarzy do rzeczywistości.

Obraz, który wylania się z tych obserwacji i przemyśleń, jest raczej pesymistyczny, nawet z lekką nutą determinizmu. Ale nie jest to determinizm ostateczny, obeszładniający, raczej przynoszący ulgę na zasadzie poddania się naporowi rzeczywistości – jest, jak jest, i nie ma się na to wpływu. W powieści kilkakrotnie, w różnych sytuacjach i różnych momentach życia bohaterki, powraca leitmotiv, „że tak właśnie ma być”, „es muss sein”. Choć nie jest to łatwe, bo człowiek zawsze, trochę bezpodstawnie, tworzy jakieś oczekiwania względem rzeczywistości, trzeba „brać los takim, jaki jest”. A jeśli przed tym ucieka czy tego nie potrafi, to może wina jego własnej psychiki. „I na tym obiedzie jest jakoś tak, jak być powinno. Siedzę tam, gdzie moje miejsce. Ci ludzie przy niedzielnym obiedzie są moimi ludźmi, a jeśli się ich boję, to znaczy, że boję się samej siebie”.

Trzeba dodać, że to symboliczne stwierdzenie – „jest, jak być powinno” – określa postawę charakterystyczną dla czeskiej (czy w ogóle środkowoeuropejskiej) mentalności. Rzeczywistość można albo zaakceptować, albo schronić się w mistyfikację, absurd czy surrealizm, co poniekąd też jest akceptacją, tyle że twórczą. Dostajemy wtedy takie dzieła, jak utwory Oty Pavla czy Bohumila Hrabala albo filmy Petra Zelenki czy Martina Šulíka. Semotamová również zdaje się wpisywać do tego klubu. Nie brak w jej książce groteski oraz cierpkiego, nieco absurdałnego humoru, a cała rzeczywistość zdaje się podszyta pewną umownością i rozpadem. „Ach, te czeskie rudery, kocham je. Wszystko jest rozwalone, zepsute, nieokiełznane, ludzie, ogrody,

ministerstwa, części i całości. Być ruiną to mieć prawo do takiego życia, jakim jest”.

Na koniec słów kilka o języku powieści, którego walory zostały skrupulatnie zachowane w tłumaczeniu.

Jest to język świeży, mocny, porażający czasem czytelnika oryginalnością skojarzeń czy słów, a przy tym tak naturalny i – chciałoby się powiedzieć – nieodzowny, że łatwy do przyswojenia. Warto spróbować.



Adrianna Maciejak / PLSP w Supraślu

EWA SZARKOWSKA

– polonistka, bibliotekarka, Podlasianka. Od kilkunastu lat pracownik Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku. Zainteresowania: literatura, kultura regionalna, ornitologia, język francuski.



foto. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

Kamil K. Pilichiewicz

„Tak zaczyna się wiersz”. Koncert przeciwieństw

„Klucz ma w rękę każdy, ale otwarte niekoniecznie” – mówi o swojej najnowszej książce poetyckiej pt. *Otwarte na klucz* jej autor – Wojciech Kass. Czym jest tytułowe „otwarte na klucz”? Po pierwsze to metafora oksymoroniczna, metafora przeciwieństw, jedna z ulubionych form przenośnych poety. A po drugie z pomocą przychodzi wytrawny eseista i interpretator kassowej dykcji – Jarosław Ławski. „Strażnik lirycznego światła kluczem wiersza otwiera to, co zakryte, zamykając przed okiem wyobraźni to, co oczywiste”, intonuje Ławski na tylnej okładce tomu.

A więc klucznik wiersza, poeta lirycznego światła, poeta solarny – jak nazywa go Adrian Gleń – Wojciech Kass otwiera to, co zakryte. Brzmi nieco po Miłoszowemu. I słusznie. Miłosza jest w tym tomiku trochę. A może nawet więcej. Nie mam na myśli jedynie motta do wiersza *Żeby* („Krótkie dni, / Krótkie noce, / Krótkie lata”). Między wersami swoich najnowszych utworów autor *Wirów i snów* zdaje się poszukiwać tego „więcej”, co jest ukryte w brzmieniu słowa, w znaczeniu wyrazów, w tajemniczym zespoleniu, splątaniu formy i treści. Niemal jak Miłoszowe zagłębienie pod podszewkę świata.

Niby jest w *Otwarte na klucz* wszystko, co już znamy z wcześniejszych dokonań poety z Prania. Jest wszechobecna metafizyka, tematy śmierci (*Dyptyk o miłości i śmierci*), przemijania (*Oko, Westchnienie*), trwania (*Podryw cieni*) wiary (ważny półwiersz *Wiara*), religii (*Quare?*), krytyki kultury współczesnej (*Co dalej*), degradacji przyrody, degradacji wartości, są wiersze wymykające się jednoznacznej klasyfikacji jak *Wiersz z tytułem przy końcu* („a żywił słowa? / Jest jak wgniecenie duszy, która / z trudem wraca do poprzedniego stanu / skarlenia [...] „nie czas żałować wianków, / gdy siwieją włosy”) – wszystko to podlane ironicznym sosem (*Pięciu poetów w ogrodzie, Sami z niespodzianką dali*) i doprawione autobiograficznymi okruciami, ziarenkami (*Kmin i kapary, Poczta, okienko*). Poezja autora *Do światła* to niekończąca się rozmowa z tradycją literacką, rozmowa z dawnymi mistrzami słowa.

Zgadza się, motywy przewodnie w twórczości Kassa, poetyka jego wcześniejszych lirycznych utworów, idee zamknięte w eseistycznych wywodach wciąż są słyszalne, pobrzmiwają dalekim echem w *Otwarte na klucz*. Ale tym razem tonacja wierszy wydaje się jeszcze bardziej dojrzała (nie przejrzala), przy tym są one pełne (uzupełniającej się) sprzeczności: miejscami przyciemnione zdystansowanym doświadczeniem „ostatniej fali na brzegu”, miejscami rozświetlone – jakby młodzieńczym zapalem poety-ekstatyka, który brzoskwinię nazywa „skupioną kroplą słońca, słodką / lzą solarną”.

Wojciech Kass po raz kolejny udowadnia, że jest dyrygentem, który wprawnie wydobywa ze słów muzykę, panuje nad orkiestrą języka.



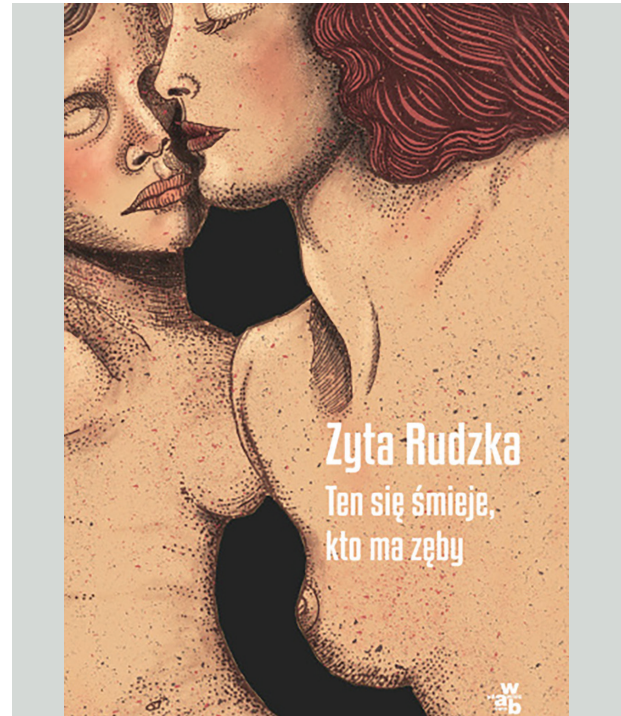
Wojciech Kass, *Otwarte na klucz*, Iskry 2023

Paulina Reszotko

Bieda z nędzą, humor i żałoba

„Ten się śmieje, kto ma zęby”, a na pewno ten się śmieje, kto czyta Zytę Rudzką. Jednak nie jest to śmiech radosny i kojący. To śmiech raczej bezobjawowy, niewidzialne uniesienie kącika ust, szybsze wypuszczenie powietrza nosem. Czasem to śmiech przez łzy. U Rudzkiej humor rodzi się ze zgryzoty i powagi – to metoda autorki na literaturę o tematach trudnych: śmierci bliskiej osoby i pochówku.

Wera – podstarzała, ale znowu nie tak stara męska fryzjerka – jasne lata ma już za sobą. Na co dzień siłuje się z pokrętną rzeczywistością. Jej mąż – były dżokej – zatopiony w letargu, nie pomaga w zmaganiach z codziennym żywotem. W końcu umiera i na pożegnanie sprowadza na Werę prawdziwą udrękę. Kobieta zostaje wdową. Nie spodziewajmy się po niej jednak rzewnych łez, westchnień, omdleń i twarzy okrytej czarną koronkową woalką. Wera to wdowa, która za nic ma etykietę i konwensanse. Nad nieboszczykiem leżącym w łóżku zapala papierosa, lekarzowi stwierdzającemu zgon próbuje sprzedać puchary męża (trzy w cenie jednego!), a na deser kupuje trumnę w dziecięcym rozmiarze. Gruboskórność i zobojętnienie nie oznaczają jednak, że bohaterka Rudzkiej nie doświadcza straty, po prostu nie ma czasu się w tej stracie pławić.



Zyta Rudzka, *Ten się śmieje, kto ma zęby*. Wydawnictwo W.A.B. 2022

Zapaliłam na koniec. Dostawiłam taboret, usiadłam. Przy umarlakach dobrze się kurzy. Z cztery skręciłam. Wykurzyłam, ostatek w palcach rozkruszyłam.

Gapiłam się na niego. Oczu nie mogłam oderwać. Tak chciałam, jak nie chciałam w tej trumnie go zapamiętać.

Dżokej pozostawił po sobie liczne trofea i wspomnienia minionych sukcesów, jednak za pogrzeb i porządne buty do trumny nie da się nimi zapłacić. Dlatego świeżo upieczona wdowa wyrusza w miasto: odwiedza byłych kochanków w poszukiwaniu pieniędzy, wyprawia się po kwit na pochowanie, wyprawia się po farbę do trumniaków, wyprawia się rozchodzić ciemne lata. Kolejne wyprawki powodują, że możemy czytać książkę Rudzkiej jako powieść drogi. Spacerować z Werą rozdział po rozdziale, kilometr

po kilometrze, sprawa za sprawą, wspomnienie za wspomnieniem. Wędrowka przypomina jednoosobowy kondukt żałobny, w którym uderza nas humor i ironia.

Ten się śmieje, kto ma zęby to współczesna powieść funeralna. Pozbawiona sentymentów Wera nie potrzebuje współczucia; potrzebuje działania, bo tak radzi sobie z żałobą. Wraz z kolejną rozkopaną fazą organizacji pogrzebu Wera wyszarpuje z pamięci światłości i ciemności swojego życia.

Ile można płakać, ile można mieć łez.

Są ludzie, na starość tylko się marzą. Co wspominka, w płacz uderzają.

Widać wcześniej wszystkie lzy się nie polaly. Dobre życie lez poskapilo.

U mnie się inne życie wytworzyło. A nie raz tylko, kurwa, sięć i płakać. Usiadłam, płakałam. Z tego teraz za płaczem nie jestem. Już swoje wyplakałam.

Zyta Rudzka stworzyła jaskrawą bohaterkę, którą wyróżnia przede wszystkim język cielesności. Chociaż właściwsze byłoby nazwanie go erotyczno-somatycznym. Pozbawiona sensualności wprost mówi, czego i od kogo

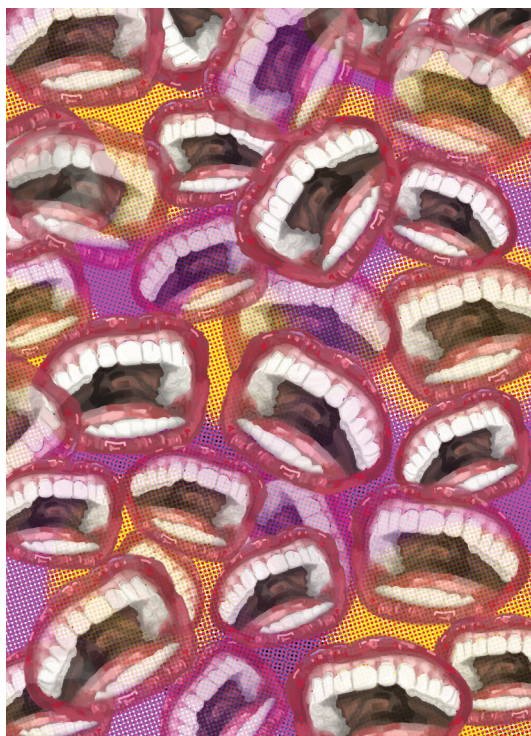
chce. Żyje i kocha się na własnych zasadach. W jej miłości nie ma czasu na romantyzm: jest praca, bazar, pies z kulawą nogą i sprawy do załatwienia. O tym wszystkim opowiada w niekonwencjonalny, dosadny sposób:

Nie jestem wycieruchem. Nie podpadam pod baby wersalki, co się szybko rozkładają. Nikt z rąk do rąk mnie nie przetrzuca. Ale też nie z tych, co się cackają z cnotą, same się wypieszczą i po robocie. Na piczę trzech majtek nie zakładam. Komu chce, daję.

Język bohaterki, często prymitywny i wulgarny, jest odbiciem otoczenia, w którym dominuje zepsucie i ubóstwo. Wędrowki Wery odkrywają przez nami biedę w najczystszej (najbrudniejszej?) postaci. Werze lokal

po zakładzie fryzjerskim został niespodziewanie odebrany, wyprzedala już większość gratów z mieszkania, na bazarze pojawia się coraz mniej klientów, których można urobić. Na dodatek wszyscy dookoła nie śmierzają groszem. Co najciekawsze, dziadowanie w książce Rudzkiej nie jest ograniczone do problemów finansowych, to wielowymiarowa bieda z nędzą: moralna, w stosunkach międzyludzkich i społecznych. Ubóstwo we współczuciu i zrozumieniu.

Ten się śmieje, kto ma zęby to wyraźna, mistrzowska literatura. Choć nie było to dla mnie zaskoczenie, już wielokrotnie Rudzka pokazywała światu swoich odmiennych i uwolnionych od grzecznej narracji bohaterów. O samej autorce chciałoby się wiele powiedzieć, chociażby wymienić liczne tytuły i nagrody. Ale research pozostawię Czytelnikom. Warto.



Julia Zementowska / PLSP w Supraślu

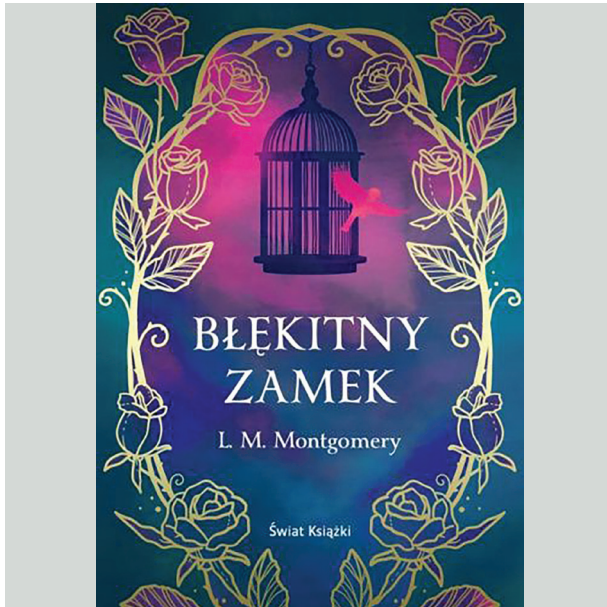


foto. Bogumiła Małyszewska-Oksztol

PAULINA MARIA RESZOTKO

– filolożka, rocznik '93, białostoczanka z pochodzenia i z wyboru. Nie tak dawno bibliotekarka-instruktor, jeszcze dawniej nauczycielka języka polskiego. Zawodowo i po godzinach zajmuje się kulturą, szczególnie tą współczesną. Weselość połączoną z uniesieniem odnajduje w literaturze, teatrze i przeczesywaniu kolejnych kawalków świata.

Justyna Sawczuk



L.M. Montgomery, *Błękitny zamek*, Świat Książki, Warszawa 2022.

Jako dziewczynka zaczytywałam się kolejnymi książkami z serii o Ani z Zielonego Wzgórza, pióra Lucy Maud Montgomery, nigdy wcześniej nie sięgnęłam jednak po wydany w 1926 r. *Błękitny zamek*. Było to więc odkrywanie na nowo ulubionej autorki z dzieciństwa, ale też doskonały pretekst, by sięgnąć po klasykę, zapomnianą w zalewie literackich nowości.

Główna bohaterka, Joanna Stirling, ma dwadzieścia dziewięć lat. Przez swoją rodzinę uznana została za starą pannę, z wątpliwymi szansami na zamążpójście. Jej życie jest do bólu nudne i przewidywalne, ale co gorsza, ona sama postrzega je jako bezużyteczne i pozbawione celu. Kontrolowana na każdym kroku przez bliskich, nieszczęśliwych jej uszczypliwości oraz uporczywie nazywających ją Buba, marzy w skrytości ducha o prawdziwej miłości.

Jedynym pocieszeniem znajduje w lekturach książek przyrodniczych Johna Fostera, które od czasu do czasu udaje jej się wypożyczyć z biblioteki. Zresztą samo wyjście do biblioteki to dla Joanny rodzaj święta – ma okazję choć na chwilę uciec z domu, wypelnionego zrzędzeniem matki i ciotki oraz plotkami, skrętnie dostarczonymi przez kuzynostwo. Nie mogąc znieść rzeczywistości, „biedna Buba” z pasją oddaje się marzeniom, tworząc w swojej głowie *Błękitny Zamek* – miejsce, w którym żyje tak, jak chce.

Życie Joanny zmienia się, kiedy dowiaduje się, że jest śmiertelnie chora. Dotąd cicha i potulna postanawia wreszcie wziąć sprawy we własne ręce i postępować wedle własnych zasad. Rodzina jest zdumiona jej przemianą – nieposłuszeństwem, krnąbrnością, odwagą. Zrzuca to na karb pomieszania zmysłów, tymczasem sprawczyni całego zamieszania bawi się coraz lepiej, wyzwalaając się z okowów społecznych i rodzinnych oczekiwań.

Los podsuwa Joannie szansę na nadanie swemu życiu sensu – dziewczyna pakuje walizkę i odchodzi z domu, by podjąć pierwszą w życiu pracę i zaopiekować się chorą przyjaciółką. Nie wie wówczas, że ten krok sprawi, iż dane jej będzie doświadczyć tego, czego pragnie najbardziej – miłości.

Nigdy nie podejrzewałam się o romantyzm, ale muszę przyznać, że ta powieść mnie urzekła – bywa naiwna i przewidywalna, ale jest przy tym niezwykle wdzięczna. Dla kobiet żyjących w małych, tradycyjnych środowiskach na początku XX wieku musiała być wręcz rewolucyjna. To historia o odwadze w przełamywaniu schematów, wychodzeniu poza wzorce, o odpowiedzialności za własne życie i walce o swoje marzenia. To też opowieść o roli i pozycji kobiet w ówczesnym społeczeństwie, o uzależnieniu od woli rodziny i męża, o przerażającej niemożności stanowienia o sobie, o klatce zbudowanej z ograniczeń, z tego, co „wypada”, a czego „nie wypada” niezamężnej kobiecie. W tle pojawia się opis plotkarskiego środowiska małej miejscowości, gdzie wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą, a dbałość o dobre imię rodziny jest ważniejsza niż szczęście jej członków.

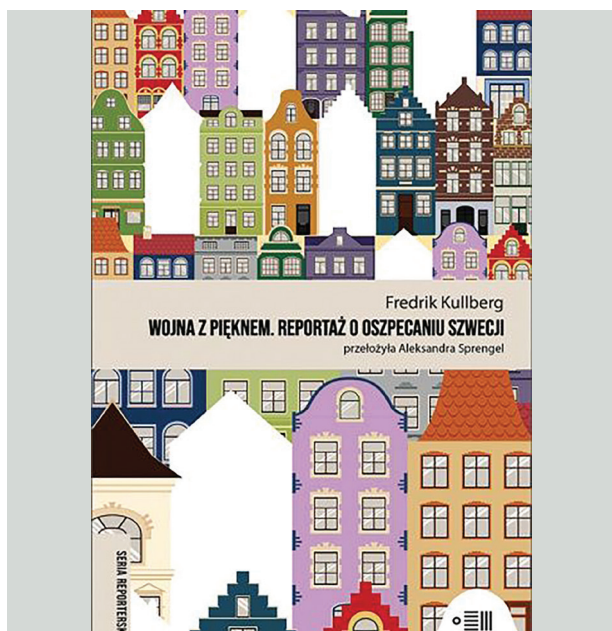
Lucy Maud Montgomery obnaża obłudę społeczeństwa, korzystającego z każdej okazji do potępienia drugiego człowieka, a jednocześnie z łatwością wycofującego się ze swoich krytycznych opinii w obliczu pieniędzy i odpowiedniego statusu.

Zdawałoby się, że to lektura nijak mająca się do współczesności, a jednak mam wrażenie, że część opisanych mechanizmów społecznych działa nadal. Ja sama odnalazłam się częściowo w postaci Joanny – strach przed decyzją o życiu na własnych zasadach nie jest mi obcy. . .

Ciepła, wzruszająca, krzepiąca powieść w klasycznym (w najlepszym znaczeniu tego słowa) wydaniu.

Justyna Sawczuk

Cena nowoczesności



Fredrik Kullberg, *Wojna z pięknem. Reportaż o oszpecaniu Szwecji*. Wydawnictwo Dowody na Istnienie 2022

Szwecja jawi się wielu z nas jako nowoczesny, postępowy kraj z ciekawą architekturą i piękną przyrodą, z dążeniem do minimalizmu i funkcjonalizmu wpisanym w skandynawskie DNA. Czy w rzeczywistości jest tak „kolorowo”? Jaka jest faktyczna cena pędu ku nowoczesności?

Nigdy nie byłam w Szwecji, więc moja wiedza i wyobrażenia na temat tego kraju to zlepek: opinii znajomych, przeczytanych książek i artykułów prasowych, obejrzanych filmów oraz przejawów działalności pochodzących stamtąd twórców internetowych. Nigdy też nie zastanawiałam się, jakie podejście mają Szwedzi do dziedzictwa kulturowego, jakie i czy w ogóle ma ono dla nich znaczenie.

Jakkolwiek są dziedziny, w których polski konserwatyzm i tradycjonalizm mnie uwiera, byłam i jestem zdania, że świadomość, skąd pochodzimy, bogactwo przyrodnicze, nasza historia, kultura, wierzenia, obyczaje, architektura czy sztuka w jakiejś części budują naszą tożsamość,

dlatego winniśmy o nie dbać. Nie twierdzę, że każdy powinien mieć w domu piec kaflowy i żyć z tego, co uda mu się zdobyć w lesie. Mówię o zachowaniu dla potomnych zabytków architektury i techniki, dzieł sztuki i literatury, lokalnych gwar i tradycji, o ochronie cennych przyrodniczo terenów. Jestem przekonana, że nowoczesność nie musi oznaczać niszczenia tego, co było. Nasi nadbałtyccy sąsiedzi zdają się myśleć inaczej, a tezę tę potwierdza szereg przykładów przywołanych w książce Fredrika Kullberga.

Kristianstad – miasto w południowej Szwecji. Siedzibą pracy siedmiuset gminnych urzędników jest Rådhus Skåne – budynek, którego powstanie wymagało zburzenia całego kwartału z dziewiętnastowieczną zabudową w sercu zabytkowego, siedemnastowiecznego miasta (zachowano kilka fasad). Choć to i tak „pikuś” przy monumentalnym kompleksie handlowym ze szkła i betonu – Gallerii Boulevard, która pochłonęła powierzchnię dwunastu kwartałów, naruszając siedemnastowieczny układ ulic, i całkowicie zdominowała centrum Kristianstad.

Zresztą Szwedzi mają chyba jakąś manię wielkości, bo centra handlowe, zbyt wielkie jak na potrzeby nasyczonego rynku, powstają tam regularnie. „Powierzchnia handlowa przypadająca na jednego mieszkańca Szwecji jest największa w Europie”¹¹. Niszczona jest przy tym zabytkowa tkanka miasta oraz tereny rolnicze. Modernistyczne osiedla mieszkalne wyrastają tuż obok zabytków, nijak nie wpisując się w otaczającą przestrzeń. Autor poddaje współczesne budownictwo mieszkalne poważnej krytyce – budynki nie spełniają norm jakościowych, powstają z naruszeniem prawa budowlanego i niszczą krajobraz miast.

Szwecja słynie z zachwycającej, dzikiej przyrody, ale natura przegrywa obecnie w walce z nowoczesnymi fabrykami, pod budowę których trzeba wyciąć hektary lasów. Kullberg zwraca również uwagę na to, jak farmy wiatrowe zmieniają krajobraz i że wcale nie są takie znowuż „eko” – do ich budowy zużywa się ton stali, żwiru i kruszywa, wymagają kilometrów nowych dróg oraz linii energetycznych, co z kolei wymusza wycinanie lasów. W dalszej perspektywie

¹¹ F. Kullberg, *Wojna z pięknem. Reportaż o oszpecaniu Szwecji*, Wydawnictwo Dowody na Istnienie, Warszawa 2022, s. 41.

zwiększenie fragmentacji krajobrazu przez farmy wiatrowe może doprowadzić do spadku różnorodności biologicznej.

Kolejną popularną w Szwecji praktyką jest burzenie starych budynków kolejowych, mimo iż wiele z nich ma walory historyczne i kulturowe. Sprzeciw lokalnych społeczności nie robi na decydentach żadnego wrażenia. Brak poszanowania dla zabytków kultury, historii czy architektury jest wręcz porażający – jeśli przeszkadzają one w budowie na przykład zjazdu z autostrady, zostają zniszczone.

Do „odstrzału” przeznaczono też stare zapory wodne, będące zabytkami techniki. Szwedzkie władze zaślaniają się w tym przypadku unijną dyrektywą, której założeniem jest odtworzenie cieków wodnych i likwidacja infrastruktury szkodliwej dla środowiska. Tyle że ta sama dyrektywa pozwala na zachowanie obiektów ważnych kulturowo lub historycznie, ale tego fragmentu najwyraźniej nie czytano lub, co gorsza, zignorowano go, uznając, że nie ma czego zachowywać.

Kullberg porusza też temat masowej i bezrefleksyjnej wycinki starych, miejskich drzew. Dyskredytuje przy tym argument o nasadzeniu młodych roślin – jak pokazuje dotychczasowe doświadczenie, większość z nich nie przetrwa nawet dziesięciu lat.

Cała ta publikacja kojarzy mi się z *Betonozą* Jana Mencwela, tyle że Mencwel skupił się na przestrzeni miejskiej w Polsce, a Kullberg dotknął zjawisk obecnych na całym obszarze Szwecji. Jak sam napisał, ta książka powstała, by „udokumentować, jak szerzy się brzydota i jak wpływa na psychikę i warunki życia człowieka”¹².

Wojna z pięknem... to rozważania na temat tego, czym owo piękno jest i czym jest dziś brzydota. Kullberg przeciwstawia zachwycającym dziełom natury wytwory współczesnego człowieka – tanie, proste i opłacalne. Publikacja nosi znamiona pracy naukowej, z dużą ilością kontekstów, nawiązań do dzieł czy wypowiedzi ludzi kultury i nauki z różnych epok (np. francuskiej pisarki Annie Le Brun,

twórcy psychoanalizy Zygmunta Freuda, rzymskiego architekta z I w. p.n.e. Witruwiusza, rosyjskiego pisarza Fiodora Dostojewskiego, austriackiego psychiatry Viktora Frankla). Jest to niewątpliwie lektura wymagająca skupienia – nagromadzenie wspomnianych nawiązań potrafi miejscami przytłoczyć, lecz zadbano o ich wyjaśnienie.

Wątkiem szalenie interesującym wydało mi się wydobywanie z historii przyczyn kultu inżynierii, dążenia za wszelką cenę do statusu państwa na wskroś nowoczesnego, gdzie liczy się: funkcjonalność, innowacja, robotyzacja, automatyzacja, digitalizacja i transformacja. Fredrik Kullberg sięga w swych rozważaniach do Wystawy Sztokholmskiej z 1930 r., dzięki której popularność zyskał funkcjonalizm (funkis) – „powściągliwy styl w budownictwie, a zarazem całościowy program, który stworzył podwaliny powojennej urbanistyki”¹³. Podkreśla też silny wpływ Le Corbusiera – urbanisty propagującego modernizm, którego surowe, pozbawione zbędnych ozdóbek projekty miały wspierać cywilizację pracy. Według autora *Wojny z pięknem...* skutki fascynacji ideą funkcjonalizmu i jej popularności widoczne są do dziś.

Znakomitym uzupełnieniem reportażu jest posłowie Filipa Springera „Dokąd zabrałbym Fredrika Kullberga, gdyby przyjechał do Polski”, w którym to tekście Springer udowadnia, że borykamy się z podobnymi problemami co Szwedzi. Dostaje się m.in. gigantycznemu hotelowi Gołębiowski w Karpaczu, który całkowicie zdominował panoramę miasta; Katowicom, gdzie przez wyremontowany rynek płynie sztuczna rzeka, a pod nią ta prawdziwa – Rawa; oraz Poznaniowi, mogącemu „poszczycić się” największą liczbą galerii handlowych w przeliczeniu na liczbę mieszkańców.

Rzecz niezwykle interesująca i zaskakująca – do przeczytania i przemyślenia.

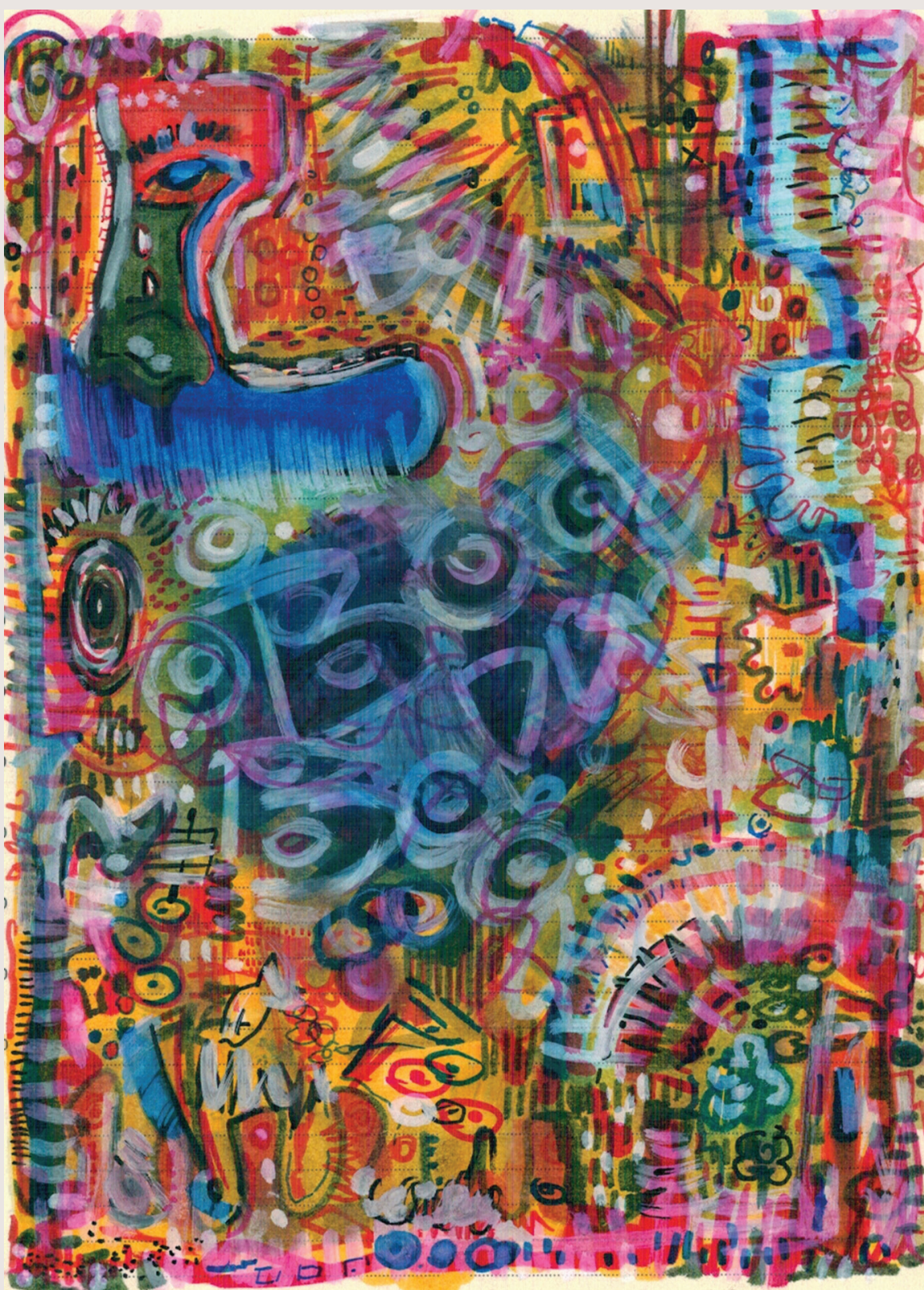
JUSTYNA SAWCZUK

– pracowała jako dziennikarka (TVP3 Białystok, „Kurier Poranny”), specjalistka ds. promocji i rzecznik prasowy (Książnica Podlaska), w latach 2018–2023 pełniła funkcję redaktor naczelnej nieregularnika „Epea. Pismo literackie”. Bloggerka i youtuberka, prowadząca kanały: Okiem Wariatki oraz Przeczytałam, To Się Wypowiem. Miłośniczka dobrej literatury i smacznej herbaty.

¹² Tamże, s. 226.

¹³ Tamże, s. 149.



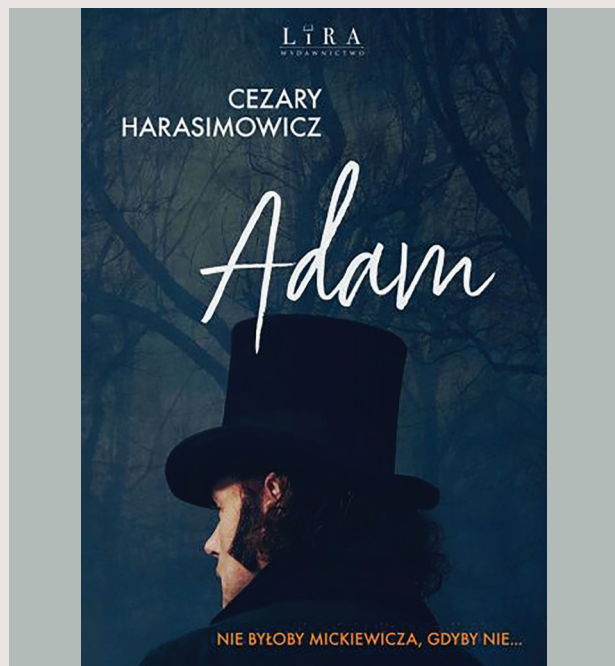


Klaudia Bondar / PLSP w Supraślą

Tomasz poleca

Jeśli szukasz książki o Adamie Mickiewiczu, która zaskoczy Cię swoją oryginalnością, humorem i lekkością, to mam dla Ciebie propozycję: Adam Cezarego Harasimowicza. Nie jest to kolejna nudna biografia wieszczka, która opowiada o jego życiu i twórczości w sposób suchy i mdły. To powieść, w której narrator jest diabłem! Tak, dobrze czytasz. Diabeł, który opiekuje się Adamem od jego narodzin w Zaosiu po śmierć w Stambule. Diabeł, który zna wszystkie jego sekrety, słabości i grzechy. Diabeł, który nie szczędzi mu ironicznych komentarzy, ale też podziwia za jego geniusz i misję.

Harasimowicz stworzył niezwykłą opowieść o Mickiewiczu, w której pokazuje go jako człowieka z krwi i kości, pełnego sprzeczności i namiętności. Mickiewicz nie jest tu tylko poetą i prorokiem, ale też kochankiem, przyjacielem,

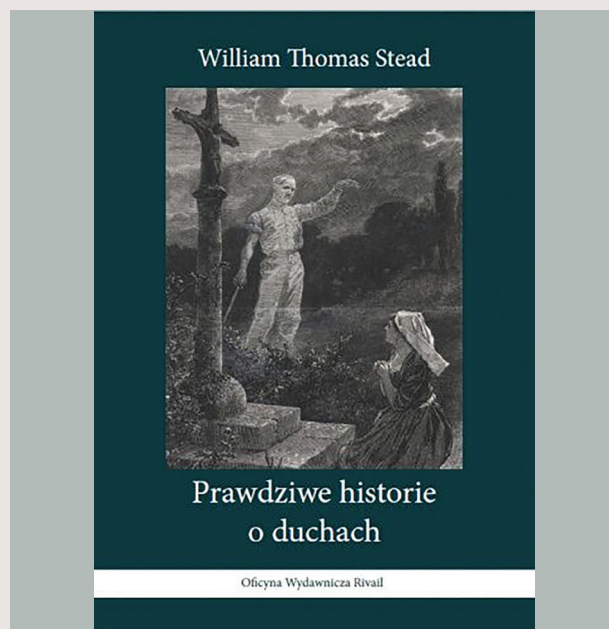


Cezary Harasimowicz, *Adam*. Lira 2022

ojcem i patriotą. Jego życie to pasmo przygód, miłości i dramatów, które czyta się jak najlepszy thriller. Autor nie boi się pokazać ciemnych stron wieszczka, jego błędów i porażek, ale też jego wielkości i charyzmy.

Adam to książka, która bawi i wzrusza, uczy i zaskakuje. To książka dla tych, którzy kochają Mickiewicza, i dla tych, którzy go nienawidzą. To książka dla tych, którzy chcą

poznać prawdę o największym polskim pisarzu, i dla tych, którzy lubią fantazjować na temat historii, i dla każdego, kto lubi dobrze napisaną literaturę.



William Thomas Stead, *Prawdziwe historie o duchach*. Oficyna Wydawnicza RIVAIL 2022

Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, co się dzieje po śmierci? Czy wierzysz w istnienie duchów i czy chciałbyś się z nimi skontaktować? Jeśli tak, to może zainteresuje Cię książka *Prawdziwe historie o duchach* Williama Thomasa Steada, zbiór opowieści o zjawiskach nadprzyrodzonych i doświadczeniach spirytystycznych.

Stead był angielskim dziennikarzem i reformatorem społecznym, który zginął w katastrofie Titanica w 1912 roku. Przed swoją śmiercią interesował się spirytyzmem i próbował nawiązać kontakt z duchami za pomocą seansów i automatycznego pisania. W swojej książce opisuje wiele przypadków, w których ludzie twierdzili, że widzieli, słyszeli lub rozmawiali z istotami z zaświatów. Niektóre z tych historii są przerażające, inne wzruszające, a jeszcze inne zabawne.

Książka napisana w prostym i żywym stylu, który sprawia, że czytelnik czuje się, jakby słuchał opowieści przy ognisku. Stead nie stara się nam narzucić swojego poglądu na rzeczywistość, ale zachęca do otwartości umysłu i poszukiwania prawdy. Niektóre z jego relacji są oparte

na własnych doświadczeniach, inne zaś na świadectwach ludzi, którym ufał. Nie brakuje też odniesień do literatury i historii.

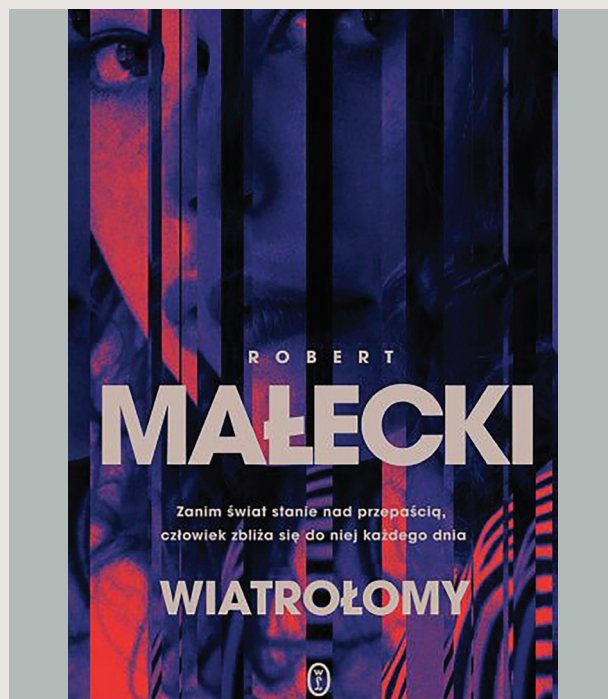
Prawdziwe historie o duchach są fascynującą lekturą dla wszystkich, którzy lubią dreszczyk emocji i tajemnicę. Nie jest to jednak pozycja dla ludzi o słabych nerwach lub dla sceptyków, którzy nie wierzą w nic poza tym, co widzą. Jeśli należycie do tej drugiej grupy, lepiej wybierzcie coś innego. Ale jeśli jesteście ciekawi tego, co kryje się „po drugiej stronie” życia, to zapraszam do lektury.



Aleksandra Rumin, *Głosuj na Polaka*. Inicium 2022

Czytając *Głosuj na Polaka* Aleksandry Rumin, miałem wrażenie, że oglądam kabaretowy skecz o absurdach polskiej polityki. Autorka z niezwykłą zręcznością i humorem kreuje świat małej gminy Grzeszyn, gdzie po zaginięciu wójta rozpoczyna się zacięta walka o jego następcę. Trzej kandydaci na wójta to galeria barwnych postaci, które nie cofną się przed niczym, by zdobyć głosy wyborców. Rumin bawi się stereotypami i konwencjami, wyśmiewa polityczną poprawność i obnaża hipokryzję i cynizm rządzących. Książka jest pełna zabawnych dialogów, zwrotów akcji i nawiązań do aktualnych wydarzeń. Nie brakuje też satyrycznych odniesień do kultury popularnej, historii i literatury. *Głosuj na Polaka* bawi i równie mocno popycha

do zastanowienia, na przykład nad kondycją naszego społeczeństwa. Political fiction w najlepszym wydaniu, porywające wartką akcją i niedające wytchnienia.

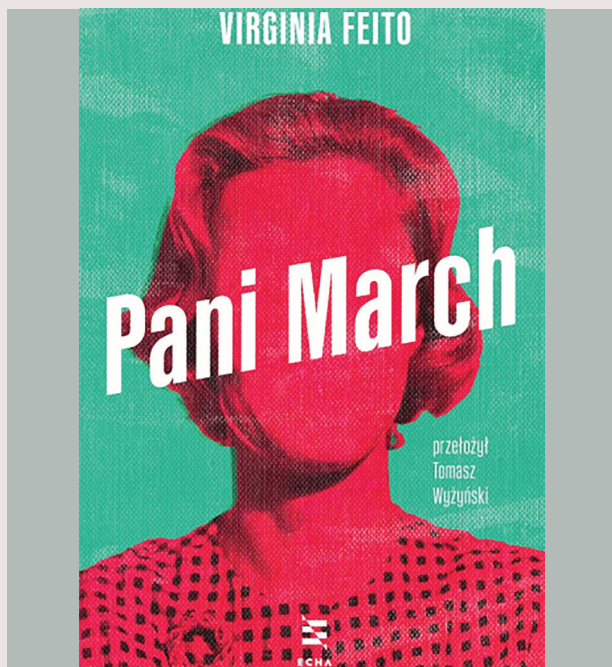


Robert Małecki, *Wiatrołomy*. Wydawnictwo Literackie 2022

„Białe ciało niemowlęcia przez całą noc pływało w starym ocynkowanym wiadrze pełnym roztworu formaliny” – to zdanie rozpoczyna książkę i trzeba przyznać, że wywołuje w czytelniku sporo dyskomfortu. Jeśli lubisz kryminały, które trzymają w napięciu od pierwszej do ostatniej strony, nie możesz przegapić *Wiatrołomów* Roberta Małeckiego – pierwszego tomu nowej serii o policjantach z bydgoskiego Archiwum X, którzy zajmują się nierozwiązanymi sprawami z przeszłości. W tej części muszą rozwikłać tajemnicę sprzed trzydziestu lat: porwania dziecka w Grudziądzu. Co się stało z małym Filipem Witbergiem? Kto i dlaczego go uprowadził? Czy rodzice kiedykolwiek go odzyskają?

Autor zabiera nas w mroczną podróż po Polsce lat 90., w której panował chaos, przemoc i bezprawie. Nie oszczędza nam szczegółów brutalnych zbrodni, korupcji i zdrady. Pokazuje też, jak porwanie dziecka wpłynęło na życie jego rodziny i śledczych, niepotrafiących odnaleźć sprawców. Brak tu prostych odpowiedzi i łatwych rozwiązań. Każdy bohater ma swoje sekrety, słabości i motywy. Nikt nie jest całkowicie niewinny ani całkowicie winny.

Małecki mistrzowsko buduje napięcie i zaskakuje zwrotami akcji. Nie boi się poruszać trudnych tematów, takich jak nałóg, depresja czy samobójstwo. Nie daje nam też fałszywych nadziei na szczęśliwe zakończenie. To powieść dla czytelników, którzy lubią być przerażeni i zaintrygowani. Nie polecam jej jednak osobom wrażliwym i o słabych nerwach.



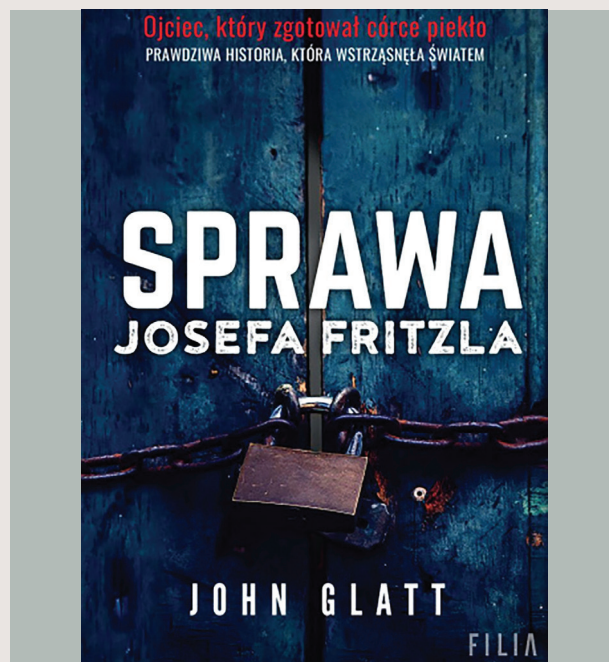
Virginia Feito, *Pani March*. Wydawnictwo Echa 2023

Pani March Virgini Feito to debiutancki thriller psychologiczny opowiadający o Pani March, żonie sławnego pisarza, George'a Marcha, który właśnie wydał swoją najnowszą powieść. Pani March jest dumna ze swojego męża i jego sukcesu, ale pewnego dnia jej świat się załamuje, bo dowiaduje się, że jest pierwowzorem literackim bohaterki – odraźniającej kobiety o imieniu Johanna. To rzucone mimochodem zdanie przez właścicielkę ulubionej cukierni pani March wywołuje w niej lawinę podejrzeń i rosnący niepokój. Czy George naprawdę tak ją widzi? Czy ukrywa przed nią jakieś sekrety? A może zrobił coś niewłaściwego?

Pani March postanawia sprawdzić męża i zaczyna szperać w jego gabinecie, gdzie znajduje wycinek prasowy o zaginionej kobiecie. Czy George miał coś wspólnego z jej zniknięciem? Może nawet ją zabił? Pani March spędza samotne noce ze swoimi myślami. Na domiar złego w jej mieszkaniu pojawiają się karaluchy i słychać dziwne

dźwięki. Narastający niepokój i zaciekle determinacja w odkrywaniu sekretów męża stopniowo zaczynają zagrażać całemu jej otoczeniu...

Książka jest napisana w sposób wciągający i trzymający w napięciu. Autorka świetnie oddaje atmosferę paranoi i obłędu, która ogarnia tytułową bohaterkę. Nie wiadomo, co jest prawdą, a co urojeniem. Czytelnik razem z panią March próbuje rozwikłać zagadkę i nie wie, komu ufać. Książka zawiera też elementy czarnej komedii i satyry społecznej, które dodają lekkości i humoru do tej mrocznej historii. Autorka bawi się stereotypami i konwencjami literackimi, pokazując absurdalność i hipokryzję świata elity towarzyskiej Nowego Jorku.



John Glatt, *Sprawa Josefa Fritzla*. Filia 2023

Sprawa Josefa Fritzla – najnowszy reportaż Johna Glatta – ukazuje bulwersującą prawdę makabrycznej historii Elisabeth. Dziewczynę przez dwadzieścia cztery lata więził jej własny ojciec, Josef Fritzl, w zbudowanym pod ziemią lochu. Tam urodziła mu siedmioro dzieci, z których jedno zmarło trzy dni po porodzie, a troje zostało oddane do adopcji przez Fritzla pod pretekstem ucieczki Elisabeth z domu i dołączenia przez nią do religijnej sekty.

Książka Glatta jest oparta na świadectwach ofiar, śledczych i sąsiadów Fritzlów, a także na dokumentach sądowych i policyjnych. Autor przedstawia szczegółową

rekonstrukcję życia Elisabeth w niewoli, jej cierpienie i próbę ucieczki, a także psychologiczny portret Josefa Fritzla, który był uważany za szanowanego obywatela i kochającego ojca. Glatt nie szczędzi czytelnikowi drastycznych opisów i poruszających scen, które pokazują skalę okrucieństwa i zbrodni Fritzla.

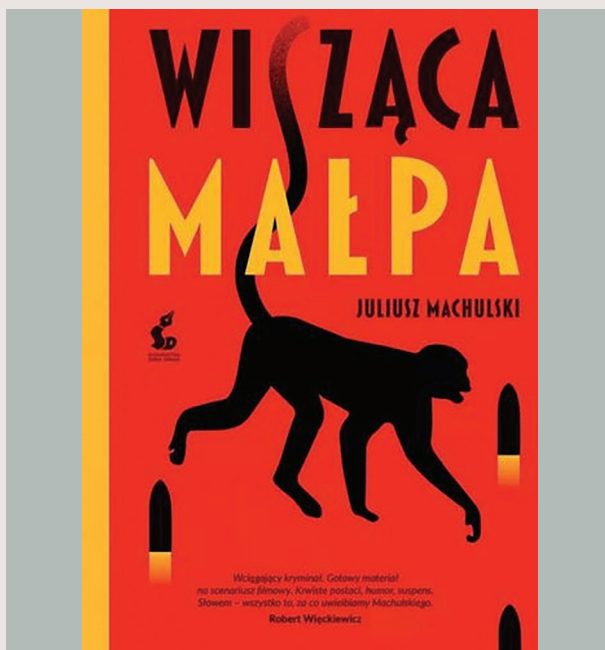
Sprawa Josefa Fritzla to wstrząsający światem dramat dla ludzi o mocnych nerwach. To książka, która nie pozostawia obojętnym i zmusza do refleksji nad ludzką naturą i granicami zła.



Tomasz Terlikowski, *Wygasanie. Zmierzch mojego kościoła*. Wydawnictwo Literackie 2023

Kontrowersyjna i odważna analiza kryzysu Kościoła katolickiego w Polsce i na świecie. Autor, znany publicysta i komentator religijny, nie szczędzi krytyki zarówno hierarchom, jak i wiernym, którzy jego zdaniem doprowadzili do utraty wiarygodności i autorytetu przez instytucję. Terlikowski diagnozuje główne problemy i zagrożenia dla Kościoła, skandale pedofilskie, klerykalizm, sekularyzację, relatywizm moralny, ideologię gender, ekumenizm czy islamizację. Jednocześnie proponuje rozwiązania odnowy Kościoła oparte na wierności Ewangelii i tradycji.

Arcyciekawa konfrontacja sumienia z religią.

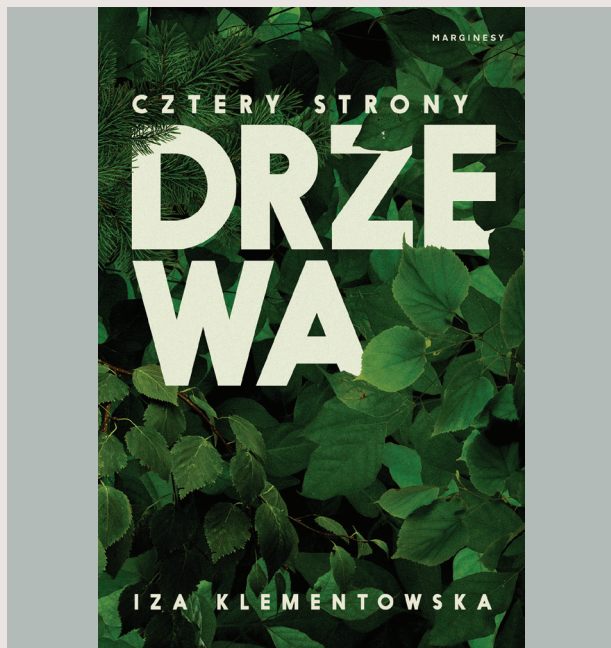


Juliusz Machulski, *Wisząca małpa*. Sonia Draga 2023

Prześmieszna czarna retro komedia, przenosząca nas do roku 1961, kiedy to w siedlisku Gadastruga na Kaszubach dochodzi do tajemniczego morderstwa. Ofiarą jest Karol Podkalicki, wpływowi działacz partyjny, który miał otrzymać Order Budowniczych PRL. Obok jego zwłok zwiisa małpa. Co się stało? Kto jest sprawcą? I co ma wspólnego z tym wszystkim Jeremi Felicki, kierowca z II Departamentu MSW?

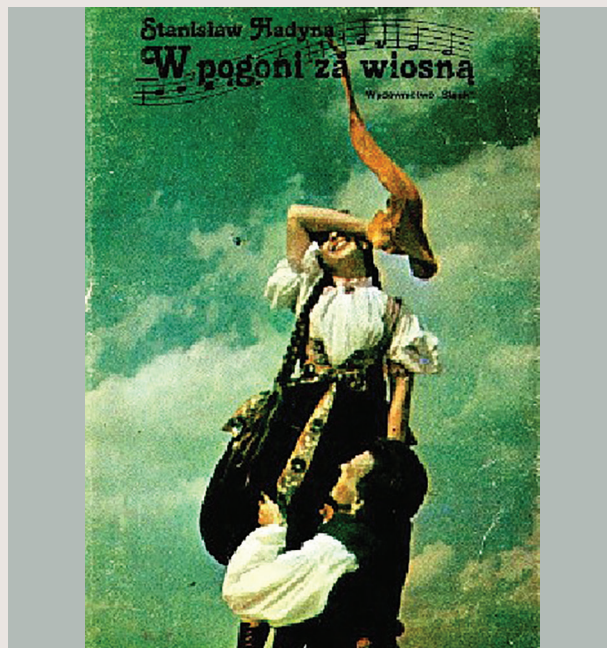
Ironia, humor, drobiazgowa dbałość o szczegóły historyczne i atmosferę czasu. Barwność i wiarygodność bohaterów, błyskotliwe dialogi. Napięcia i zwroty akcji.

Idealna propozycja dla fanów Juliusza Machulskiego.



Iza Klementowska, *Cztery strony drzewa*. Marginesy 2023

Bajkowy reportaż Izy Klementowskiej opowiada o ludziach, którzy żyją w bliskim kontakcie z drzewami i czerpią z nich siłę, mądrość i uzdrowienie. Autorka podróżuje po świecie i odwiedza różne kultury i tradycje, w których drzewa odgrywają ważną rolę. Spotyka się z polską szeptuchą, szamanką z Mozambiku, norweskim strażnikiem Yggdrasila, pół-Komanczem, pół-Aztekiem z Kalifornii, parą z indyjskiej komuny w Auroville i swoją własną babcią. Każda z tych postaci ma niezwykłą historię do opowiedzenia i pokazuje, jak drzewa mogą być naszymi przyjaciółmi, nauczycielami i opiekunami.



Stanisław Hadyna, *W pogoni za wiosną*. Wydawnictwo „Śląsk” 1982

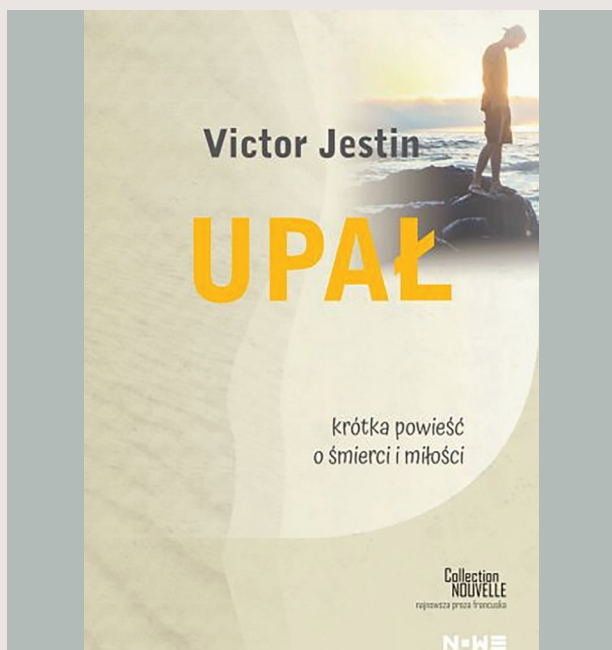
Jestem wielkim fanem folkloru i kultury ludowej, dlatego z wielką ciekawością sięgnąłem po książkę *W pogoni za wiosną* Stanisława Hadyna. To opowieść o kulisach powstania i działalności Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”, który od ponad 70 lat na całym świecie promuje piękno i bogactwo tradycji śląskiej.

Książka jest napisana w formie wspomnień i anegdot, które autor czerpał z własnego doświadczenia jako założyciel i dyrektor artystyczny zespołu. Hadyna opowiada o swojej pasji do muzyki i tańca ludowego, o trudach i sukcesach związanych z tworzeniem i prowadzeniem tak dużej i zróżnicowanej grupy artystów, o spotkaniach i występach z wieloma sławnymi osobistościami, o podróżach i przygodach w różnych zakątkach świata.

To lektura pełna ciepła, humoru i emocji. Hadyna nie ukrywa swoich poglądów i uczuć, ale też nie unika krytyki i samokrytyki. Nie brakuje tu także refleksji nad sensem i wartością sztuki ludowej w dzisiejszym świecie. Autor pokazuje, że folklor jest nie tylko reliktem przeszłości, ale żywym i aktualnym wyrazem tożsamości i ducha narodu.

W pogoni za wiosną jest z jednej strony inspirującą historią człowieka, który poświęcił życie realizacji marzeń, a z drugiej hołdem dla ludzi związanych ze „Śląskiem”. Taka podwójna pamiątka.

Francuski Górniak



Victor Jestin, *Upał*. Wydawnictwo Nowe 2023

Upał ma już cztery lata. Zdążył odpaść od młodego człowieka, Victora Jestina, i dotrzeć do Polski. Książkę przetłumaczył Jakub Jedliński. Ciekawostka: tłumaczy także ze starofrancuskiego. Inne rzucające się w oczy tłumaczone tytuły Jedlińskiego: Anne D'Alleva, *Jak studiować historię sztuki*, Ian Jeffrey, *Jak czytać fotografię. Lekcje mistrzów fotografii* czy dostępne w ramach dozwolonego użytku *Pamiętniki Wilhelma Fergusona de Tepper: spisane jego ręką, 1810*¹⁴.

Każdy moment jest dobry, by przypominać o Mateuszu Górniaku. A co w *Upale*? Opowieść rozsnuwa się nad

brzegiem morza: genialnie czytelnika weń wrysowuje kilkanaście razy powtarzana niezwykle subtelna grafika nieostrej granicy między lądem i wodą. Początkowy obraz opisanego w kilku zdaniach pierwszoosobowego bohatera szybko budzi smutek. Léonard nie tylko nie zapobiegł śmierci Oscara, ale nie bawi się, nie sypia, tylko męczy się wakacjami z rodzicami i to chyba właśnie o nim jest motto do *Upału*, wzięte z Woyzeka¹⁵. Zawsze w takich chwilach zastanawiam się, kogo lub czego dotyczy motto. W takich chwilach, gdy motto daje autorowi rodzaj przewagi nad czytelnikiem. Przewagi lub gorszej pozycji, czegoś w każdym razie dziwnego, zasłoniętego historiami pomiędzy. W filmie Hanekego pt. „Benny’s Video” ludzkie uczucia są poskręcane jak wąż ogrodowy na bębnie. Woda mimo to leci. Ludzie u Jestina mają uczucia. Mają je rodzice Léo, ma troskliwa matka i żartobliwy ojciec, ma nieobojetna Luce i inni. I Léo: „Czasem przy zlewie doświadczałem drobnych podniet, ale zawsze później ogarniał mnie smutek, bo trzeba było pogodzić się z ukrytym, stłumionym pragnieniem, by dołączyć do reszty i nauczyć się tańczyć”. W takim razie co jest nie tak? No... nie żyje Oscar i wie o tym Léo...

– A krew: czy jest krew?

– Tak, jest. A na dziewięćdziesiątej pierwszej stronie jest nawet ścieżka krwi.

– A czy wszystko dobrze się kończy?

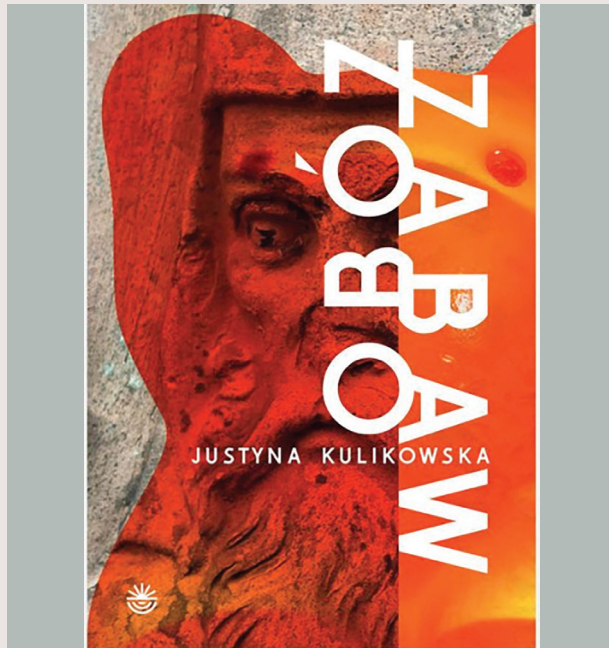
– Nie, nie wszystko. Ale też nie wszystko pamięta się z młodzieńczych wakacji.

(pj)

¹⁴ W.F. de Tepper, *Pamiętniki Wilhelma Fergusona de Tepper: spisane jego ręką, 1810: księga I*, „Almanach Muzealny” 2013, nr 7, https://bazhum.muzhp.pl/media/files/Almanach_Muzealny/Almanach_Muzealny-r2013-t7/Almanach_Muzealny-r2013-t7-s33-64/Almanach_Muzealny-r2013-t7-s33-64.pdf (i np. „Pewnego razu zaginął srebrny sztuciec, o czym doniósł służący, który trzymał pod kluczem zastawę stołową. Wypytywano wszystkich domowników, niczego jednak nie odkryto. Uznano więc, że przez nieuwagę jedno z nas go zabrało. Miałem wówczas siedem lat i kiedy zaczęto zadawać mi pytania, mimowolnie oblałem się rumieńcem, mówiąc „nie, nic nie wiem, nic nie widziałem”. Sprawiałem wrażenie winnego, więc zaczęto komentować moje zachowanie, którego przyczyn do dziś nie rozumiem, ponieważ z całą pewnością ani nie widziałem, ani nie dotykałem zaginionego sztucca”).

¹⁵ Ależ jak najbardziej: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/woyzeck/>.

Zbójnicki nizinny



Justyna Kulikowska, *Obóz zabaw*. Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu 2023

Można pomyśleć, że Kulikowska mottem do najnowszego zbioru wierszy pt. *Obóz zabaw* wziętym z Pounda:

*Idźcie, pieśni moje, szukajcie uznania młodych
i niewyrozumiałych,
Ruszajcie między miłośników wyłącznej doskonałości.
Starajcie się wytrwać w twardym sofoklejskim świetle,
Przyjmując chętnie zadawane przez nie rany.¹⁶*

leci rozbić bank, gdyby nie dedykacja książki: „Nikomu”, a potem jej zawartość...

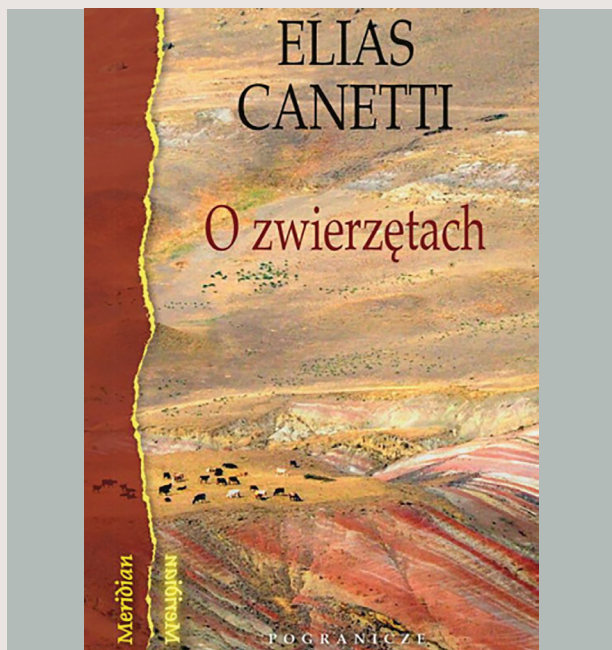
Albo bowiem nie ma nas, „młodych i niewyrozumiałych”, „miłośników wyłącznej doskonałości”, albo zgąsło raniące światło Sofoklesa, albo „pieśni” Kulikowskiej nie wytrwają w nim. Pieśni w znaczeniu wywołań: książka jest serią trzydziestu czterech części przeważnie dystychicznych, często jednak okaleczonych, albo to z poprzyklejanymi kikutami, albo to ze zgrubieniami trzecich wersów, replikujących się w część XXI (a niechby odbijających się, bo to „oczko”), przy czym już drugi wers pierwszego dystychu jest repliką pierwszego). Wywołań opatrywanych pomniejszych dedykacjami czy mottami, aż zobaczyłem – nierzadko nienawykły do niektórych widoków człowiek – chaotycznie odziarowane ciało tego poematu jako kalekie. Tego, Justyno, szukałaś? Na to czekałaś?

Pierwsze części poematu ukazały się niemal w identycznym kształcie w naszej „Epei” (nr 8), towarzyszyły redakcyjnej rozmowie z Dawidem Bujną o nominacjach do nagrody Kazaneckiego i jakoś nie wsłuchałem się wtedy w słowa Dawida. Sądziłem, że wierszami Kulikowskiej steruje, trzęsie spazm. Nie wyobraziłem sobie jakoś tego, co teraz widzę wyraźnie, że Kulikowska jest niziną zbójczynią z nożykiem na długim, sękatym trzonku. Nie zabiera wprawdzie bogatym, bo raczej jakby znajdowała, a dokładnie: trafiała na treści swoich dystychów raz, a raz je wygrzebywała nożykiem i znajdowała w nich tożsamość: Mońki, Biały[stok], Kolno, Wielkopolska, przy czym dostrzegam w Teodorze Wyspiańskiej chłopkę, bohaterkę dzieł malarskich, w Kubajewej mocno uwiklaną niezależność itd. – podobnie, jak widzi się w poezji Kulikowska (patrz tytuł: *Obóz zabaw*); motywy te są według mnie po prostu elementem powołań do drużyny poetki.

(pj)

¹⁶ Ezra Pound, *Ité*.

O zwierzętach



Elias Canetti, *O zwierzętach*. Pogranicze 2023

Jeden z najbardziej ponurych pisarzy, jakich można spotkać w głębinach dwudziestowiecznego ducha. Jednak wyobraź sobie szczęście czekające Cię na powierzchni, gdy wypływiesz, gdy mijasz obciążniki takich tytułów jak *Przyszłość rozłupana*, *Sumienie słów*, *Auto da fé*, *Naznaczeni* i błyska się łącznik zagrafką *O zwierzętach*. Z zapisków autora: „Marzenie senne jest podobne do zwierzęcia, ale nieznanego, którego członków nie ogarnia się wzrokiem.

Interpretacja jest klatką, ale takiego marzenia nigdy w niej nie ma”.

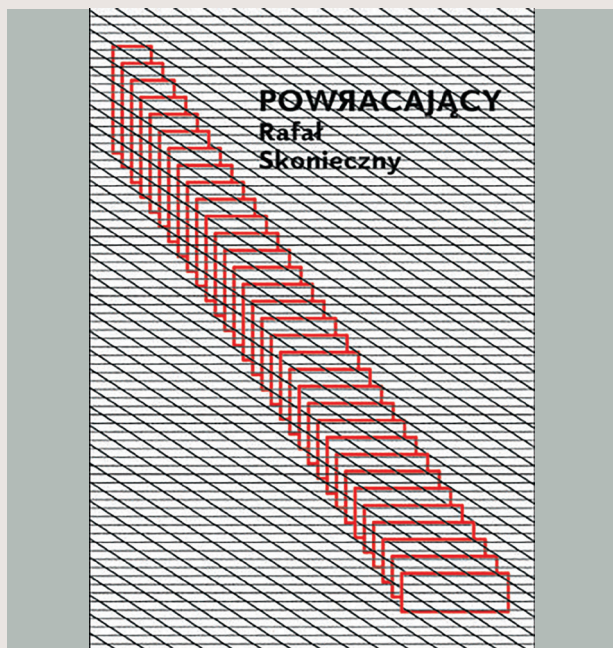
Fragmety złożone w książkę, wyciągane z poszczególnych dzieł Canettiego, nie stworzyły systematycznej wizji; zwierzęta raz są bohaterami przypowieści ilustrujących beletrystykę pisarza, innym razem mają funkcję naznaczającą światy opisywanymi relacjami z człowiekiem, bywają bramami/oknami do innych światów, etykietują je itd. Jednak wyimki z Canettiego zebrane w tomie nie należą do jednej ontologii, by powołać się na rozróżnienie antropologa Descoli, i dają pewną nadzieję...

Phillippe Descola, antropolog porównawczy, antycentrysta, krytyk „wiedzy” i „prawdy”, w konsekwencji prowadzonych badań przyjął podwójną strukturę istnienia opartą na podobieństwach i różnicach. Jest a) „intériorité” (INTERieur wewnątrz, INTERIOR, INTERIM, stan tymczasowy – między czym?!); RITE (obrzęd, rytuał), czyli wewnętrzność, i b) „physicalité” – natura przede wszystkim, ale i fizyczność. Podobieństwa i różnice łączące dwa powyższe pojęcia tworzą cztery kombinacje (przynajmniej cztery, a najpewniej 44, a może i 77): animistyczną, naturalistyczną, totemistyczną i analogistyczną. Tak po krótku.

I rzeczywiście: Aborygeni, Mandanowie opisywani przez Canettiego żyją w i n n y c h ś w i a t a c h. A zatem znów – uniwersalna koncepcja świata nie istnieje. Świat postrzegany jest w różny sposób zarówno w różnych grupach, jak i w różnych sferach (sztuka, religia i zwyrodniali przedstawiciele w określonej, „zamkniętej” epoce). Tylko tyle chcieliśmy, królu sefardyjski!

(red.)

Powracający



Rafał Skonieczny, *Powracający*. Instytut Mikołowski im. Rafała Wojaczka 2023

Co za motto: „Czy ludzie powstają z martwych? // Książki mówią, że nie, // noc krzyczy, że tak”

Co za wiersz: „Maszyna do życia”. I następny, i następne. Jaka to jest książka!

(red.)



Marta Mioduszevska / PLSP w Supraślu

Słownik wojny



Ostop Slywinski, *Słownik wojny*, Fundacja „Pogranicze” 2023

Słownik ma za zadanie objaśniać znaczenia słów. Ze słów składa się język, a ten tworzy przechowalnię ludzkich doświadczeń. Takim doświadczeniem jest wojna, dlatego podczas konfliktu zmieniają się zakresy i struktury

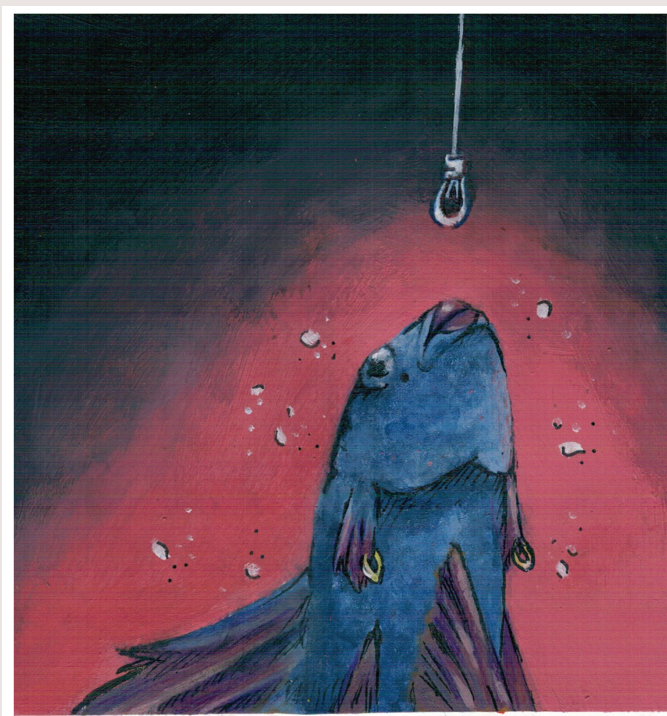
znaczeniowe słów, które odbijają nową, nieznaną sobie wcześniej rzeczywistość.

Książka Slywinskiego jest świadectwem wielu wojennych rozmów. Ułożone w alfabetycznym szeregu litery rozpoczynają kolejne mikroopowieści, zapisane i zestawione obok siebie w języku ukraińskim oraz polskim.

Nie są to opowieści sentymentalne, raczej nie ma w nich smutku, atmosfery strachu, walki o przeżycie. Szokująca jest wręcz obojętność narratorów, dla których wojna stała się nową powszedniością. Nie ma już poniedziałku, środy i czwartku. Jest wojna.

Krótkie historie niczym facebookowe wpisy zilustrowane prostymi grafikami (może czasem zbyt dosłownymi) tworzą wciągającą historię. Szczególnie ciekawą, jeśli chcemy wsłuchać się w ludzi, a nie dziennikarsko-reporterskie komentarze i politologiczne polemiki. Wrażenie osłupienia wywołane naznaczeniem codzienności tragedią nadają sens podobnym publikacjom.

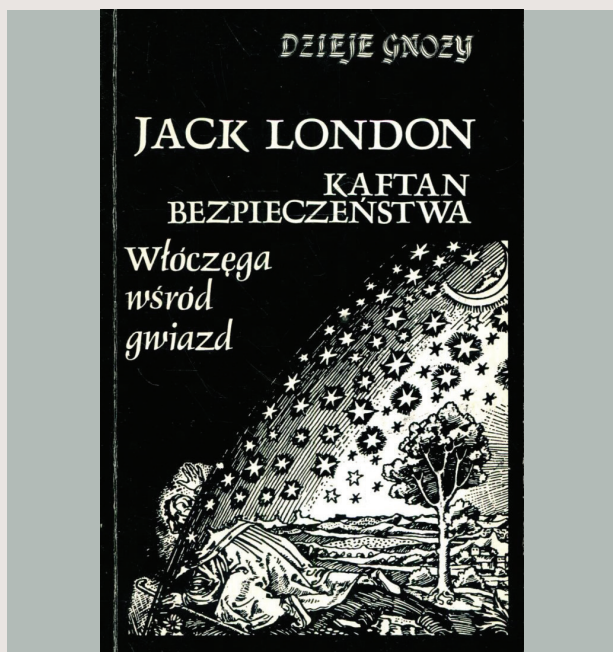
(red.)



Julia Pająk / PLSP w Supraślu

Piotr Janicki

Specyficzny rodzaj podróży z wykorzystaniem dławicy



Jack London, *Kaftan bezpieczeństwa. Włóczęga wśród gwiazd*. Wydawnictwo BRAMA – Książnica Włóczęgów i Uczonych 1992

Jacka Londona poznałem dzięki *Johnowi Barleycornowi*, czyli *wspomnieniom alkoholika* z dwunastego tomu dzieł wybranych. Książkę kupiłem, bo z okładki dowiedziałem się o gnostyckich możliwościach autora: jego matka była spirytystką, zaś ojciec gnostykiem jak się patrzy. W dodatku książkę zdobił słownik terminów morskich, więc coś akurat do biblioteczki mojego ojca o pływaniu na morzach. Jakoś tak się stało, że w głowie mi ugrzązł dopisek „Szkice autobiograficzne”: „Koń, na którym jechałem, nie darmo nazywał się Bandyta. Chciałbym widzieć na jego grzbiecie człowieka pijanego”. London znał i umiał, według mnie, ukrywać retoryczne powtórzenia brane z Szekspira. Połowa zdań Johna... – myślałem – straconych do któregośkolwiek z dzieł Szekspira dałaby sobie radę nie gorzej niż te z filmu Toma Stopparda „Rosencrantz i Guildenstern nie żyją”.

I ten diabeł wydaje rok później w Polsce powieść w serii „Dzieje gnozy”. Obcy i złożony, składany („rr”, „ll”) norweski z brzmienia, diamentowy z charakteru, Darrell Standing

jest bohaterem *The Star Rover/The Jacket*, nam znanej jako *Kaftan bezpieczeństwa. Włóczęga wśród gwiazd*, a potem jeszcze jako *Kaftan okrucieństwa* (w tłumaczeniu Google’a równie piękny tytuł *Gwiazdny łazik*).

Zacznijmy jednak od nauczyciela naszego bohatera. To Ed Morrell (macie to, angliści?), niewzorowy więzień San Quentin, najtęższy – obok Standinga i Jake’a Oppenheimera („Sprawiedliwość była jego namietnością. Wszystkie zabójstwa, które popełnił w więzieniu, były spowodowane jego ogromnym poczuciem sprawiedliwości”) – umysł w więzieniu. Morrell w dodatku był użytkownikiem mocy władania siłą umysłu nad maltretowanym, zduszonym ciałem, rozsadzonym przez dławicę z braku możliwości oddychania, mocy niezycia za życia, a odkrył ją wielokrotnie wiązany w kaftan bezpieczeństwa, najokrutniejszą i ostateczną torturę w powieściowym San Quentin.

Więźniowie leżący w izolkach porozumiewali się za pomocą specjalnego alfabetu wystukiwanego butami, a w jego opanowaniu pomagali sobie z rzadka uruchamianą i pod groźbami ludzką mową.

Wszystko jasne, teraz okoliczność czyniąca tortury Standinga wyjątkowo okropnymi: otóż naczelnik więzienia ubzdurał sobie z kilkoma kapusiami, że Standing wszedł w posiadanie i skrył w więzieniu znaczne ilości dynamitu, którego użycie zagrażało murom i ich „kodeksowi”. Oto jesteśmy w sercu opowieści, wyjąwszy oczywiście potęgę tej prozy dyktowanej niezwykłym, natchnionym umysłem bohatera na chwilę przed jego powieszeniem. Za co odsiadywał wyrok, a za co skazano go na śmierć, dowiedźcie się we własnej lekturze...

Oszalała bitwa, którą stoczył Leibniz z Kartezjuszem o powrót Boga do Jego własnego świata, jest niczym w porównaniu z bataliami Standinga o wyswobodzenie ciała z umysłu, o porzucanie go w zgnilej celi – tyle mogę powiedzieć, przy czym trudno mi zrozumieć nauki Morrella, mówiące, że „Masz myśleć i wierzyć, że twoje ciało to jedna istota, a duch to druga. Ty jesteś tobą, a twoje ciało to coś, o co nie warto się troszczyć. Twoje ciało nie liczy się. Jesteś panem. Nie potrzebujesz ciała”. Że jestem panem, zgoda, że nie potrzebuję ciała, zgoda wyższa,

ale coś mi nie gra w niejednoistości ciała i ducha. To jednak naprawdę mały szczegół, tym bardziej że drobiazgowo rozważania nie były naszym potworem życia potrzebne. Dość, że Standing odczuwał p r z e w a g ę duszy nad ciałem, a nowa metoda zastąpiła autohipnozę, bo tej wcześniej próbował leżący, zakuty w kaftan Standing. Zakuty, lecz zbyt silny, gdyż umieranie za życia możliwe było w fazie krańcowego wyczerpania, odrętwienia, bólu bóli. Mówimy o tysiącach godzin w kaftanie i na przykład stu godzin ciągłym: „Oppenheimer dostał za to [obraza naczelnika] sto godzin w kaftanie bezpieczeństwa; gdy go rozwiązano, plunął w twarz naczelnikowi i otrzymał nowe sto godzin. Gdy go rozsznurowywano, naczelnik nie zjawiał się w celach samotnych”, o dwóch kaftanach zawiązanych naraz.

Gdzie i czym oraz kim był Standing w swoich podróżach, też sami sprawdźcie, ale też wiedźcie, że nie o snach opowiadał. Co mu zresztą zarzucano. Nie o snach i nie tylko w kaftanie, bo pewnego razu „Stwierdziłem, że mogę zawiesić życie siłą woli. Pomagało w tym zaciśnięcie piersi

i żołądka kołdrą. Tym sposobem osiągnąłem fizjologiczny i psychologiczny stan, podobny do tego, jaki wywoływał kaftan bezpieczeństwa. Mogłem zatem bez dawnej męki unosić się do woli w niezmiernych przestworzach czasu”.

Zdradzam wszystkie najważniejsze rzeczy z książki (choć też w sposób, żeby nic albo niewiele zrozumieć bez sięgnięcia po arcydzieło Londona), nie może zabraknąć i tej, że Standing w jednej z podróży stał się całą ludzkością, tzn. jednym człowiekiem, tylko że w pascalskim sensie, w jakim filozof powinien postrzegać ludzką historię, według słów Pascala, wedle zawiadomienia Standinga. Tym jednym człowiekiem bohatera był on w kaftanie, przeżywający mękę i życia. Coś, jakby zebrać Standingów wszystkich epok i słuchać ich opowieści, czyli każdego jednego człowieka, bo jak inaczej? Ale też uznać siebie za niemożliwe do pominięcia w dziejach ludzkości i całego wszechświata istnienie, niezbędne do jego sumy. Wstydzicie się zwątpienia w te sprawy w przeszłości, zanim poznało się powieść.

Bonusik: „Nie wytrzymałość ciała to sprawiła, lecz wspaniałość mojego ducha. Przyczyniły się również do tego poprzednie istnienia, w których twarde próby zahartowały ducha”. I do zobaczenia niezliczone razy.



Marta Mioduszevska / PLSP w Supraślu



Oliwia Wasilewska

Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych
im. Artura Grottgera w Supraślu

Nabór tekstów do nieregularnika „Epea. Pismo literackie”

PISZESZ

wiersze, opowiadania, reportaże, eseje, dramaty, felietony lub literaturę dziecięcą?

CHCESZ

podzielić się swoją twórczością z innymi?

PRZEŚLIJ

zgłoszenie na adres e-mail: epea@ksiaznicapodlaska.pl

Do współpracy zapraszamy zarówno doświadczonych twórców, jak i tych, którzy są na początku swojej literackiej drogi.

Przyjmujemy jedynie teksty dotychczas niepublikowane i niezgłaszane do konkursów literackich. Redakcja nie zwraca przesłanych tekstów oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.